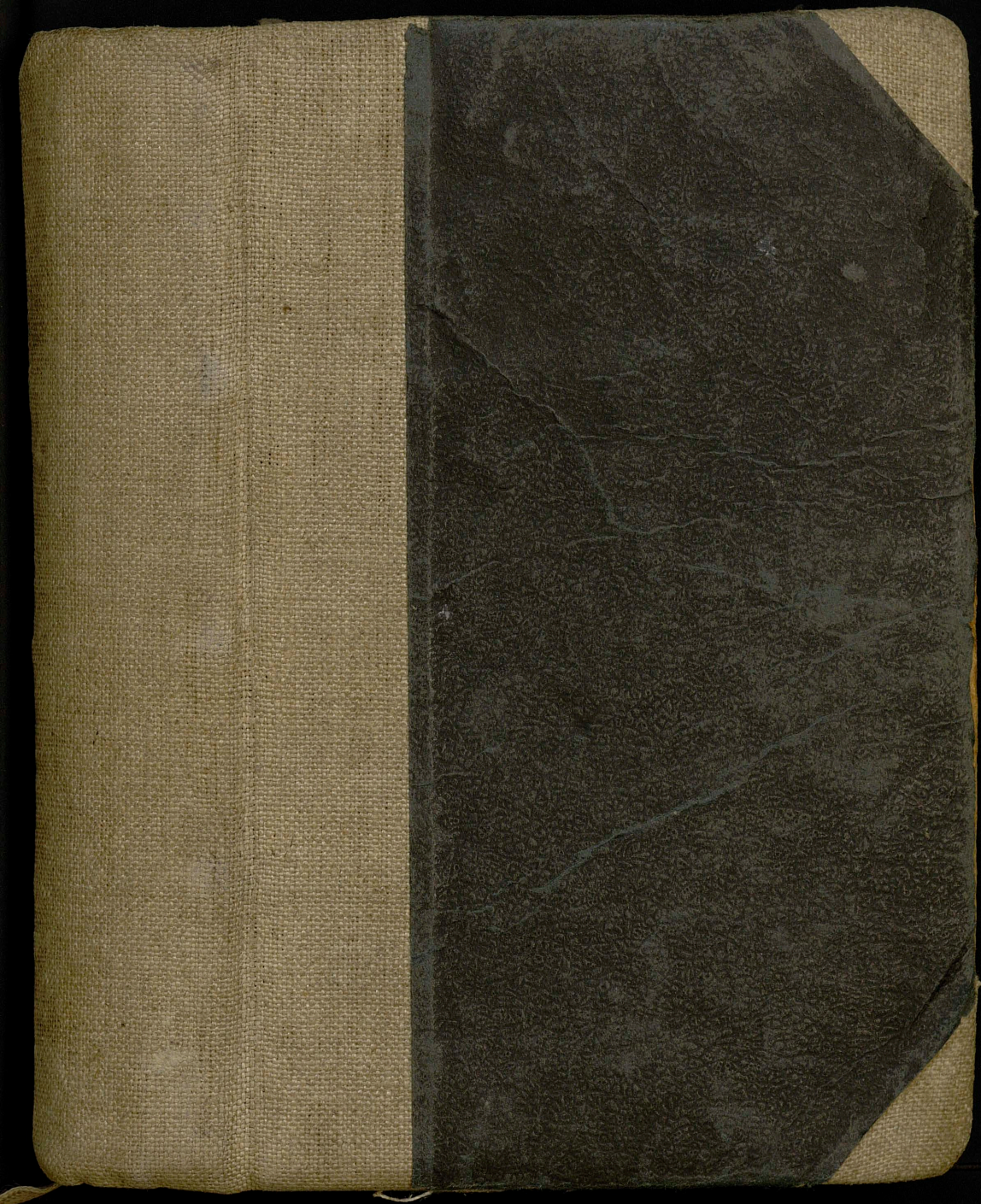
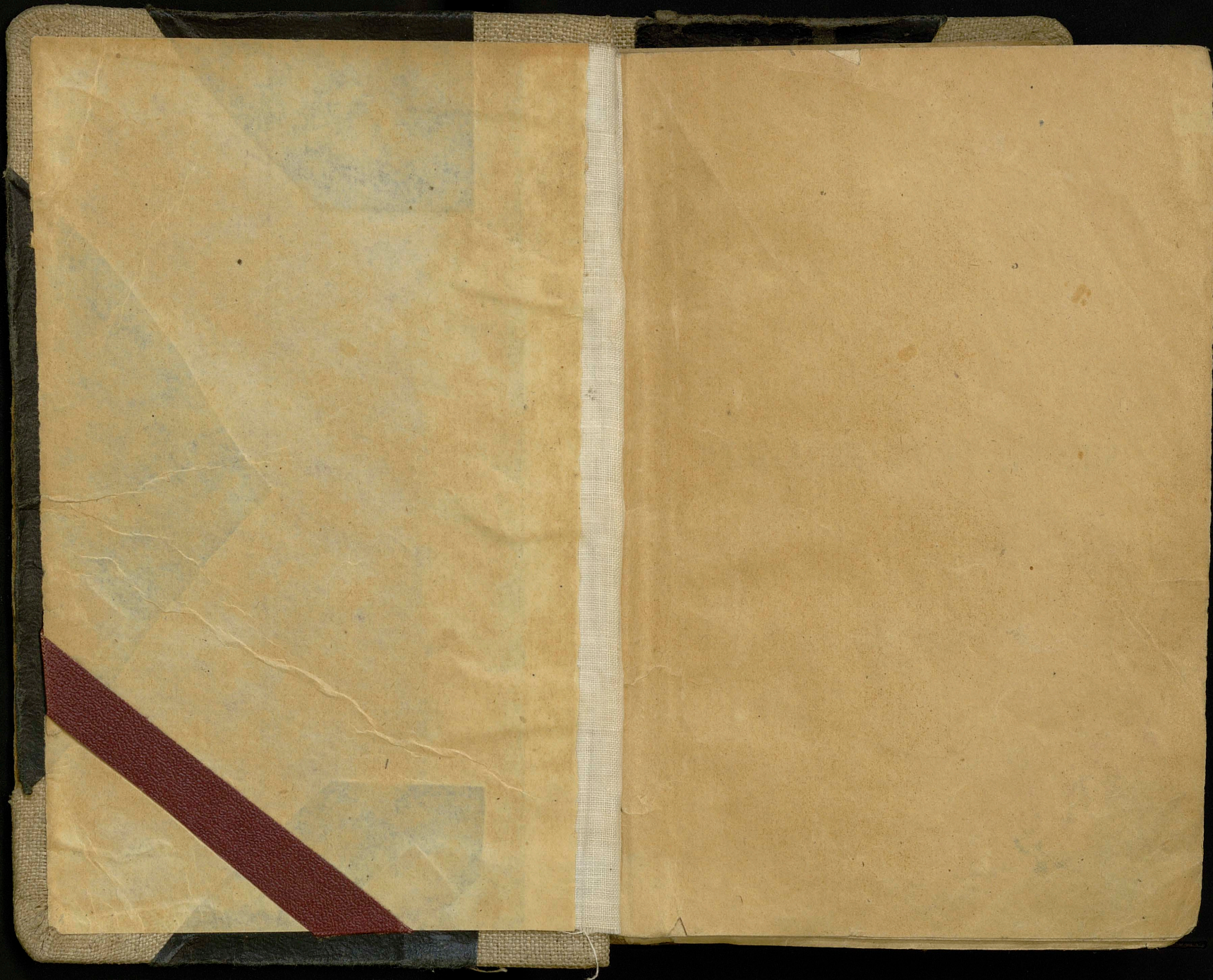


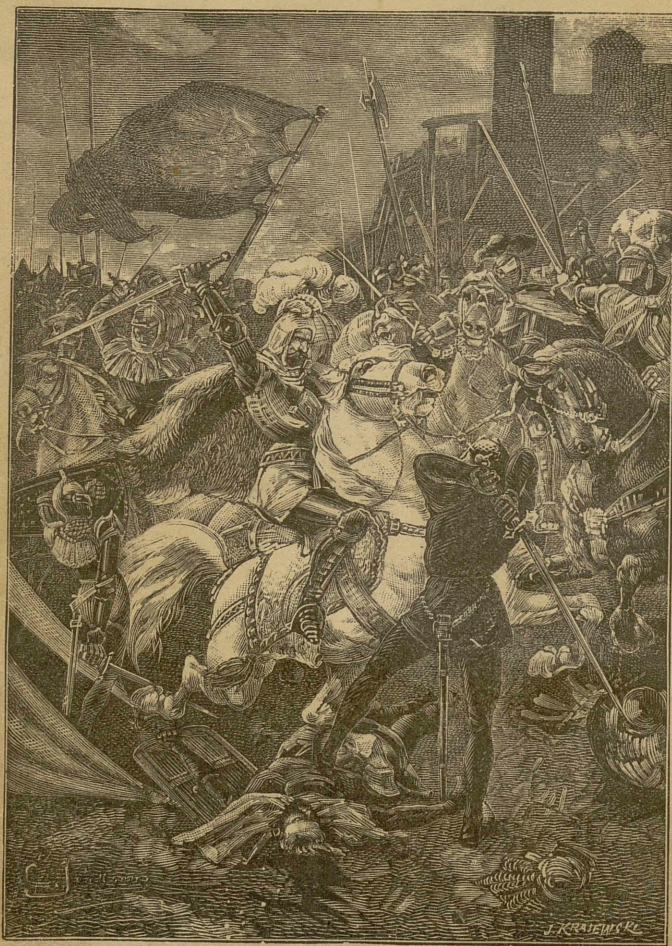




OPOWIADANIA HISTORYCZNE

Wypożyczalnia młodzieżowa

WARSZAWA. DRUK EMILA SKIWSKIEGO.



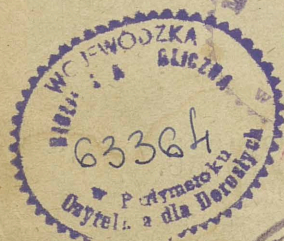
Ostatni Piast na Szląsku.

... Bolko, na czele mężnego zastępu, jak piorun wpada i gromi.

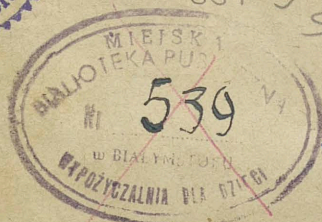
OSTATNI PIAST NA SZLĄSKU.

Opowiadanie historyczne według podań ludowych.

884-3-1-311,6



884-3
KOMPUTER



884-3

41966

1.

Gołąbka w orlem gnieździe.

Noc ciemna zaległa nad ziemią. Żadna gwiazdka nie przebija się przez grubą chmur oponę i tylko kiedy niekiedy zdaleka błyskawica krwawym gzygakiem rozdziera czarną zasłonę nocy, a grzmot głucho po chwili zwiastuje odgłosy burzy gdzieś w dali za lasami i górami.

Ale i tu na ziemi niema spokoju. Śród ciszy nocnej słychać chrzęst broni, powolne, lecz ciężkie stąpania, czasem rżenie koni i hasła wojenne, wymieniane szybko, lecz wyraźnie. Ogniska, porozpalane na polu, szerokim wieńcem okalały wyniosłą górę, na której śród ciemności bieliły mury zamku warownego. I tam nie śpią: na murach stąpają ciężkie kroki straży, a w małych okienkach migają światelka czerwone, zapewne smolnego łuczywa, palącego się na kominach.

Wypożyczalnia młodzieżowa

Zamek to — Frankenstein *), potężna dzielnica Bolka III-go, księcia na Świdnicy i Jaworzu, ostatniego z Piastów, który się jeszcze przemocy drapieżnych sąsiadów opiera. Dziś, obleżony przez liczny poczet rycerstwa, na którego czele stoi sam Karol Luksemburski, król czeski **), broni się Bolesław mężnie, od kilku już tygodni odpierając liczne i wyćwiczone w boju szyki najezdców. I teraz, choć już godzin parę upłynęło od zachodu słońca, po dniu spędzonym na murach, skąd obleżeni, ciskając ogromne kamienie, lejąc smołę i ukrop, zmuszali do odwrotu zastępy oblegających, po dniu bitwy i znoju, Bolko zamiast legnąć na twardej pościeli i dać spocząć strudzonej głowie, przeciwnie, zwołuje rycerzy swoich na naradę do wielkiej sklepionej sali.

Stąd właśnie bije światło przez małe, zakratowane, głęboko w grubym murze żłobione okienka, ale i na górze, niby jasne oko wśród ciemności, błyska białawem światłem okienko z wieży. Zajrzyjmy do malej i również sklepionej komnatki wśród grubych murów wieżycy, której dotąd, ani ogromne kamienie, ani kawały żelaza, z ciężkich pocisków napastników padające, naruszyć, ani wstrząsnąć nie zdołały. „Gołębim gniazdem” nazywają rycerze Bolesława okrągłą komnatę, do której po wązkich drabiniastych

*) Zamek Frankenstein (Ząbkowice) wystawił Bolko I, książę na Świdnicy, zmarły, 1303 roku.

**) Karol IV, syn Jana, znanego ze srogości i niezmiernej waleczności.

schodach tylko dojść można; nie braknie też białej gołąbki, tulącej się w tem gniazdku, z którego jej wypłoszyć nie zdołały ani grzmoty i pioruny, co rozdarły grubą jodłę naprzeciw okienka rosnącą, ani straszniejszy może zgiełk wojenny, od tyłu już tygodni trapiący dzielnicę Bolesławową.

Czyż niepodobna do gołąbki—ta wdzięczna dziewczeczka o błękitnem oku i długich jasnych warkoczach, co padłszy na kolana, wznosi drobne rączki i białą jak lilia twarzyczkę do obrazu Bogarodzicy, przed którym płonie mała lampka na stalowym zawieszona łańcuszku? Łzy rzewne, jak rosy krople, spływają po licu dziewczęcia i znać, że już długo w niemej pozostaje modlitwie, bo właśnie zbliża się ku niej sędziwa, w białe szaty otulona niewiasta i rzecze, troskliwie objawszy szczupłą kibić dziewczeczki:

— Hanulko, gołąbko moja, dość już tych modlitw i łez gorących; gdzieby też nie trafiły do Najświętszej Matki, — kiedy mnie aż się serce rozpływa, patrząc na ciebie, ptaszyno moja, że duszę swoją wylewasz przed Panem Bogiem! Jużem ci łóżeczko wysłała, spocznij gołąbeczko, a ja ci bajkę opowiem o zakętym królewiczu, lub o smoku skrzydlatym, jak to niegdyś bywało, pamiętasz, ptaszyno, w jaworzańskim zamku naszym, kiedy żył i władał miłościwy pan mój, a twój ojciec najlepszy, kiedy ci się nudziło w długie zimowe wieczory...

Dzieweczka podniosła się z kolan, ucałowawszy przedtem z pokorą ziemię i przeżegnawszy się pobożnie.

— Nie, Bogno — rzekła — nie każcie mi się kłaść do łóżka; taki mnie dręczy niepokój, że usnąć bym nie mogła, ani nawet słuchać bajki o zaklętym królewiczu. I tobie się na sen nie zbiera, prawda, niani moja miła? Lepiej siądźmy sobie do kądzieli i pogwartzmy o dawnych, dobrych czasach, kiedyśmy ani szczęku oręza nie słyszały, ani drżały co chwila na widok pożarów płonących w okolo.

I mówiąc to, Haneczka pogłaskała starą piastunkę po zwiędłej i pomarszczonej twarzy, a Bogna, choć miała już usta otworzyć, aby pogderać trochę, uśmiechnęła się, spojrzawszy na pieszczoszkę swoją i poszła dołożyć smolnego łuczywa do ognia, dogasającego na kominku. Potem usiadły obie na niskiej ławie dębowej, przykrytej wzorzystym kilimkiem i ujawszy prześlice, owinięte srebrzystem włóknem lnianem, poczęły wysnuwać cienkie niteczki. Wrzeciono szybko się obracało w pomarszczonej i wychudłej ręce staruszki, ale prędzej jeszcze furczało w białych paluszkach Anki. Ogień z komina rzucał blask czerwony po komnacie, a duży czarny pies wygrzewał się przy nim, czasem tylko podnosząc rozumne oczy na młodą swą panią.

— Chcieliście, Bogno, opowiadać bajkę o zaklętym królewiczu, to mówcie lepiej o prawdziwym królu polskim, a dziadku moim najukochańszemu, Kazimierz, któregoście nieledwie na ręku nosili; o babce i pradziadku moim przesławnym.

— Dawne to już dzieje, gołąbko moja, kiedyś opuściła Polskę naszą ukochaną, ale pamiętam, jak

dzisiaj dzień ten smutny, choć niby i wesoły, gdy nasze wozy z Krakowa wyruszały. Młodziutka pani moja, a babka twoja, gołąbko, Małgorzata, córka Łokietkowa, po sutem weselu jechać miała do domu męża swojego, pana na Świdnicy. Mnie, com od dzieciństwa nieledwie przy królownie była, nie chciało puścić od niej, a Jaśko mój dostał obowiązek koniuszego przy dworze młodej pani. Dworno i huczno zbieraliśmy się w drogę na Szląsk. Młody pan nasz, niby Św. Michał na koniu białym, od złota i pereł błyszczący, oka od siebie odwrócić nie dawał; za to pani moja, świeża jak jagoda, kiedy spojrzała, to się aż słodko w sercu robiło. Kiedy na ciebie spojrzę, gołąbeczko moja złota, zda się, że te lata długie gdzieś się podziały, a ja widzę przed sobą najmiłościwszą królowną moją.

Raz jeszcze dworno i strojno jechaliśmy przez bramy Krakowa, ale wtedy już piastowałam syneczka pani mojej, a ojca twego, świeć Panie nad duszą jego. Wtedy już gracko szabelką wywijał, którą nad wszystkie bawidelka przekładał, a w Krakowie święciliśmy uroczystość wielką, bo narodziny polskiego królewicza *), który teraz ludowi swemu miłościwie panuje i pono lepszy jest od rodzica swego, o biednych najwięcej przemyśliwa i każdemu do siebie dostępu dozwala. Na Chrzcie świętym dało mu imię Kazimierza i zda mi się, że widzę, jak naszego prze-

*) Kazimierz Wielki urodził się r. 1310.

cudnego królewicza do kościoła wnoszą, a z Wawelu dzwony biją radośnie, ot, będzie temu lat trzydzieści! Szczęśliwa to była chwila, kiedyśmy do Świdnicy wracali; nie przeczuwało serce moje, że to ostatnia godzina szczęścia, że odtąd oczy z łez prawie osychać nie miały. Jakoż wkrótce potem najmiłościwsza pani moja na ręku moim Bogu ducha oddała, a zimnemi już usty szeptała, żebym nigdy nie porzucała dziełek jej, Mieszka i maleńkiego Bolka, żebym ich woziła do dziadka i mowy polskiej uczyła.

Jakoż król Władysław Łokietek chciał obydwóch na dwór swój zabrać, ale pan nasz synów dać nie chciał i w srogim żalu, po utracie najukochańszej małżonki, przy nich tylko pociechę znajdował. Bywało z wojny wraca, jeszcze helmu nie zdejmie i cały, jak był w żelaznej zbroicy, prosto kroczy do dziecinnej izby. Mały Mieszko, co był zawsze do matki podobny, słodki i cichy jak ona, że go ojciec na żarty księdzem nazywał, usuwa się w kąt na odgłos szablicy, co po kamiennych płytach dzwoni, i nieśmiało do ojca przystępuje; zato Bolko, obie ręce na szyję mu zarzuciwszy, zrywa hełm z głowy, to małą piastką w pancerz uderza, to znów próbuje szablicę ojcowską dźwignąć z ziemi. Potem obaj książęta na konikach, pod wodzą księcia pana, mocują się, hasając po zamkowych podwórcach, i ani mi przez myśl przeszło, jak już obydwu z ojcem po raz pierwszy na wojenkę ruszyli.

I znów wesele, płasy i śpiewy, to znów trumny i pogrzeby, że się człowiekowi, jak we śnie, to wszyst-

ko miga... Ja na Jaworzańskim zamku znów kołyszę maleńką sierotkę, co prawie matki własnej nie widziała, a tu wnoszą rycerze w żałobie ciało ojca twego, Hanulko, który poległ od niemieckiej strzały. Już myślałam, że nam zginąć przyjdzie, nim się poza góry do Polski dostaniemy, gdzie jeszcze pradziadek twój, król Łokietek panował, aż tu przybywa ze Świdnicy książę nasz Bolko, brat nieboszczyka, i mówi, że nikomu gołąbki swej zabrać nie pozwoli, że sierocie po bracie swym ojca zastąpi. I pojechaliśmy z nim, a na cmentarzu w Jaworzu zostały zwłoki rodziców twych miłościwych i Jaśka mego, co napróżno pana ciałem swem zasłaniał, aż go Niemcy rozsiekali, żem go poznać nie mogła, gdy go ledwie żywego do zamku przywieźli.

I stara piastunka wychudłą ręką otarła łzy, płynące jej po twarzy, a Hanka, objąwszy ją za szyję, przytuliła główkę do jej piersi, chcąc trochę pocieszyć i upieścić staruszkę.

— A pamiętacie, Bogno, jakto wtedy gwarno było na zamku u stryja? A te zaręczyny moje z Przemkiem, co mi go stryj za męża przeznaczył?

— Pamiętam, gołąbko; miałaś wtedy lat pięć, a mały książę brat krzyż dyamentowy w podarku na szyję ci włożył. Mówiłam ja wtedy, że krzyża się dawać nie godzi, a we dwa lata już stawialiśmy krzyżyk na mogile Przemkowej. Pan nasz, po stracie jedynaka, zdawało się, że od rozumu odchodzi: nie spał, nie jadł, zimny jak kamień, słowa do niego przemówić nie chciał i tak siedział chmurny

od rana do wieczora, i znów od wieczora do rana, a nikt nie śmiał zbliżyć się do niego, aż dopiero, kiedy gołąbka moja cicho się przysunęła i główkę mu złocistą na kolanach złożyła, rozplakał się, jak dziecko, i porwawszy ją na ręce, przycisnął do serca, żeby mu nie pękło.

— I ja tę chwilę dobrze pamiętam, nianiu; zdawało mi się, że mię stryj rozgniecie na piersiach swych, ale nie krzyknęłam, tylko go mocno za szyję objęłam i szeptałam, że go nigdy nie porzucę.

— I nie można było porzucić osierociałego pana; gdyby nie to, byłabym cię dawno zawiozła do Krakowa, gdzie nas król Kazimierz tyle razy wzywał. Tambyśmy odetchnęły po tych wojnach ustawicznych, bo król Kazimierz pono wojny nie lubi, a tylko mądrze w kraju swym gospodarzy. I nasz książę pan możeby chętniej spoczął i zajął się ludem swoim, bo i w Świdnicy i w Jaworzu straszna bieda z tych ciągłych wojen; ale cóż poradzić ze złym sąsiadem, który nas trapi i najeżdża?

— Ach prawda, Bogno moja, że te wojny — to rzecz straszna; mnie się zdaje, że stryj powinien się pogodzić; inaczej wszyscy wyginą do szczytu i kamień na kamieniu nie zostanie u nas.

— A skądże do zgody przyjść może z hardym Niemcem albo chciwym Czechem, co chcą zmusić wolnego Piasta, żeby im hołdował? Alboż to on nie pan na ziemi swojej, a gdyby miał hołdować, to pewno nie Niemcowi ani Czechowi, który cesarskie stopy liże, ale naszemu wielkiemu królowi Ka-

zimierzowi, co go i Ruś Czerwona za pana uznała i Litwa się doń zyczliwie kłoni. Tam nasi bracia, jedna wiara, jedna mowa, nie to, co przekłęci Niemcy!...

— Niemcy zapewne, ale nie Czesi — prze-rwała dziewczeczka — bo i to przecież bracia od Le-cha jeszcze...

— Taki brat, który się mowy ojczystej wyrzekł i z wrogiem trzyma, to gorszy od samego wroga*). Alboż to nie wiesz, księżniczko moja, że Czech z Niemcem teraz braty, jedną mową gadają i jednym orężem się przymierzają na biedną ziemię naszą. To ci te mniszki w Pradze główkę przewróciły, a mówiłam księciu panu, żeby cię tam nie wiozł „Rok czasu, niewiele, rzekł książę, a dziewczeczka dogodzi ciotce przeoryszy w klasztorze i trochę się ogładzi w tej Pradze, o której dziwy rozpowiadają.” I nauczyło się dziewczę moje krasnymi jedwabiami wyszywać i na książkę malowanej czytać, ale jakieś czary czy uroki na ciebie tam rzucili, gołąbko moja, boś mi wróciła, jak gdyby inna, a we śnie rozpowiadasz o tej Pradze, nihy to o raj u ziemskim.

*) Był czas, że Czesi, pod wpływem przemożnego sąsia-da, zniemczyli się i zdawało się, że swą narodowość tracą. Tem większa chwała im, że po tylu wiekach, dziś znowu rozbudzili w sobie miłość do ziemi i mowy ojczystej i pracują z zapałem nad językiem, oświatą i wyciągają rękę do bratnich plemion.

— Bo też tam pięknie, Bogno; gdybyście tylko widzieć mogli! Nie takie lasy dzikie, jak w naszym Frankensteinie. Tam, nad Wełtawą, Hradczyn wspinały, a kościołów, świątyń pańskich bez liku, gdzie grają i śpiewają jak anieli w niebie, i góry zielone i rzeka się srebrzy. Tam żyć i umierać bym chciała!...

— Pewno, że tobie nie siedzieć w tem gnieździe orlem, gołąbeczko moja, ale po co Pragi szukać? Nasz Kraków pewno piękniejszy! Alboż to Wawel Hradczynowi nie dorówna, a Wisła nasza, czy nie piękniejsza od Wełtawy, i król Kazimierz stokroć lepszy i mędrszy od czeskiego Karola, który się z Niemcami wiąże?

— Ż na króla Karola nie mówcie, Bogno, ani słó zka! Każdy wie, że to rycerz, jakich mało. Mężny, jak ojciec jego Jan, którego cała Europa znała, bo nawet kiedy oślepl, to jeszcze na wojnę jeździł i nie tylko w swoim kraju, ale do Francyi i do innych ziem; przecie go „Lwem” o. Karol odważny, ale i lepszy i mędrszy od k. na; gdybyście to wiedzieli, jak go Czechy kochają! On chce, żeby jego poddani byli dobrzy i oświeceni; przecież w Pradze wybudował taki wspaniały gmach na szkołę *), że niby świątynia Pańska wygląda i właśnie go poświęcali, kiedym była u ciotki przeoryszy w Pradze.

*) Wszechnica w Pradze założona 1346 r. przez Karola, który sam będąc światłym i uczonym, wiele dobrego dla Czech zrobił.

— Tak — mruknęła niechętnie piastunka — a w tej szkole ludzie uczą się wiary swojej zapominać, a niemieckiego licha się imają; sam król przecie tylko z Niemcami trzyma i pełno ich za sobą wozi. Albo to ich teraz mało na nasz zamek szturmują? Ale niedoczekanie ich! Pójdą, jak przyszedli, a może jeszcze i głowy swoje nam na pamiątkę pozostawiają!

— Wstyďte się, Bogno!... Tak mówicie, jak gdyby to Czech i Niemiec nie byli także chrześcijanami!

— Może tam i chrześcijanie, boć mówią, że się krzyżem świętym żegnają, ale że nie tacy ludzie, jak inni, to pewna, kiedy nawet języka ludzkiego nie rozumieją — odparła z gniewem staruszka. — Pewnie tam między nimi lichy jakieś być musi, kiedy mnie moją białą gołąbkę oczarowali, że tylko o nich gada i ich chwali!

— Nie gniewajcie się, nianiu złota; przecie ja swoich nie porzuć, a stryja i was więcej miłuję, niż świat cały, ale trudno, żebym tego nie chwaliła, na com się napatrzyła w pięknej Pradze; bom w Krakowie jeszcze nie była i nie tam nie widziałam.

— Czekajno, gołąbko, niech się ta wojna niegodziwa skończy, już ja cię muszę do dziadka Kazimierza zawieźć, a wtedy poznasz dobrze, że co Polacy, to nie Niemcy, a co Kraków, to nie Praga!

II.

Rycerska rada.

Kiedy tak sędziwa piastunka gwarzy ze swą wypieszczoną księżniczką, tymczasem na dole w zamku żywa się odbywa narada. Z ciemnego sklepienia od góry zwiesza się lampa na żelaznym łańcuchu na dużym kominie płonie wielka kłoda sosnowa bo wieczór, choć majowy, ale dosyć chłodny. Na dębowych ławach pod ścianą zasiedli rycerze Bolesława, przed nimi na długim stole, co się ciągnie przez całą izbę, leżą stalowe ich hełmy z przybiciami; miecze oparli o ścianę, żeby je mieć tuż pod ręką. Książę sam właśnie powstał z siedzenia i z łazną rękawicę na stół rzuciwszy, w te odzywa się słowa:

— Wiem, rycerze moi, że każdy z was gotów przelać ostatnią krwi kroplę, aby bronić ojczystego gniazda naszego od dzikich najeźdźców napaści. Kiedy z was woli zginąć, niż się poddać Niemcowi albo Czechowi, bo teraz, jak jeden, tak drugi, godzą na zagładę naszą. Minęły czasy, kiedy Czech z Lechem z jednego kubka miód pili, jednym się chleba wałkiem łamali, teraz inaczej: Czechy z Niemcami walczyli, teraz walczą na zgubę naszą. Wszystkie dzielnice i powiaty nasze na Śląsku upadły jedna po drugiej.

ziemię krwią i kośćmi rycerzy naszych przesiąklą, Niemiec pługiem swoim pruje, a zamiast starych orłów naszych, na basztach zamków niemieckie powiewają sztandary. My jeszcze, z Bożej łaski, ostatni na Śląsku książę udzielny, choć nam nieba zabrały potomka, najdroższego jedynaka naszego, nie damy się wziąć wrogowi. Miłościwy nam wuj i sąsiad, co prawda, nie może nam teraz śpieszyć z pomocą. On zajęty krajem, który długimi wojnami pustoszonego sąsiada, odrzeka się lennej nad nami opieki; ale przecież w sercu jego żyje dla nas przyjaźń i życzliwość. Niech się tylko upora z przebiegłym a nikczemnym zakonem Krzyżaków, niech się wzmoże w siły i pieniądź, a pewno nam przyjdzie z pomocą. Tymczasem trzymajmy się, rycerze! niech orły piastowskie nie dadzą się niemieckim sępom! nie puszczajmy ich do gniazda naszego!

— Nie damy się, nie damy! — zawołali potężnym głosem rycerze, a brzęk zbroicy żelaznej rozległ się i odbił o sklepienia sali.

— Ale radźcie mi, wierni rycerze — mówił Bolko — co robić dalej. Ja się nieuleknę...

A kiedy to mówił, taki ogień błyskał z błękitnych jego oczu, taka szlachetność biła z wysokiego czoła, ocienionego bujnemi włosów zwojami, że czuć było, iż nie ulegnie, dopóki mu kropla krwi w żyłach zostanie.

— Nie ulękne się — powtórzył — bom pewien słuszności sprawy mojej i waszego męstwa; ale mury czy wytrzymają? Karol przywłókł za sobą ciężkie maszyny wojenne: olbrzymie kamienie, z pocisków ich padające, rozbiły część murów naszych; dziś dzień cały walili w nie taranami, a przez noc ludzie nie zdołają i dziesiątej części szkód tych naprawić. Jeszcze jeden szturm taki, a runie druga murów połowa.

Tu powstał z ławy mąż sędziwy; długa biała broda spływała mu na piersi, oko błękitne, jak u księcia, ale czoło grubemi poorane zmarszczkami, i kresa przez prawy policzek aż do skroni się ciągnie, a druga mu powiekę przecięła, że ledwie oko z pod gęstej brwi wygląda. To Mieszko z Zatora, mężny rycerz, co jeszcze przy boku Łokietka niejednokrotnie walczył i rany odbierał, potem Kazimierzowi towarzyszył, ale że teraz w Polsce pokój, rycerz niema co robić, więc pośpieszył do Bolka i jemu pomaga odpierać wroga od tej piastowskiej strażnicy. Znać, że nieprędko oreż z mężnej wypuści dłoń; teraz, wspart się na potężnym swym mieczu, tak rzecze:

— Miłościwy książę i panie nasz! My wszyscy walczyć gotowi, ale te gruzы walące się tylko nam zawadzają; idźmy na otwartem polu potykać się z wrogiem, to rycerska sprawa, a nie z za ścian chylkiem bronić się od napastników.

— Dobra rada wasza, Mieszku, i ja sam wolałbym w otwartem polu z nimi się spróbować, ale mi żal krwi waszej; przytem nas niewielka gromad-

ka, a oni coraz większe zastępy z Czech i Niemiec ściągają; nie dalej, jak dziś przecie, widzieliśmy zastęp konnych i zbrojnych rycerzy, których szyszaki jak złoto świeciły na słońcu: to nowi goście przybywają i jutro nam swoje przysła podarki.

— To też my ich wyprzedźmy, miłościwy książę i sprawmy im takie przywitanie, żeby poznali, z kim mają do czynienia. Noc ciemna, ani się spodziewają, jak im na karki wpadniemy!

Książę spojrzał po swem rycerstwie:

— Dobra rada — zawołali powstając wszyscy — prowadź nas, książę! Hańba i sromota temu, ktoby chciał nagiąć karku pod jarzmo Niemców i Czechów, ich druhów!

Błyszczą szablíce, wysoko wzniesione, przy ognia czerwonym odbłasku, ale więcej jeszcze błyska zapal i męstwo w oczach rycerzy.

Książę powiódł wzrokiem po tym walecznym zastępie. Wolałby on, co prawda, w jasny dzień śmiało stawić czoło wrogowi, ale próżno z garstką występować na nieprzejrzane Karola zastępy; dziś więc, tej nocy jeszcze, musi być wykonana śmiała na nieprzyjacielski obóz wycieczka. Chwilę jeszcze trwała narada, potem krzyknąwszy raz jeszcze:

— Niech żyje Piast, nasz książę — rozeszli się żwawo rycerze, aby cicho, w milczeniu załogę uzbroiwszy, wysunąć się za mury twierdzy.

Książę, wydawszy potrzebne rozkazy i obszedłszy podwórcę, rzucił okiem na wieżę okrągłą, gdzie jeszcze ciągle blade błyska światelko i westchnąw-

W Fr ni gr i rz
szy, jak gdyby mu ciężar jaki serce tłoczył, zwoła skierował się ku schodom, do „gołębiego gniazdka” prowadzącym.

Hanulka, usłyszawszy znane sobie stąpanie po wązkich schodach i szezęk żelaznej zbroicy, rzuciła się ku drzwiom, przez które snop światła padł na wyniosłą i szlachetną postać księcia. Dziewczę obie rączki zarzuciło mu na szyję i złotowłosą główkę do piersi, stałą okrytej, przytuliło.

— Chodź, stryju mój drogi, usiądź tu z nami! pozwól, bym ci zdjęła ten ciężki pancerz, daj mi ugłaskać włos twój hełmem wygnieciony! Czy ci przynieść miodu słodkiego, czy dzban mleka dla ochłody, boś pewno znużony całodziennym bojem?

— Nalej miodu, złota gołąbko moja, bo mnie pragnienie trawi, ale pancerza nie zdejmuj: jeszcze nie czas! Za chwilę znów do boju idziemy i właśnie chciałem was uprzedzić, żebyście się nie lękały, gdy was zdala odgłosy bitwy dolecą.

— Znów boje, znowu krew! ach! stryju najdroższy, nawet słońce w biegu swym spoczywa, nawet orły do gniazd na noc wracają, a ty znów rwiesz się do boju! Boże miłosierny! kiedy się to wszystko skończy? Wolalabym sto razy zginąć sama, byle wam i biednej ziemi naszej okupić jaką chwilę spokoju; a teraz nie poradzić nie mogę, tylko się modlić i płakać.

— Módlcie się, opatrujcie rannych, to wasze przeznaczenie. My, rycerze, walczyć i ginąć musimy

dla obrony ojczystych zagród naszych. Jeszcze się Piastowie nigdy wroga nie ułękli! A teraz, dziewczę, bądź zdrowa, i pomyślcie obie z Bogną, aby przegotować wszystko dla rannych, których zapewne z sobą przyniesiemy z nocnej wyprawy, i dla jeńców, których, da Bóg, także nie zbraknie, bo Czech dumny ani się spodziewa, że doń z góry spadniemy z deszczem razem, co mu ogniska gasić zaczyna.

I wyszedł dzielny książę, przycisnąwszy do piersi raz jeszcze główkę synowicy, która już nie mógł nie śmiała, perliste łzy ocierając, które jej po licu spływały.

III.

Nocna wycieczka.

Cisza w namiotach czeskich, które szeroką obręczą okoliły twierdzą i przypierają do ogromnych lasów jodłowych i sosnowych, Frankenstein otaczających. Żołnierze, całodziennym szturmem znużeni, po tylu już tygodniach nudnej, bo bezowocnej walki, ułożyli się do spoczynku, otulając się grubymi płaszczami od chłodu majowej, lecz wilgotnej i mglistej nocy. Rycerze pousypiali w namiotach swych na niedźwiedzych i wilczych skórach; stróże

tylko, miarowym krokiem obchodząc obóz, wymieniają umówione hasła.

W purpurowym, od złotogłowiów błyszczącym, a miękkimi futrami wysłanym namiocie królewskim, siedzi i czuwa Karol, zadumaną głowę na ręku wsparłszy. Namarszczyło mu się czoło i mocno pięść zacisnął, jakby chciał wrogowi jakiemuś grozić:

— Cóż to? — rzecze sam do siebie — czy mam się podać na pośmiewisko wobec świata całego, trawiąc tygodnie na oblężeniu tego nędznego grodu? Wszyscy na Szlasku książęta ulegli przewadze złota lub żelaza, ten jeden śmie jeszcze uragać potędze naszej. Poczekaj, dumne książątko! Poznasz, co to jest walczyć z Luksemburgami. Jutro, nie dalej, choćby po stosach trupów przejść musimy i dobyć twego gniazda sępiego! Zobaczymy, kto mocniejszy, czy król czeskiej krainy, który wkrótce może i cesarską koronę na swe włoży skronie, czy uparte książątko świdnickie, co nas bezużytecznym jątrzy oporem!...

Wtem zgiełk jakiś oddalony, potem coraz bliższy przerywa nocne dumania króla. Już słychać surmy i kotły bojowe, już goreją czerwoną luną pożaru namioty z wojennymi zapasami, tabory wozów czeskich... W obozie popłoch: rycerze ze snu nagle zbudzeni, pośpiesznie zapinają zbroje i rynsztunki, do giermków swych i koni trafić nie mogą, a tymczasem Bolko, na czele mężnego zastępu, jak piorun wpada i gromi. Już pierzchają zastępy czeskiej pie-

choty, pośpiesznie zgromadzonej przy płonących namiotach. Pędzą na odsiecz im rycerze, niejeden jeszcze bez helmu, którego nie zdołał w pośpiechu dostatecznie umocować na głowie.

Sam Karol na czarnym koniu, otoczony liczną strażą, rzuca się między walczących i głośno swoich do męstwa zagrzewa. Za późno już, za późno! Bolko na białym rumaku, wśród kłębow dymu i krwawej luny, błyska mieczem ognistym, niby archanioł zemsty i niebaczny na śmierć, która mu ze wszech stron grozić się zdaje, pędzi, gdzie najgęstsze tłumy, gdzie najzaciętsza wre walka. Wszystko się przed nim cofa i ugina. Górą orły piastowskie! Już szyki czeskie, w nieładzie do lasu przyciśnięte, kupią się tylko wkoło króla swego; całe stosy trupów zasłaly pobojowisko, a mężni rycerze szlascy wydają okrzyki tryumfu. Nim słońce jasną swą tarczę ukazało na niebie, już w rozsypce żołnierze Karola zaledwie obronić się zdołali od zupełnego rozbicia. Król, miecz krwawy ku ziemi opuściwszy, ze smutkiem i gniewem patrzy na pobojowisko, zasłane trupami żołnierstwa i rycerzy jego. Tymczasem Bolko, na czele zastępu swojego, z tryumfem wraca do zamku. Na odgłos trąbki wojennej, której dźwięk płynął po rosie, rozwarły się bramy zamku, aby przyjąć zwycięzców, prowadzących za sobą wielki zastęp jeńców.

— Niech żyje nasz książę! — woła załoga zamkowa i lud, który w murach twierdzy szukał schro-

nienia przed wrogiem, pustoszącym pola i cały jego dobytek.

— Witajcie z Bogiem, zacni rycerze moi, i ty, ludu pocziwy! — odpowiada książę.

Hanulka z okienka wieży, w której spędziła noc we łzach i modlitwie, nasłuchując strasznego bitwy zgiełku, widzi wracających rycerzy, wybiega, aby powitać stryja, przyjąć jeńców i rannych, którzy jej pieczy mają być powierzeni. Na wieżycach zatknięto świeżo zdobyte chorągwie, a książę Bolesław legł snem jak kamień twardym na skórach niedźwiedziej, w komnacie jego rozciągniętych. Już słońce wzbilo się wysoko, a książę jak posąg z brązu ulany nie poruszył się na rycerskiem posłaniu, gdy wtem do murów zamku zbliża się rycerz na koniu z dwoma giermkami i białą powiewając chorągwią, wstępu się domaga.

Tym razem ukochana księcia gołąbka lekkim krokiem śpieszy do komnaty stryja i dotknawszy jego ramienia, czułem słowa sen twardy przerwać usiłuje. Książę niespokojnie się porusza i cisnąc ręką oścież miecza, który obok niego spoczywa, przerywanymi odzywa się wyrazami:

— Nic z tego... Piast się nie ulęknie... Szkoda krwi tej... żal mi... Milsza ojczyzna... precz Niemcy! Grajcie na trąbach... niech na Wawelu posłyszają!...

Wreszcie rozbudzony słowami i pieszczotą synowicy, siada Bolko na posłaniu i dowiaduje się,

że rycerz, od Karola przysłany, żąda posłuchania natychmiast.

IV.

Posel królewski.

I znów w wielkiej sklepionej sali zasiada książę na wysokiem dębowem krześle. Twarz jego, świeżą wodą kryniczną obmytą, nie nosi śladów znoju i niewczasu; przeciwnie, rumieńcem się krasi, a oko poważnie i spokojnie we drzwi utkwione. Po chwili otworzyły się ciężkie podwoje, wprowadzono rycerza w zbroi misternie kowanej i złotem przyozdobionej łuskami. Był to jeden z Niemców, otaczających już podówczas Karola, hardy, zacięty i znany od dawna, jako nieprzyjaciel Bolesława i całego Piastów rodu.

— Czołem wam, mości książę!

— Witajcie, zacny baronie; jakąż nam wieść przyniosicie od pana waszego? — odrzekł książę, wskazując stół, zawczasu już dla gościa przygotowany, naprzeciw książęcego tronu.

Gniewnem okiem rzucił Niemiec na to skromne siedzenie i na Bolesława, z góry, chociaż spokojnie nań spoglądającego, ale usiadł i w te rozpoczął słowa:

— Król i pan nasz wam, lennikowi swemu, śle pozdrowienie...

— Niechże z pozdrowieniem zaczeka, aż będzie miał lennika! — przerwał żywo Bolesław, oburzony tym wstępem.

— Przecież od lat wielu sam krewniak wasz a król polski przełał prawa swe *) na koronę czeską i właśnie upór wasz, mości książę, w uchylaniu się od obowiązków lennika, skłonił króla i pana mego do skarcenia surowego zuchwałości waszej...

— Czego dowód mieliśmy tej nocy — przerwał znów szydersko Bolesław. — Zmieńcie ton, mości baronie — dodał — inaczej bowiem będziecie zmuszeni wrócić do pana waszego z prośbą, by kogoś innego, więcej okrzesanego, w mowie przynajmniej, na miejsce wasze przysłać tu raczył.

Zacisnął pięści Niemiec i o mało się już ze stołka nie porwał, ale miarkując złość swą, ciągnął dalej poselstwo swoje:

— A więc, wielki Bolesławie, książę na Świdnicy i Jaworzu! pan mój, Karol, król czeski, zzywa was, abyście niezwłocznie, bez broni i z głową odkrytą do obozu jego przybywszy, okazali skrucę za dotychczasowy wasz upór i złożywszy królowi hołd, wobec zgromadzonego tu rycerstwa, potem

*) W roku 1335 Kazimierz Wielki przełał prawa swe do Szląska na rzecz czeskiej korony; za to król czeski zrzekł się pretensyi swych do tronu polskiego.

w sposobniejszej chwili w Pradze akt ten powinny ponowić przybyli.

— Jeszcze Bolko na Świdnicy przed żadnym śmiertelnikiem kolan nie ugiął; wolno zrodzony na swej ziemi, nikogo za pana nie uznaje i dziwi się, że król wasz, sam będąc szlachetnym rycerzem, w innych tej dumy szlachetnej uszanować nie umie, sprowadzając kłeski na lud niewinny i bez potrzeby krew przelewając. To moja odpowiedź, mości baronie, którą królowi odnieście!

— Król i pan mój jeszcze do zachodu słońca chwilę namysłu wam zostawia, w przeciwnym razie spotka was kara należna.

— Dość tej mowy! — zawołał już gniewnie Bolesław — o wschodzie, czy o zachodzie słońca, zawsze ja i rycerze moi gotowi jesteśmy na przyjęcie wasze, tem bardziej, że więcej zamaszystości w języku, niż orężu waszym okazujecie, jakeśmy się świeżo przekonali.

I tu, klasnąwszy w dłonie, odezwał się do wchodzącego po chwili rycerza:

— Posła królewskiego do bram odprowadzić.

Nie pozostawało nic innego chmurnemu Niemcowi, jak salę opuścić, co też uczynił, zagryzając wargi z gniewu.

V.

Zgubiony pierścień.

Tymczasem robotnicy, pracujący bez przerwy nad naprawieniem wyłomów, w murze zrzadzonych taranami czeskimi, zmieniają się bez przerwy i robota raźnie postępuje, ale daleko jeszcze do jej ukończenia, choć słońce na widnokręgu zniżać się poczyną. Książę sam obchodzi wszystkie zakątki Świdnicy, wydaje rozporządzenia, zwraca się do robotników ze słowem zachęty, naradza się ze starszymi rycerzami, a wreszcie kieruje kroki swe do podziemi, w których zamknięto jeńców, w czasie nocnej wyprawy z obozu Karola zabranych.

Hanulka znów z nieodstępną Bogną udała się do wielkiej świetlicy, gdzie zniesiono rannych. Lekkim krokiem postępując, drobną, lecz wprawną rączką opatruje rany, zarówno rodaków jak i nieprzyjaciół, wlewa w usta słabszych napój krzepiący; niektórych wreszcie do osobnej izby przenosić każe. Wszyscy patrzą na tę drobną postać, jak na anioła z niebios zesłanego; ów jęk boleści przytłumia, który mu się z piersi dobywał, inny błogosławieństwem dziękuje za przyniesioną sobie ulgę.

Pomiędzy rannymi jeńcami znajdował się rycerz czeski, bogata jego zbroja i hełm, wspnianym ozdobiony pióropuszem, zdradzały jednego z moż-

niejszych panów królestwa. Chociaż osłabiony obfitym krwi upływem z prawego ramienia, które mu bezwładnie na posłaniu spoczywa, wsparłszy się drugą ręką na łokciu i zmęczoną podtrzymując głowę, wodzi okiem za każdym ruchem księżniczki. Widocznie chce coś przemówić i lęka się; wreszcie, gdy go na rozkaz Hanulki zaniesiono do przyległej, mniejszej, lecz zaciszniejszej izby, odezwał się głosem cichym, płynną i czystą mową niemiecką:

— Pani, czy jesteś kobietą, czy aniołem z błękitnego nieba, pozwól mi słów kilka przemówić do ciebie, bo zdaje mi się, że jakieś widzenie wzrok mój olśniewa. Patrząc, a ciągle mi się zdaje, że już miał szczęście oglądać cudne oblicze wasze: czy we śnie, czy na jawie, sam nie wiem...

W tej chwili, czy to z wysilenia przy dłuższej mowie, czy ze wzruszenia, krew z przewiązanej świeżo ręki znów się sączyć zaczęła i Hanulka, z pomocą piastunki zająć się musiała umocowaniem przewiązek, przemawiając przytem w te słowa:

— Uspokójcie się, panie rycerzu, i nie zatrudniajcie znużonej głowy waszej próżnemi myślami. Mogliście łatwo mnie widzieć, ponieważ rok cały byłam w Pradze i sama kilkakrotnie mężnego króla waszego ze świtą jego całą oglądałam.

— Ach, więc to wy może!... — zawołał ranny rycerz, zrywając się prawie na posłaniu i zapominając o zaleconej sobie spokojności, — wy pewno, coście rzucili uroki jakieś na pana i króla naszego?

— Co mówicie?—szepnęła księżniczka zarumieniona, szybko się cofnąwszy i z przerażeniem niele dwie patrząc w twarz rycerza.

— Nie, piękna pani, nie bójcie się, to nie go-rączka przeze mnie mówi. Właśnie przed kilku mie-siącami, gdy w Pradze obchodzono uroczystość poświęcenia świetnej wszechnicy naszej, król, pośród tysiąca głów, schylających się z okien w chwili, gdy z chramu (świątyni) wychodził, spostrzegł jakąś złotowłosą dziewczę, której błękitne, lżą zamglone oko, tak mu w duszy i sercu utkwilo, że jej dotąd zapomnieć nie może. Próżno za rozkazem monar-chy przeszukaliśmy wszystkie kamienice i domy w Pradze, nigdzie ani śladu owej złocistej gołębic-y, jak ją król nazwał, nie mogliśmy znaleźć. Tylko w chwili, gdy z rąk jej padała wiązanka kwiecica pod stopy monarchy, zabłysnął zarazem mały złoty pier-scionek, który się widocznie z palca jej zsunął, i ten podniósłszy, Karol włożył na serdeczny palec, mó-wiąc żartobliwie, że mu spadł z nieba, które mu ten zapewne i narzeczoną ześle. Odtąd, choć z różnych dworów swatają panu narzeczone, najznakomitsza księżniczki, on zbywa wszystkie te zabiegi niczem powtarzając na pół żartem, że jest już zaręczonym.

Podczas tego opowiadania rycerza, Anna na przemian płoniła się i bladła, odzyskując jednak po-nowanie nad sobą, rzekła napozór spokojnie:

— Piękną mi rzecz opowiedzieliście, panie ry-cerzu, ale teraz spocznijcie w osłabieniu waszem za chwilę przyśle wam napój, który kojąc ból wasi

sen cichy sprowadzi, a teraz bywajcie zdrowi! — I lekko wysunęła się z komnaty, skinąwszy na pia-stunkę, która z chmurnem czołem przysłuchiwała się, jak ukochana jej pani w nieznanej, nieludzkiej, jak utrzymywała, mowie, z obcym rycerzem się po-rozumiewa.

— Pamiętacie, nianiu — odezwała się Hanul-ka, wszedłszy do swej komnaty — jakim płakała po zgubie pierścionka, co mi został najmiłszą po matce pamiątką?

— Ach, pamiętam, gołabeczko; chodziłam na-wet do wróżki, żeby nam pomogła w odszukaniu tej straty, ale odpowiedziała, że ten, kto ci szkodę zwró-ci, będzie żądał w zamian drogiego okupu i za złoto życiem zapłacić każe.

— Prawda, nianiu; dodała jeszcze wróżka: „Skąd słońca promieni, skąd rzeki fale, stąd i pier-scień przypłynie, ale nie w rzece i nie w słońca pro-mieniu, lecz w skrzydle orlem lub w krogulca szpo-nach.” — A pierścień się dotychczas nie znalazł.

— Skądżeś teraz o nim pomyślała, lubko ty moja?... Ale dość już tego, chodź, spocznij, bo się oczy twoje przez noc całą do snu nie zawarły.

I ułożyła gołabeczkę swoją w białem łódeczku a sama zdrzemnęła się, siedząc u jej wezgłowia, na kobiercu, ceglana podłogę okrywającym.

VI.

Mur żywy.

Słońce ku zachodowi się skłania, i blask czerwony rzuca na zamkowe wieżycy. Wyłom w murze do połowy ledwie zasypyany, a tu po zielonej równinie od lasu pędzą zastępy czeskich rycerzy. Ziemia tętni pod kopytami, trąby grają do ataku, a Karol na czele, z mieczem dobytym; za nim jak las jeżą się dzidy i błyszczą oszczepy jego rycerzy. Wszyscy pałają widać chęcią pomśzczenia nocnej porażki. Z wiatrem powiewają różnobarwne sztandary, a cały zastęp pędzi ku stronie, gdzie mury najsłabsze. Nagle Karol miecz do góry podnosi i wszyscy stanęli jak w ziemię wryci, niby za uderzeniem laski czar-noksiężnika: oczy ich utkwione z przerażeniem w jeden punkt, bo też było się czego przerazić.

Na murach twierdzy, w miejscu właśnie, gdzie wyłom, nawpół ledwie naprawiony, przedstawiał najkorzystniejsze miejsce do ataku, stoją szeregiem, z powiązanymi w tył rękami, jeńcy, których w ostatniej wycieczce Bolko w niewolę uprowadził. Blade ich twarze zdają się błagać o litość; odkryte piersi pierwsze się narażają na ciosy oblegających. Tym żywym szańcem osłonić się musiał książę świdnicki od przemożnej wrogów siły!

Czesi pobledli, widząc swych towarzyszków i krewnych, możnych grafów i baronów z najbliższej królowi drużyny, powiązanych jak na rzeź i śmierci z bratniej ręki wyczekujących. Karolowi wydarł się z piersi stłumiony okrzyk przerażenia i grozy, chwilę zatrzymał się nieruchomy na czarnym rumaku, jakby w ziemię wrosły, wreszcie dał znak!... Zagrały trąbki do odwrotu i zastęp cały zwolna zwrócił się ku obozowi i oddalił się, ozłocony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

I znów przez dni kilka cisza panuje. Wysłańcy od króla idą do zamku i wracają, ale dotąd bezskutecznie. Umówiono wreszcie spotkanie obu przeciwników, oko w oko, w obozie królewskim.

VII.

Szlachetność Piasta.

I znów w purpurowym namiocie swym zasiada Karol przy stole, sutym kobiercem okrytym; oblicze króla widocznie zafrasowane, czoło pofałdowane gniewnie. Przed nim stoi w tej chwili mężny książę Świdnicy. Po długiej widocznie, a bezskutecznej rozmowie, powstał z siedzenia i z ręką na stole wspartą, utkwił spojrzenie w królewskim obliczu; po-

stać jego szlachetna, oko patrzy prosto i jasno, choć błyszczy ogniem zapalu. Nie upór to, nie hardość próżna ożywia tego Piastów potomka! Tak może myśli i król w tej chwili, gdy głowę na rękę wsparłszy, mierzy okiem nieustraszonego przeciwnika swego.

— Nie, miłościwy królu — rzecze Bolesław. — Wy, co macie w piersi serce rycerza, a chrześcijanina sumienie, pojmujecie chyba, że ja się wyrzec nie mogę spuścizny mych przodków, krwią ich okupionej: Piast ludu swego ani ziemi swojej w niewolę nie zaprzeda, choćby do ostatniej kropli krew miał za nią przelać.

— A przecież — król odpowie — nie jeden już z pokrewnych wam książąt zgodził się z losem, i dzielnicę swą poddał możniejszym sąsiadom.

— Śmierć zapewne i najsilniejszego zmoże! Alboż to druh mój, najmilszy Przemysław, książę na Głogowie *) z dobrej woli chodź pięćdziesiąt ziem rodzinnej ustąpił? Nie! zwykł był mawiać, że z torbami raczej pójdzie, a w ubogiej swej dzielnicy pana nie przyjmie obcego. I byłby pewno słowa dotrzymał, gdyby nie śmierć nagła, Bóg wie, czy nie czyjaś przyspieszona ręką, która mu młode życie wydarła, a wróg z boku czyhający bezpańską dzielnicę zagarnął. I mnie Bóg zabrał jedynaka syna, co miał być podporą mej starości i dziedzicem przodków

*) Zmarły bezpotomnie 1331 r.

puściżny! Przeciw wyrokowi Opatrzności nie masz oporu, ale dobrowolnie Piast żaden podjarzmo głowy nie nagnie!

— To wasze ostatnie słowo, mości książę?

— Tak mi Panie Boże dopomóż! — rzekł poważnie Bolesław.

— A więc przygotujcie się na walkę straszną i krwawą. Tym razem już mię i wasz żywy mur nie wstrzyma; wstydy mi było przed światem całym i pamięcią bohaterskiego ojca mego, gdybym się cofnął z pod murów szląskiego zamczku.

— Do widzenia więc, królu, na murach Frankensteinu! — wyrzekł nieulekniony książę i skłoniwszy głowę przed monarchą, nacisnął hełm stalowy na rycerskie czoło i zwrócił się ku drzwiom namiotu.

Jeszcze Bolesław progów namiotu królewskiego nie przestąpił, gdy mu orszak niewiast w żałobie drogę zagraadza! Oczy ich łzami zalane, pobladłe twarze. Padają przed księciem na kolana: to żony i matki pojmanych w niewolę rycerzy. Niema ich prośba wzruszyła do głębi tkliwe serce księcia i jemu łza w męskim zaświeciła oku; zwraca się więc raz jeszcze do Karola i rzecze:

— Królu! trzy dni mi tylko czasu dajcie, niech zdołam naprawić mury, taranami waszymi rozbite, a potem przypuszczajcie szturmy: Dziś jeszcze odeślę żywy wał, który mię tak skutecznie ochronił od waszych pocisków; nie chcę mieć na sercu krwi jeńców

i leż tych zaćnych niewiast. Bóg nas nie opuści, ufam w pomoc jego.

Milezy zadumany Luksemburczyk. On przed chwilą bogate ofiarował okupy za swych grafów i druhów, książę je ze wzgardą odrzucił, a teraz lzy żon i matek nieszczęsnych w jednej chwili dokazały tego, czego perły i brylanty dokazać nie mogły. Matrony czeskie obsypują zacnego księcia błogosławieństwami i dziękczynieniem, ten zaś, zapytawszy po raz wtóry króla milczącego, czy przystaje na trzy dni rozejmu, ma już namiot opuścić.

Walczył z sobą chwilę dumny Karol, teraz postępuje naprzód i rękę Bolesława ująwszy, rzecze:

— Książę! za szlachetność taką, jak wasza, krwią i mordem płacić niepodobna! Odstępuję od oblężenia! Podajcie mi dzielną prawicę waszą i odtąd bądźcie mi przyjacielem, nie wrogiem. Czy zgoda?

Uścisnęły się dwie rycerskie dłonie, a po chwili książę, przy odgłosie trąb wesoło brzmiących tryumfalnymi dźwiękami i słodkich dla ucha jego wyrazach błogosławieństwa zgromadzonych matron czeskich, dosiadł konia, aby wrócić do zamku, którego szeroko rozwarte bramy już się za nim nie zamknęły.

Tegoż dnia jeszcze, nim słońce zaszło, wyjeżdżał z bram tych zastęp dawnych jeńców Bolesława. Wywozili oni wdzięczną pamięć o księciu, który ich jak gości raczej, niż jak więźniów traktował, a wdzięczniejszą jeszcze o białej gołąbce, która pociechę

zwałpiałym, pomoc rannym i chorym niosąc, łagodnym spojrzeniem błękitnych oczu, słodkim ust różanych uśmiechem, rozweselała każdy ponury warowni zakątek. Rycerz ów mianowicie, co swem opowiadaniem o znalezionym przez Karola pierścieniu tyle książnicze wzruszenia sprawił, nie mógł się nachwalić pięknej Bolka synowicy i długie o niej z królem samym toczył rozmowy.

Nazajutrz po dniu zgody Karol w obozie swym gościł Bolesława z całą jego drużyną, później książę świdnicki króla wraz z rycerstwem jego do siebie na zamek zaprosił. Gdy u drzwi sali piękna zamku kasztelanka monarchę witała, skłonił się Karol z wdziękiem i ujmując drobną jej rączkę rzekł:

— Niedziw, iż oliwne wykwitły gałązki tam, gdzie się biała gołąbka znajduje. Pozwól, śliczna pani, bym w imieniu moich rycerzy, którzy twojej doświadczyli opieki, ucałował tę rączkę, gojącą rany... a kiedyś ja sam może zażądam, aby się ku mnie wyciągnęła — dodał ciszej.

Nim zarumieniona dziewczeczka odpowiedzieć zdołała, zagrzemiały trąby i kotły, wzywając do sali, gdzie stoły obficie zastawione czekały na biesiadników.

VIII.

Dziewosłęby.

Nie na tem jednak skończyło się oblężenie Frankensteinu. Po kilku miesiącach Karol, obrany cesarzem Niemiec, wyprawiał posłów do Bolesława, prosząc o rękę synowicy jego.

— Córa Piastów nie pójdzie do Niemiec— była odpowiedź księcia. — Powiedźcie miłościwemu monarsze waszemu, a memu czcigodnemu sąsiadowi, że jakkolwiek wysoko ważę sobie ten zaszczyt, którym dom mój obdarza, jednak nie mogę w tak wysokie progi wprowadzać dziewczeczki mojej. Cesarz łatwo sobie wynajdzie małżonkę na świetnych dworach królewskich, my do ziemi naszej przywiązani, na niej żyć powinniśmy.

Posłowie cesarscy, pomimo długiego i wymownego nalegania, innej odpowiedzi doczekać się nie mogli. Mimo to, jeden z nich uprosił sobie, że pozwolono widzieć mu się z księżniczką, której, jak mówił, miał zwrócić zgubę, szczęśliwym trafem odnalezioną.

Pokraśniała Anna, gdy przykląszy przed nią, rycerz wymownemi słowy przekładał, jak król i cesarz Karol, wśród całej świetności dworu swego, wśród mnogich spraw koronnych i wojennych, nie może z serca i pamięci zbyć gołąbki, która mu się po dwakroć

jakby cudem zjawiła. Przekonanym będąc, iż pierścień z jej ręki, dziwnem zrządzeniem Opatrzności w jego posiadaniu się znalazł, nie może się rozstać z tym darem nieba, lecz natomiast śle księżniczce inny, którego przyjęcia odmówić nie będzie mogła, jako zawierającego cudowną relikwię, z Ziemi świętej niegdyś przywiezioną.

Kończąc swą mowę, rycerz podał w kunsztownie wyrobionem puzderku prześlicznie brylantami wysadzany pierścień, poczem nisko się skłoniwszy, oddał się, prosząc o pozwolenie powrotu raz jeszcze.

Stała Anna chwilę, w rękę trzymając drogo-cenny klejnot, wzruszona, pomieszana, gdy się podwoje otwarły i wszedł książę. Zmarszczył się, spojrzawszy na pierścień w rękę synowicy, odprawił służbę, prócz wiernej piastunki, i długą miał rozmowę z ukochaną gołąbką swoją. Słychać było ciche, łzami przerywane opowiadanie dziewczeczki, groźny, później już tylko poważny głos księcia, wreszcie Anna mu się do nóg rzuciła, jakby prosząc o przebaczenie. Rozmowa zakończyła się słowami wśród łez wyrzeczonymi:

— Niech się dzieje wola twoja, mój wuju, któryś mi był ojcem i opiekunem; poddam się jej z pokorą.

I odtąd cicho a słodko, jak dawniej, młoda księżniczka przesuwiała się po ciemnych zamku komnatach, lub w towarzystwie starej Bogny zachodziła do nędznych lepianek wieśniaków, niosąc leki dla chorych albo dla dzieci kukielkę. Ale wieczorem,

gdy przy kądzieli zgromadzone dziewczeczki słuchały ciekawych opowieści starej piastunki, młoda ich pani, blada, mileżąca, często z okiem gdzieś w dal wlepionem, zdawała się nic nie widzieć i nie słyszeć, wrzeczono zaś nieruchome spoczywało w jej wyciągniętej rączce. Nie rozlegał się jak dawniej srebrzysty śmiech jej, nie skarżyła się, nie żądała nic od nikogo, ale znać było, że mocno cierpiała.

— Co ci to, lilijko moja? — pytała sędziwa piastunka — życiebyś chętnie oddała, aby tobie ulżyć, lubko moja, a ty nie chcesz nawet powiedzieć, co ci dolega.

I daremnie warzyła Bogna zioła, które sama zbierać chodziła, daremnie przyrządzała wonne kąpiele. Anna wszystko przyjmowała z rąk wiernej piastunki, ale rumieniec nie wracał na blade jej policzki, a zamglone oko nie błyszczało jak dawniejesołością i zdrowiem.

Księżę, zafrasowany ciężko smutkiem swojej ukochanej gołąbki, wzywał kilkakrotnie pocziwą piastunkę na jakieś poufne narady; wreszcie dnia jednego zapowiedział, żeby się niewiasty wybierały w drogę, suto i zapaśno, bo pojedą daleko, nad Wisłę, do królewskiego grodu Kazimierza, do Krakowa.

Zabłysły oczy Bognie na tę wieść upragnioną, schyliła się do kolan pana, obejmując je z wdzięcznością, ale Anna ucałowała rękę stryja i wyrzekła z cicha; ale stanowczo:

— Dzięki ci, stryju, ale nie dla mnie teraz gody i uciechy dworskie. Jeżeli cię opuszczę kiedy, to dlatego tylko, aby w murach klasztornych resztę życia mego Bogu poświęcić.

Próżne były nalegania a nawet gniewy Bolesława; dziewczeczka trwała upornie przy swej odmowie, a przytem była taka cicha i prosząca, że przy muszać ją zdawało się niepodobieństwem.

— Mówiłam ja dobrze — szeptała sfrasowana piastunka — że na gołąbkę naszą czary jakieś rzucili w tej przeklętej Pradze. Było to rumiane i zdrowe, jak jagódka, teraz wciąż tylko tęskni, schnie i blade. W sam raz tak było z nieboszczką księżną panią, a jej matką, którą księżę Mieszko od Niemców gdzieś przywiózł. Od kiedy w naszym zamku jaworzańskim osiadła, nikt nie widział uśmiechu na jej twarzy, a także nigdy się nie skarżyła; nikomu złego słowa nie powiedziała, tylko nieraz ją zesłam, kiedy pod starą lipą na wzgórku stojąc, patrzała gdzieś daleko, gdzie słońce zachodzi, a łzy, jak perły spływały po jej twarzy. I tak powoli nikła, bladła, pan nasz rwał włosy na głowie, zwoził jej klejnoty co najpiękniejsze i materye drogie, wszystko napróżno. Zgasła, jak ta gwiazda, co tam z nieba gdzieś spada. Ostatniego dnia jeszcze kazała się wzniesć na poduszkach, kiedy słońce zachodziło, i patrzyła daleko. Tak i nasza gołąbka wpatruje się gdzieś na Zachód, i blade, i tęskni za czemś, aż się serce kraje, gdy na nią spojrzeć!

I stara piastunka otarła rękawem łzy, które się potoczyły z jej przygasłych oczu.

Książę, chmurny i gniewny, już nic nie mówił, ale gdy w parę miesięcy znów posłowie od Karola przybyli z ponowieniem prośby o rękę Anny, dla której cesarz wyrzekał się wszelkich królewien na świecie, Bolko przywołał synowicę i z jej ust chciał usłyszeć odpowiedź.

IX.

*Zaślubiny *).*

I znów długie upłynęły miesiące, nadeszła wiosna, tysiącem kwieciami błyszcząca. Srebrzyły się jasno Wełtawy nurty, a w Hradczynie orszak weselny, błyszczący od srebra i złota, wił się jak wąz złocisty po zielonem wzgórzu, wysłanem różnobarwnymi kobiercami. Dzwony rozlegały się we wszystkich świątyniach Pragi. Ku wielkiemu zdumieniu ludu, zgromadzonego jak mrowie u stóp wzgórza i na sto-

*) Zaślubiny te nastąpić miały dnia 17 maja 1353 roku. Karol IV, owdowiawszy, poślubił znów wnuczkę Kazimierza Wielkiego i Aldony litewskiej, Elżbietę, której to wesele z taką wspaniałością odbywało się w Krakowie 1363 roku.

kach jego, grzmiały sprowadzone po raz pierwszy z dalekiego zachodu dziwne jakieś maszyny, ze swych paszcz niby pioruny ciskające *). Wreszcie orszak weselny wszedł do świątyni Pańskiej.

Przed ołtarzem stanął mąż wspaniałej postaci, w kwiecie wieku; z ramion jego spływa płaszcz gro-nostajowy, karmazynem kryty; na wyniosłem czole złota spoczywa korona; to Karol IV Luksemburski, król czeski i od 1347 roku cesarz niemiecki. Przy nim młodziuchna oblubienica w atłasach i puszkach łabędzich; oko jej błękitne łzami zwilżone, ręce pobożnie złożone; z główką kornie pochyloną zda się niebios o przebaczenie błagać.

Za nią w orszaku rycerzy, złotem i drogimi kamieniami błyszczących, w ciemnym płaszczu, z pochyloną głową, stoi Bolko, książę świdnicki, ostatni z Piastów na Szląsku **): ręka mu spoczęła na miecza rękojeści, ale go już nie dobędzie przeciw wrogom. Czego nie dokazał oręż Karola, ani zbrojne Niemców szyki, to zdziała drobna rączka kobieca. Gołąbka z oliwną gałązką wyleciała z rodzinnego gniazda, ale doń już nie wróci!... O tem zapewne дума potężny książę i oblicze jego wśród godów weselnych smutkiem się powlokło. Jego dziecię uko-

*) Armaty, świeżo wówczas wynalezione; we Francji zjawyły się po raz pierwszy 1346 r., w bitwie pod *Crécy*, przez Anglików z powodzeniem użyte.

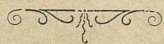
**) Ostatni z ducha, wielu bowiem jeszcze niemieckich Piastów panowało w dzielnicach szląskich.

chane, dziedziczka starej przodków dzielnicy, wraz z sercem i ręką wnosi tę ostatnią jako wiano w dom Luksemburgów.

Takim był koniec ostatniej walki Piastów na Szląsku. U ciężkich kościoła podwojów, wśród cisnących się tłumów, które zaledwie konni i piesi pachołkowie utrzymać mogą od wtłoczenia się do świątyni i tak już rycerstwem zapełnionej, klęczy sędziwa Bogna. Po twarzy jej pomarszczonej obfite łzy spływają. Ona już nie pójdzie za swą panią w obce kraje.

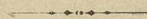
— Nie będę już jej dzieci kołysać — szepcze staruszka, łkając — one nie zrozumieją polskiej piosenki nad kołyską śpiewanej, im już innej potrzeba piastunki. Ja się powlokę nad Wisłę, raz jeszcze zobaczę Wawel nasz stary, a potem pójdę na grób Jaśka mego i tam na ziemi naszej stare kości złożę.

I nie dała się skłonić staruszka do towarzyszenia monarchini w jej złocistych pałacach. I Bolko, mimo słów przyjaznych Karola i nalegań synowicy, nie pozostał na dworze cesarskim; powrócił do swego ulubionego Frankensteinu, gdzie na rodzinnej ziemi żywota dokonał. Po śmierci jego 1368 r. księstwa świdnickie i jaworskie przeszły w posiadanie korony czeskiej.



POSEŁ POLSKI W CAROGRODZIE.

Opowiadanie historyczne z XVII wieku



W S T Ę P.

Rzućmy okiem na mapę dawnej Polski, a zobaczymy ku południowi, gdzie Bug ku Wiśle, Styry i Horyń do Prypeci, a Teterów do Dniepru płyną, województwo Wołyńskie.

Zabłąkana tam Karpat gałązka kończy się wzgórkami zielonymi, na których się wesołe rozsypały wioski.

Kraina to piękna, malownicza. Niedaleko granicy Rusi Czerwonej (dzisiejszej Galicyi) w kotlinie górami otoczonej, tuli się niby gniazdko, miasteczko Krzemieniec.

Dziś tam cicho i spokojnie, ale przed laty inaczej bywało: ogromne bryły kamieni, na wierzchołkach gór dotąd pozostałe, świadczą o warowniach mniejszych i większych, które niegdyś groźnie się piętrzyły. A było od czego się bronić; dawniej najeżdży Litwinów, wojny książąt ruskich, którzy sobie gród warowny z rąk do rąk wrywali, potem

gdy w XIV wieku za Kazimierza W. Krzemieniec przeszedł w posiadanie korony polskiej, straszne napady Tatarów nie pozwalały mieszkańcom rokosznej dolinki nad Ikwą zasypiać w błogim spokoju. Starostwo też krzemienieckie należało do kresowych, a dziejopisarze dawni, opisując szlaki czyli drogi, którymi Tatarzy po ziemiach naszych grasować zwykli, jeden z nich *krzemienieckim szlakiem* nazywają.

Na jednej najwyższej z gór w wieniec się łączących i tylko wązkimi przerzniętych wąwozami, wznosił się od niepamiętnych czasów warowny zamek, z którego dziś zwałiska jeszcze pozostały. Zamek ten wraz z miasteczkiem nadany Januszowi, biskupowi wileńskiemu, który się zajął naprawianiem i fortyfikowaniem go, przeszedł wkrótce potem wraz z całym starostwem krzemienieckim w posiadanie królowej Bony, której imieniem dotychczas górę zamkową oznaczają mieszkańcy. Królowa czynnie się zakrzętnęła około uposażenia grodu swojego; za jej rządów zaczęto budować most na małej rzeczulce Ikwie pod Krzemieńcem płynącej; założono szpital, a miasteczko wiele otrzymało swobód i przywilejów.

Za Zygmunta Augusta, który ustanowił w Krzemieńcu jedyny na cały Wołyń skład soli z żup czerwono-ruskich i rozmaite miastu nadał przywileje, starostwo to należało już do rodziny książąt Zbarskich potężnej i w kraju szanowanej. Wywodzi ona ród swój od litewskich książąt Korybutów i stąd

z Wiśniowieckimi a nawet z Jagiellonami spokrewniona.

W XVII-stym wieku za Zygmunta III, kiedy się opowiadanie nasze rozpoczyna, starostwo krzemienieckie obok wielu innych, dzierżył koniuszy korony książę Krzysztof Zbaraski, wsławiony poselstwem, jakie z chwałą wśród niebezpieczeństw wielu odbył do Turcyi w 1622 roku.

Na wiosnę, roku 1623 radość była w zamku; rządcą bowiem czyli horodniczy, jak nazywano dawniej komendantów zamkowych, przyjmował kilku krewniaków u siebie, a między innymi ukochanego wnuka Janusza, który jako paź należał był do orszaku książęcego w czasie wyprawy poselskiej do Carogrodu.

Po całorocznej nieobecności wracał młodzienaszek do grodu rodzinnego i właśnie przygotowywał się do opowiadania ciekawych przygód tej podróży.

W jednej z wież zamkowych, przy której na grubych łańcuchach wisiał most zwodzony, spuszczone na przyjęcie gości z miasteczka i przyjaciół pana horodniczego, była izba sklepiona, a z jej wązkich i głęboko w murze wykutych okienek, śliczny widać było krajobraz.

Przy górze Bony najbliższa sąsiadka Czercza o łysej głowie, dalej góra *Dziewicza* kamieniami zasypiana, gdzie podobno Litwa pogańska zburzyła przed laty schronienie kilkunastu pobożnych zakonnic, dalej góra *Boża*, *Kamienna*, *Lychopesza* i wiele innych

mocny tworzących wieniec. Gdzieniegdzie zieleniły się gaje i bieleły czeremchy w futorach, rozsypanych na stokach gór. Gdzie łagodniejsza pochyłość, tam i rolnik pługiem swym zakreślił łąn nieśmiałą zielonością zdaleka już się odznaczający, jak kobierzec dopiero pierwszą osnową zasuty. Nieraz przychodziło porzucić i pola już dojrzewającymi kłosy pokryte, dobytek i domki i sady rozkoszne a chronić się w lasy okoliczne od Tatarstwa, które aż tu się zapędzało, niszcząc ziemię, jak szarańcza, a lud w niewolę gromadami całemi pędząc. I to właśnie poselstwo, o którym mówić będziemy, nie co innego miało na celu, jak umocnienie pokoju z Portą Ottomańską, która zależnych od niej Tatarów poskromić i od najazdów na Polskę powstrzymać miała.

Pan horodniczy Krzemieniecki, który już nie jedną z pogaństwem bitwę stoczył i na czole szeroką bliznę, jako pamiątkę nosił, teraz ucieszony powrotem wnuka, kazał jasny ogień na kominie rozpalić i właśnie kłódkę sosnową tam wrzucono, a światło czerwone oblewało izbę. Słońce już było zaszło, wieczór chociaż majowy, ale dosyć chłodny, wszystkich do kominka zapędził. Pan horodniczy, wierny przysłowiu „do Św. Ducha nie zdejmuj kozucha,” miał na sobie bekieszę granatową, suto barankiem siwym obszytą, a pod szyję zapiętą, buty juchtowe po kolana i czapeczkę rogatą ciemno-ponsową z fantazyą na bakier włożoną. Wąs siwy, brwi gęste, oko błękitne a twarz dzielna, ale zarazem tak łagodna, że się go chciało za kolana uścisnąć i pocziwłą a spracowaną

rękę jego ucałować. Czasem udawał srogiego pan horodniczy i na Janusza swego patrząc, mocno niby brew marszczył, ale zarazem łąza mu się w oku kręciła, bo to wnuk jedyny po synu jedynaku, który pod Kluszyńnem poległ; to krew jego i nadzieja na przyszłość.

Chłopak dotąd pociechę tylko staremu dziadkowi przynosił; szesnasty rok mu dopiero, ale umysł nad wiek rozwinięty, serce pocziwe, a już do broni zaprawiony. Kiedy Janusz dosiadł konia, to się serce dziadkowi radowało; zdawało mu się, że sam swe lata młodociane widzi; chował też karabelę ulubioną, co mu już pięćdziesiąt lat wiernie służyła, żeby ją kiedyś wręczyć wnukowi, który jej pewno zardzewieć nie da.

Ksiądz kapelan zamkowy z upodobaniem znów chłopaka do ksiąg zabierał i twierdził, że młody Janusz łąciną, jak Cycero władać wkrótce będzie, a kiedy czyta żywoty mężów sławnych w starożytności, to mu łąca płoną i oczy się iskrzą zapalem, bo i sam w sobie wielkie czuje serce.

Wszyscy na zamku i w miasteczku lubili młodego Janusza. Dziadek przemysliwał, gdzieby go posłać, żeby się trochę w świecie otarł, nim czas przyjdzie na wojaczkę, kiedy list odebrał od druha swojego, a ojca chrzestnego Janusza, pana Samuela ze Skrzypny Twardowskiego, który pisał, że ksiązę Krzysztof Zbaraski, przy którym on od lat wielu bawi, właśnie na legacyą do Turcyi się wybiera i przy boku swym dwunastu młodych pa-

ziów mieć pragnie. Wskutek tego, pisał pan Samuel: „książę starosta krzemieniecki, znając od dawna pana horodniczego, chętnie wnuka jego a syna zasłużonego ojczyźnie rycerza do usług swych weźmie.”

Pan horodniczy, ucieszony tą propozycją, przysposobił wszystko, żeby wnuka porządnie a dostatnio na dwór księżęcy wyprawić. Ciotka Urszula, która mu od dzieciństwa miejsce matki zastępowała, zajęła się bielizną i rozmaitymi porządeczkami, tak, że w kilka tygodni młody Janusz do podróży gotów upadł do nóg dziadkowi, ścisnął ciotki kolana, a po Mszy Świętej w kaplicy zamkowej, przyjąwszy Komunię Świętą, ruszył na koniku siwym, obok dziadka na starym gniadoszu siedzącego, do pobliskiej wsi Białą Krynicą zwanej, gdzie się właśnie książę pan z całym dworem swym zatrzymał, wyruszywszy z Końsko-Woli pod Lublinem. Książę stale tam przebywał, odwiedzając tylko kiedy niekiedy liczne starostwa, którei zarządzał i dobra swe dziedziczne *Zbaraż* na pograniczu Wołynia, Podola i Rusi Czerwonej położone.

Wielkiego miru i poważania zażywał pan Samuel Twardowski, którego opiece szczególnie wnuka polecając, pan horodniczy krzemieniecki, Janusza na dworze księżęcym zostawił.

Teraz właśnie po powrocie z wyprawy do Carogrodu, Janusz na żądanie dziadka opowiadał już od dnia wczorajszego dzieje tej podróży. Oprócz samego horodniczego, ciotki Urszuli i księdza kape-

lana, z rozrzewnieniem na wychowanka patrzącego, zebrali się ludzie niemało z załogi zamkowej, a wszyscy opowiadań Janusza z ciekawością słuchali, bo chłopak rzecz każdą dobrze pamiętał, przytem i pięknie wysłowić się umiał, o sobie zaś mało wspominając, wiedział też co godniejsze uwagi a co opuścić można.

I.

Podróż do Turcji.

W Zbarażu tedy, mówił Janusz, krótki czas się zatrzymawszy, jak to już dziadzio wie z listów moich, na początku podróży pisanych, ruszyliśmy dalej brzegiem Zbrucza na Podole.

Piękna to kraina, zielona i kwieciem usiana. Jechaliśmy ku południowi, gdzie się ciągną góry Miodoborskie między Zbruczem i Smotryczem, co do Dniestru wpadają. Jakie tam rozkoszne doliny i sady pełne drzew owocowych, zda się, raj ziemski mamy przed sobą. Jeżeli tu u nas, w Krzemieńcu, góry zielone i gaje wesołe, to podolskie jeszcze świeższe, niby wiosną się śmieją.

Właśnie rozkwitały drzewa, a od białego kwiecia wzgórkii miodoborskie wydawały się nam, jakby śniegiem srebrzystym posypane. Zbrucz płynie między skałami, gdzie znów bieleją marmury różno-

barwnymi żyłkami poprzerzynane i alabastry prze-dziwne.

Spoczywaliśmy w Gródku, gdzie mocny zamek nad Smotryczem się wznosi. Łatwo tu było grody budować, kiedy Bóg sam przygotował takie ogromne kamienie, a jest i od czego się bronić. Aż strach zdejmuje człowieka gdy się spojrzy na wały i mogiły sypane po równinach. Tatarzyn radby nam zabrać Podole, żeby na pastwiskach naszych karmić zgłodniałe konie swoje, a tymczasem dzicz ta, jak szarańcza niszczy ziemie nasze.

Ile to my wsi popalonych widzieliśmy, ile gruzów, a miejscami ziemia niby rdza czerwoną była, tyle się na niej krwi wylało. Bieląły tylko kości wiatrem wysuszone, a często gęsto udało się nam kulkę jaką z ziemi podnieść, albo żelaza kawalki, zwłaszcza po ulewie, która je z ziemi wypłókiwała.

Co krok widzieliśmy zamki i grody obronne, okna ich małe, okrągłe niby oczy patrzą na południe, czy nie dojrzą chmury tatarskiej.

Właśnie byliśmy blisko Gródka, gdy nam gromady wylekłego ludu drogę zabiegły ze straszną wieścią, że znów pono dzicz tatarska nad brzegami Dniestru grasuje i zagony swe rozpuszcza. Pan nasz, choć mu spieszo było do Carogrodu, rozkazał zatrzymać pochód i dwóch sprawnych gońców wysłał na zwiady. Ci jak psy gończe wietrząc i przeslizgując się po zaroślach, dotarli na Wschód aż do Dniepru i w tydzień już byli z powrotem z wieścią uspakajającą, że nie Tatarzy, tylko wołoskie

opryszki od zachodu, od strony Pokucia, na Podole wpadają.

Dalej, już pod Kamieńcem, spotkaliśmy rycerza naszego Stogniewa z emirem sultańskim i od nich dowiedzieliśmy się, że w Stambule nieład straszny panuje, że się janczary burzą i krwawe zamieszki co chwila w mieście wybuchają; gospodar zaś wołoski, chytry Tomsza, właśnie Wawelego Greczyna, pośrednika od Rzeczypospolitej do Turcyi wyprawionego, pojmał i w więzy zakuł.

Księżę pan wieścią tą srodze zgryziony, wyprawił kilku z dworzan swoich do Jass na zwiady, a my tymczasem w Kamieńcu obóz robijamy. Oj, nie darmo gród ten basztą Europy nazwany, bo to tam już nie mury ręką ludzką lepiące, ale skały piętrzą się nad Dniestrem, a mocne być muszą, kiedy rzeka tłucze się o nie lat tyle, aż się pięt ze złości i nawet wyszczerbić tych głazów nie może.

Miałem czas przyjrzeć się brzegom Dniestrowym, bośmy tam dni kilka zostawali, gońców przodem wyprawiliśmy.

Ziemia tu, jak pole orne, pulchna i tłusta; jak zarośnie trawami, to się z nich człowiek wydobyć nie może; już nie tylko ja, dziadziu, com jeszcze tobie do pół głowy nie dorósł, błędę jak w lesie, ale bydło, gdy się pasie, to mu ledwie rogi widać z zarośli.

Zboże, gdy zasiane, setny prawie plon wydaje, ale rzadko je lud nasz zebrać może, wszystko strają Tatarzy lub opryszki spalą jesienią.

Dniestr na wielkich łodziach przebywszy, stanęliśmy na progu Wołoch, pod *Chocimem*, gdzie zamek warowny sterczy na krawędzi ogromnej skały, nad szumiącym Dniestrem.

Dalej kroków kilka, i jużemy na Bukowinie. Straszno wspomnieć, dziadziu, co się tu krwi naszej wylało. Kraj to smutny, wcale różny od naszego rozkosznego Podola. Ciemne tu bory, od których Bukowina go nazwano i zdradne trzęsawiska często krzewami i trawą porośłe, że ich dojrzeć nie można, a przepaść w sobie kryją. Trawy ogromne, miejscami powypalane, a żółte, jak zgnilizna, aż się ciężko na sercu robi, patrząc na to.

Poranek był chmurny i mglisty, słońce nie wyjrzało nawet. Ja, na moim koniku jadąc, starałem się zbliżyć do pana Twardowskiego, bo mi lżej zawsze, kiedy z tym wielce mądrym i na mnie łaskawym panem mówić mogę. On to wszystko wie, co się dawniej działo, a jak pocznie rozpowiadać, to zda się złota struga z ust mu płynie prosto do duszy człowieka. On to mnie pouczał, gdyśmy tak jechali przez długi las bukowy o dziejach Wołoszy i naszych ciężkich w tej przeklętej ziemi klęskach.

Wołoszczyzna dzieli się na dwie części: Wołoszę właściwą, bliższą Polski, i Multany czyli Moldawią, dalszą. Leży na południe od naszego Pokucia, ciągnie się ku wschodowi do morza Czarnego a na południe nad Dunaj. Kraina to wzgórzysta, poprzeczana wąwozami, bagnami i gęstymi lasy, zamieszкана od dawna przez lud bitny, lecz nawpół dziki,

chytry i przebiegły, który zdaje się od Połowców brać początek. Już za naszego Łokietka, Wołosza miała swego hospodara. Za Kazimierza W. dwaj synowie Bozorada, poważniwszy się między sobą, wezwali pomocy naszego króla i wtedy to, to jest w połowie XIV wieku, Polacy po raz pierwszy na Wołoszę wkroczyli (1359 r.). Straszna ich tu klęska spotkała w zasadzce, gdzie Wołosi drzewa ponacinawszy, mnóstwo wojska naszego ubili. W dodatku hospodar Stefan przez zemstę spustoszył województwo ruskie aż po rzekę Wisłokę.

Potem jednak hospodarowie szukali w Polsce pomocy przeciw Turkom, coraz się ku nim posuwających, i składali królom naszym hołd, a nawet daninę w drogich materyach, koniach i wołach, których Wołosza mnóstwo hoduje.

Władysław Warneńczyk podzielił właśnie ziemie ich na dwie części, zwykle przez dwóch oddzielnych gospodarów rządzone. Nieraz nawet Wołosi dzielnie walczyli w szeregach polskich przeciw Krzyżakom i innym nieprzyjaciołom rzeczypospolitej.

W czasie jednak gdy Polska dalszemi wojnami zajęta była, Turcy trapiłi Wołochów i ze swej strony do hołdu i haraczu ich zmuszali. Pierwszy hospodar Piotr już po wzięciu Carogrodu przez Turków (1553 roku) złożył Mahometowi daninę.

Za Jana Olbrachta urządzono wyprawę do Wołoch w celu osadzenia na hospodarstwie Zygmunta, księcia głogowskiego, brata królewskiego, ale ta się zakończyła smutną klęską wśród lasów Bu-

kowiny, gdzie między trawami zapalonemi i podciętemi drzewami mnóstwo wyginęło szlachty i znane stąd urosło przysłowie: „Za króla Olbrachta, wyginęła szlachta.”

Później hetmani nasi Kamieniecki, Sieniawski, Koniecpolski, wielki Zamoyski i inni wodzowie znakomici, poskramiali niejednokrotnie bunt wołoskie i więcej tam się krwi naszej wylało, niż cała sprawa warta była, a ze zdrađną Wołoszą nikt na długo pokój zachować nie mógł. Historya nie o jednej wyprawie takiej wspomina oraz o poświęceniu się dwóch braci Strusiów, którzy jeden drugiego chcąc ocalić, obaj zginęli. Pomszczeni później przez hetmana Kamienieckiego, który odniósłszy zwycięstwo nad hospodarem Bogdanem z Turkami połączonym (1609 r.), pięćdziesięciu bojarów ściąć rozkazał, mszcząc się śmierci walecznych Strusiów.

Za Zygmunta I-go Jan Tarnowski świetnie nad Wołoszą odniósł zwycięstwo pod Obertynem (1531) i wiele jeńców zabrawszy, królowi przywiódł.

Możni magnaci nasi niejednokrotnie na własną rękę wyprawy do Wołoch urządzali, jak Albert Łaski, Zamoyscy, Wiśniowieccy. Książę Dymitr Wiśniowiecki, hospodarem obrany, został schwytany przez swego spółzałodnika Tomsę i Turkom wydany, gdzie w niewoli okropną śmiercią zginął.

Możeby wreszcie ta ziemia zdobytą została, gdyby nie zdania sprzeczne wielu panów naszych, którzy ją zachować radzili jako przedmurze, od Turków kraj nasz chroniące.

Niezawsze jednak wyprawy na Wołoszę klęskami się kończyły. Przed niedawnym czasem, w roku 1600, Michał wojewoda siedmiogrodzki, wróg Polski, bo nawet ułożył był projekt jej podziału między ościenne mocarstwa, postanowił także zdobyć dla siebie Wołoszczyznę. Wypędził tedy obu hospodarów z rodu wiernych Polsce Mohiłów, to jest Szymona i Jeremiasza, ale Zamoyski na czele zebranych chorągwi znakomitszych magnatów, między którymi znajdował się i pan nasz książę Krzysztof Zbarski, stawiał czoło Michałowi mającemu ze 60,000 wojska z Serbów, Siedmiogrodzian i Wołochów złożonego. Nad rzeką *Teleszynem* spotkały się oba zastępy: wojsko Michała stało dobrze obwarowane, ale Zamoyski, opanowawszy jeden wzgórek, na nim się trzymał a tymczasem bocznemi ścieżkami wyprowadził kawalerią, która z boku na nieprzyjaciela wpadłszy, wielkiego narobiła bigosu.

Po tem zwycięstwie, Szymon i Jeremiasz Mohiłowie do rządów Mołdawii i Wołoszczyzny przywróceniu zostali. Wkrótce umarł w Mołdawii Jeremiasz, zaślubiwszy jedną z czterech córek swoich ze Stefanem Potockim, a syna jedyne, małoletniego Konstantego zostawiając.

Nie pierwszy to raz hospodarówna za pana polskiego wychodziła: przeciwnie, często się podobne obrzędy powtarzały. Panów naszych zawsze coś ciągnęło do Wołoszy, którą tym lub owym sposobem opanować chcieli, a nawet, jak powiadają, hetman Żółkiewski dla tego traktatem przed kilku właśnie

laty w *Buszy* (1617) podpisanym, zrzekł się w imieniu rzeczypospolitej praw wszelkich do Wołoszczyzny i Multan na rzecz Turcyi, żeby magnatom zagrozić drogę do podobnych wypraw, a siły ich na inne ważniejsze dla kraju potrzeby obrócić.

Tak mi pan Samuel rozповідаł, a tymczasem jadąc, spotykaliśmy co chwila, pamiątki naszych klęsk i chwały.

Wozy naprzód szły taborem, my jechaliśmy zwolna przez Prut a pod końskimi kopytami chrzęszczały kości, których tu mnóstwo końskich i ludzkich z popiołem zmieszanych się wala: często bowiem zapalają tu trawy, ażeby nieprzyjacielowi w wojnie dokuczyć, albo drogę sobie wśród zarośli ułatwić.

Śluchając ciekawych, choć smutnych opowiadań pana Samuela, anim się spostrzegł, jakeśmy nad rzekę Prut przybyli, która swe żółte wody na południe do Dunaju niesie. Rzekę tę w bród przebyliśmy i zdala już jadącego z góry od Stepanowiec hospodara Tomszę ujrzeliśmy. Z nim posuwały się dwa pułki wołoskiej jazdy, nędznie w jakieś dery ubranej.

Sam hospodar Tomsza, strojny suto, na bachmacie przodem podjeżdża.

Książę nasz w złocistej szacie na tarancie królewską postawą świeci. Za nim na włóczni niosą mitrę książęcą z kitą piór zórawich. Dwaj wodzowie jadą ku sobie, ale hardy hospodar pod boki się wzięwszy, czeka aż książę pierwszy rękę do czapki

podniesie. Pan nasz bręw srodze namarszczył a z czarnych oczu, jakby błyskawica mu strzeliła, ale stał nieruchomy, niby posąg z koniem razem. Pewnie gospodarowi zaimponowało wspaniałe wejście pana naszego, bo podniósł rękę do kołpaka, co i książę pan natychmiast uczynił. My, pażowie, trącaliśmy jeden drugiego po cichu, śmiech tłumiąc a postawę poważną przybierając, żeby panu wstydu nie zrobić.

Hospodar zapytuje księcia naszego, czemu tak długo zwlekał z poselstwem do Turcyi, na co książę ostro a krótko odpowiada, że wyruszył wtedy, gdy stosowna trafiła się pora, a tylko się dziwuje, czemu posłaniec jego Waweli, dotąd przez hospodara w Jas-sach zatrzymany, gdy już od dawna w Carogrodzie być winien. Potem nawróciwszy konia, jedzie pan nasz ku namiotom swym, gdzie już tabor był rozbity i przekąska zastawiona dla obu książąt. Za zbliżeniem się ich, muzyka nasza uderzyła w trąby i surmy przy pańskim namiocie karmazynowym, a na stołach, w złocistych i srebrzystych naczyniach zastawiono rozliczne napoje, słodycze, sery i wędliny. Gospodar z wyższymi bojarami swymi u stołu zasiadłszy, rozgrzany napojem, uprzejmie z panem naszym toczył rozmowy, a my za pańskim stołkiem stojąc, gotowi do wszelkiej posługi, przysłuchiwaliliśmy się mądrej a kwiecistej mowie księcia pana.

Przyniesiono gorące dania na wielkich srebrnych misach i uczta do świtania się prawie prze-

ciągnęła. Chociaż pan nam młodszym łaskawie na spoczynek udać się rozkazał, nie bardzośmy się z tem kwapili.

O świcie, razem z hospodarem wyruszyliśmy dalej pomimo ulewnego deszczu. Gospodar przodem pośpieszył, żeby się na przyjęcie dostojnego gościa sposobić; my zaś jeszcze na nocleg nad *Dziesną* się rozłożyliśmy, gdzie bolesnej pamięci porażka pana Potockiego, pod *Sasowym Rogiem*, wspomnieniem serca nasze zasmuciła.

Chociaż znużony długiem czuwaniem i na koniu niekoniecznie dobrze przedzierać się mogłem, bo mi się ciągle śnić zaczynało, że płynę na okręcie burzą miotanym i chwyciłem się co chwila za grzywę siwoszka, jednak wieczorem nie omieszkalem wsunąć się do namiotu pana Samuela, który przy ognisku na skórze niedźwiedziej ległszy, smutno głowę na rękę wspierał.

Prosiłem go, żeby mi powiedział o panu Stefanie Potockim i sławnej klęsce jego nad *Dziesną*. Pan Twardowski, który wszystkie sprawy krajowe znał dobrze i lubił o nich mówić, tak, jak ja słuchać go lubiłem, opowiadał co następuje:

Oto gdy po śmierci Jeremiasza syn jego, mały Konstanty Mohiła na gospodarstwie zasiadł za pomocą powinowatego domu Potockich, opiekunowie jego nie chcieli płacić wymaganej przez Turków daniny i tak Portę rozgniewali, że ta Michałowi Tom-szy Wołoszę opanować pozwoliła. Tomsza z pomocą

Kantymira, chana tatarskiego. wygnał Konstantego i sam hospodarem się ogłosił. Król Zygmunt III i senat, będąc zatrudnieni wojną z Moskwą, chcieli sprawę tę w sposób pokojowy załatwić, aby wszystkie siły w inną stronę zwrócić, gdzie ich najwięcej było potrzeba; ale młody Stefan Potocki, szwagier Konstantego, żądzą zemsty uniesiony, zebrawszy 6,000 ludzi, a w tej liczbie nawet załogę kamieniecką, która ku obronie grodu zostawioną być winna, wtargnął na Wołoszczyznę. Tak był ufny w swoją siłę, że zaniedbawszy wszelkich środków ostrożności, wgłąb kraju obcego się posuwał.

Przeszedł wreszcie Prut w r. 1612, stanął przy ujściu Dniesny, w miejscu bardzo ciasnem, które Sasowym Rogiem nazywają. Tu Tatarzy, opanowawszy brzegi rzek obu, tak wojsko nasze ścisnęli, że je w końcu do poddania się zmusili. Stefan Potocki przez Tomszę do Carogrodu, jako jeniec odesłany został, gdzie go w Czarnej Wieży, Jedykułą zwanej, zamknęto. Młodziuchny Konstanty Mohiła, niepoznany przez Tatarów, umarł z niewygód między niewolnikami, brat jego stryjeczny Aleksander, dla pięknej postawy w podarku do saraju sultańskiego posłany.

Wołosi z Tatarami, mszcząc się tej wyprawy, rzucili się ku Polsce w 40,000, ale ich Żółkiewski nad rzeką Morachwą zatrzymać potrafił.

Wkrótce znów potem, bo w cztery lata, roku 1616, krewni domu Mohiłowskiego, książęta Samuel Korecki i Michał Wiśniowiecki wtargnęli na Woło-

szę, gdzie aż piętnaście szczęśliwych bitew stoczyli, ale w końcu książę Wiśniowiecki umarł ze znużenia, a ks. Korecki z garstką ludzi przez Skinder bąszę przeważającemi siłami otoczony, w niewolę się dostał.

Następnego roku Skinder, ośmielony powodzeniem, posuwał się ku Dniestrowi, ale tu go Żółkiewski znów przy ujściu Morachwy, pod miastem Buszą zatrzymawszy, zmusił do podpisania traktatu, o którym już mówiłem, a w dodatku zamek Chocimski Turkom oddał.

To jeszcze nie koniec klęsk naszych na Wołoszy, ale że już późno było, więc pan Samuel przerwał opowiadanie.

Nazajutrz rankiem podjeżdżamy ku Jassom: tu już nas czekał gospodar z okazalszym, niż wczoraj poczem. Cały hufiec hospodarski bieleje od białych opończy a wśród nich chorągiew zielona kołysze się z tureckim półksiężycem, druga purpurowa z czarną głową żubra, herb wołoskiej ziemi.

Nasz hufiec za to lśniący od złota i drogich matoryi; karabele drogimi kamieniami sadzone, kołpaki futrzane z kitami, złociste rzędy na koniach, wszystko to błyszczy na zielonem polu, że aż oczy bolą patrzeć wkoło, a właśnie słońce, z chmur się wysunawszy, błysnęło i mgły wilgotne roztopiło. Aż się wesoło robiło w duszy, widząc jak nasi rycerze ze wzgórką ku miastu zjeżdżali.

Hospodar teraz księcia naszego w gościnę prosił, ofiarując mu przytem szablę złotą i sztukę per-

skiego złotogłowia, a także uwolniony Grek Weweli do stóp książęcych przypadł. Tak gospodar chytrą swoją podarkami i słowy uprzejmymi zakrywać się starał, ale pan nasz dobrze lisy farbowane poznał i węża pokręcając a brwi marszcząc, grzeczności gospodarowych pół uchem słuchał.

Na uczcie podawano jadło dziwacznie przyrządzone, którego i nam służbie pańskiej dosyć się dostało, ale więcej tu było ust wykrzywania i nossem kręcenia na rozmaite z turecka przyrządzone przysmaki, niż uczciwego jedzenia. Wino zato wyborne, tokańskie, z beczkami zataczano i w ogromnych rozdawano puharach. Pamiętałem ja przecież dziadziowe przestrogi i jak mogłem, kielichów unikałem, żeby trzeźwą głowę i bystre oko zachować.

Dwór gospodarski wcale nieokazały, drewniany; nagie ściany i podłogi tu i owdzie tylko derami poprzykrywane; ale stoły pięknymi towałniami (obrusami) zasłane i srebrami zastawione. Muzyka piskliwie na fujarach i dzingach, czyli kobzach wołoskich przygrywała.

A tu nadjeżdża i goniec od chana tatarskiego Kantymira z pogrózkami i naganami za zwłokę w poselstwie do Carogrodu.

Książę pan przez tłumacza, chociaż i sam mowę tatarską rozumiał, ostrą dawszy gońcowi odpowiedź, wkrótce za gościnność gospodarowi podziękował i na koń wsiadać rozkazał. Wozy nasze, ładowane sprzętami rozlicznymi i upominkami, któreśmy wieźli do

Carogrodu, przodem już ciężką drogą przez Bukowinę ruszyły.

Hospodar Tomsza z pocztą odprowadzał księcia prawie do granicy mołdawskiej. Na lewo od drogi naszej zostaje *Cecora*.

Tu pan Twardowski, nas młodszych zebrawszy, rozповіда o klęsce cecorskiej, tak świeżej, że jeszcze, zda się, krew nie zaschła, która tu obficie popłynęła.

Sprawa ta smutna od tego się zaczęła, że Gracyan, gospodar wołoski, od Turków o sprzyjanie Polsce posądzony, dostał ze Stambułu siekiere, ale zamiast jej użyć do ucięcia sobie głowy, stosownie do woli sułtana, podarł w kawałki list jego a posłom głowy poucinał, sam zaś wezwał pomocy króla polskiego. Stał wtedy nad Dniestrem hetman Żółkiewski. Wódz ten sędziwy, w wielu już wyprawach doświadczony, mężny i rozważny, nie ruszał się z miejsca, dopóki nie otrzymał od króla wyraźnego rozkazu do przejścia Dniestru. Wiadome mu były intryki nieprzyjaciół u dworu, chciał jak zawsze dowieść wierności swej służby krajowi, posłuchał więc rozkazu i zabrał się do przeprawy, ale przedtem napisał list do monarchy, jak gdyby z pożegnaniem, pełny smutnego przeczucia, które go też nie omyliło.

Dnia 2 września 1620 roku, zaczęły się wody Dniestru od łodzi i promów, przewożących wojsko polskie, a jednak była to garstka 6,000. Hetmanowi towarzyszyli syn Jan i synowiec Łukasz,

zięć Koniecpolski, książę Korecki, świeżo z niewoli tureckiej wypuszczony, Mikołaj Potocki, starosta kamieniecki Kalinowski i innych wielu panów monych.

Nad Prutem połączył się z nimi Gracyan z 600 jazdy. Tuż blisko, przebywszy pod Śledziówką Dniestr, znajdują cecorskie okopy, które tu niegdyś sypał Zamoyski.

Ledwie że się w nich cokolwiek obwarować zdołali, gdy ich nagle otacza pogaństwa moc wielka. Wszystkie pola wkoło bieleją od namiotów; to zastępy Skinder baszy i murzy tatarskiego Kantymira, razem do stu tysięcy ludzi. Nie traci jednak odwagi hetman sędziwy; przeciwnie, w tej ciężkiej potrzebie sam garstce swojej serca dodaje. Jedni popsute wały naprawiają, darniną je okładając, drudzy wozy ustawiają, jako szańce wkoło.

Dnia 17 września pohańcy pierwszy szturm przypuścili, ale nasi bili się jak lwy: 3,000 nieprzyjaciela trupem położyli, choć w boju tym obaj młodzi Żółkiewscy i Koniecpolski rannymi zostali.

Potem przez trzy dni dano spokój. Hetman chciał jeszcze jedną stoczyć bitwę, a później warownym taborem ku ojczyźnie się cofać; ale znaleźli się niechętni, jakich miał zawsze niemało Żółkiewski, którzy puścili między wojskiem pogłoskę, jakoby hetman miał je porzucić, wymykając się tajemnie z obozu. Tak więc dnia 20 września stał się popłoch; w nocy zaczęto uciekać z obozu. Zbiegi rzucali się wpraw do Prutu, gdzie ich niemało potonęło, a między

innymi Kalinowski, starosta kamieniecki, pierwszy sprawca popłochu tego, Gracyan gospodar i wielu znakomitszych. Tych zaś, którym się udało wdrzeć na drugi brzeg bystrego Prutu, wymordowali bez litości Tatarzy, że ich rozdzierające jęki zdaleka było słychać.

Żółkiewski z pochodniami obóz objeżdżał rozkazując, prosząc, zaklinając, żeby się z miejsca nie ruszali. Wschód słońca okropny widok oświecił: w obozie zrabowane i popalone przez ciurów uciekających namioty, porozrywane szańce; rzeka Prut zafarbowana krwią toczy trupy, poszarpaną odzież, broń połamaną, z daleka słychać jęki konających. Przy hetmanie ledwie połowa drużyny dawnej pozostała; z tymi jeszcze przez ośm dni wytrzymał oblężenie; wreszcie postanowił przerznąć się do Polski.

W dzień św. Michała 29 września uszykowano tabor; ze spiętych wozów uformował się kwadrat od piechoty i artylerii broniony: konie i rozmaite rzeczy obozowe w środku kwadratu pomieszczono. W nocy z 29 na 30 ruszyła się z miejsca warownia i wśród trudności niezliczonych przez rowy i bagna wlokąc działa, wozy i ciężkie ładunki, odstrzeliwając się ciągle nieprzyjacielowi, uszła już tej pierwszej nocy dwie mile.

Przez siedem nocy odbywano taki pochód aż do brzegów Dniestru. Po drodze przebyto ze dwa tysiące bagien, niezliczone mnóstwo strumieni, gór, wąwozów obsadzonych wojskiem nieprzyjacielskim.

W końcu Tatarzy zapalili trawy a tabor posuwał się po spiekłej ziemi, wśród dymu, upału, popiołów, jak gdyby w nim już chyba nie ludzie, ale jakieś duchy bohaterskie znajdowały się.

Po tych nadludzkich wysileniach już tabor się znajdował nad brzegami Dniestru, już z daleka widniały wysokie wieżycy Mohylowa, już nieprzyjaciół przy nowym szturmie odparty zdawał się odstępować, gdy nowe, niespodziane nieszczęście spadło na naszych.

Dnia 6 października w nocy resztki ciurów obozowych, bojąc się kary, któreby ich czekała za powrotem do ojczyzny za uczynione pod Cecorą nadużycia i niesforności, poczęły uciekać za Dniestr, chwytając konie pańskie i rozprzegając je od wozów. Rycerstwo, usłyszawszy zgiełk wśród nocy, sądziło, że to napad Tatarów. Wzmaga się zamieszanie. Nic nie może wyrównać okropności chwili. Łoskot wywracających się wozów i dział, tętent koni zbiegów, którzy porywając łupy, lecieli jakby szaleństwem jakimś opętani, przekleństwa żołnierstwa, głos grzmiący hetmana, ciemnota rozjaśniona tylko ogniami tu i owdzie porozpalanymi.

Pohańcy, spostrzegłszy to zamieszanie, uderzyli hurmem na obóz. Nie było już wtedy ratunku. Hetmanowi podawano konia do ucieczki, ale go przyjąć nie chciał, mówiąc te zacne słowa:

— Rzeczpospolita mi powierzyła to wojsko; jeśli go nie zachowam, zginę z nim razem.

Wziął rozgrzeszenie od spowiednika, przy boku jego będącego, rzucił się do boju, i zginął ów bohater sławny, siwizną okryty, przeszyty strzałami, leżał wśród kupy nieprzyjaciół. Syn jego, synowiec, niewyleczeni jeszcze z ran cecorskich a zostawieni w karcie, od której zbiegi konie odprzegli, dostali się do niewoli tatarskiej, także Koniecpolski, Potocki, Samuel książę Korecki już po raz drugi, Struś, halicki starosta i t. d. Inni poginęli.

Tak straciliśmy kwiat rycerstwa, który dzielnego hetmana otaczał, straciliśmy wojaka starego, najlepszego syna Rzeczypospolitej, w tej okropnej, haniebnej porażce cecorskiej.

Gdym słuchał tego opowiadania, łzy mi się lały po twarzy, a ból wielki serce ścisnął. Ale nieprawdaż, dziadziu, że tak zginąć, jak hetman Żółkiewski, to nie żal; ojczyzna mu pewno nigdy nie zapomni!

Myślałem sobie o tem wszystkim, a tu już przyjeżdżamy nad Seret i przeprawiwszy się przez wodę, widzimy niedaleko stamtąd małą rzeczulkę, której nazwy już nie pomnę. Dzieli ona posiadłości Tomszy od Multan, gdzie rządzi Raduła.

W miasteczku *Fokeczany* zastaliśmy już posła od Raduły, który nas życzliwemi słowy powitał i towarzyszył dalej ku południowi. Nad wieczorem rozbiliśmy namioty w pięknej równinie, skąd na zachód piętrzą się strome góry Siedmiogrodu, a świt różany zastał nas już znowu na koniach, bo panu śpieszno było.

Tu nas obskoczyła cygańska gromada i ledwie, rzucając grosze na lewo i prawo, drogeśmy sobie otworzyli. Musieliśmy aż odganiać rozczochrane cyganki w jaskrawych płachtach, co białe zęby wyszczerzały i wróżby nam swoje rozpowiadać chciały jakimś dziwnym jęzkiem, którego nikt niezrozumiałby, gdyby nawet miał ochotę czego się dowiedzieć od tych czarownic.

Dalej rzeka Bozów bystrym od Karpat biegiem płynie, a nad brzegami jej dynie i arbuzy jeszcze niedojrzałe, ale już od słońca wcześniej pożółkłe. Tu nas gospodar Raduła w lektyce spotyka, otoczony bojarami multańskimi; dalej jazda w pancerzach i misiurkach i dwie chorągwie młodzi w kopie uzbrojonej, której syn hospodarski hetmani. Przodem czausze, czyli marszałkowie z łaskami o galkach srebrnych i złotych, porządku pilnują; za nimi pacholeta młode niosą tarcze złotem nabijane.

Nasi szumnie i ostro naprzód ruszają. I znowu powitania, gdy się gospodar tłumaczy, że dla choroby konia dosiąść nie mógł, o swej życzliwości zapewnia, a książę mu łaskawie i uprzejmie odpowiada. Nocleg razem odbyliśmy; od rana zaś nazajutrz młódź nasza i hospodarska zwawe z sobą toczy turnieje. Muzyka brzmi, konie rżą, bębny się odzywają, że ledwie na miejscu ustać mogą, a tu od boku pańskiego nam wyrostkom odstąpić niewolno.

Potem wiodą dla księcia naszego dwa rumaki arabskie w bogatym rzedzie a pan nasz wzajem

dwie prześliczne strzelby z hebanu i złota kunsztowną robotą przy ozdobione śle gospodarowi. Trzy dni nas gościł wspaniałe Raduła i ledwie wypuścił obdarzywszy setką wołów tucznych i kilku wozami ryb suchych dunajskich, przy baryłkach starego węgryna.

Ze łzami w błyszczącym oku żegnał książę nasz gościnnego Radułę u mostu kamiennego, po którym rzeczkę Haspali przebywszy, po nad Dunaj dążymy.

Tam już weselsza kraina; na zielonych łąkach pasą się ogromne stada bawołów i koni grubych a krótkich, które Wołosi na własną potrzebę używają i obcym sprzedają. Owiec także mnóstwo chowają. Mówił też pan Twardowski, że oni bydlęm, mięsem solonem, skórą i łojem wielki handel prowadzą. W lasach kryje się mnóstwo zwierza, z którego skór futra piękne mają. Pszczoły ich miód wyborny robią, tak, iż mieliby jadła i grosza pod dostatkiem. Ale to naród chytry i zbójcecki, chętniej się cudzą krzywdą niż własną pracą bogaci.

Minęliśmy Bukareszt, słynny gród multański, kilka małych rzeczek, wreszcie Serepkę, teraźniejszą granicę Multan od Turcyi.

Dawniej po Dunaj ziemie te sięgały: dziś już po tej stronie gród Dżurdzów strażą turecką opatrzony.

II.

Turcya.

Pomnę jednego ranku, było to w niedzielę, właśnie gdyśmy Mszy Świętej wysłuchali i chórem godzinki odśpiewawszy na wzgórek wjechali, błysnął nagle wśród łąk zielonych szeroki a wartki pas *Dunaju*. Wspaniała ta rzeka, jakby srebrem i złotem błyszcząca, z szumem i pluskiem toczy swoje fale, a taką zielenią i świeżością wkoło siebie ma, że zda się wiosnę przynosić.

Brzegi złociste arbutami pokryte a przysłonięte wijącym się bluszczem; tu i owdzie gaje mirtowe cień swój rzucają.

Na rzece porozrzucane zielone ostrowy, gdzie mnóstwo białych żórawi, gęsi, łabędzi wesoło w zarosłach wilgotnych się przemyka. A wszystko to świeci i błyszczy od różowych porannego słońca promieni, jak gdyby nas jakaś wróżka w cudowną przeniosła krainę.

Dalej widzimy rybaków w lekkich łodziach, a że nad samym brzegiem Dunaju na popas się zatrzymaliśmy, miałem czas przyjrzeć się rybom ogromnym, jakich u nas nie widują.

Jesiotry olbrzymie, wyży, których łódź unieść nie może, ciągną rybacy na wędach i harpunach a w sieci łowią czeczugi, barweny złociste, co do

słońca połyskują i inne w naszych wodach nieznanne ryby.

Jeszcześmy się ciekawym widokiem nie nacieszyli, aż tu hukną armaty z poblizkiego zamku na górze zwanego Dżurdzewem, gdzie właśnie stoi załoga turecka piechota czyli „Azapi” z agą swoim. A tuż wychodzi miejscowy wójt, co go po turecku „Kadym” zowią, za nim ludność dziwacznie a nędźnie poubierana.

Książę pan, wysłuchawszy mowy, którą do niego po turecku wypowiedział kady, rozkazał kilka garści srebrnej monety między lud wysypać i do namiotów swoich na nocleg powrócić.

Nazajutrz skoro świt, na lotnych czajkach przez Dunaj się przeprawiliśmy, nim jeszcze mgły ranne opadły i w Ruszczuku hymn pochwalny Bogu zaśpiewaliśmy.

Książę pan pięknym basem prym trzymał a dworzanie wszyscy za panem gromkim głosem pieśń huknęli; my jak fujarki cienko wtórując dopomagaliśmy.

Szafarz książęcy tymczasem sporo świeżej i solonej ryby nakupił, żebyśmy dalej idąc, głodu nie cierpieli. I dobrze się stało, ledwieśmy bowiem trochę naprzód postąpili, aż tu widzimy stada sępów i orłów z zakrwawionymi dziobami, a zbliżywszy się spostrzegamy wielką mnogość ciał ludzkich, bez pogrzebu na polu rzuconych. Twarze ich były zczerniałe a ciała z odzieży zwleczone, pokryte strasznie sinymi plamami. To zaraza, dżuma! krzyknęli

dworzanie, którzy przodem byli pośpieszyli, a spłoszone stado drapieżnego ptactwa z krzykiem ponad głowami naszymi krążyło.

— Hej! naprzód — zawołał książę — zechce nas Pan Bóg ochronić, to i zaraza nas się nie uczepli, a trwożyć się i jęczeć zawczasu nic nie pomoże. Dalej za mną, kto w Boga wierzy!

I dalej jechaliśmy, omijając z daleka wsi opustoszałe i pola zgnilizną cuchnące. Nocą paliły się wielkie ognie dla odświeżenia powietrza i odstraszenia wilków, które się gromadami wkoło trupów zbierały. Ochroniła też nas Opatrzność, bo w obozie naszym nikt nie zachorował nawet.

W Rozgrodzie znaleźliśmy wielką obfitość winogron, któremi się odświeżywszy, dalej w głąb Bułgarii jedziemy.

Nad brzegami Dunaju spotykaliśmy lud nam mową podobny. Wytłómaczył mi pan Twardowski, że przed laty, przed wiekami, osiadło tu pobratymcze nam Słowian plemię. Osiedli oni aż po brzegi Adryatyku ziemie, zwane dziś Serbią, Bośnią i Dalmacją; czcili Chrystusa, walecznych mieli rycerzy i piękne pieśni śpiewali. Teraz jęczą pod jarzmem niewiernych i do wiary swej ledwie przyznać się mogą, a Turek ich jak niewolników swych depce.

Kto wie, dziadziu, może z Bożą pomocą uda się nam bisurmanów pokonać i tych naszych biednych braci wyzwolić. Ale pan Twardowski mówi, że do tego trzeba najprzód, byśmy u nas zgodnie

i pocziwie żyli, między sobą się nie swarzyli, a tylko wszystkie siły na obronę własną zbierali.

W miastach bułgarskich widzimy tureckie meczety a przed każdym stoi wieża z gankiem, na który wychodzi turecki *muezyn* siedem razy na dzień i wielkim głosem krzyczy: „Allah il Allah” i t. d.; co znaczy, że Bóg jest wielki a Mahomet jego prorokiem. Za każdym takim wołaniem wszyscy muzułmanie czy to w izbie, czy na drodze, umyją sobie ręce i pierś, i pokłony na ziemi biją.

Chrześcijanie mają także swoje cerkiewki, ale nie w każdej wsi, a gdy przybędzie ze Stambułu, (tak Turcy Carogród zowią), jaki zły rządca, to się po domach, a nawet w pieczarach i lochach z obrazami świętych kryć muszą, gdzie się też tajemnie na modlitwę zgromadzają.

W jednej wsi, gdzie było dużo gajów morwowych, trafiliśmy na jakąś uroczystość czyli prążnik. Muzyka przygrywała na dzingach i fujarach, a mójcy z dziewczętami wesoło płąsali.

Uderzył mnie dziwny strój białogłów bułgarskich; na głowie, jakby rycerska misiurka, gorset obcisły a na to narzucona skóra niedźwiedzia z tyłu zwieszona.

Niedaleko już i Bałkany, po łacinie dawniej Haemus zwane, jakieśmy to nieraz z naszym księdzem kapelanem czytali. Ciężka tu była przeprawa; zwłaszcza czeladź z wozami ładownymi wielką miała biedę. Dwa tygodnie zeszło na tem i bez wypadków się nie obyło. Góry strome, ogromne, że za

niemi i słońca już nie dojrzeć. Wicher huczy w ciemnych pieczarach i świszcze po wąwozach, a chmury leżą na gór wierzchołkach.

Na urwiskach skaczą kozy dzikie i daniel z rozłożystymi rogami wyjrzy często z gęstwiny, bo też tam krzewiny rozmaitej dużo rośnie. Tam się nam wózów wiele połamało: kowale nasi, warsztaty rozkładając, kuli obręcze na koła, a niektóre podwoły z żywnością, to i porzucić trzeba było, bo konie padały a ludzie, sami pokaleczeni, rady dać nie mogli.

Książę pan mimo strat wielkich, jakie ponosił, całe bowiem poselstwo, jak mówi pan Samuel, własnym kosztem sprawował, sam konie i ludzi utrzymując, nie trapił się jednak tą biedą, a często powtarzał, że dla ojczyzny milej nie tylko złota lecz i krwi serdecznej nie żał mu było. I nam też odwagi przybywało gdyśmy go słuchali, bo za takim panem nie żał pójść i w piekło, jak to mówią.

Z wierzchołka Bałkanów, w pogodny dzień, gdy się chmury rozsunały, ujrzeliśmy morze Czarne ku Wschodowi po lewej ręce, a nawet wieże grodu Warneńskiego, gdzie przed laty młody król nasz poległ w walce z niewiernymi.

Ach, dziadziu mój, dziadziu, kiedy widzę wszędzie ślady krwi naszej, co się wylała w obronie kraju, to chciałbym urość w jednej chwili i tak jak oni walczyć mężnie, choćby zginąć, a może i zwyciężyć wroga!

W górach tam straciliśmy dworzanina i jednego z paziów naszych, Michałka, który był szczuplejszym i słabszym od innych. Pomarli oni cicho, a zwłaszcza Michaś po śmierci do anioła był podobnym. Towarzysze zakopali ich pod piękną dużą jodłą i dwa krzyże wyciosali: jeden duży, drugi mały, z literami na korze wyrzniętymi. Ksiądz kapelan ziemię pokropił wodą święconą, wszyscy smutne „de profundis” zaśpiewali i ruszyliśmy dalej.

Spuszczając się ku dołowi, spotykamy lasy gęste i ciasne parowy; trzeba się ostro trzymać, żeby w przepaść się nie zsunąć, ale nas młodszych starsi obok siebie na koniach prowadzili, a pocziwe koniska jakby czuły niebezpieczeństwo, cicho a uważnie stały. Wreszcie na równinę zjechaliśmy i dążymy do Adrianopola, który widnieje zdaleka, złocistymi błyszcząc kopułami.

Przed miastem wita nas kady tamtejszy i aga janczarski z 500 janczarami. Ta piechota, którą sułtan otaczać się lubi, pięknie w sztuce wojskowej wyćwiczona, składa się po większej części z niewolników chrześcijańskich. Serce mi zadrżało na myśl, że w hufcu tym nie jeden z naszych niw ukraińskich i podolskich, pochołciem jeszcze porwany i do Azji wywieziony, tam wśród niewiernych wiary się własnej wyparł i języka ojczystego zapomniał, a teraz na nas, cośmy mu krwią i ciałem blizcy, jak na obcych patrzy.

Przypatrywałem się też ciekawie twarzom janczarów, a ci, mimo stroju tureckiego i czapek dzi-

wacznych na głowach, fezami zwanych, tak jakoś do naszych byli podobni, a oczy ich błękitne, najczęściej wcale inaczej wyglądały niż tureckie mrógające a czarne ślepia. A tu już wjeżdżamy w bramy Adryanopola: ledwie oczu nastarczyć mogę, rozglądając się na wszystkie strony, ale żeśmy dwa dni tu gościli, miałem później czas przyjrzeć się temu i owemu.

Pod miastem płynie Maryca rzeka, co się tu nagle ku południowi zwraca i do morza Egejskiego (Archipelagu) wpada. W środku miasta przepysznym bazar stoi z dachem ołowianym na stu filarach wspartym, gdzie kupcy najrozmaitszy towar swój rozkładają; wybudował go Ali pasza. Wspaniała meczet Selima, o którym już mówić nie będę, bo czasu by mi zabrakło, a podobne i jeszcze piękniejsze budowle oglądaliśmy później w Carogrodzie.

W cieniu gajów oliwnych, wznoszą się piękne łaźnie marmurowe, a wodociągi przez Rzymian jeszcze budowane, gdy cesarstwo Bizantyńskie do nich należało, zasilają miasto wyborną wodą.

Jechaliśmy dalej drogą, którą cesarz Adryan, fundator i dobroczyńca miasta, w skałach wykuć rozkazał; dotąd ona ogromem swym zadziwia i gładkością, tak, że niby po marmurowej posadzce brzmiały kopyta końskie. Wszędzie tu widać ślady rzymskiej potęgi, które teraz pod rządem tureckim niszczą; muzułmanie bowiem chętnie meczety zlociste

budują, ale o drogi ku wygodzie służyć mające, mało dbają.

To dobrze przynajmniej, że Koran, co jest dla nich Ewangelią, doskonale znają i lepiej go słuchają niż my, którym Chrystus sam Słowo Boże objawił. I tak: w dni na post naznaczone sami nie jedzą, zato jednak ubogich, czyto pogan czy chrześcijan, żywią. Jałmużny obficie rozdają, dla zwierząt nawet przytuliska mają, bo im Mahomet litość zalecił nad wszystkim co żyje. A jednak gdy im tego potrzeba, umieją wyminąć przepisy Koranu i chytrze je obejść, także przysięgi podstępnie fałszują. Kiedy na przykład muzułmanin wrogowi przysięgnie, że miecza przeciw niemu nie podniesie, to w tem słowa dotrzyma, ale go udusi albo utopi, jak tylko będzie mógł tego dokonać.

W Adryanopolu widzieliśmy dużo mnichów i świętych tureckich, którzy, niby na chwałę Boga wrzeszcząc i skacząc, ciało sobie nożami krajali albo je rozpalonem żelazem piekli. Inni, w bogate mitry ubrani, na cytrach grają i w bębenki miedziane biją; inni znów, jak wściekli pniąc się od zmęczenia, po ulicach latają.

Kiedy pan nasz wjeżdżał, cały lud miejski wyłegł na ulicę; bogatsi z okien i dachów, które tam płaskie robią przyglądali się, jak nasi okazałym poczem za panem pośpieszali.

Z Adryanopola, nieco ku wschodowi się biorąc, dalej zdążamy. Wkrótce już wjeżdżamy w wązki pas ziemi, gdzie po jednej stronie Propontyda, teraz

morzem Marmora zwana, z drugiej zaś Czarne morze o brzegi tłucze. Tu znów prawdziwie rajska okolica. Całe gaje drzew, na których złociste czerwienią się pomarańcze, a wśród gładkiego, lśniącego liścia błyszczą cytryn tysiące. Granaty i figi przewyborne, rozpękłe od słońca, nęcą oko i podniebienie, a ich purpurowe a soczyste mięso widać z pod ciemnej łupiny. Między kasztanami mkną sarny i rogate jelenie. Dalej znów gaje z cyprysów i bobków czyli laurów zawsze zielonych. Kozły skoki uciężne między drzewami wyprawiają, a nad strumieniami, których się mnóstwo w cieniu wiję, rosną pachnące narcyzy i hiacynty różnobarwne. Łąki zdają się uhaftowane tem cudnem kwieciem, a upały dokuzyć nie mogą, bo od morza świeży wiatr zawiewa, niosąc chłód i wilgoć z sobą.

Gdyśmy tu na popas się zatrzymali, my chłopieta książęce i dworzanie starsi także, żwawo się po gajach rozebrawszy, używaliśmy rozkosznej kąpieli, wśród wonnego kwiecia i srebrzystej piany strumyków. Tak odświeżywszy zmęczone tyłu znojami członki, jedziemy rącho przez pola i gaje.

Nad morzem Marmora, widać miasto Siliwrę, dawniej port bardzo handlowny, dziś jakby drzemący; dalej most cudny z marmuru w piętra wysokie pobudowany, a tu już ku wschodowi coś bieleje i błyszczy. To Carogród!...

Wszyscy z koni zeskoczywszy na kolana padli, a książę pan najpierwszy czoło ku ziemi chyląc, sławił Boga i dziękował za tę Opatrzność Jego, która nas

przez tyle niebezpieczeństw przewiodłszy, szczęśliwie do portu zaprowadziła.

Tu się zatrzymaliśmy, z daleka na gród patrząc, a wieści od naszych agentów w Stambule oczekując.

VIII.

Carogród.

Nigdy w życiu nie zapomnę wspaniałego widoku, który się wtedy oczom naszym przedstawił. Na razie olśniony wzrok nie mógł wszystkiego rozpoznać, później dopiero zrozumiałem, jak ten gród olbrzymi jest zbudowany.

Gdyśmy rzucili okiem na Carogród po raz pierwszy, właśnie słońce miało się ku zachodowi i purpurowe blaski rzucało na ziemię. Lśniło się morze, z trzech stron oblewające miasto, jak gdyby całe potoki złota i brylantów z nieba na ziemię się sypały; kopuły złociste paliły się, jak w ogniu; gdzieś sterczały olbrzymie kolumny, czy obeliski z marmuru i granitu. Ciemne gaje cyprysowe rzucały tu i owdzie długie cienie po ziemi. Przed nami wznosi się wspaniała brama, zwana Top Kapusti, dawniej Św. Romana, którą się Turcy wdarli do Carogrodu w 1453 r. i gdzie właśnie poległ Konstantyn XII Paleolog, ostatni cesarz grecki.

Bram jest wszystkich 37 w ogromnym, długim na półtorej mili murze, który miasto otacza. Zbudowane jest ono na siedmiu pagórkach, wznoszących się na trójkątnym przylądku, między wodami morza Czarnego, morza Marmora i cieśniny Bosforskiej, z której znów długa zatoka, *Złotym Rogiem* zwana, w ziemię się wrzyna. Na każdym wzgórku wznosi się meczet wielkiej wspaniałości, a i innych mniejszych niemało, że ich do 300 liczą w Stambule.

Oprócz tego jest jeszcze przedmieście 15; z tych *Skutari* i *Kadikei*, na stronie azyatyckiej, już za Bosforską cieśniną. Inne, wokoło miasta pobudowane na tym pasie ziemi, co się po obu stronach jego ciągnie, między morzami Czarnem i Marmora. Najpiękniejsze z nich *Peru* i *Galata*; innych nawet już nazwy nie pomnę. Wszystko to później obejrzelśmy; teraz namioty rozbiwszy, z daleka się miastu przyglądamy.

Na szczycie przylądka błyszczy pałac sułtański, *Serajem* zwany, o złocistych kopułach i dachach różnobarwnych, osłonięty ogrodami cienistymi i gajami cyprysowymi. Niżej leży sułtański zwierzyńiec, gdzie cesarz sam strzela do jeleni i zgrabnych onagrów, albo nad świeżymi strumykami w chłodnych pieczarach, szuka odświeżenia wśród letnich upałów.

Tymczasem słońce coraz niżej zapada; już się niby w morzu skryło, a nad wodami białe pary się unoszą i całe miasto zda się w nich tonąć.

Do namiotu książęcego przybywają nad wieczorem Kulikowski i Weweli, wysłani przodem dawniej dla oznajmienia przybycia pańskiego i dowiedzenia się o kwatery. Złe niosą wieści: oto wezyr nowo obrany, dawniejszy niewolnik sarajowy Dżurdzi, znany od dawna z niechęci do Polski, teraz ostro a hardo się stawia. Najprzód zapytać każe, poco to posel z tak wielkim pocztem tu zjeżdża, żeby skarb sułtański na szwanek wystawić, a i gospody wpierw dlań przeznaczone, teraz właśnie posel czeski zajmuje.

Na takie dictum, świadczące o niechęci wezyra, pan nasz wielkim gniewem zapłonął i niemniej hardo odpowiedzieć rozkazał, że na utrzymanie poselstwa pieniędzy nie zbraknie i w Polsce, a jeśli Stambuł tak ciasny, że posła obcego pomieścić nie może, to i w polu rozbijemy namioty na pamiątkę uprzejmości wezyrowej.

Z takim responsem Kulikowski został wyprawiony. Tymczasem wieczorem już z pochodniami które przed nim pacholkiwie niosą, przybywa pan Suliszewski Stanisław, sekretarz królewski, który już od roku blisko, jako goniec poselski w Carogrodzie bawi i stamtąd relacje do Polski przesyła, zanimby wielkie poselstwo nasze do stolicy tureckiej przybyć mogło. Z nim Platemberg, który mu w tej wyprawie towarzyszy.

Obaj ci panowie poczęli ciekawe rzeczy opowiadać o tem, co się w Stambule dzieje. Wiele przedtem już książę pan wiedział z relacji w kraju i w po-

dróży otrzymanych; my zaś wszystkiego z natężonym uchem słuchaliśmy. Ja już miałem to szczęście, że dzięki opiece pana Samuela i łasce samego księcia pana, zostawałem zwykle przy jego boku, a często nawet pod dyktowaniem księcia zapiski rozmaite robiłem. Starąłem się zasługiwać na to, o ile możności wielką uwagą i bacnością na wszystko, co mówiono, jak mi to dziadzio kochany zalecał; przytem błogosławiłem księdza kapelana, który mię wprowadził w kالیgraficzne a czytelne pismo. Tym sposobem więcej dowiedzieć się i nauczyć mogłem, niż inni paziowie pańscy i nieraz słówko pochwały albo jaki piękny upominek dostałem.

Otóż pan Suliszewski opowiadał obszernie, jak po wyprawie Chocimskiej, z której przed rokiem właśnie sułtan Osman osobiście powrócił (1621 w jesieni) wielkie się szerzyło niezadowolenie między ludem; sułtan bowiem zabierał się Polskę zawojować, a zamiast tego z wielkimi stratami powrócił z pod Chocima, gdzie go rycerstwo nasze z hetmanem Chodkiewiczem mężnie zatrzymało. Osman nie zważał na sarkanie gminu i zabrał się z energią do poskramiania nadużyć, które się między wojskiem tureckim, a zwłaszcza między Janczarami szerzyły. Częstość znikwały całe gromady zuchwałych wodców wojskowych, bo ich sułtan tajemnie chwycić i w morze ciskać rozkazał. Mówiono także, że sułtan myśli o przeniesieniu stolicy państwa do Damaszku, a nawet wiadomo było, że sposobi okręt, naładowany spiżą i złotem, jakoby dla odbycia po-

dróży do Medyny, gdzie złożone kości proroka w wielkiej są czci u muzułmanów.

Napróżno wielki Mufty, jest niby arcybiskup turecki, zwraca się z prośbami do Osmana, żeby grodu swego nie opuszczał, próżno mu grozi gniewem Allaha, jeśli nie ustąpi; młody sułtan trwa w przedsięwzięciu swoim. Wtedy Janczarowie wściekli, jak stado dzikich wilków, wpadają do Saraju, i nie bacząc na nic, do mieszkania żon cesarskich wdarłszy się, do którego nikomu krom sułtana i niewolników wchodzić nie wolno, Osmana wywlekli. Potem wśród krzyków i wycia tłumu ulicznego do koszuli go odarłszy i na mule przywiązawszy, wiodą go do *Jedykuły*. Jest to wieża ogromna o siedmiu piętrach, nad morzem wzniesiona, gdzie więźniów wtrącają i gdzie naszych brańców nie mało jęczy.

Pewnie się dumny Osman nie spodziewał, że mu przyjdzie płakać z tymi razem, których do ciemnicy sam wtrącić rozkazał. Przykuwszy go tam do wielkiego łańcucha, Janczarowie dopiero rozbiegają się po mieście, niby wielka rzeka, co swe rozrukane fale wszędzie toczy. Wpadają do meczetów, skąd złoto i kosztowności porywają. Mufty, co ich teraz chce zatrzymać, pierwszy pada krwią obłany, potem inni przedniejsi urzędnicy pomordowani. I dopiero wyciągają dawnego cesarza, stryja Osmana, Mustafę, który od trzech lat krył się w pieczarze nad morzem z dwoma niewolnikami, a przywikłszy do ciemności, słońca nawet znieść nie mógł.

Ten właśnie Mustafa, dawniej jeszcze przez brata swego Achmeta, na tron naznaczony, został po kilku miesiącach strącony, z powodu niedołążności umysłowej.

Przy nowym sułtanie, nowych zaraz mianują urzędników, a na wezyra, niby jak u nas kanclerza, starego Dauda wynoszą. Ten radzi natychmiast Osmana ze świata zgładzić, ponieważ liczni jego stronnicy, mogliby się zań upomnieć. Sam też na czele kilku spahów śpieszy do Jedykuły. Na widok zbrojnego oddziału, młody Osman pada na kolana, błagając o życie, ale okrutny Daud czekaniem go w głowę uderza, poczem inni siepacze jedwabnymi sznurami go udusili.

Niedługo cieszył się urzędem swym morderca; ledwie przy życiu został dzięki żonie swej, która była sułtańską córką, zrzucony został za to, że śmiał się splamić krwią ottomańską. Po nim jakiś Mustafa wezyrem, wkrótce znów Husseim, który się wziął do zaprowadzenia porządku, ale i to się nie podobało. Tak w Stambule dygnitarze, jak lalki się zmieniają, że w państwie żadnego ładu zaprowadzić nie można. Po Husseimie został wezyrem Dżurdżi, podły niewolnik, co zdradą i pochlebstwem wszędzie się wkręcić umiał i każdemu chytrze a skrycie zaszkodzić potrafił.

Tu znowu zaczął pan Suliszewski opowiadać, jak ościenni posłowie, korzystając z przedajności Dżurdżego, nam szkodzić usiłowali, zwłaszcza ksiądz Siedmiogrodu, na zgubę naszą zawsze czyhający.

Rzeczywiście przytem, jakie to podarki poseł perski słał właśnie do Saraju, że je ledwie dziesięć wielbłądów unieść mogło.

Teraz znów straszne zaburzenia w Stambule, bo zbuntowane wojsko „spahie” domagają się żołdu, z pod Chocima jeszcze niewypłaconego; przytem dochodów czyli „tymary,” którą dawniej pobierali, zanim ją odebrał sułtan Achmet, żeby ją poświęcić na utrzymanie wspaniałego meczetu przez siebie zbudowanego.

W Turcyi jest takie prawo, że sułtan dopóty meczetu budować nie może, dopóki nie zdobędzie prowincyi na utrzymanie onego, ale w ostatnich czasach prawo to poszło w poniewierkę i właśnie sułtan Achmet, wuj Mustafy, nie zdobywszy żadnej prowincyi, wznosił ogromnym kosztem przepyszny meczet. Wieże porfirowe, pokrycie z łuski złotej, sześć obelisków z alabastru wkoło, wewnątrz sto lamp oliwnych, wiecznym ogniem płonie. Pięciuset kapłanów pogańskich dla obsługi meczetu przeznaczono, a przytem szpital ogromny dla chorych i drugi dla psów, ptaków i kotów założono.

Takie to miłosierdzie muzułmanie praktykują. Dla zwierząt mają osobne jatki, gdzie im mięso z kamiennych stołów rozdają; ludzi zaś w ciężkich więzieniach głodem morzą i mękami dręczą, a jednocześnie ptaki z klatek wypuszczają, bo tak Mahomet przykazał.

Spahowie tedy, jak mówiłem, zbuntowawszy się, tłumem, wrzeszcząc i odgrażając się, otoczyli saraj

sultański. Domagali się hałaśliwie, żeby im księża z Achmetowego meczetu oddali zagrabione tymary; inaczej bowiem wymordują ich do szczytu, nie szanując kapłańskiej szaty. Przeciw spahiom stoją janczary i już ma przyjść do rozlewu krwi, gdy nagle Dżurdż pośpiesza uspokoić wzburzone żołnierstwo. Najprzód obiecuje im wkrótce wypłacić zaległe żołdy, przysła bowiem, jak mówi, wiadomość o flocie, wiozącej skarby z Alepu do Stambułu; ale bliżej jeszcze, powiada chytry pohaniec, znajduje się poseł z Polski, a z nim sto wozów haraczu, pod Chocimem Porcie obiecanego, który właśnie rozdany zostanie pomiędzy żołnierzy.

Za głowę się porwał księżę nasz, posłyszawszy o tym niegodnym podstępie psa pogańskiego, który od razu chce na nas zwrócić wściekłość chciwego żołdactwa.

Rozmowy późno w noc się przeciągnęły, ale i potem pan nasz oka nie zmrużył, rozmyślając o ciężkich kłopotach i niebezpieczeństwach ze wszech stron go otaczających. Słyszałem, leżąc w drugim kącie namiotu, jak się pan rzucał i kręcił na łożu ze skór niedźwiedziich usłanem, nie mogąc znaleźć spokoju w umyśle swoim. Modlił się też i bił w pierś często, wzywając od Boga Najwyższego rady i pomocy.

Ledwie błysnęły promienie zorzy porannej, już cały obóz w ruchu: jedni konie czyszczą, inni broń chędożą, a wszyscy, tak panowie jak i czeladź, oczekują niecierpliwie wiadomości z Caro-

grodu, co nam widnieje z daleka i błyszczy w słońcu porannem.

Wtem nadjeżdża pan Kulikowski z „czauszem” (gońcem) od wezyra i daje znać, że starania Greka Wewelego oraz wdanie się łaskawe admirała tureckiego Halli baszy, podziałały cokolwiek na usposobienie wezyra. Czausz, księcia pana w rękę całuje i witając go w imieniu pana swojego, oznajmia, że gotowy już Saraj ozdobny na przyjęcie księcia z dworzany, a osobne karwaser (gospoda) dla podwódt i czeladzi. To tylko czausz imieniem wezyra dodaje, że doszło do wiadomości tegoż, że księżę pan kupcom, ze sobą przybyłym, nie każe płacić cła do skarbu tureckiego. Niechże od zamiaru tego odstąpi, inaczej wezyr nie ręczy za bezpieczeństwo Polaków od żołnierstwa tureckiego.

Na to znów pan nasz brwi namarszczywszy, a wąsa pokręcając, odpowiedzieć każe, że mogą sobie panowie z Dywanu (rady wielkiej, niby nasz senat) zajrzeć do paktów króla naszego, wielkiej pamięci Zygmunta I z Solimanem zawartych i do innych późniejszych, czy kiedykolwiek słyszano, aby kupcy z wielkim poselstwem do Turcyi, lub stamtąd do Polski przybywający, płacili myto do skarbu. I teraz tego nie będzie; nie idzie o wielkie rzeczy, bo myto nie przeniosłoby parę tysięcy talarów, ale księżę, jako poseł wielkiej Rzeczypospolitej, praw jej w każdej okoliczności bronić i przestrzegać będzie.

Z tem odjeżdża czausz, ale wkrótce znów powraca, niosąc harde od wezyra słowa, iż nie tylko myto zapłaconem być musi, ale także poseł nie zostanie przypuszczonym do żadnych układów, dopóki nie złoży haraczu, zeszłego roku pod Chocimem Porcie obiecane.

— Cóżto nowego! — krzyknie książę gniewem wielkim zapalony: — cóżto za wymysły o haraczu jakimś, o którym nikt nie słyszał! Cóżto za fortele niegodne, ubliżające Rzeczypospolitej i jej posłowi! Mam, to prawda, ze sobą podarków dosyć dla sułtana i dworu tureckiego, ale te raczej w morze cisnąć każe, niżby miały być wzięte tytułem haraczu; bo tego Rzeczpospolita nasza dotąd nie płaciła nigdy nikomu i płacić nie myśli. A zresztą — dodał pan nasz w oburzeniu — wolę skarby, które mam z sobą, między spahów rozrzucić: niech oni sądzą, czy ma być pokój, czy wojna. Nie zapomnieli jeszcze pewno ciągów, które pod Chocimem dostali. Że ich wezyr nie pamięta, nie dziw, bo tam wcale nie był.”

I tak szlachetną swą głowę do góry wznosiłszy, a wzrokiem pioruny ciskając, pan nasz plecami się do czausza odwrócił, który z takim responsem do wezyra pośpiesza. Musiał pohańcowi temu opowiadać nie mało o wspaniałości i pańskim ułożeniu księcia naszego, co wśród dworzan, jak król wyglądał; przytem Dżurdzi nie w ciemną bity, wiedział, że między żołnierstwem wszystkiego złotem dokazać można, a przytem on i tak niebardzo bezpiecznie siedząc

i przekupstwem się wzniosłszy, od przekupstwa też upaść może.

Nad wieczorem też inną dostajemy odpowiedź. Tymczasem zjeżdżają do obozu pańskiego wysłańcy od rozmaitych zagranicznych posłów, którzy już w Carogrodzie bawią.

Najprzód tedy w złocistym kabacie Francuz na ślicznym karym koniu, za nim chorągiew z trzema liliami niosą. Dalej na złocistym kasztanie zdąża Anglik wysmukłej postaci i z powagą się kłania; tuż i Wenecyanin z ognistą czarną żrenicą, na białym rumaku jedzie; dalej powolny Holender; posłańcy od cesarza Austrii i dwaj hospodarsey agenci z Wołoszy.

Wszystkich książę pan uprzejmie witając, do świetnego wprowadza namiotu i rozlicznymi ich kordyalami a zakąskami traktując, mądrą zabawia rozmową. Wszystkim dziękuje za honor okazany jego osobie a życziwość dla Rzeczypospolitej, która całą Europę piersią swych wojowników, niby chińskim murem, zasłania.

Ku wieczorowi dopiero rozjechali się panowie, a tu znów czausz od Dżurdżego przybywa z lepszą już wiadomością. Wezyr dzień jutrzejszy na wjazd dla księcia naznacza i ze szczególnej łaski myto kupcom darowuje. Tak więc zdradny Turczyn, jak wąż kręcąc się w różne strony, wkońcu ulega księciu.

Nazajutrz dzień jasny i wesoły: po rosie płynie dźwięk trąb i surmy, a wszyscy się z posłania

Kurdej.

zrywają, co kto ma najpiękniejszego i najkosztowniejszego na siebie wdziewając, konie też w sute rzędy strojąc.

Wczesnym rankiem, gdyśmy już Mszy Świętej przez księdza kapelana w namiocie odśpiewanej wysłuchali, rozpoczyna się wjazd do Carogrodu.

Przodem ciągnie węgierska piechota, świecąc od szabel, wykładanych bogato i kit błyszczących. Śród nich muzyka z bębnow i serbskich piszczałek. Dalej sto wozów ciągnie, pokrytych szkarłatnymi derami, na których szyte herby Zbaraskich; potem kuchmistrz z kuchnią i dopiero karetą pozłocistą w sześć tureckich bachmatów zaprzężona. Za nią dziesięciu jezdnych, przepysznie odzianych; złote rzędy na koniach, jaskrawe czapraki, buńczuki złociste z piersi im spływają i złote munsztuki błyszczą w pysku. Dalej jadą dworzanie w deliach sobolami podbitych z aksamitów różnobarwnych, w kołpakach z kitami lśnąciami od dyamentów, pereł i drogich kamieni.

Między nami góruje książę pan królewską postawą: twarz ogarzała rumieńcem okraszona, wąs czarny z fantazyą do góry podkrecony, a wzrok bohaterski z dumą wokoło pogląda; usta uprzejmie się uśmiechają, bo pan nasz, choć srogi w potrzebie, umie też każdego za serce ująć wspaniałością i dobrocią wielką. Toga na nim złotolita; u kołpaka spinka z ogromnych dyamentów i kita z piór drogocennych. Blask bije od niego,

a Turki z rozwartą gębą przyglądają się posłowi polskiemu.

Przed nim stąpa sekretarz z buławą złocistą; po obu bokach tegoż Platemberg i Weweli; tuż dwaj czausze od wezyra przysłani. Sześciu giermków w aksamicie dzierży książęcego rumaka, a ten się wspina i pieni, żując złote wędzidło. Tuż za księciem paziowie: mnie ten zaszczyt spotyka, że przed innymi stąpając, niosę mitrę z zórawiem i pióry; inni po dwóch, pięciu rzędami, dźwigają broń złocistą drogimi nasadzaną kamieniami, tarcze, hełmy i sajdaki.

Dopiero jedzie młódź zwawa na koniach: jedni po rumelsku w delie jaskrawe przybrani; inni na złocistych pasach łuki uwieszone mają. Za nimi pacholkowie i giermkowie także konno, z bronią srebrem nabijaną, w łękach siodeł pistolety mają pięknie inkrustowane. Dalej poczet strzelców zbaraskich w złocistych deliach z piórami strusimi na głowie; broń od srebra błyszczy i na koniach także od srebra lśnią pierścienie. Za nimi kapitan, porządku pilnując, świetny poczet zamyka.

Takim wspaniałym pocztem zbliżamy się do Carogrodu; a pod jasnymi słońca promieniami wszystko zda się kąpać od złota i drogich kamieni. Rżenie i parskanie koni, łomot kół od wozów, szcęk broni i huk kopyt po mostach i brukach marmurowych, wszystko to sprawiało wrzawę niesłychaną, a od czasu do czasu grzmiały trąby i bębny się odzywały.

Cała też ludność stambulska wysypała się na drogę: z okien tysiąc głów, w turbanach barwistych, wyglądały jak pęki kwiatów polnych; inni na dachach i balkonach się wieszali, dziwując się wspaniałemu orszakowi księżęcia polskiego.

Dowiedzieliśmy się później, że wezyr, pękając z zazdrości, rozsyłał po mieście stróży, żeby lud do domów zapędzali i rozpowiadać kazał, że to rzeczpospolita ze wszystkich się skarbów огоłociła dla tego poselstwa, a w domu już nic nie zostało. Kłamał ten bezczelny pohaniec w tem, jak we wszystkim, bo przecież wiadomo, że pan własnym kosztem cały poczet trzymał i podróż opłacał, a tylko podarki wziął od króla jegomości dla sułtana i dworu jego, do czego potem jeszcze nie mało swoich dołożył. I niejedną na Litwie czy w Koronie magnat jemu podobny, który dla ojczyzny chętnie złoto i krew swoją oddać gotów. Przecież hetman Tarnowski własnym kosztem chorągwie na obronę rzeczypospolitej wystawiał i inni, śladem jego idąc, to samo robili.

To pewna, że takiego poselstwa Turcyja dotąd nie widziała, choć ich już nie mało z Polski tutaj przyjeżdżało. Było ich pono 64 od roku 1414, kiedy się pierwsze w Turcyji zjawilo, zanim jeszcze bisurmanie Carogród zdobyli. Za naszego króla Zygmunta III kilka ich było, zanim ksiązę Zbaraski do Turków wyprawionym został.

Tymczasem przed bramami Carogrodu jeszcze witali księżęcia na czele stu czauszów, wielki aga,

(niby hetman wielki), i wezerokihaja, pierwszy po wezyrze dowódca.

We dworze, dla księcia przeznaczonym, ucztę na ogromnych zastawiona stołach, gdzie dwór cały obficie znajdzie pożywienie; janczarowie dodali, jako straż honorowa. Tuż niosą dary od wezyra i kosze z prześlicznymi owocami. Podobnież sła frukta rozmaite inni urzędnicy, jak Daud stary, Janczar agi, kihaje od Spahów, wielki Mofty, wreszcie Halli, szlachetny i nam życzliwy admirał turecki. Cudne bo to były owoce, mój dziadziu, jakich pewno w życiu nie zobaczę: ananasy ciemno-złociste z liściem błyszczącym, jabłka wielkości ogromnej, kawony purpurowe w środku, a słodkie jak syrop najlepszy, melony, srebrzystą niby powleczone siecią, wonne i soczyste. Co tam granatów, fig olbrzymich, daktyli! a winogrona purpurowe od słońca, jak rubiny, gronami się zwieszają.

Nazajutrz rankiem ksiązę nasz na znak uprzejmości, kosztowne rozsyła podarki. Trudno spamiętać te wszystkie kosztowności, jakim podobne nie w każdym skarbie królewskim się znajdują. Zapisywałem to sobie dla ciekawości, bo nie podobnego już pewno w życiu nie zobaczę. Najprzód tedy dla wezyra, soboli najprzedniejszych pięć soroków (czyli sztuk 200); także zegar moguncki, przedziwnej roboty z rozmaitemi figurkami ludzi i zwierząt, co się ruszają i różne głosy wydają; wreszcie tysiąc koronatów (czyli skudów) w złocie, zamkniętych w szkatułce misternie wyrabianej.

Daud znów dostaje soboli soroków kilka, zegar i kunsztowne puzdro z jaspisu szarego, w niem 8 flaszek z wybornymi pachnidłami.

Aga janczarów otrzymuje zwierciadło w przepięknej, bursztynowej ramie i takąż wykładaną szafeczkę. Bursztyn, to skarb, który tylko w Bałtyku znaleźć można, a dla cudnego blasku i gładkości, wielce w Turcyi ceniony, że go nad perły i korale przekładają.

Dla Moftego idzie skrzynka, bursztynem wykładana z wybornem pachnidłem, także paciorki, których Turcy, jak my różańca, do modlitwy używają; pyszna sobolowa szuba i zegar w kryształ oprawny, tak, że widać wszystkie kółka, sprężyny, co się w nim ruszają.

Ibrahim pasza otrzymuje dwie pyszne janczarki (strzelby) w puzdrze hebanowem; smyczę podolskich hartów w złocistych obrożach i kozuch moskiewski, który sam książę niegdyś od księcia Dymitra był otrzymał.

Podskarbiemu zegar ze złocistą papugą, co skrzydłami potrząsając, godziny i kwadranse dzwoni; w dodatku soboli sorok (40).

Kihaja spahów dostaje złociste dwa puhary; pektoralik (zegareczek) w zielony jaspis oprawny i szubę z rysia złotogłowiem krytą.

Dla Kizlaragi warcaby i szachy z bursztynu misternie rzezane; także dwie tacki na słodycze i dwa bursztynowe kubki na kawę.

Halli basza, który przoduje między innymi Turki rozumem i uprzejmością wielką, ma w upominku wielkiej ceny futro, z lisów czarnych, marmurkam zwanych, trzy sobolowe szuby drogiemi materjami kryte. Prócz tego przepiękną, z białego jak śmietanka bursztynu, misę i nalewki w Gdańsku wyrabiane; także w misternem puzderku kompas, co wskazuje gdzie północ, przewodnik żeglarzy, kunsztownie przez Hiszpanów wyrobiony.

Innym urzędnikom dworu sułtańskiego śle książę pan różne upominki: temu sorok soboli, innemu zegarek albo piękną broni sztukę.

Wszyscy darami wspaniałymi ujęci, sławią hojność pańską i życzliwie odpowiadają. Jeden tylko wezyr wielki tajne knowa zdrady.

Nasyłał ów niegodziwiec morderców na pana naszego, ale ci, ujęci łaskawością i szczodrocią pana, który ich u stołu swego posadził, nie mogli znieść wzroku jego i padłszy na kolana, wyznali to, z czem posłani byli. Próbował i trucizny i innych środków wezyr podły, ale Bóg łaskawie chronił księcia pana wśród tylu niebezpieczeństw osobie jego i sprawie rzeczypospolitej grożącym.

Po długich dniach oczekiwania, jużemy i miasto zwiedzili i w łaźniach rozkosznych, których pełno jest w Carogrodzie, ochłody niejednokrotnie użyli, gdy wreszcie Dżurdzi dzień posłuchania księciu naznaczył.

Tymczasem po mieście chodząc, dziwujemy się rozmaitym pięknościami, zwiedzamy meczety rozlicz-

ne, pełne złota, marmurów i drogich bazaltów; oglądamy wodociągi olbrzymie, które budowali rzymscy jeszcze imperatorowie. Najwspanialszy wodociąg Adryanowy; on to wszystkie prawie fontanny i cysterny wodą napelnia; raz się pod ziemią ciągnąc kanałami krytymi, to znów piętrząc się w górę mnóstwem filarów wsparty. Soliman go jeszcze powiększył i ozdobił (w początku XVI w.) a drugiej takiej osobliwości w świecie nie znaleźć.

Cysterna *Bazyliką* zwana, niby w lesie z kolumn granitowych: 336 ich naliczyłem; druga cysterna jeszcze piękniejsza: 250 z górą samych marmurowych kolumn. A wszędzie obmywają się Turcy, jak tylko posłyszają wołanie muezyna.

Jest i hipodrom stary, gdzie się dawniej, za greckich cesarzów, wyścigi odbywały na wozach. Tam ogromna stoi kolumna z dwóch węzów miedzianych ogonami splecionych i obelisk olbrzymi z kamienia.

Wspaniałe też w mieście ruiny *Magnaury* pałacu greckich cesarzy. Słynny meczet *Selima*, a wkoło niego tłoczą się rozmaici kuglarze i błazny, i obskakują każdego obcego, który się tam pojawi, częstując różnemi sztukami. Raz tam o mało nie straciłem krótkiego, srebrem i emalią zdobionego pałaszyka, co mi u boku wisiał; tak to zręcznie jeden z łotrzyków chciał go odczepić, lecz go któryś z dworzan starszych, chwyciwszy za turban, daleko odrzucił, aż biedne Turczyko krzyknęło nieludzkim głosem ze strachu.

IV.

Posłuchanie u wezyra.

Wreszcie nadszedł dzień posłuchania u wezyra. Książę pan dosiadł rumaka, w dyamentowe rzędy przystrojonego; przy nim znakomitsi dworzanie konno, inni pieszo idą, a tłumy miejskie, które już niemało słyszały o pańskiej hojności i sławie, biegną, jak okiem zajrzeć, po ulicach. Jedziemy koło meczetów kilku: jeden cmentarzem otoczony, gdzie gromady psów się snują i kotów ogromnych bagdadzkich moregowatych, które tam pożywienie dostają.

Niedaleko już i dwór wezyrowy. Przy nim wieża wspaniała z ośmiu olbrzymich porfirowych brył spojona i ośmiu żelaznemi obręczami ściśnięta.

Na podwórku i przedsionkach gwardye janczarów stoją i czorbadżyje z pióropuszcami na głowach. Sala dywańska, cała wkoło złocistymi wyłożona materacami, gdzie rozmaici sekretarze pisząc, siedzą. Zwykle mają u boku przywieszony kałamarzyk, pióra i zwitek pergaminu. W tej sali zatrzymuje nas wezyrowy kihaja i księciu piękny wdziawa kaftan a dziesięć innych między dworzan przedniejszych rozdaje; taki u bisurmanów zwyczaj. Dalej książę sam postępuje; za nim nas dwóch paziów, niosących mitrę książęcą.

Wchodzimy do komnaty, obwieszanej kobiercami i materyami złocistymi, ale tu ledwie się głośno nie przeżegnał. Co za poczwara siedzi na złotogłowach, aż spojrzeć straszno: twarz jak z miedzi, tylko marszczkami poorana; nos rozdarty jak tykwa i gęba wywrócona. Oczy obrzmiałe a wypukłe, zdają się z głowy wyskakiwać, a brwi siwe, krzaczyste wicherzą się na czole. Ślina mu z pomiędzy dziurawych, żółtych zębów płynie, że zda się do zwierza szkaradnego podobniejszy, niż do człowieka.

Siedzi ta maskara, ni się ruszy, chociaż książę pan do komnaty wchodzi; wreszcie z materaców się dźwignąwszy, lekko łeb ogromny skłania. Książę w podobny sposób mu odpowiada, ale nam kazano przed tym nikczemnym pohańcem na twarz padać. Gdym spojrzał i porównał obu panów z sobą, jakże mi się pięknym wydał nasz książę: rozum w oku, powaga na czole i piękna wyniosła postawa; i tak na złocistem krześle siedzi naprzeciw bydlęcia tureckiego.

Teraz łatwiej zrozumiałem, jak to rzeczpospolita nasza czoło stawic może, ogromnym zastępom pogaństwa, co się na nią ustawicznie wałą. Ale nie było dużo czasu na rozmyślanie, już się bowiem wszczyną rozmowa długa a ciekawa, którą tłumacz obu panom przekłada kolejną. Książę jak należało, prawi najprzód komplementa, jakoby dobrze tuszył o sprawie, którą mu z człowiekiem już poważnym w laty rozstrzygać przychodzi. Nie potrafię ja powtórzyć pięknych słów książęcia, wiem tylko w ja-

kiem mówił sensie. Oto zapewniał, że z pokojem przyjeżdża, nie z wojną, że jako dawniej przyjaźń łączyła wielkiego króla Zygmunta z wielkim Solimanem, tak i teraz między Polską a Turcyą pokój mógłby zapanować, byleby poskromić z jednej strony najazdy chciwej tatarskiej szarańczy, z drugiej wybryki kozaków, na które się Porta często żali. Zresztą, mówi dalej książę, nie tu nowego nie przynoszę, lecz wysłany jestem ku zatwierdzeniu paktów chocimskich z dawnym sułtanem Osmanem zawartych, o których też wezyr dawny Dylawer, do brze wiedział, a które, zda się, obie strony zadowolnić mogą.

Na to wezyr, pusząc się i słowa brzydko żując, odpowie, że i on wielce rad, iż przed sobą tak wspaniałego księcia widzi, którego sława uszu jego doszła, że zresztą on, wezyr Dżurdzi, wie dobrze o dawnej sułtanów z rzeczpospolitą przyjaźni. I nie tylko to wie, ale wszystko, co się w świecie całym dzieje, aż do krańców ostatecznych Azji i do gór Abissynii, nie tylko tu pod boki; bo rozumem jego rządzi się całe państwo Ottomańskie, jak jest długie i szerokie od Dniestru aż do Nilu, od ziem Nogajców, aż do perskich granic. Ma i pakta chocimskie u siebie, ale wolałby pierwaj widzieć te, które zapewne i książę ze sobą przywiózł.

Na to książę, wása pokręcając, odpowiada, że paktów z sobą nie wozil, wiedząc, że je znajdzie w Stambule, ale tu nie tyle idzie o pergaminy i pieczęcie, ile o szczerą chęć i umysł życzliwy. Dotąd,

mimo sułtańskich obietnic, Kantymir, han tatarski, zuchwale ziemie polskie napastuje a Tomsza, gospodar skrycie mu pomaga i łupy przechowuje.

Wezyr ujmuje się za Kantymirem, synem swoim ukochanym, jak go zowie, a o Tomszy, rzecz, nieprawdę mówicie.

Tu się książę porywa, gniewem miotany i z trudnością oburzenie swe hamując, powtarza, że pierwszym sojuszu warunkiem, jest poskromienie tych dwóch łupiesców.

— Więc wojny chcecie, niewierni! — krzyczy Dżurdzi, czerwony jak indor, gdy się złością puszy.

Książę tłumiąc gniew dla dobra sprawy, w której był posłany, tłumaczy, że nie on zaczepki szuka, ale tylko czuje się obrażonym mową wezyra.

— A wy jak śmiecie na Portę się targnąć, niby nędzna mucha na słonia! — i dalej w podobne słowa krzyczy pohaniec niegodny. „Wam przystoi w Stambule wodę nosić, nie prawa dyktować sułtanowi, i t. p.”

Tu książę spostrzegłszy, że Dżurdzi umyślnie w złość go wprowadzić usiłuje, żeby go potem oskarżyć o chęć zaczepki, hamuje gniew, choć mu żyły krwią nabiegły i ręka sama się karabeli ima. Rzecz więc do wezyra, że się pod Chocimem pokazało, jak mucha ze słoniem potykać się umie. Co się zaś tyczy haraczu jakiegoś, o którym już wezyr wspominał, to prędzej pewno wybiłby do nogi wszystkich Polaków i kobiety i dzieci nawet, niżby

je do czegoś podobnego przymusił. Ale nie tu miejsce na podobne dyskursy; jeżeli zaś wezyr w taki sposób posłów zagranicznych przyjmuje, że ich słowa opatrnie tłumaczy i na uprzejmość obelgą odpowiada, to poseł polski innej sobie drogi poszukaj, a z wezyrem na grube słowa, dłużej mierzyć się nie myśli.

Tak, mniej więcej przemówiwszy, wstaje pan wyniosłe i krzesło złociste daleko pchnąwszy, ostro z komnaty wychodzi.

W podwórzu jeszcze, gdy pan konia miał dosiąść, dogania nas kihaja od wezyra, prosząc, by chciał się wrócić. Wezyr stary, mówi on, to się łatwo ofuknie, ale też prędko udobruchać się daje, niechże więc książę raz jeszcze spokojniej rozmówić się raczy.

— Wezyr w lata podeszły, powinien być i w słowach oględniejszy — rzecz, na to książę — a teraz mię pochlebstwem nie znęci. Niech swoją piękną mowę schowa dla innych, którzy mu stopy liżą, a z posłem polskim to się nie uda.

I dosiadłszy rumaka, jedzie pan nasz ku Galacie, skąd w złocistym czólnie do pałacu swego płynie.

V.

O wojnie chocimskiej.

Ja tymczasem proszę pana Samuela, żeby mi rozpowiedział o tej wojnie Chocimskiej, bo chociaż to czasy niedawne i wiele się o niej nasłuchaliśmy, jednak z ust pana Twardowskiego, wszystko jakoś piękniej brzmi, o sławie zaś ojczyzny i sto razy słyszeć mało. Rozpoczyna tedy rzecz w te słowa:

— Straszna to była ta wojna Chocimska: zdawało się, że już i naszej kochanej Polsce grozi zguba pewna i zagłada! Ale wielki jest Bóg; on zlitował się nad nami i dokonał wielkiego cudu przez nas niegodnych sług swoich.

Już po walce cecorskiej, w której zginął, jak wiecie, dzielny nasz Żółkiewski, taką dumą rozdał się młody cesarz turecki Osman, iż mu się zdawało, że głową gwiazd sięga, a jednym skinieniem, świat cały u stóp swoich położyć potrafi. Postanowił więc na wiosnę (1621), ruszyć całą swoją potęgą na Polskę, a stamtąd dalej na podbicie całego świata chrześcijańskiego. Wieść o tem szybko dostała się do Polski, a przebiegając lotem błyskawicy pańskie dwory i zagrody szlacheckie, trwogą i przerażeniem serca wszystkich napełniła.

Król Zygmunt III zwołał natychmiast sejm do Warszawy, dokąd też, nie ociągając się, jak to za-

zwyczaj bywało, zjechali się senatorowie i szlachta. Radzono o pieniądzach, o wojsku; wyprawiono posłów do innych panów chrześcijańskich z prośbą, żeby śpieszyli na pomoc zagrożonej Polsce, bo i im źle będzie, jeśli nas rozgromi pogaństwo. Wodzem wyprawy obrano tymczasem jednomyślnie hetmana wielkiego litewskiego, Karola Chodkiewicza. Któż inny mógł ratować ojczyznę, jak nie ten rycerz osiwiłały w boju, którego całe życie poświęcone było Polsce i królowi jej. Do pomocy dano mu Stanisława Lubomirskiego, młodego jeszcze, ale już sławnego rycerza, hetman bowiem polny Koniecpolski, jęczał w Tureckiej niewoli.

Na wiosnę (1621) zatknął Osman przed swoim pałacem w Stambule buńczuk, na znak, że sam osobiście wystąpi na czele wojska do boju. Nasze też wojska zaczęły się zbierać: Chodkiewicz Litwinów prowadził, Lubomirski wojska koronne. Obaj wodzowie, połączwszy się ze sobą, postanowili Dniestr przekroczyć i spotkać nieprzyjaciela na wołoskich już polach. Tak się też stało i po ośmiodniowej przeprawie, wojska nasze rozwinęły swoje proporce na prawym brzegu Dniestru, tuż pod Zamkiem chocimskim.

Piękny był widok tych zastępów rycerskich. Działo się to właśnie wśród najpiękniejszych dni letnich: słońce sierpniowe oświeślało tłumy różnobarwne, odbijało się jaskrawo na błyszczących zbrojach i orężach naszych rycerzy; na twarzach malowała się dzielność i wiara w zwycięstwo; wspaniałe ru-

maki parskaniem, rżeniem wesołem i skokami dawały znać, że czują odwagę ożywiającą ich jeźdźców, a wiatr lekki, szumiąc w rozwiniętych chorągwiach i znakach rycerskich, odymał wyhaftowane na nich orły białe, tak, iż zdawało się, że pragną co prędzej rozwinąć skrzydła do lotu, aby lecieć na boje, na pole zwycięstw i sławy.

Polacy rozłożyli się obozem; wkrótce też przybył i Osman, okrywając nieprzejrzanymi tłumami wszystkie okoliczne wzgórza. Ludy z trzech części świata, z Europy, Azji i Afryki zgromadziły się pod jego rozkazy. Różne języki, obyczaje, uzbrojenia, twarze, mieszały się w jego obozie. Zdawało się, że nie tym tłumom oprzeć się nie będzie mogło i sam Osman, tak też myślał. Młody, niedoświadczony, nadęty pychą, niecierpliwy, pragnął co prędzej napoić konie swoje w Wiśle, rozsiać się na Wawelu, króla polskiego okuć w pęta, doścignąć i ująć cesarza chrześcijańskiego, i całe chrześcijaństwo zdeptać kopytami swoich rumaków. To też, ujrawszy naszych garstkę, rzuciwszy okiem na swoich gromady, rozkazał natychmiast, nie czekając, ruszyć do szturmu.!

Był ranek, jutrzienka dopiero wyrzała, a Chodkiewicz już klęczał w kapliczce obozowej, modląc się do Pana Zastępów, gdy szpieg za szpiegiem przybывая, donosił, że Turcy już ruszają do boju, że Osman przysiągł, iż nic do ust nie weźmie, dopóki nie będzie mógł zasiąść do obiadu w polskim obozie. Chodkiewicz nie przerwał nawet modlitwy, a wresz-

cie wstawszy, rzekł spokojnie: „dobrze, rad mu będę, tylko niech nie zwleka, niech śpieszy, będzie miał bigos gorący z ołowiu i prochu”. Rozkazał też naszemu rycerstwu szykować się w oddziały i szeregi, a objeżdżając je dokoła, zagrzewał mową, dawał odwagi, przypominał czego bronić mają i czego kraj od nich się spodziewa. Mówiąc tak, zdjął szyszak i odkrył głowę z włosiem białym, a na słońcu zdawało się, że od niego jasność jakaś bije, że z twarzy mu promienie błyszczą złociste. Młódź rycerska, patrząc na tę sędziwą, szlachetną postać, rwała się do boju.

Zagrzmiał hymn Bogarodzica, a już Turcy ze-wsząd tłumnie obóz nasz otaczają. I rozpoczął się bój straszny. Nieprzyjaciel świeży, niczem dotąd niezrażony, walcząc pod okiem swego sułtana, rzucił się z całą zaciekłością, na przeklętych gjaurów; zdawało się, że od samego rozpędu, obóz nasz, w jednej chwili, zdeptany zostanie, a jednak nasi natarcie mocno wytrzymali i dzielnie odparli wroga. Tyśiące nalegających legło trupem, od trafnej strzelby, dwóch baszów pomiędzy nimi; po licznych a daremnych usiłowaniach zdobycia obozu, Turcy musieli odstąpić. Tego wieczora Osman wściekał się i pienił ze złości.

Odtąd rozpoczęły się szturmy prawie codzienne i trwały tak wciąż przez cztery tygodnie. Cudów męstwa nasi dokazywali. A któżby to wszystko wliczył. Ot, n. p. Zienowicz, sam jeden, wśród nieprzyjaciół, siekł naokoło mieczem, trupy padały ze

wszech stron, aż otoczyły go wałem, a on stał wśród tego wału, jak sęp krwawy; dopiero przyjaciele porwali go i zanieśli do obozu, gdzie, po trzech dniach, dokonał bohaterskiego żywota.

W innej znowu potyczce, Jan Lipski, otoczony czterema synami i małą garstką rycerstwa, walczył w otwartym polu z tłumem nieprzeliczonym Turków, którzy go zamknęli dokoła, jak w mrowisku, a on gdzie się zwrócił, to padali nieprzyjaciele, jak kłosa sierpem podcięte. Tak walczył do ostatniego technienia, aż padł, a synowie, wśród zaciętej walki, ciało jego nieśli, żeby je pogrzebać w pobliskim Kamieńcu.

Ale powtarzam, że napróżnobym się kusił, o przypomnienie tylu czynów bohaterskich. Historia to kiedyś opisze, a odległa potomność podziwiać będzie.

Osman, widząc, że mu się inaczej zupełnie wiedzie, niż myślał, patrząc na zgon najlepszych swoich żołnierzy, spuścił znacznie ze swej hardości. Naszym także słodko nie było. Zamkniętym w obozie, prochu i kul coraz ubywało, żywności brakło, znikąd pomocy doczekać się nie mogli, a co gorsza i smutniejsza rzecz, niż to wszystko, śmierć zabrała Chodkiewicza. Starzec, przyciśniony wiekiem, złamany trudami obozowymi, zachorował mocno i już znać było, że lampa życia jego, powoli się dopala. Tak się też i stało. Przed śmiercią zdał dowództwo Lubomirskiemu, który choć młody, dzielnie go zastąpił.

Trzymali się więc nasi, a Osman zniechęcony, upadłszy na duchu, zsunął się z tej wysokości, na której go pycha jego umieściła i wstydząc się samemu prosić o pokój tych, którym niedawno zupełnie groził zagładą, pozwolił swemu wezyrowi rozpocząć rokowania. Pokój więc został zawarty i my nie z ziemi ojczystej nie straciwszy, powróciliśmy, choć wygłodzeni i wynędzniali, do domu.

Ocalił nas Bóg, wstrzymał przez nas wielkie niebezpieczeństwo, grożące całemu chrześcijaństwu, zapomniawszy grzechów naszych i występków. Obyśmy się przynajmniej poprawili!

Tak skończył pan Twardowski opowiadanie swoje, a tu już i bramy pałacu książęcego przed nami się roztwierają.

W Stambule coraz gorsze zamieszki: janczowie szaleją. Raz nawet, wpadłszy do seraju, z wielkim trzaskiem i hałasem, Dywan rozpędzili; sułtan w strachu skrył się do haremu, a wezyr nad brzegi morza uchodził, chcąc się ucieczką ratować. Cóż to dziwnego, gdy rządy w rękę bezrozumnego szaleńca, a inni o sobie tylko myśląc, ładu żadnego wprowadzić nie chcą!

W takich okolicznościach, Dżurdzi nic sobie z posłem poradzić nie może. Boi się wziąć do gwałtu, a chciałby. Pokątne więc tylko szerzy intrygi i prze-

kłada Dywanowi, że najlepiej byłoby księcia hardego do Jedykuły zamknąć, ze wszystkich go skarbów odarłszy, wtedy pewno inaczej zaśpiewa. Nie raz też podobne w Turcyi bywały przykłady; niedawno, za Dylawera, poseł wenecki, na wrotach pałacowych, obwieszonym został.

Ale i my nie zasypiamy gruszek w popiele. Los sam dopomaga czasami, i tak właśnie w dzień posłuchania u wezyra, stara matka sułtana panującego, Mustafy wielce na kolki zaniemogła. Wijąc się z bólu, kazała prosić do siebie medyka książęcego, mądrego Krokiera, o którym dużo już przedtem słyszała. Nie bez strachu, wybiera się nasz lekarz do sułtany; w Turcyi bowiem ludzie na chorobach ani na lekach nie znając się, wszędzie zdradę i truciznę podejrzewają, za co lekarz pokutuje i zwykle za śmierć sułtana lub kogoś z jego rodziny, własnem życiem płacić musi. Ale na szczęście, tym razem powiodło się naszemu Krokierowi, sułtanę uratował i na wdzięczność jej dla siebie zasłużył, tak, że go codziennie wzywać kazała.

Z tego korzystając, lekarz rozповіда słówko po słowie o poselstwie księcia pana i zdradach wezyrowych, a gdy sułtana chętnie słucha, więc też książę pan, za pośrednictwem Krokiera, piękne jej podarki posyła. Znalazło się dla niej zwierciadło w bursztynie, wielkiej ceny, i misterny kołowrotek srebrny, za poruszeniem koła piękne melodye wygrywający. Dary te wielce się podobały sułtanie, która, coraz częściej i chętniej, jeła Krokiera o pana jego roz-

pytywać, obiecując przytem do sułtana w sprawie księcia przemówić.

W tymże czasie jedziemy w odwiedziny do Halil-baszy. Ten pana naszego z wielkim przyjmuje efektem. Ubrawszy go w kaftan precudnej perskiej roboty i po lewicy swej, na znak czci, posadziwszy, prawi o swojej, z lat dawnych, dla Polski przyjaźni. Basza sam, czerstwy staruszek, na złocistych siedzi poduszkach, a komnata wkoło niego, pełna dworzan, spahów i okazale odzianych pokojowców, których *ieżoglonami* zowią. Tuż, aż smutno powiedzieć, ale najwięcej widzimy naszej poturczonej braci. Pan Samuel, od razu okiem rzuciwszy, poznał młodzieńca z Kalinowskich rodu, co tu w turban przyodziany, baszy cybuchy nakłada, a krewniak jego wojska rzeczypospolitej w bój wie dzie, pan wielkich włości i serca wielkiego.

Śród spachów, znów wygląda z pod barwistego tulipana (bo takim krojem czapki noszą) twarz młodego Chmieleckiego. I to bratanek naszego Stefana, którego imię brzmi po całej Ukrainie, tyle z jego ręki pohańców zginęło, tyle brańców, dzięki jemu, uszło śmierci i gorszej od śmierci, hańby w niewoli pogańskiej.

Wszystko mi to przypomniał pan Twardowski, wielkim bólem zdjęty, na widok tej młodzieży straconej na zawsze dla ojczyzny i wiary.

Innych, choć po nazwisku nieznanych, rodaków tam wiele: niektórzy okiem ciekawem nas mierzą, jakby chcieli powitać znajomych dawnych: nie

jednemu też pewno serce uderzy, na dźwięk mowy ojczystej, w której ich kiedyś matka uczyła pacierza. Takem się o tem wszystkim zamyślił, że nie słyszałem nawet, co książę pan z Halilem mówili i że łąz w oku szedłem za panem, gdyśmy do domu wracali.

Dauda też pan odwiedza, gdzie równie uprzejme znajduje przyjęcie: kaftany, sorbety wyborne i gładkie słówka. Właśnie Daud był dobrej myśli, bo mu się udało kupić wielkiej urody Czerkieskę, którą natychmiast sułtanowi w upominku posłał. Mustafa tak się zachwycił jej widokiem, że wziął ją sobie za żonę, dotąd bowiem nieżonatym był. Młoda sułtana w wielkich była łaskach u męża, a Daud też nabył wpływu u dworu. Już w mieście gadają, że pewno on na miejscu Dżurdżego wezyrem zostanie. Teraz Daud, wpływów swych na korzyść księcia, użyć ubiecuje. Od sułtany matki również dobre przychodzą wieści, zaś posłowie zagraniczni też ujmują się za posłem polskim, potępiając złość wezyrową.

Już i Dżurdzi, gdy się o tem wszystkim dowiedział, nagle zmienia skórę, jak wąż złośliwy i śle czausza z zapytaniem o zdrowie książęce, tudzież z zachęceniem, by się wybrał pan nasz do pałacu wezyrowego w celu wznowienia układów.

Niechętnie, ale zmuszony koniecznością, ubiera się pan nasz do chytrego pohańca. Rankiem z całym dworem Mszy słucha w kościele Ojców Franciszkanów, którzy tu osiedli jeszcze za greckiego cesa-

rza Zemiscesa. Ci radośnie księcia witają a hojne otrzymawszy na kościół i klasztor podarki, z błogosławieństwem i życzeniami dobrymi pana wyprowadzają.

Tym razem wezyr, aż na schody się wytacza i objawszy księcia brzydkimi ramiony, śmie go upewniać o swej przyjaźni, zdrajca niegodny!

— Nie poznałeś — mówi — żem cię chciał doświadczać, jako ojciec syna; sfukałeś mię zaraz i zerwałeś układy. Ja przecież gotów jestem Kantymira i Tomszę poskromić, kiedy wam oni siedzą solą w oku.

Na co książę spokojnie odrzecz, że do takich afektów, ojcowskich wprawdzie, nie przywykł, ale kiedy teraz ma inne znaleźć przyjęcie, gotów prowadzić z wezyrem układy. Za uskromienie Tatarów i Wołoszy, opłacić się obiecuje pohamowaniem kozackich napadów, trzeba tylko prędzej układy kończyć, bo inaczej Zaporozczy, sądząc, że się posłowi co złego w Stambule stało, mogą w swych czajkach spuścić się aż tutaj, skądby dla Porty nowa urosła nieprzyjemność. Tak rozprawiając, już w sali zasiadają, gdzie poseł angielski się znajduje, przysłuchując się rozmowie.

Wezyr najprzód prosi księcia, aby zechciał pakta Chocimskie wydobyć, na których układy opierać się mają.

Na to znów książę pan odpowie, że poseł z paktami nie jedzie, ale gotowe je znaleźć się

spodziewa w sułtańskiej kancelaryi, gdzie złożone być muszą.

— A jakże, są, w spiżu i złocie schowane, tylko wydobywać ich nie chce mi się—rzecze wezyr.

Na to pan nasz, dorozumiewając się zdrady jakiejś, z uśmiechem odrzecz, iż się bardzo cieszy, że pakta tak pięknie schowane; pewno i przyjaźń rzeczypospolitej w wielkiej tu jest cenie.

Wówczas poseł angielski zrozumiałwszy subtelny żart książęcy, przeciwko wezyrowi skierowany, wdał się między nich i wnosi, żeby na inny dzień czytanie paktów odłożyć: wtedy może poseł zechce z sobą przywieźć papiery, a wezyr też swoje z pod spiżu i złota dobędzie.

Znów wezyr zagaduje pana o podarki, jakie przywiózł dla sułtana, pytając, czy wie, jak tu Pers niedawno wystąpił, że 30 wielbłądów darów jego unieść nie mogło.

— Dajcie nam — rzecze książę — tyle ziem nad Dunajem ileście ich Persowi zostawili, to i my się zdobędziemy na podarki, których słon nie udźwignie.

To właśnie, jak mi wytłómaczył pan Twardowski, żart był z Osmanowej przygody; bo kiedy sułtan pod Chocim się zbierał, szach perski, korzystając z jego zajęcia, zagarnął był sobie *Wan* i *Derbent*, piękne powiaty, które mu sułtan zostawić musiał, nie mając czasu z nim się ucierać i tylko z ziem tych dla Porty zażądał trybutu.

Dzurdzi zdziwiony, skąd się książę o tem dowiedział, zgryźć musiał orzech sobie podany, ale znów o podarki pyta.

— Upominki mam z sobą, ale to jako zakład przyjaźni, na którą i wasz pan wzajemnością odpowiedzieć musi. Innych podarków nie składam, bo trybuty Persom płacić wolno, lecz od nas żadne się nie należą. A tymczasem radbym wiedzieć, kiedy sułtana ujrzyć będę mógł, ażebym się tu bez potrzeby długo nie bawił.

Wezyr naznacza dzień niezbyt odległy na posłuchanie u sułtana i tak drugie nasze u niego kończą się odwiedziny.

My wszyscy między sobą dziwujemy się, jak to książę pan na każdą rzecz trafną a gładką odpowiedź znaleźć umie, w dowcipie swym i mądrości wielkiej, do której się ani umywał gruby zwierz pogański.

W powrocie jeszcze zajeżdżamy do Muftego wielkiego, a lud dziwi się, że z takim sumptem poseł wraca od wezyra, który niedawno groził, że mu każe gnić w ciemnej Jedykule, a teraz go w kaftany stróić i synem swym nazywa.

Mufty wielki pozwala księciu i dworowi jego całemu obejrzeć meczet wspaniały Solimana, któryśmy dotąd z wierzchu tylko oglądali. Otwierają się ciężkie ze spiżu podwoje, i widzimy grobowiec wielkiego Solimana z alabastru cały. Postać ogromna leży, niby śpiąca: na głowie tulipan z dwoma piórami czaplemi; jest to znak cesarzów tureckich;

w nogach lampa płonie, a u wezgłowia ogromne piramidy ze świec woskowych, bo u muzułmanów wosk, który pszczoły robią, świętszym ma być od oliwy.

Kolumn marmurowych tysiące wspierają sklepienie, na którym przedstawiony firmament niebieski w złocie i lazurze; lamp mnóstwo płonie i świeczniki rozliczne, że jaśniej niż od słońca blask od nich bije. Po marmurowej posadzce pełzną, mrużąc modlitwy, w białych szatach muzułmanie, jak stado łabędzi, gdy się na zielonej wyspie rozłoży. Na cmentarzu, przy meczecie, wspaniały grobowiec Roksolany, Rusinki, żony Solimana, do śmierci przez niego ukochanej.

Nie tu miejsce wspominać o wielkości Solimanowej, o której mi pan Samuel ciekawe opowiadał rzeczy, gdyśmy wieczorem do domu wracali: księżę pan batem złocistym przez morze, my łodem przez most.

Nazajutrz, jeszcze rano, wpada czausz od wezyra, jakoby ten życzył sobie widzieć podarki dla sułtana przeznaczone. Ale go księżę z tem odprawia słowem, że podarki zobaczy ten, dla kogo je przeznaczono, a w pałacu sułtańskim wezyr je później obejrzeć może, jeśli taki ciekawy.

Wieczorem, dnia tego, zjawiły się dwie Turczynki, przysłane od Halila baszy, dla rozweselenia i zabawienia księcia. Skoro podniosły przejryste zasłony, które im na twarz spadały, ukazały się oblicza przedziwnej urody: oczy czarne a smutne, usta

koralowe i pięć nadzwyczajnej białości. Strój miały turecki; więc zawoje złociste, koszule z cieniuchnej tkaniny srebrem przetykanej, szerokie pantaliony z jedwabnej materyi i pasy prześlicznie utkane, a na nogach purpurowe, złotem misternie haftowane pantofelki. Od głowy, spływają im długie, przezroczyste zasłony także złotem haftowane. Obie na kobiercu usiadły w kuczki, grają na cytrze i wdzięcznym a tęsknym śpiewem, przez długie godziny dwór cały zabawiają. Musiały to być branki, z krajów dalekich może tu przywiezione; ale nic się od nich dowiedzieć nie można było. Obdarowane hojnie, odeśłał je księżę do Halilowego dworu.

Trzeciego dnia potem, wypadło księciu stawić się na dworze sułtańskim. Jużemy się wybrali byli w pochód, gdy wtem przybywa aga, od gwardyi cesarskiej, z listem, wzywającym posła do seraju i upewnijającym go o łasce sułtańskiej. Wtem poznajemy robotę starej sułtany i jej ku nam życzliwość. Księżę pan dobrej myśli, na koń wsiada, a dwór cały za nim.

Do seraju sułtanów, wybudowanego, jak już mówiłem, na wysokiej górze, wiedzie jedna brama złocista a poza nią szeroka droga mozaiką wykładana między dwoma murami, przy których stoją gwardye janczarów, z długimi trzinami, w górę wzniesionemi; dalej czorkadżowie na koniach, z agą na czele. Przebywamy tę drogę, może na tysiąc kroków długą i wjeżdżamy w drugą bramę z alabastru, o wieżach złocistych. Tam znów, wśród cyprysów

i laurów, stoją mieszkania sultanek i ich dworu, zabudowane w kwadrat, a osobno pałacyki dla spahów i agów wojskowych. Tu już trzeba zsiąść z koni i pieczo wchodzić w trzecią bramę.

Pałac sultański, w kwadrat zabudowany, a wszędzie błyszczą dachy różnobarwne z okrągławemi kopułami, kolumn marmurowych mnóstwo, ze złocistymi nagłówkami, mozaiki, ganki i galerye złoczone. Cztery bramy otwierają się, na cztery świata strony: przez jedną, niby w pięknym obrazie, widać cieśninę Hellespontu, gdzie się morze o strome rozbija brzegi, a w koło stoją olbrzymie działa śpiżowe.

Druga na ogrody się sultańskie otwiera, gdzie altany bluszczem i powojem owite, drzewa morwo-we o błyszczącym liściu, wonne mitry, wawrzyny kwitnące, cytryny i pomarańcze.

Przez trzecią bramę, widać podwórzec zielony, gdzie się wyścigi konne odbywają. Obok, w stajniach cesarskich, konie najpiękniejsze przy marmurowych stoją żłobach.

Czwarta brama na miasto otwarta. Dziwnie z góry patrzeć na te dachy okrągławe, blachami różnokolorowemi pokryte. Pomiedzy niemi stoją okazałe meczety, które dawniej kościołami były; teraz przystrojone w złociste banie i kopuły. Śród jaskrawości i złota, ciemniej smutne cyprysy, jak plamy na różnobarwnym kobiercu.

Ale nie ma czasu długo się przyglądać temu wszystkiemu, bo już wychodzą na spotkanie księcia

pana agowie cesarscy. Dalej, czeka go siedmiu wezyrów w tulipanach na głowie; ci go prowadzą do osobnej altany, gdzie mu przesłiczny wdziewają kafftan, rozdając inne, ale już mniej piękne, pomiędzy dworzan, jak to jest zwyczajem muzułmanów.

Przed księciem niosą pacholkiwie upominki wielkiej ceny, jedne od króla naszego Jegomości, dla sultana przysłane; inne od księcia samego ku większej dodane wspaniałości. Już to pan nasz lubił się ludziom pokazać, i nie darmo Turcy mówili, że to chyba jaki przebrany monarcha być musi.

Pomiedzy upominkami najcudniejszym wydał mi się *zegar*, gdzie wyobrażone słońce i rozmaite planety. Wszystkie ruch swój mają, tak jak to nasz mądry Kopernik wytłómaczył, a wyrobione są kunsztownie w rozmaite figury, jak Niedźwiedź, Ryby, Lew, Baran, i inne znaki zodyaku. We środku zegara, przesłicznie wygrywa muzyka, godziny znacząc, a wszystko błyszczy od złota i drogich kamieni. Dalej idzie szkatuła, misternie ze srebra rzeźbiona, a w niej, śród miękkich aksamitów, rozmaite naczynia stołowe, ze złota i srebra wyrabiane; są tam kubeczki, flakony, miseczki, talerze, sztuce. Jest i *skrzynka* bursztynowa z rzeźbionemi Dryadami i innemi bóstwami leśnemi; przy niej osadzone dwie *kolumny*, ze złotymi haki do wieszania łuków i sajdków sultańskich. Wiele też niosą *futer* drogich i innych kosztowności, których już nie pomnę, ale co Turków najbardziej zachwycą, to *brytany*, ogromnej wielkości z nozdrzami rozdętymi, w złożonych obro-

zach, na grubych karkach; obok wiodą hajduki na złocistych sforach *wyżły*, rasy wybornej, nakrapiane jak lamparty albo rysie. Inni niosą sokołów białozórów dwadzieścia, wybornie utresowanych a ubranych w szyszaki skórzane.

Księcia pana dwaj wezyrowie, pod ramiona wzięwszy, przed sultana prowadzą a dziesięciu dworzan, prowadzą pod ręce czausze; my, dwaj paziowie, z mitrą książęcą, tuż za panem postępujemy. Dżurdzi przy tem oznajmia księciu, że ma głowę odkryć i tak dopiero iść dalej; na co mu pan nasz odpowiada, że czapkę z głową chyba razem zdjąć sobie pozwoli. Tak więc w kołpaku, przed tron cesarski przystąpiwszy, tam dopiero z gracyą się uklonił.

My przypatrujemy się sultanowi, że nam le dwie oczy z głowy nie powychodzą, a ten siedzi, niby lalka malowana, w kaftanie złocistym w palmy i róże haftowanym; na głowie ma turban, o dwu czaplich piórach, które w Turcyi, sultan tylko nosić może. Piękny ma włos czarny a jagody rumiane, może od farby jakiej, ale członki wszystkie rzucają się niby w konwulsyach, chociaż go cienkimi sznury do tronu przywiązano. Oczy dziko mu biegają, jak u zwierzęcia leśnego. Taki jest Mustafa, cesarz wielkiego państwa Ottomanów.

Próżno książę zręczną wymową a słowy krasnemi doń się zwraca: ten wciąż tylko łypie oczami i rękami przebiera niespokojnie.

Wezyrowie proszą księcia, żeby gwoli subtelnej kompleksyi sultana, mówą go długo nie męczyć i skończyć posłuchanie, dotknięciem cesarskiej szaty. Tymczasem Dżurdzi, z wielką ceremonią, listy królewskie otworzywszy, obiecuje dać odpowiedź na innem posłuchaniu; a tu już dwóch innych wezyrów, pod ręce księcia pana ujawszy, a sami przez uszanowanie dla sultańskiej osoby, wstecz idąc, z sali go wyprowadzają. My, jakoś śpiesznie się obróciwszy, znieważyliśmy przezacną osobę sultana, widokiem pleców naszych, zanim dygnitarze tureccy zdolali temu przeszkodzić, i takeśmy za panem salę opuścili.

Zbytków tam wielkich nie widzieliśmy: w sali cesarskiej ława, czy jak oni mówią sofa, aksamitem pokryta, zresztą gołe ściany, a wszędzie okna z błon bawolich.

Oglądamy się wokoło, a tu nas wiodą do namiotów, gdzie już uczła zastawiona. Księcia osobno do komnaty zapraszają wezyrowie; nas, dworzan, janczary częstują. Ale jakoś nie w smak nam szły tureckie potrawy, rozmaicie ryżem przyprawione, więc ich ledwo tknąwszy, wodę czystą pijemy. Za to janczarowie żwawo misy wypróżniają, polewając jadło miodem i winem, którego teraz, mimo zakazu Mahometa, używają często.

Wokoło stoi gwardya sultańska: *solaki*, co na golonych łbach, miedziane mają szyszaki i łuki zaw sze napięte trzymają, niby w gotowości bronienia cesarskiej osoby.

Mój drogi dziadziu, gdybym sam tego nie widział, tobym nie wierzył, że taką lalkę cesarzem nazywać można i jeszcze ludzie udają, że go szanują. Co innego nasz książę: jak spojrzy na człowieka, to się aż wesoło robi, a jak przemówi i uśmiechnie się życzliwie, toby się w ogień i wodę za nim poszło.

Otóż po traktamentach bisurmańskich, wychodzimy z Seraju przez bramę Propontyjską. Tuż przy bramie stoi meczet, dawniejszy kościół Św. Zofii. Chyba go olbrzymy budowały, takie się bryły z marmuru piętrzą wysoko, aż gdzieś do nieba! Wewnątrz żadnego niema filaru, tylko samo sklepienie pnie się ku górze, a nad niem kopuła przezroczysta, gdzie pomalowano obrazy z Historii Świętej. Bisurmanie zostawili to jeszcze, nie chcąc może psuć kopuły; w ścianach także obrazy świętych i Ojców Kościoła, ze złota i mozaiki wyrobione. Zresztą wszystko na meczet przemienione; tu gdzie dawniej przy trzystu ołtarzach Msze się odprawiały, teraz czolągają się Turcy, mruczając swoje modły do proroka. Ciężko wzdychał, patrząc na te świętokradztwa książę pan i nam się smutno zrobiło.

Dalej odprowadzają nas janczary, aż do pałacu księcia: tam im pan beczkę wina wytoczyć kazał. Nie mogli się jakoś oprzeć pokusie, a że Mahomet tak samo piekłem grozi, za kroplę, jak i za dzban wina, więc już sobie raz spróbowawszy, nie żałują, aż popadali jeden przy drugim, jak pnie świeżo ścięte. Jedni jeszcze śpiewają coś po bisurmańsku

głosem żalosnym, inni oczy wywracają, reszta chrapiąc, leży na podwórzu, a nasi z nich się tylko nasміewają.

Był też pomiędzy nimi Tatar jakiś, który u nas w niewoli lat parę przeżył i języka się naszego wyuczył. Ten nam opowiada, dlaczego Mahomet Turkom wina pić zabronił. Szedł, mówi on, prorok przez arabskie pustynie, aż tu na drodze spotyka wesele. Państwo młodzi proszą, żeby z nimi zasiadł do uczty, co pod palmami zastawiona była i częstują go wybornym napojem, z jagody winnej wyciśniętym. Jak skosztowali biesiadnicy tego napoju, nóż się ścisnąć, całować między sobą; łzy rozczulenia płyną im po twarzy, a prorok zdziwiony, że jest napój, co tak cudowne skutki sprawuje, błogosławi ten dar Nieba. A tymczasem ci, co się dopiero ścisnęli, nóż znowu potrącać jeden drugiego. Od łyżeczki do rzemyczki, jak zaczęli się przemawiać, tak w końcu, dobywają broni i krzyk, wrzawa, przez noc całą; nad ranem już tylko nosy poucinane i zęby wybite walają się po trawie, a Mahomet przeklina zdradziecki napój. Odtąd, właśnie, miał go Turkom zabronić, na wieczne czasy.

Tak nam ów Tatarzyn opowiada, a sam już ledwie językiem obraca, skosztowawszy książęcego wina.

Od dnia następnego, zaczęły się odwiedziny wszystkich posłów u naszego książęcia.

Najprzód angielski się oznajmia; francuski zaś obrażony, że książę tamtego najpierw u siebie przy-

jął, wcale już pokazać się nie chce. Przybywa też wenecki poseł Justynian, potem graf Thurn z Czech, który ciągle wichrzy między pany chrześcijańskimi, i teraz właśnie u Turka pomocy szuka, tego ksiązę, choć niechętnie, lecz z grzecznością przyjmuje. Jest i holenderski i węgierski i siedmiogrodzki; nawet perski poseł śle upominki, na które mu ksiązę, wzajem odpowiada.

Wszystkim tym świetnym gościom podawać każe ksiązę wyborne wino z Chios, cukry i konfekty przewyborne. Zabawiają się w komnatach długimi rozmowami i naradami.

VI.

Niebezpieczeństwo.

Siedzimy sobie spokojnie w Stambule i nie spodziewamy się nawet, jaka nam burza grozi. Właśnie nadchodzi termin płacenia wojskom żołdu. Już pałac wezyra wielkiego otaczają janczary, niby lasem włóczni i machając krzywymi szablami, pieniądze się domagają; ale niegodziwy Dżurdzi, bierze się na sposób. Mówi żołnierstwu, że właśnie chciał przystąpić do wypłacenia żołdu, cóż kiedy poseł polski wzbrania się wydać haracz, który przywiózł z sobą i w pałacu go gdzieś ukrywa. Wzburzone jan-

czary przebiegają ulice z krzykiem i wrzawą, a tu wpada do księcia czausz od Dżurdzgo, żeby się spieszył z oddaniem haraczu, bo inaczej nikt zbuntowanych janczarów od gwałtu nie powstrzyma. Pan nasz odpowiada, że haraczu jak nie było, tak nie będzie, a na rozbój poradzić trudno.

Tymczasem jednak dwór cały do obrony się sposobi: czeladź bije pale w ziemię, w celu oszańcowania się, rycerstwo broń nabija, a wrota wielkimi zaparto kamieniami. Wtem pędzi od agi janczarów Kihaja i w imieniu pana swego upewnia, że gwałtu żadnego nie będzie, że już aga wojsko hamuje i karci za bunt i swawolę, sam zaś głową własną ręczy za bezpieczeństwo posła. Ale zarazem uprasza aga, aby mu wytłómaczyć, jakie były te pakta chociażby i skąd wezyr ciągle o trybucie mówi. Na to ksiązę pan odpowiada, że choć te pakta nie każdemu do czytania dawane być mogą, jednak on, odpłacając się za uprzejmość agi, gotów je teraz okazać.

Wnet Kihaja z tłómaczem do pergaminów się biorą i z wielkiem zadziwieniem swoim, nigdzie ani wzmianki o trybucie nie znajdują. Gdy więc Kihaja adze swemu wiernie wszystko doniósł, ten zdał raport do Dywanu, a nazajutrz Dżurdzi ostrą otrzymał naganę. Musiał tedy złość swą, w głębi serca ukrywając, na nowo z księciem rozpoczynać układy.

Gdy nazajutrz czausz od wezyra na podwórze zajechał, i księcia pana niskim powitał ukłonem, my

wszyscy, ledwie śmiech w sobie tłumiąc, słuchamy ciekawie, na jakie się znowu wezyr bierze wybiegi. Znów tedy na dzień jutrzejszy księcia zaprasza, prosząc także, aby pakta chocimskie wziął ze sobą. Teraz już książę pan, ostatecznie przekonany, że ich wezyr u siebie nie ma, że w czasie zaburzeń zginąć musiały, postanawia za podstęp odplacić podstępem, i na taki bierze się sposób. Przez noc całą siedzi nad pergaminami, rozważnie rzecz każdą bada, a gdzieniegdzie coś poufnemu sekretarzowi dodać rozkazuje. Jeśli to zdrada, to dla dobra ojczyzny użyta, dobrą się staje; zresztą, przecież umowy nikt Turkom gwałtem nie narzuca, a nawet, jeśli chcą, odrzucić ją mogą.

My tego nie wiedzieliśmy, aż dopiero długo potem pan Samuel mi wszystko opowiadał, tłómacząc mądrość księcia naszego, który w każdej okoliczności coś dla dobrej sprawy zrobić umiał. Z temi więc, poprawionymi cokolwiek paktami jedzie książę pan do wezyra. Było z nim tylko kilku przedniejszych dworzan, a pan Samuel wróciwszy, rozpowiadał o naradzie. Tam się jawnie pokazało, że Dżurdzi żadnych paktów w śpiżu i w złocie nie chował, bo ich wcale nie miał. Przeczytawszy książęce pergaminy, musiał się upokorzyć, a w dodatku wysłuchać ostrych wyrzutów, które mu książę pan czynił za jego zdrady, pokątne knowania i kłamstwa wierutne. A od kiedyż to widziano, rzeczce książę pan, żeby posel o własnym koszcie żyć musiał w Carogrodzie; na to jednak stać, Bogu dzięki,

rzeczpospolitę i króla imci, jeśli sułtański skarb nie wystarcza.

Wszystkiego tego słuchać musi wezyr, połykając złość swoją, ale tymczasem, w cichości, coraz nowe gotuje zdrady. Książę pan chce go skłonić, żeby ostatecznie sprawę zakończył i pakta sobie przedstawione zatwierdził, lub do układania innych przystąpił, trzy miesiące już bowiem upłynęło, a dotąd sprawa nic a nic nie postępuje. Ale chytry wezyr łudzi obietnicami, że wkrótce wypłaci ze skarbu sułtańskiego pieniądze, za utrzymanie poselstwa; że układy chętnie podpisze, tylko się jeszcze przyjaciela jednego doczeka, który teraz na podróżach bawi; te i tym podobne rzeczy plecie bisurmanin, a na myśli ma wcale co innego, jak się później pokazało.

Mówią, że chce on doczekać się, żeby książę zapasy swe wyczerpawszy, na łasce jego został i dumę swą stracił. Ale nie zna pohaniec pana naszego; tenby i śmierci w oczy śmiało spojrzął, a nie zniósłby zniewagi swojej; tem bardziej zaś krzywdy ojczyźnie wyrządzonej. Tymczasem jednak, że muru głową nie przebiję, więc czekać musi książę, aż się coś zmieni.

Co dnia oddaje pan nasz wizyty posłom, którzy go nawiedzili: wszędzie uprzejmie przyjęty, tylko Francuza pomija. Mówił pan Twardowski, że podobno jeszcze od czasów króla Walezyusza, który to z Polski uciekał, zostały między nami a Francją jakieś kwasy i te byle o co, na jaw wychodzą.

Posłowie z panem naszym mądrze rozprawiają i głowami potrzásają na to, co się w Stambule dzieje. Gdzie szalencie cesarzem, mówią oni, a stara sułtana z wezyrem rządu sobie wydzierają, gdzie jedni przed drugimi intrygami władzę zyskać usiłują, tam trudno się spodziewać jakiegoś ładu i sprawiedliwości.

A tymczasem my, jak jeździmy, tak jeździmy po Stambule, czasami konno, czasami pieszo lub na łodziach. Jest też co widzieć w tem mieście rozkosznem. Galata, przedmieście, w którem zwykle przemieszkują posłowie, to port handlowy, gdzie zewsząd zwożą towary najosobliwsze. Ze Wschodu perły, złotogłowa, purpury, muszle rzadkie, pióra nadzwyczajnej piękności, kość słoniową, pachnidła, owoce, wyroby prześliczne z damasceńskiej stali, jedwab i innych rzeczy mnóstwo. Inne znów towary z Europy: srebro i cyna z Anglii, futra ze Szwecyi, z Flandryi tkaniny przeróżne; z Wenecyi granatki, błyszczące jak ogień. A jak się zbiorą ludzie z rozmaitych krajów, to każdy inaczej ubrany, każdy inną szwargoce mową. Tu Maur czarny z białymi zębami, tu Murzyn nawpół nagi o grubych wargach, tam znów Indyjanin żółtawy, albo Pers ruchliwy w długich sukniach; Grek gadatliwy uwija się w czerwonym fezie na głowie i najlepiej towar swój zachwalić umie.

Żydzi, Cyganie, wszystko to się kręci, popycha jeden drugiego, że ich, jak mrowia różnobarwnego, nad morzem nasypano mnóstwo.

I statki też rozmaite krążą w porcie, wywiesiwszy flagi barwiste. Turek zawsze spokojny, mało-mówny, przechadza się z fajką na długim cybuchu, a choćby jak najwięcej był zajęty, nigdy nie opuści godziny modlitwy i umywania nakazanego przez proroka. Bo też i wody mają podostatkiem; gdzie się ruszyć, to fontanna tryska do góry, albo cysterna w ziemię wmurowana.

Są co prawda w Stambule i domki małe, brudne i kupy śmiecia obrzydliwego, gdzie psy gromadami obozują. Ale to się tak prędko w oczy nie rzuca, jak pałace i budowle wspaniałe. Jest tedy arsenał, na ćwierć mili długi, a dachem spiżowym pokryty, i wiele innych gmachów pięknych, a wszystko jak w zwierciadle, w morzu błękitnem się przegląda. I chociaż zima już się na dobre u nas w Polsce rozgościła, to tu jeszcze kwitną i wonieją najpiękniejsze kwiaty, dojrzewają cytryny i pomarańcze. Ale nie oddałbym za te wszystkie rozkosze ojczyzny naszej pocziwej, nie dałbym za te gaje z cytryn i fig naszych borów i lasów, gdzie tak jakoś drzewa szumią latem, jak gdyby sam Bóg z ludźmi rozmawiał, a zimą, śniegiem okryte, lśnią się niby brylantów tysiące.

I lud u nas inny: jak zacznie spiewać tęskno a żałośnie, to się serce rwie z piersi, a w kościele, gdy organ zabrzmi, to dusza do nieba wprost leci. A dwory nasze, stare, modrzewiowe, pod lipami i gruszkami cienistemi, to jakoś cieplejsze i miłsze zdają mi się od tureckich pałaców z marmuru i złota. To też

wszystkich nas coraz większa zdejmuję tęsknota za domem i krajem rodzinnym.

Już Boże Narodzenie nadchodzi, kiedy właśnie Turcy swój *Bajram* obchodzą. Właśnie przed Wigilią świętą, zebraliśmy się przy ognisku rozpalonem w podwórzu (bo w Turcyi kominka nigdzie niema) i gwarzymy sobie zcicha. Wtem słyhać dzwonek księdza kapelana. Dzwonią, bo umiera dworzanin pański, Tysiecki poczciwy, co tu przybył szukać syna, gdzieś w niewolę przed laty uprowadzonego i nigdzie go znaleźć nie mógł.

— Kto wie — mawiał — może go już śmierć zmiotła, a co gorzej, pożał się Boże, może na mnie patrzy, z pod jakiego turbana i ojca rodzonego nie poznaje, bo mu i wiarę, i rozum, i serce polskie odebrali. Dzieckiem był jeszcze, kiedy go z domu pod Tulczynem na Podolu porwali Tatarzy, a teraz jużby dwadzieścia pięć lat liczył i byłby podporą mojej starości.

I tak się biedny ojczysko martwił a frasował, że zachorzał ciężko i w gorączce jeszcze modlił się do Pana Boga, żeby mu na tamtym świecie syna zobaczyć pozwolił. Potem majaczyło się mu, że widzi jedynaka swego w turbanie, z jataganem tureckim i krzyczał: „Precz, precz renegacie!” A potem rzewnym się zanosił płaczem, aż nam, cośmy tego słuchali, łzy ciurkiem po twarzy płynęły. Dotąd krzepił się biedak nadzieją, że odszuka dziecko swoje, znosił wszystkie trudy i niewygody, ale kiedy raz upadł na duchu, to i sił mu do życia zabrakło. I sko-

nał biedny Tysiecki, ale przed śmiercią samą uspokoił się, przyjął Najświętszy Sakrament i cicho modląc się, usnął. Pogrzebaliśmy go na greckim cmentarzu i napis został na kamieniu wyryty, na wieczną pamiątkę.

Takeśmy smutno Święta rozpoczęli. I dziwne to było Narodzenie Boże; ledwie o północy, gdy ksiądz kapelan przy podróżnym ołtarzyku Pasterkę odprawiał, huknęliśmy kolendę, jak kto mógł i umiał: jedni grubym basem, inni cienko, jak piszczałki.

Wkoło nas wcale co innego słyhać: Turcy *Bajram* obchodzą; pełno w mieście gwaru i hałasu. Zrana w meczecie Zofijskim, sułtan z dworem całym modłom asystuje. Przodem stoi mufty w infule złotistej: ręce wznosił do góry i głosem wielkim modlitwy odmawia. Wszyscy inni milczą i stoją jak skamieniały; błyszczą im barwiste na głowach turbany, a gdy na imię proroka i Ałłaha padną na twarz, to zda się kwiecie na łąkach od kosy ścięte.

Nagle, przy końcu nabożeństwa, hukną wszyscy razem: Ałlah! aż meczet zadrży. I dopiero się rozchodzą, zapraszając jedni drugich na festyny, aby po długim poście społem biesiadować.

Przy takiej uroczystości, niewolno być w meczecie żadnemu giaurowi; ale kilku z dworzan książęcych, młodszych i swawolniejszych, poubierawszy się w tureckie zawoje, potrafili się wsunąć do meczetu, żeby wszystko wypatrzyć. Ale jak zaczęli, dziwne miny wyrabiać, chcąc Turków naślą-

dować, ci ich poznali, byłby się wielki gwałt zrobił; szczęściem wśród tłumu i zamieszania, figlarze wymknąć się potrafili. Potem szły skargi do księcia pana o znieważenie proroka i Ałłaha, pan obiecał śledztwo zarządzić, ale że się nikt do winy przyznać nie chciał, więc rzecz całą śmiechem zakończono.

Wieczorem w Bajram całe miasto w ogniu zda się: wszędzie światła płoną; na górach stosy, co się w morzu tysiącem ogniów odbijają, pochodnie po wszystkich ulicach, lampy kolorowe w oknach, na gankach i dachach nawet; i miasto i morze pali się łunami złocistemi oblane. Tak Bajram w Stambule obchodzą. Nam się zdaje, żeśmy przeniesieni do zakłętego jakiegoś królestwa, gdzie wróżki i czarodzieje mieszkają. Ale w dzień bajramowy straszno patrzeć na tych Turków: święci ich derwisze, jak szaleńcy wściekli, po ulicach latają, krzyczą, miotają się jak w konwulsjach, rzucają się na wszystkich, i to niby duch Boży tak ich opętał.

Zjeżdżają się na tę uroczystość z Azyi, z Afryki i z rozmaitych muzułmańskich krajów do Carogrodu. Teraz właśnie, z powodu wielkiego zjazdu, nowa się stała przygoda. Zawsze Azyaci mają jakieś uprzedzenie do Turków europejskich, zawsze się z nimi o coś spierają. Oto i teraz poczynają wy-
mawiać jedni drugim, że pod Chocimem dużo ludzi stracili, a nic nie zrobili, że nieład straszny w mieście, swawola między wojskiem, wreszcie Azyaci, srodze się oburzają za zabicie Osmana. Zamiast walecznego młodzieńca, który byłby szerzył sławę

Porty, posadziliście, mówią oni, na tronie Ottomanów chorego maniaka, a teraz wszyscy się naigrawają z takiego cesarza i cudzoziemcy wstyd nasz rozwożą po świecie całym.

Od słowa przyszło do bójki: całe miasto wre od dzikich wrzasków, zabijają się ludzie po ulicach, aż tu Dżurdzi na nowy pomysł wpada. Każe ogłaszać, że nazajutrz mają być traceni wszyscy ci, którzy się przyczynili do zabicia Osmana. Wnet się rzeź rozpoczyna: krzyk, lament w mieście; ścinają głowy baszom, agom, lud rozłoszczony chwyta niewinnych. Łodziami doganiają tych, którzy na morze uciekali, biją z dział, żeby łódki zbiegów zatopić, a wszędzie wrzawa piekielna.

My siedzimy zamknięci w dworcu książęcym, aż tu czausz od wezyra przylata i w te słowa się odzywa, że wszystkim wiadomo, iż to książę przechowuje przyjaciela swego a zabójcę Osmanowego, starego Dauda, że widziano nawet, jak mu książę konie do ucieczki dawał. Książę krótko odpowiedzieć każe, że przyjaciół w Stambule niema, że osoba posła zawsze i wszędzie jest nietykalną.

Niewiadomo, jakby się było skończyło, ale właśnie janczarzy gdzieś za miastem u chłopca w słomie znaleźli ukrytego Dauda. Wywlekli tego starca, co już miał lat siedemdziesiąt z górą, przywiązali go na szkapie jakiejś z gołą głową, z roztarganą siwą brodą i tak go obwożą po ulicach miasta. Po dwukroć wiodą go umyślnie przed pałac księcia, a starzec biedny jęczy, płacze, na los swój wyrzeka; wre-

szenie zamykają go do ciemnicy, dopóki nań wyrok nie padnie z Dywanu.

Żona tymczasem Daudowa, z młodą córką razem, biegną do janczarów z podarkami, z pieniędzmi, błagają o łaskę nad nieszczęśliwym starcem, któremu już niewiele do życia zostaje, obiecują jeszcze hojne dary i dopóty odejść nie chcą, aż usłyszą słowa pociechy. Nazajutrz Dywan się zbiera i wyrok śmierci na Dauda wydaje. Już kat w pogotowiu, pień pod głowę przynoszą, wtem krzyk, hałas, szczęk broni; wpadają janczary i Dauda z rąk katowskich wyrwawszy, niosą go do seraju. Tam stroją go w kaftan złocisty, i już słysząc okrzyki: „Daud wezyrem! niech żyje Daud!” Do Dżurdźego ślą po pieczęcie, a Dżurdźi już daleko, już wsiada na łódź, co go unieść miała w bezpieczniejsze miejsce, gdy znów janczar aga, na wieść o zamieszanu, do seraju wpada. Tam już zastaje Dauda, pysznie na wezyrowej sofie posadzonego. Rozgniewany tym widokiem, rozdziera na sobie suknię i srogo poczyną gromić janczarów za ich swawolę, która już granic niema, za to, że najprzód zamordowali sultana jednego, teraz znów wezyrów chcą mianować, że wstyd przynoszą całej Porcie Ottomańskiej, że ich straszne kary od Ałacha czekają i tak dalej; a wreszcie silną ręką Dauda na ziemię strąciwszy, do więzy go prowadzić rozkazuje.

Tejże nocy tam go uduszono i martwe ciało rankiem żonie nieszczęsnej oddano. Nie koniec na tem: lud wzburzony rzucił się aby mordować rodzinę

jego. Trzej synowie, których pono miał Daud nadzieję osadzić kiedyś na tronie sultańskim, zdołali umknąć teraz, ale dzieci ich małe, co przy matkach zostały, wyrznięto do szczętu, żeby złe nasienia wytępić. Tak mówili mordercy.

Dżurdźi tymczasem znów do władzy wraca, a książę pan, srodze tym strapiony, próbuje raz jeszcze zjednać go sobie podarkami. Śle mu więc wanę ogromną, srebrną, na lwich łapach wspartą; szubę rysią i sto portugałów, w złotym kubku rzezbionym. Każe przytem wezyrowi przypomnieć, że wiosna się zbliża, a Kozacy zaporozcy, nie doczekawszy się powrotu posła, pewnie znów do państw sultańskich wpadną i zamieszanie zrobią. A lękają się ich Turcy jak ognia, zawsze trzymają galery uzbrojone, na brzegach morza Czarnego i wieże ogromne pobudowane mają o parę mil za Carogrodem. Już raz, za naszej bytności, powstał był gwałt wielki w nocy, z armat nawet strzelano, ale rankiem czajki kozackie znikły, jak ptaki morskie, i niewiadomo gdzie się podziały, zostawiwszy tylko tu i owdzie łuny pożaru za sobą.

Czy ta groźba poskutkowała, czy upominki pańskie, dość, że wezyr odpowiada pomyślnie: iż za tydzień najdalej, odprawa posła będzie daną, a tymczasem, jeśli książę chce wozy i czeladź na przód wyprawić, to wezyr straż i konwój dla nich naznaczy. Mocno wieścią tą pan nasz się ucieszył, bo już źle tuszył o sprawie całej i srodze się trapił, nie mogąc jej w żaden sposób do końca doprowadzić.

Cieszymy się wszyscy, że już nam krótki czas w Carogrodzie bawić wypadnie, a tymczasem chcemy jeszcze zwiedzić, co w mieście do widzenia zostało. Za pozwoleniem tedy księcia pana, wybrało się na wędrowkę kilkunastu i mnie się do nich wkręcić udało, przy panu Samuelu, który na czele idzie, a wiele rzeczy znając i umiejąc, wszystko nam tłumaczy.

Najprzód od lądu miasto obchodzimy, gdzie obwód murów trójgraniasty, a na każdym kancie warownia stoi mocna. Na zachód, przy morzu Marmora, *Jedykula*, wieża straszna o siedmiu piętrach, gdzie więźniów znaczniejszych sadzają i coraz ich niżej spuszczaając, często w morzu topią, albo w lochach podziemnych duszą. Na wschód zamek stary dawnych cesarzów greckich, na południe seraj nowy sułtański.

Oglądamy też zwierzyniec sułtana, gdzie są rozmaite z daleka sprowadzone zwierzęta. Lwy, lamparty, tygrysy obłaskawione chodzą wokoło swego strażnika, także girafy z szyją długą, z szerścią plamistą, jak lamparta. Mrówki indyjskie wielkie sobie usypały mrowisko, przy którym się uwijają jak robotnicy, albo żołnierze przy koszarach swoich.

Tu się żółw wielki, afrykański na słońcu wygrzewa, tam znów spaceruje ichneumon, wróg krokodyla, któremu jajka zjada. Słonie znów osobne mają pomieszkania, ale tam nie idziemy, bo się ich dosyć codziennie w mieście napatrzeć można.

przytem wojska tureckie wielką moc słoni za sobą prowadzą.

Dalej, u stóp muru serajowego siadamy w *peremy*, (tak tu łodzie zowią) i płyniemy Bosforem ku północy. Na prawo azyatyckie mamy brzegi, gdzie zdala już widnieje góra Olimp, śniegiem i mgłami okryta. Na lewo mijamy przedmieście Galatę a Stambuł już za nami został. Nad Bosforem ogromna stoi wieża, gdzie wieczny ogień płonie, jak gwiazda dla żeglarzy nigdy niegasnąca. Po obu brzegach zielenią się cyprysowe gaje, rumienią się różkrocie i tulipanów złocistych. Ziola tu tak pachnące rosną, na wszystkich łakach i wzgórzach, że owce, gryząc je, same napęniają się wybornymi sokami, i dlatego mięso ich w smaku przednie, jakiego u nas nigdy znaleźć nie można.

Śród zieleni, zdaleka widzimy zamki warowne, co tu brzegów strzegą, od Kozaków szczególnie, którzy często przez morze Czarne się spuściwszy, tu zaglądają. Inni znów goście od południa płyną, ale tych się Turcy nie lękają. Są to ryby, gromadnie płynące wiosną do morza Czarnego, bo tam woda mniej słona i żywności dla nich podstatkiem.

Na zimę, znów ku południowi uciekają wodne mieszkańce, i wtedy najwięcej ich Turcy poławiają, bo są dobrze utuczone.

My się nie puszczamy ku Czarnemu morzu; zatrzymał nas bowiem pan Samuel przy parowie, gdzie w skałach ostre sterczą haki. Tu nasz Wi-

śniowiecki Jeremi, ksiązę i pan serca wielkiego, wisiał przez trzy dni za żebro uczepiony, i chwałę Boga naszego, Mahometowi urągał, że go wreszcie Turcy strzałami zakłuli, nie chcąc tego słuchać dłużej.

Patrzmy też z daleka na Jedykulę, gdzie zginął ksiązę Korecki, a teraz jęczy naszych jeńców mnóstwo, o których się ksiązę pan dopomina, okup za nich złożyć obiecując. Niejeden z dworzan pańskich spodziewa się tam znaleźć krewnego, może ojca, brata lub syna: czekają też niecierpliwie dnia, kiedy nas razem z jeńcami wypuścić stąd obiecano.

Nadchodzi wreszcie ów dzień pożądaný, kiedy się Dywan turecki ma zebrać i odprawę dla posła Rzeczypospolitej polskiej uradzić. Właśnie było to u nas święto Matki Boskiej Gromnicznej; wszyscy więc do kościoła OO. Franciszkanów śpieszymy, a ksiązę pan tłumacza tylko do seraju na posłuchy wyprawia.

Ten dopiero nad wieczorem powrócił, wszyscy go obstępują ciekawie; żeby posłyszeć, co z sobą przynosi, ale on śpieszy do księcia pana, któremu gorzkie zwiastuje wieści. Oto, mówi on, gdy się rada zebrała, Dżurdzi występuje z mową, jako zdaniem jego, należy sprawę poselstwa załatwić. „Wprawdzie, rzecze wezyr, mając teraz pokój z Persem i z cesarzem niemieckim, odnowiwszy właśnie ligę z Wenecją, możnaby zwrócić siły na Rzeczpospolitą polską, ale ponieważ nie wszyscy do tego chcą mają,

więc można sprawę polubownie zakończyć i pakta chocimskie potwierdziwszy, posła do Polski wyprawić.”

Cały Dywan chętnie się na to zgadza, i już się rozchodzić mają, gdy wtem jeden ze spahów znamięnionych, co wkoło Dywanu straż trzymają, prosi, by i jemu wolno było prześwietnej radzie w tej sprawie słówko powiedzieć, bo przecież i wojsko, które krew swoją w obronie Porty przelewa, ma prawo do narad słowo jakie wtrącić. Człowiek ten, jak się ksiązę pan łatwo dorozumiał, od Dżurdżego nasadzony, jał prawić, jako z pewnych wie źródeł, że polskie poselstwo, to wierutna zdrada, że poseł po to tylko do Stambułu przybył, żeby wyśpiegować, co się w mieście dzieje, że już nawet wszystkie słabsze wynotował miejsca, skądby miasto dobywać można; że jak go tylko ze Stambułu wypuszczą, to natychmiast Kozacy tu wpadną, bo oni tylko na powrót księcia czekają, że król polski zaprzysiągł wieczną wojnę z półksiężycem i teraz właśnie tajne z cesarzem i Rzymem rozpoczął knowania, że tylko przez senat zmuszony, wyprawił obecnie poselstwo, chcąc Porcie oczy zamydlić. Takie i tym podobne kłamstwa prawi poplecznik Dżurdżego. Wreszcie zapytuje radę, czy nie lepiej byłoby tymczasem posła w Jedykule osadzić, a czausa od Porty do Polski wysłać, żeby się dowiedział, co tam istotnie myśla. Ze swiątą księżącą także, jak mówi, poradzić łatwo, a to tak, żeby kilku dworzan przedniejszych z księciem w więzieniu zostawić, resztę pomiędzy

siebie rozebrać, zaś dorodniejszych na służbę do seraju przeznaczyć, resztę w łańcuchy zakuć, żeby na galerach pracowali i darmo chleba nie jedli.”

Tu Dżurdzi językiem emokając, rzecze: „Co za rozum w młodym człowieku; co nam starym na myśl nie przyszło, to on mądrze i pięknie powiedzieć umiał. Pewnie, że tak być musi, bo i ja o jakiś tajnych knowaniach słyszałem, ale pewności nie mając, nie mówić nie chciałem.”

Więc i cały Dywan znów za Dżurdzym głosuje, tak, że w chwilę później, zamiast dawnego postanowienia, wyrok wydają, żeby księcia pojmanego, w Jedykule osadzić i tam trzymać, dopóki się Porta o niewinności jego nie przekonała. Na trzeci już dzień, to jest w sobotę, ma nastąpić wykonanie niegodnego wyroku. Tłómacz, posłyszawszy to, wymknął się żwawo z sali, śpiesząc z opłakaną relacją do księcia pana.

Tak się jawnie pokazuje, że zdrada i niegodziwość Dżurdzgo potrafiła swego dokazać. W obcym mieście znikąd pomocy spodziewać się nie można, cóż więc czynić? Księżę pan, nie wiele myśląc, wszystkim do obrony sposobić się każe; całą więc noc nad uzbrojeniem, tudzież zabezpieczeniem bram i ostrokołów pracujemy. Rankiem, wszyscy wyspowiadawszy się z księciem panem na czele, do stołu Pańskiego przystępujemy i modlitwą pokrzepieni, czekamy, co się dalej stanie.

Tymczasem jednak śle pan posłańca do Dżurdzgo, wymawiając mu zdradę krwawą, a przypo-

minając obietnice niedawno czynione. Z drugiej zaś strony, tajnych a zręcznych wysła ludzi między jan-czarow, żeby obficie złota między nich rozsypawszy, wywieść się starali, jakie ich usposobienie, a jeśli prawda, co mówiono, że oni oddawna przemysłiwają, jakby na miejsce Dżurdzgo, dzielnego Husseima osadzić, żeby im dali poznać, iż księżę pan chętnie w tem dopomoże i hojnymi podarki starszą obdarzy. Tak przeciw zdradzie podstępnie pan nasz walczyć musi, żeby interesów i życia własnego bronić.

Kiedy agenci księżęcy między wojskiem się uwijają, wraca od wezyra posłaniec nasz z wieścią, że księżę pan ma się nazajutrz przed Dywanem stawić, a jeśli dobrowolnie pośpieszyć nie zechce, to go przymusić potrafią.

— Trzeba było — dodaje wezyr — od razu się ukorzyć i mnie za pana uznać, toby sprawa inaczej poszła, a teraz nie moja wina. Dywan tak osądził i tak być musi.

Po tem *dictum* nie wesoło nam wieczór upłynął, i w nocy mało kto oko zmrużył: jedni wspominali ojczyznę lubą i rodzinę, którą tam zostawili; inni, młodszy, układają sobie, jakby pohańcom dokuczyć, a wszyscy niecierpliwie ranka czekają. Wreszcie dzień zaczęło, słońce weszło i już nawet spory kawał drogi ubiegło, a posłańców od Dywanu jak nie widać, tak nie widać. Przed południem dopiero słyszemy tętent kopyt końskich i za bramą jeszcze

woła głos jakiś: „Gotujcie dukaty, upominki gotujcie, bo z dobrą wieścią jadę!”

Runęli wszyscy ku bramie: już otaczają gońca, na rękach go prawie z konia zdejmują, a było też za co, bo ten co tchu rozpowiada przed księciem panem, że Husseim wezyrem, a o Dżurdzim nie słychać już nawet.

Wczoraj wieczorem przybył właśnie z Afryki Husseim, a że od dawna podarkami i obietnicami jedną już sobie stronictwo, więc radośnie, chociaż w cichości, przez wojsko przyjęty. Rankiem dopiero z wielkim gwarem i hałasem wpadają janczary do seraju; tam stoły wywracając i naczynia o ściany tłukąc, krzyczą, że im do sułtana pilno. Wychyla się z komnat przerażony Mustafa, a janczary wołają, że nie chcą mieć wezyrem Dżurdżego niedołęgi, podlego niewolnika, co niedawno w haremie służył, ale dzielnego Husseima, który nie jedną bitwę stoczył i nie jedno już odniósł zwycięstwo. Straż sułtańska stoi nieruchoma, sułtan nic nie odpowiada, janczary więc, z agą swoim na czele, pędzą do Dżurdżego i każą mu oddawać pieczęcie do rąk cesarek. Dżurdzi na kolana pada, zdejmując co najprędzej łańcuchy, godła, pieczęcie, błaga o litość dla lichego robaka, który się kornie poddaje woli i mądrości pana swojego; janczary zaś, zabrawszy to, po co przyszli, porzucają nikczemnego starca, na ziemi pełzającego, a Husseima ze sobą wzięwszy, do sułtana z nim pośpieszają.

Mustafa już siedzi w wielkiej sali na tronie, a przy nim szafa pełna zabalsamowanych głów wezyrów. Urzędnicy sułtańscy tłómaczą Husseimowi, że jeśli woli cesarskiej nie poszanuje, to i jego głowa wkrótce do tej szafy się dostanie, strącona wszechwładnem ramieniem pańskim, ale z drugiej strony, jeśli urząd swój dobrze pełnić będzie, to go łaska pańska nie ominie. Po tej komedyi, zwykle towarzyszącej mianowaniu wezyra, stroją Husseima w kaptan złocisty i pieczęć mu na szyi zawieszają. Już się Dywan zbiera na powitanie nowego wezyra, Dżurdzi zaś, nie zdoławszy uciec, siedzi pochmurny i złość swą połyka.

Husseim występuje z przemową do rady, wytykając rozmaite zdrady i złe a chytre postęпки Dżurdżego. Wtem spostrzegłszy między ludem w sali zebranych kilku naszych, każe im śpieszyć do księcia z przyjaznem pozdrowieniem od nowego wezyra i zaproszeniem na posłuchanie za dwa dni od tego w pałacu wezyrowym.

Niewiadomo co myśleć o tem wszystkim. Ten sam Husseim, dawniej będąc wezyrem, zgładził ze świata naszego księcia Koreckiego Samuela, co był jeńcem w Jedykule; mówią o nim, że kogo polubi, temu potrafi być przyjacielem; co raz postanowi, tego nie zmieni, ale też wrogowi nigdy nie przebaczy. Zawsze lepiej z największym okrutnikiem mieć do czynienia, niż z owym niegodnym, chytrym psem Dżurdzim; tak mówi książę pan i znów się do odwiedzin u wezyra nowego gotuje.

Tymczasem w mieście gwar i radość: jaczary się cieszą, bo im wezyr nowy musi nową odzież sprawić i suty bankiet wydać, a znów całe miasto wezyrowi przez trzy dni podarki znosić powinno. Od bejów i agów najglówniejszych począwszy, od kupców i urzędników najbogatszych, aż do ostatniego żołdaka i rzemieślnika najuboższego, każdy coś przynieść musi. Posłom zagranicznym także z upominkami wystąpić należy, więc i nasz książę śle dwie szuby wspaniałe, sobolowe i szkatułę bursztynową, pełną dukatów w złocie.

Biedni Ojcowie Franciszkanie z Galaty śpieszą upominki składać; a grecki metropolita, stary Metrofan nie wstydzi się bić czołem przed bisurmanem, ukląkszy na ziemi, jak gdyby przed świętym obrazem.

Mają Turcy przysłowie, gdy mówią, że dość trzy dni być wezyrem, i prawda! bo przez te trzy dni Husseim pewno górę złota nagromadził; nie długiej się też musiał spodziewać pomyślności, łodzie jego bowiem dniem i nocą na morzu stoją. Na nich wkrótce do Egiptu umknął, aleśmy tego szczęściem nie widzieli.

W poniedziałek książę pan do Husseima z poczem swoim jedzie, ten go przyjmuje na schodach i uprzejmie dalej za rękę prowadzi. Dopiero gdy obaj na miękkich, złocistych usiedli sofach, zaczyna opowiadać, jako on dawno jeszcze temu w Wołoszy. wojując, nauczył się Polaków dzielność i uczciwość cenić, jako raz, dzięki Żółkiewskiemu hetmanowi,

zdradzieckiej zasadzki hospodara na życie swe uniknął, i nigdy tego do śmierci swej nie zapomni, przytem ubolewać zaczyna nad smutnym zgonem wielkiego hetmana pod Cecorą. Potem znów prawi, że go sława księcia naszego już za morzem doszła, a teraz sam oko w oko nań spojrzawszy, poznaje jakiego człowieka ma przed sobą i odprawę jak najlepszą przygotować dlań pragnie.

Tu mu książę pan równie życzliwie a pięknie odpowiada i upewnia, że jeśli pakta pomyślnie zatwierdzone zostaną, to jemu, Husseimowi król nasz miłościwy Zygmunt III życzliwości tej nie zapomni i hojnie wywdzięczyć się potrafi: teraz zaś książę, w imieniu króla Imci i Stanów rzeczypospolitej, podziękowanie wezyrowi składa, za jego piękne zachowanie się i dobre obietnice. I dopiero obaj razem na Dżurdżego powstają, nikczemne jego czyny rozprowadając. Potem znów książę pan prosi, żeby mu więźniów dozwolono wykupić z Jedykuły, a przede wszystkim hetmana Koniecpolskiego, bo inni nie dożyli tej chwili.

„Kto nie doczekał tej chwili, temu już widać tak było sądzono,” odrzecz Husseim, jak gdyby się nie poczuwał do morderstwa na księciu Koreckim dokonanego. O hetmanie zaś Koniecpolskim rzecze, że go już sobie Gabor Siedmiogrodzki wyprosił i okup zań ma składać; innych wszystkich za stosownym okupem książę zabrać może.

Na tem się audyencya u wezyra kończy; książę, w kaftan suty przyodzian, z poczem swym do

domu wraca, a lud się dziwuje, że ten, który dopiero co do wieży Czarnej miał być wtrącony, teraz w takim poważaniu przez miasto, jak król jaki jedzie.

Nie spodziewał się książę nowych przykrości, jakie go czekały. Oto Grek Weweli, który się potrafił był wkraść w jego łaski, że go z sobą wziął do Carogrodu, często jako sekretarza używał, i nawet mu wiele tajemnic zwierzył, teraz zgłasza się nagle, domagając się nagrody za usługi swe tu i pod Chocimem jeszcze, około dobra Rzeczypospolitej położone, kiedy z bisurmany o pokój traktował. Przytem odgraża się, że jeśli nagrody stosownej od księcia nie otrzyma, to będzie musiał usługi swe wezyrowi ofiarować.

Oburzony temi pogrozkami książę, którego już pierwej z boku ostrzegano o rozmaitych niegodziwych Wewelego sprawkach, mimo łask i faworów, jakich Grekowi nie skąpono, wpadł w gniew wielki i zalecając Wewelemu, żeby za pakta Chocimskie od Turków a nie od rzeczypospolitej nagrody się domagał, i z pogrozkami odzywać się nie śmiał, za bramę wygonić go rozkazał.

Podły a mściwy Greczyn, wyszedłszy z pałacu, nazajutrz skoro świt, do Husseima się wślizga i dopiero mu plany swoje rozwija.

Najprzód prosi, żeby jego, Wewelego, hospodarem Wołoszy mianować, a on pięć juków złota wezyrowi przyśle i haracz znacznie większy, niż Radała płaci, dawać będzie. Przytem radzi, żeby od

posła polskiego zażądać 100,00 dukatów, które jeszcze w paktach chocimskich dla wezyra przyrzeczone były. O paktach też wspomina, że one właśnie podrobione zostały, o czem on, z życzliwości Portę ostrzegając, wezyrowi na baczności mieć się radzi i chytrego księcia Zabaraskiego dobrze przycisnąć zaleca.

Husseim wszystkiego tego wysłuchawszy, dopiero Greka łajac i lżyć poczyną, a w łańcuchy go okuwszy, do lochów Jedykuły spuścić rozkazuje; potem zaś o wszystkim księciu panu wiedzieć daje, upewniając, że on podobnym zdradom i śpiegostwom ucha nie nadstawia, z posłem zaś polskim szczerze i po przyjacielsku postąpić pragnie.

Tak się ta brzydka, a niebezpieczna dla nas sprawa zakończyła, tylko jeszcze książę pan wstał się u wezyra za Wewelim, żeby mu życie darowano.

VI.

Zakończenie.

Nazajutrz po książęcem posłuchaniu, znów był w Stambule wielki gwar i rozruch, bo właśnie admirał Hali basza wracał z wielkiej wyprawy, przeciwko Hiszpanom, na którą przy nas już był wy-

jechał. Tam łupów nabrawszy sporo, kilkanaście statków chrześcijańskich z połamanymi masztami, za sobą przywłókł, zostawiwszy na nich flagi dawniejsze. Na jednej więc powiewa obraz Chrystusa na Krzyżu rozpiętego, na innych — herby hiszpańskie, orły i rozliczne godła, na które patrząc, serce się krwawi, że się w moc pogańską dostały. Ale cóż się nam dzieje, gdy widzimy Halego w tryumfie przed Dywan zajeżdżającego, a za nim sto chłopiąt idzie, braniców chrześcijańskich z oczkami zapłakanymi, główki ku ziemi skłoniwszy. Okropny los ich czeka: teraz płaczą i tęsknią za ojczyzną drogą a wkrótce zapomną i o niej, i o Bogu, i o rodzicach własnych.

Turcy z pomiędzy jeńców najpiękniejsze wybierają chłopięta i sprzedają bogatym panom muzułmańskim, a ci chowają je, jak zwierzątka, ku zabawie i rozrywce swojej. Poją je trunkami, żeby w nich pamięć wszelką zabić, tak, że wkrótce stają się podobne bydłatom bezrozumnym: bez uczuć żadnych, bez odwagi, bez serca, przypochlebiają się tylko swym panom, i tym sposobem nieraz do łask i zaszczytów przychodzą. Najczęściej jednak umierają młodo, albo straciwszy zupełnie rozum, stają się pośmiewiskiem służby, upodleni gorzej od innych niewolników.

Inni, w ciężkich pracując robotach, w łomach kamiennych, albo przy wiosłach na galarach, do których są łańcuchem przykuci, chociaż męczeni i bici, mogą przynajmniej duszę niepodległą zachować

i wspomnienie ojczyzny drogiej; czasem też niejednemu wrócić się zdarzy po długich lecjach z niewoli do domu i swoich. Tamci zaś giną na zawsze dla tego świata i przyszłego nawet.

Rozprawiając o tem wszystkim, wracamy do pałacu książęcego, a tu właśnie pan nasz posyła zaufanych dworzan na bazar, bo się dowiedział, że Tatarzy, dopiero co przywiedli gromadę jeńców ukraińskich, żeby ich sprzedać w Carogrodzie. Każe więc pan się dowiadywać, jacy to ludzie i próbować, czyby ich zakupić nie można za te pieniądze, które jeszcze w skarbie pozostały. Wtem znowu przybywa od Gabora Siedmiogrodzkiego agent z żądaniem, żeby książę Zbaraski dodał, co jeszcze braknie do wykupu pana hetmana Koniecpolskiego, bo pieniądze na ten cel przez rodzinę jego, w ręce Gabora złożone nie wystarczają jeszcze. Oburzył się nasz książę na ten czyn nikczemny, że sobie biorąc sławę, na niego chcą zwalić ciężary, ale gotów na wszystko, byle ratować przyjaciela, przemyśliwa, skądby wziąć znaczną sumę, bo już wszystko prawie co miał, na utrzymanie dworu i hojne podarki był wyszafował. Nie ma rady: musi pójść srebro stołowe, żeby dopełnić żądanej przez Turków wagi 30,000 talarów w srebrze. Znosi więc służba srebrne misy, drogie puhary, prześliczne z herbami Zbaraskich kubki, roztruchany, i wszystko obuchem tłukąc, żeby się drogie pamiątki w ręce Turkom nie dostały, w wory składają. Szafarz pański z płaczem prawie oddaje te drogie zabytki rodzinne, więcej jeszcze dla pamięci,

niż dla pięknej roboty cenne. Już mają ruszać z podworca muły, kosztownym obciążone ładunkiem, gdy Husseim od tłumacza o wszystkim zawiadomiony, gońca śle do księcia pana, że ponieważ on gotuje wykup, więc jemu samemu hetman Koniecpolski będzie wydany. Co więcej jeszcze, za dopłatą 50,000 talarów w srebrze, rozkaże wezyr wszystkich innych jeńców polskich w Jedykule uwolnić. Niech więc nazajutrz poseł przed Dywanem się stawi, a otrzyma wraz z odprawą poselstwa więźniów, których się mu publicznie w ręce wyda, wezyr bowiem pragnie, żeby książę był uczczonym i wyniesionym w oczach wszystkich i to tam właśnie, gdzie go krzywda i zniewaga spotkała.

Dopiero z wiadomości takiej radość i wesele największe. Teraz już chętnie zbiera każdy złoto i srebro, co na uszczęśliwienie braci naszej, a na chwałę księcia pójść ma. Wszystkie naczynia stołowe książę znosić każe, bo mu drożsi bracia rodacy, niż wszystkie zbiory naddziadów; inni też przynoszą, co kto może, za pańskim przykładem, i wkrótce okup cały do wezyra odesłano.

Potem każe pan wina beczek parę wytoczyć, a wszyscy ucztując, cieszą się z blizkiej odprawy; zdaje się nam, że już domy rodzinne widać z daleka, a mnie w oczach staje nasza piękna krzemieńcka góra, choć do niej tak jeszcze daleko.

Nazajutrz książę pan rozkazuje dworowi swemu, jak najsutsze przywdziać szaty, żeby pohańce nie sądzili, iż nam wszystkiego teraz zbraknie, i do-

piero jedziemy do Seraju wezyrowego. Na wschodach, znów Husseim pana naszego spotyka i pod ramię go wzięwszy, przed Dywan wiedzie; z dworu kto może, na salę i na galerye przyboczne, weisnąć się stara, nas tylko dwu paziów, jak zwykle, z mitrą książęcą za panem postępuje.

Kiedy spojrzeć na turecką Radę, co w sali złocistej się rozsiadła, zda się, że sami mędrcy tak obradują: brody siwe, długie, kaftany wspaniałe złotem i drogimi kamieniami szyte, na głowach szumne zawoje ze złotogłowiu; ale w głowie mało co się znajdzie, jak to się i w sprawie księcia naszego pokazało. Raz go uczciwszy, w godzinę potem do wieży wtrącić każą, a teraz znów go czcić gotowi.

Pacholki wnoszą złociste krzesło, na niem pan nasz siada i zgromadzeniu się całemu pokłoniwszy, mowę niedługą, lecz piękną rozpoczyna. Najprzód wyliczywszy krzywdy, jakie tu niezasłużenie poniósł, podstępny i zdrady liczne Dżurdżego, tłumaczy, jako ten człowiek pałał chęcią wzniesienia niezgód i wojny między Portą a Rzeczypospolitą Polską, wówczas gdy on, jako poseł wyprawionym był tylko w celach pokojowych. I wtem dobywa z worka, złotem haftowanego a nasadzanego drogimi kamieniami, pakta wszystkie, jakie od lat stu między królami polskimi a Portą zawarte były. Te Husseim w ręce wzięwszy, z radością dziękuje posłowi, że tak pięknie zachowane były i przeglądając je zaczyna; szczególnie mu się podoba list

Solimana do króla Zygmunta I przed, stu laty pisany.

Tam dzielny sułtan, już siedemdziesięcioletni, upewnia króla naszego, w pełni wieku stojącego, o swej przyjaźni. Prosi również i zaleca, żeby przyjaźń ta przejść mogła na ich synów, to jest naszego królewicza Zygmunta Augusta i na Selima, jego własnego, którego następcą swym mieć pragnie, matkę jego Rusinkę Roksolanę bardzo ukochawszy. Poleca przytem sułtan, żeby się król Imć od posła swego, pana Opalińskiego dowiedział, w jakim rodaczka jego poważaniu, na dworze tureckim zostaje, jako małżonka Solimanowa. Mówi tu właśnie o Roksolanie, pono córce popa, niegdyś z Czerwonej Rusi uprowadzonej, która z niewolnicy stała się panią i całym serajem trzęsła, dopóki ją w późnej już starości śmierć nie zabrała, coś około czasu, gdy nasza Bona życie postradała. Odtąd spoczywa Roksolana we wspaniałym grobowcu, który jej Soliman przy meczecie swoim wznieść kazał.

List Solimana kończy się zapewnieniem przyjaźni na długie lata.

Te i tym podobne pakta wezyr przejrzawszy, występuje z mową do Dywanu, w której przekłada, że skoro taki mądry i wspaniały cesarz, jak Soliman z Polską sojusz mieć chciał, to musiało być rzeczą bardzo dobrą i pożądaną. I teraz cóżby przyszło Porcie z tego, gdyby nawet całą Rzeczpospolitą zawojować mogła; ma przecież pustyń dosyć, których zaludnić nie może, a Polacy, chociaż naród bitny

i dzielny, bogactw jednak w ziemi swej [nie posiadają. Nie kopią złota, pereł nie poławiają, jedwabników nie hodują. Większa korzyść teraz z ich przyjaźni, niż byłaby w innym razie z zabrania ich kraju, gdyby to się zrobić dało.

Obecnie kupcy tureccy mają znaczny odbyt na towary swoje w Polsce, i stąd dla handlu korzyści płyną; idzie o to jeszcze, żeby Rzeczpospolita Kozaków na wodzy trzymała, a zato nawzajem trzeba ją zabezpieczyć od Tatarów.

On więc, wielki wezyr, chociaż i sam o tej sprawie stanowić może, zapytuje jednak Dywan cały, czy się zgadza na zawarcie przymierza z Polską i danie natychmiast odprawy jej posłowi, który dotąd, przez tyle miesięcy na ogromne narażony koszt, sam się w Carogrodzie utrzymuje.

Na takie pytania cała rada znak przyzwolenia daje, schylając głowę w milczoniu, jak to u nich zwyczaj, bo kiedy my, Polacy, przy każdej sposobności dużo się nagadać musimy, Turek przeciwnie, najchętniej milczy.

Otóż gdy Dywan pochyleniem głowy życzliwą dał odpowiedź dla księcia naszego, nagle huknie po wszystkich galeryach i przedsionkach wokoło sali okrzyk: „Iz Ha!la!” bo się taka uchwała ludowi zebranemu podobiała.

Wnet też wezyr pisarzom pakta na wzór Chocimskich, przez księcia podanych spisywać każe, a sam księcia do przedsionka prowadzi, gdzie już nań czekali jeńcy nasi z Czarnej wieży oswobodzeni.

Ci przypadną do kolan pańskich, a księżę chociaż poznaje w nich ludzi znakomitych urodzeniem, nie z gminu prostego wziętych, jednak wcale tego po sobie nie pokazuje, żeby się nie zdradzić przed Turkami, którzyby zaraz wielkiego okupu za nich żądali. Tak tedy jeńcom rękę do pocałowania dawszy, idzie pan dalej i im za sobą iść każe. W podwórzu czeladź pańska wsadza ich na konie, bo zmęczeni ciężkimi kajdanami, ledwie poruszyć się mogą; brody ich długie, włosy splątane na piersi spadają, twarze nabrzmiałe i sine, a odzienie z grubego, żaglowego płótna i lichych kozuchów. A jednak skoro w pałacu księżę pan rozpytywać ich zaczyna, okazuje się, że wielu ze znamienitszych pochodzi rodzin. Radośnie ich pan nasz wita i jako druhów do stołu swego sadza, a ci ledwie szczęściu swemu wierzyć mogą, na myśl o powrocie do ojczyzny miłej.

Ciekawe oni powieści o niewoli swej rozpowiadają, ale tu ich powtarzać nie mogę, bo i tak może za długo prawie o tem wszystkiem.

Pan hetman Koniecpolski udaje się osobno do swej drużyny, która go już od dawna w Carogrodzie oczekiwała z przywiezionym okupem, a do którego właśnie, gdy się szczupłym okazał, pan nasz od siebie złota i srebra dodał.

Teraz już na seryo o powrocie myślimy; przodem wyprawia księżę wozy i sprzęty niepotrzebne, z częścią czeladzi i konwojem od wezyra przydanym, tudzież z listami bezpieczeństwa od sułtana wziętymi. Chciał ich tam potem niepokoić Tomsza

zdradliwy i wędrowne Tatarów gromady napastowały, ale wszyscy ustąpić musieli przed firmanem sułtańskim. Udało się więc przewieźć do Polski, utajony w jednej podwodzie skarb drogocenny. Było to ciało księcia Koreckiego, uduszonego w Jedykule, wykradzione pobożnie przez OO. Franciszkanów i u nich na Galacie w klasztorze, w smolnej beczce dotąd przechowane. Teraz pod opieką księcia naszego, wróciło do ojczyzny, żeby spocząć w rodzinnym Koreu. Familia suty pogrzeb zwłokom bohatera sprawić miała.

Tymczasem księciu z Carogrodu śpieszno, bo już coś słychać o nowych między janczarami zaburzeniach. Przyspieszywszy tedy pisanie paktów, otrzymuje pan nazajutrz, po wyprawieniu podwód, posłuchanie u lalki sułtańskiej, i z taką ceremonią, jak przy powitaniu, odprawę dostaje. Odprowadzają go gwardye cesarskich dzorbadżów, z ogromnymi pióropuszcami; idą i janczary i tłum ludu ogromny. Za serajem znów Huseim do księcia się zbliża i w gościnę go do siebie, wraz z całym dworem zaprasza. Tu dopiero wspaniała uczta zastawiona: bażanty pieczone z oczami z drogich kamieni i pozłotą okryte, rozmaite osobliwe zwierzyzny, sorbety, konfekty, doskonałe jakieś konfitury, co je Turcy Rahat Łakum zowią, wina wyborne, aż jest na co patrzeć i co wziąć w usta.

Na podwórzec wyprowadzają dla księcia rumaka przepysznego, którego właśnie przed kilku dniami targował lecz, dla wysokiej ceny kupić nie mógł.

Stoi teraz, rwąc się z miejsca z nozdrzami rozdętymi, cały w złociste rzędy przyodziany; obok niosą beczulke srebrną, jakimś balsamem napelnioną.

Książę pan dziękując wezyrowi za dary tak wspaniałe, tłómaczy się, że sam podobnymi odpowiedzieć już nie może, ale w dowód szacunku i wdzięczności, pierścień prześliczny z palca zdjawszy, Husseimowi go podaje. Ten się wzbrania od przyjęcia kosztownego klejnotu, mówiąc, że książę dość już wielkie poczynił wydatki i teraz nie tracić nie powinien; przeciwnie, za dni kilka musi otrzymać ze skarbu pieniądze, za wydatkiłożone na utrzymanie poselstwa. Książę znów dziękuje i odpowiada, że dług swój chce w całości przekazać na rzecz wezyra, a tymczasem o przyjęcie sygneta usilnie go prosi. Wreszcie Husseim, włożywszy pierścień na palec, upewnia, że dar ten będzie mu droższą nad wszystkie klejnoty pamiątką tak zacnego pana i nawzajem swój pierścień księciu wkłada. Książę znów własną, sutem futrem podbitą delią, na ramiona wezyra zarzuca; ten znowu rzecz, iż się szczęśliwym czuje, że za jego rządów wypadło najświetniejsze poselstwo, jakie Carogród pamięta.

Tak się wzajemnymi afektami obsypując, rozstają obaj dostojnicy, a nazajutrz pan nasz w drogę wyrusza i my z nim wszyscy.

Już się był rozpoczął Post Wielki, a zarazem pora brzydka nastała, tak, że powodu zepsutej dro-



Posel polski w Carogrodzie.

„pierścień prześliczny z palca zdjawszy Husseimowi go podaje.“

gi, wiele mamy trudności do przebycia. Przejechawszy Turcyą, przedzieramy się mozolnie przez siedem dni przez Bałkany, chociaż żadnych z sobą ciężarów nie mieliśmy i znajdujemy się wreszcie nad brzegami Dunaju.

Tam, gdy strudzeni ciężką podróżą, obóz robimy, nadbiegają gońce, wiozący pakta i tłómacz, który list od wezyra do pośpiechu naglecy, panu wręcza, z powodu zamieszek groźnych w Stambule. Jakoż w kilka dni później, nowy goniec donosi, że już Husseim uszedł do Egiptu, a Dżurdzi z ukrycia jakiegoś wyciągnięty, gdzie się utaić potrafił, na nowo wezyrem wielkim ogłoszony, wnet za księciem pogoń chce wysyłać. Szczęściem udało się nam tego nowego niebezpieczeństwa uniknąć.

Przebywszy Żelazne Wrota, tak bowiem zowią do Siedmiogrodu prowadzący wawóz, i tam we wdzięcznej dolinie odpocząwszy, książę pan uchyla się zrećźnie od zaprosin księcia Gabora, któremu nie bardzo też ufał, i wprost przez Beskidy ku Dniestrowi śpieszy.

W Stryju dni kilka znów się zatrzymawszy, śpieszy dobry pan nasz na uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego do rodzinnej swej Końsko-Woli pod Lublinem; nas tu kilku do Krzemieńca odeślawszy.

Miał już dziadzio kochany wieści o mnie przez podwody, ale w liście wtedy posłanym mało co na-

pisalem, teraz szczęśliwy jestem, że do nóg dziadziowi upadlszy, wszystko mu długo i szeroko opowiedzieć mogę. A jednak czuję, że o wspaniałej i bohaterskiej, można powiedzieć, wyprawie księcia naszego, opowiadanie moje skromne i nieudolne, żadnego prawie wyobrażenia dać nie może. Wiem, że pan Samuel Twardowski, wszystkie te przygody, wierszem opisać zamierza, żeby się naród cały dowiedział o znamienitej legacyi księcia Zbaraskiego *). A tymczasem -- mówił pan Samuel -- że pamięć poselstwa tego, na długo we wdzięcznych sercach rodaków zapisaną być winna.

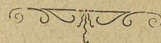
Pakta, które przywiózł książę Krzysztof Zbaraski, przechodzą oczekiwania Króla Imci i stanów państwa. Najprzód oznaczoną została granica ziem Rzeczypospolitej na Ukrainie, zniesiono wszelkie najlżejsze nawet wzmianki o haraczu dla Turcyi, otrzymano obietnicę zrzucenia Kantymira z haństwa i odebrania gospodarstwa zdrajnemu Tomszy; wreszcie wykupił książę jeńców wielu i szczęśliwie ich do ojczyzny przywiózł.

Cale to poselstwo wspaniałomyślnie książę własnym kosztem sprawował i szafując złotem a życie swe narażając dla dobra ojczyzny, zapowiedział, że

*) Jest też opowiadanie wierszem przez poetę Samuela Twardowskiego ułożone p. tyt.: „Przeważna Legacya księcia Krzysztofa Zbaraskiego i t. d.“

żadnego wynagrodzenia ze skarbu Rzeczypospolitej nie przyjmie.

Tak to nasi panowie królowi służyć umieją. A teraz, drogi dziadziu, błagam cię tylko, żebyś mi dozwolił wrócić na dwór księcia Zbaraskiego, któremu do śmierci służyć pragnę, bo wiem, że z takim panem do dobra i sławy dojść mogę. Pan mię łaskawie pożegnał i sam osobiście powiedzieć raczył, że jeśli za wolą dziadka do niego powrócę, to mię przy swoim boku zatrzyma.



Z KRWAWYCH DNI

(z wieku XVIII).

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Napad. — Pieczara. — Gołębek.

Więcej, o! więcej już niżeli sto lat temu, w szerokiej jak morze, zielonej Ukrainie płynęły krwi potoki i krwawe łuny na niebie płonęły; ale teraz już nie dzikie Tatarstwo wyprawiało harce po stepach, już nie pohaniec brodził we krwi chrześcijańskiej, ale dzieci własne targały ciało matki swej!

Było to na wiosnę. Step zazieleniał, jak zwykle, jakby się nie spodziewał, że go stratuja kopyta koni-
skie i zaczernia zgliszcza pożarów. Wioska Kor-
łówka, nad silnym potokiem, zakwitła wiśniowemi
sady i ustroiła się jak panna młoda do ślubu, ale
nocą wpadli rozbójnicy, rozbili częstokół i bramę
wysoką, dwór zrabowali i zapalili, aż wieniec ognisty
zapłonął nad białem kwieciem, a czarny słup dymu
gdzieś wysoko, do nieba na skargą popłynął. We

dworze pana nie było, poszedł w świat, potem i słuchy o nim zaginęły, a pani sama i dzieciek dwoje zostało we wsi. Pani ciężko zaniemogła, już z łóża podnieść się nie zdoła, wciąż tylko modli się a płacze, żeby Bóg dzieciny jej uchronił od złego wszelkiego. W nocy, kiedy ziemia zadrżała od kopyt końskich i łuna w okna uderzyła, biedna matka woła wiernej Motruny i ręce przed nią składa, jak do modlitwy i zaklina na wszystkie świętości, żeby dzieci uratowała.

— Mnie zostaw, Motruno... Już i tak ledwie iskra życia we mnie tli, tuż, tuż, zgaśnie i po wszystkim będzie, ale dzieci moje uratuj, ukryj, gdzie chcesz; Bóg ci dopomoże... a śpiesz się... już słyszać krzyki, rabusie już blisko, chwila, a wywalą bramę... Ja się nie boję, dzieci ratuj, na Boga!...

I wtyka piastunce pocziwej węzełek jakiś i krzyż złoty, co nad łóżkiem wisiał i słabemi rękami odpycha ją od siebie, żeby prędko, prędko biegła do dzieci.

— Co tu robisz? — Motruna łzami załana, nieprzytomna prawie ze strachu, wybiega do komnatki, gdzie śpi dzieci dwoje. One nie widzą łuny pożarnej od zapalonych gumien i stodół, nie słyszą dzikich krzyków i łomotania w bramę; dopiero gdy Motruna z płaczem wpada do komnaty, budzi się chłopaczek i oczy przeciera i rozgląda się wkoło.

— Czy to już dzień? czy mameczka zasłała? — pyta zdumiony — ale piastunka narzuca nań kożu-

szek i każe bardzo, bardzo się śpieszyć, bo rozbójnicy idą, już bramę wywalają.

Hańdzia szybko z łóžeczka wyskoczyła i patrzy wystraszonemi oczkami na Motrunę i daje sobie chustką obwiązać głowę, a nie wie, czy to sen, czy prawda. Chwila jeszcze, a Motruna oboje dzieci wyprowadziła cichutko do sadu i wróciła szepnąć staremu Hryhorowi, żeby szedł do pani, bo tu już obrona żadna nie pomoże. Niebożátko, i z łóża ruszyć się nie zdoła! Potem skoczyła do dzieci i wszystko troje biegną przez sad i przez płot, daleko, do jaru, co się nad potokiem czerni. Świeży wiatru powiew i chłód nocny ocuciły do reszty dzieci biedne, ale nie mogą jeszcze pojąć, co się z nimi dzieje, choć słyszą za sobą zdala krzyki pijanej tłuszczy, choć za nimi błyszczy łuna krwawa a iskry lecą z wiatrem wysoko. Wreszcie Bohdanek, starszy, przystanął, opierając się ciągnącej go z całych sił Motrunie i pyta:

— Motruno! gdzie matenka nasza? Ja nie pójdę dalej!

— Cicho, cicho, dziecino! — odpowiada staruszka — matenka nam iść kazała tylko rozważnie i cicho, bo nas rozbójnicy złapią.

I dalej biegną, aż dopadli jaru ciemnego. Miejsca nie było tej nocy straszliwej, gwiazdki tylko lyskają na niebie oczkami złotemi i Boh szumi po kamieniach. Teraz wąską ścieżyną idą coraz niżej między skały, a Motruna mocno dzieciny tuli do siebie i stąpa ostrożnie, żeby się nie pośliznąć i nie

stoczyć na dół do rzeki. Między czarnymi skałami zaczerńało coś więcej jeszcze, a Motruna stanęła zdyszana, zmęczona i szepnęła tylko:

— Dzięki Bogu, otóż Skalnica.

Teraz przyklekła i ostrożnie, na rękach zaczęła się wsuwać do czarnej jamy, przykazawszy dzieciom, żeby się nie ruszyły ani kroku z miejsca. Po chwili, z jamy pokazała się głowa Motruny, i staruszka każe Hańdzi zgiąć się i wypełznąć za sobą.

— Ja nie pójdę tam, Motruno, ja się boję — woła z płaczem wystraszone dziewczątko, ale Bohdanek wziął siostrę za rączkę i tuli ją i uspokaja.

— Słyszysz, Hańdziu, mateńka iść nam kazała z Motruną i uciekać, bo za nami rozbójniki.

— Mateńka... rozbójniki... — powtórzyło dziewczątko już przerażone i schyliło się ku ziemi, a Motruna ciągnie je ku sobie i całuje i pieści.

Za chwilę wróciła po Bohdanka, i wszystko troje stanęło gdzieś w ciemnej jamie pod ziemią, gdzie już wyprostować się mogli, ale nie widzieli wokoło siebie. Hańdzia tuliła się do braciszka, drżąc jak listek, a Bohdanek, choć sam wystraszony, przyciskał ją do siebie i powtarzał:

— Nie bój się, Hańdziu, mateczka kazała!...

Teraz Motruna dobyła z za koszuły krzesiwo i o kamień ognia skrzesła, aż błysnęło w ciemnej jaskini, i w kącie pod ścianą kamienną ukazała się kupa mchu, czy suchych liści, przez kogoś tu dawniej naniesionych. Bała się staruszka, czy jaka ga-

dzina złośliwa, wąż lub żmija nie zakradły się do miękkiego gniazda tego; zbliżywszy się więc po omacku, skrzesła ognia znowu i zapaliła kilka listków od hubki (gąbka z drzew zbierana), którą do krzesiwa przyłożyła, a ręką tymczasem przetrząsała całe posłanie. Ale nic się nie poruszyło w jaskini, i Motruna rzekła do dzieci:

— Pokłękajcie dziecińy moje i pomódlcie się do Boga, żeby nas ratował, a sama zegnała się trzy razy i ukłękawszy biła czołem o ziemię i szeptała:

— Boże, zmiłuj się nad nami!

— Potem ułożyła dzieci na posłaniu z mchu i liści, otuliła je jak mogła i głośno pacierz odmawiać zaczęła. Myślała pewno, że dzieci pomęczzone usną, ale nie łatwo to było i ledwie przestała się modlić, kiedy Bohdanek odezwał się znów do niej:

— Motruniu nasza, powiedz, gdzie mateńka, już nie będę mówił, tylko to powiedz, moja nianię złota!

Hańdzia cichutko płakała.

— Nie bójcie się, dziecińy, gołąbki moje: jutro pójdziemy do mateńki, tylko śpijcie teraz cichutko.

Zamilkło chłopczyńa, i cicho zrobiło się w pieczarze, aż wreszcie Hańdzia usnęła i słyhać było jej równy oddech, ale Bohdanek spać nie mógł. Siostrzyczka śpiąc, trzymała go mocno za rękę, że mu się ruszyć trudno było; Obrócił się więc do Motruny i cicho, ale wyraźnie mówić zaczął:

— Motruno! Hańdzia śpi, powiedz mi teraz, gdzie mama? Tam we dworze rozbójniki wszystko

spalili, gdzieżecie mamę podzieli? Ja chcę pójść do niej!

Wzdrygnęła się staruszka, bo jej się serce rwało na sztuki, kiedy pomyślała o biednej pani swojej, która sama została, ale dzieciom tego powiedzieć nie mogła; Bohdanek wyrwałby się i popędził choćby w ogień do matki kochanej. Starala się więc jak mogła uspokajać chłopczynę i wmawiała, że matenka u księdza na wsi, bo tam lepiej dla niej, a jutro ją znajdą i prosiła, żeby Hańdzi nie budził, bo dziewczynka jeszcze zachoruje.

A tu ze dworu słychać było szum straszny, i grzmoty pierwsze tego roku hurkotały po niebie, aż się ziemia wstrząsnęła. Motruna żegnała się raz poraz, ale ruszyć się nie śmiała z miejsca, żeby dzieci nie porzucać. Hańdzia znów płakać zaczęła, a teraz Bohdanek tulił ją, koł jak umiał, wreszcie zaczął mówić głośno: „Kto się w opiekę” tak jak codziennie z matką to odmawiali przed obrazem Matki Najświętszej. I bezpieczniej się im wszystkim jakoś zrobiło, bo przypomnieli sobie, że nad nimi jest Pan, którego „stateczność, tarcz i puklerz mocny, za którym stojąc na żaden strach nocny, ani dbaj na strzały,” i t. d. Tak przesiedzieli może godzin parę, aż wreszcie biała smuga światła, wśliznęła się przez szczeliny kamieni, bo już dzień zaczynało. Bohdanek znużony osunął się na posłanie ze mchu i zdrzemnął się wreszcie, Hańdzia także wśród płaczu usnęła, ale Motrunę straszny dręczył niepokój i postanowiła wreszcie wyjrzeć na świat Boży, dowiedzieć się cze-

goś o pani swojej biednej. Zaledwie się jednak poruszyła, aż i Bohdanek podniósł głowę. Właśnie słońce wschodziło a różowy promyczek wcisnął się i tu pomiędzy skały, żeby rozjaśnić ciemne schronienie biednych sierot.

— Czekajcie tu, dzieciny moje — powiedziała Motruna — ja wyjrzę w świat, może już źli ludzie odeszli. Dowiem się o mateczce i wrócę; a ty, mój drogi gołąbku, nie odstępuj Hańdzi i nie bój się sam zostać.

— Ja się nie boję — odparł chłopczyna, bo od małego już był czupurny, jak mówiono, a ojciec sam go uczył szabelką wywijać i dosiadać konia zawczasu — nie boję się, ale chciałbym pójść do mamy. Gdybym miał szablę, tobym i rozbójników się nie uląkł.

— Ale gdzie tam? — odrzekła piastunka — i szabelki niema, i Hańdzi przecie samej zostawić nie można, ani was zabierać obojga. Ja stara łatwiej się prześliznę i przyniosę wam wiadomości, a może co do jedzenia, żebyśmy tu z głodu nie pomarli.

Udało się jej wreszcie przekonać chłopczynę i nachyliwszy się, ostrożnie wysunęła się z pieczary, Skalnicą zwanej. Słońce wypływało na błękitnawe niebo, pędząc przed sobą złociste obłoczki, mgła unosiła się nad ziemią a potok toczył z szumem fale zmaczone od deszczu nocnego. Wkrótce Motruna, spinając się po skałach, wyszła na górę i wystraszona spojrzała; wokoło cicho było, jakby wszystko wymarło, w wiosce nikt się nie ruszał, nawet

bydełko pewno pognali rabusie; z ludzi, kto nie zgiął lub z hajdamakami nie poszedł, to się ukrył pewno gdzieś głęboko. Za sadem wiśniowym sterczy czarny spalony komin dworski, tam biegła Motruna, a serce się jej ścisnęło, jakby krwawą obręczą opasane i nogi drżały, ale biegła coraz prędzej, aż do padła podwórka.

Ściany dworku trzymały się jeszcze i nawet dach został z jednej strony, bo deszcz ulewny musiał zagasić pożar, nim ogień wszystko zdołał pochłonąć, ale drzwi porabane, rozrzucone i owdzie szmaty wskazywały, że rabusie musieli tu gospodarować po swojemu. Motrunie dech w piersi zaparło, zwolna po kamiennym wschodku weszła do sieni: tam na progu leżał z rozrabaną głową trup starego Hryhora, co miał pani pilnować; zimny już był zupełnie. Motruna jęknęła, przeżegnała się i szła dalej: na lewo były wywalone także drzwi do wielkiej komnaty, gdzie pan dawniej mieszkał. Tu były połamane sprzęty, rozbita skrzynia, a na podłodze struga wody od deszczu, co się lał przez wybite okna i przepaloną powałę. Drzwi napół uchylone prowadziły do alkierza, gdzie sypiała pani i tam, cała drżąca, zbliżyła się Motruna ze złożonemi rękoma, powtarzając zcicha „Boże, zmiłuj się.”

Cicho było jak w grobie, tylko drzwi skrzypnęły, gdy je drżącą ręką pchnęła i... przed nią, wprost drzwi na łożu leżała w białej pościeli, pani, tak prawie, jak ją zostawiła Motruna. W rękach ściśniętych trzymała krzyżyk biały, a na twarz pa-

dał promień słońca złocisty, ale twarz ta blada była, jak ów krzyżyk z kości słoniowej i oczy zamknięte. Na obliczu tem jednak nie było znać żadnego przestachu, ani skrzywienia; biedna matka musiała skończyć życie, nim jeszcze rozbójnicy wpadli do dworku. Umarła cicho, błogosławiąc z daleka dzieci, które uprowadziła Motruna przed rabusiami, i zmęczona ostatniem wysileniem, wyzionęła ducha, modląc się za nie. Motruna ukłękła przy łożu i całowała nogi ukochanej pani i płakała głośno, ale nikt tego nie słyszał. „Gołąbko ty moja” powtarzała stara piastunka i wierzyć nie mogła, że te blade usta nigdy się już nie otworzą, nigdy nie powiedzą jak dawniej: „Pilnuj dzieci moje, Motruno!...” Wtem Motruna sobie przypomniła te biedne sierotki, co siedzą w pieczarze ciemnej, i zerwała się z ziemi, żeby do nich wracać. Rozbójnicy zrabowali dwór i podpaliли, ale tu nie ruszyć nie śmieli; musieli uciec przestraszeni na widok tej śmierci niespodzianej. Stolek leżał przewrócony u drzwi, zresztą wszystko na swoim miejscu; ale rabusie mogli powrócić, mogli inni nadejść, więc Motruna dzieci tu przyprowadzić nie mogła. Zrobiła naprędce węzelek z odzienia rozmaitego, znalazła nawet chleba świeżego bochenek, którym wczoraj przyszyła się była pani pochwalić i zostawiła go tutaj; teraz nim pożywi biedne sieroty. Wetknęła w zanadrze flaszkę wina starego, co stało przy łóżku pani, dla pokrzepienia jej czasem, zabrała też świecę woskową, ledwie nadpaloną, i cicho płacząc, wysunęła się z alkierza. Spróbowała

zajrzeć do innych izdebek, ale wszystko było porąbane, popalone, tylko ten jeden zakątek ocalał jakby cudem, na grób dla biednej matki.

Idąc do pieczary, myślała Motruna po drodze, co powie dzieciom nieszczęśliwym, jak je uspokoi i gdzie się z nimi podzieje. Nie spotkała też ani żywego ducha i niezadługo po wąskiej ścieżynie, dostała się do pieczary Skalnicy. Bohdanek stał na środku jaskini i przyzwyczajony już do ciemności, wielkimi oczyma wpatrywał się w twarz Motruny, usiłując odgadnąć, z czym przychodziła. Hańdzia siedziała skulona w kącie.

— I cóż, nianiu? Chwała Bogu, wracacie! Cóż mateńka nasza?... mówcie prędko! — wołał chłopczyk.

— Czy nic złego mateńce nie zrobili? — pytała Hańdzia, podnosząc główkę, jak małe nastraszone ptaszę.

— Nic złego nie zrobili mateńce — powtórzyła Motruna i prawdę mówiła, bo już niebodze nikt na świecie nic złego zrobić nie mógł.

— To chodźmyż prędko do mamy — wołały dzieci, zapominając o strachu i głodzie, na myśl, że mateczkę swoją zobaczyć mogą.

— Broń Boże — odrzekła Motruna — nie wychodźcie stąd, bo mateńka nie pozwoliła za nic. Ot, macie dziecińy od niej chleba i wina trochę i przyodziewek, bo wam tu przecie chłodno i głodno, ale wychodzić nie można z pieczary. Chyba może

trochę pójdziemy na słońcu się pogrzać — tu między skałami.

I wysunęli się wszystko troje: Bohdanek stał i patrzył, jakby chciał okiem przebić te głązy i zajrzeć daleko do dworku rodzinnego, ale nie nie mógł. Hańdzię wzięła Motruna na kolana, i ciemne włoski jej rozczesywała i tuliła do piersi sierotkę.

— Nianiu! — szepnęła dziewczynka — czy nie widziałas rozbójników?

— Nie, hołubko, już ich niema.

— A czemuż my do domu nie wracamy, kiedy ich niema?

— Bo i domu już niema, dziecino, rozbójnicy spalili.

— A gdzież mateńkę podzieli, nianiu moja?

Nie wiedziała biedna piastunka, co odpowiadać, żeby dzieciom strasznej prawdy nie odkryć zaraz; zaczęła mówić, że mamę odwieźli do miasteczka, bo tam bezpieczniej.

— Czemuż my tam pójść nie możemy? — pytał znów Bohdan.

— Bo się rozbójnicy kręcą wszędzie po crogach — odpowiedziała Motruna.

Tymczasem słońce coraz się wyżej wznosiło, a z daleka z wiatrem dolatywały jakby jakieś krzyki czy jęki, aż straszno było słuchać; to też nie ruszali się z miejsca. Wreszcie ku wieczorowi Motruna namówiła, żeby znów się skryć do pieczary, a ona pójdzie jeszcze raz dowiedzieć się do wioski.

Biegła teraz prędzej jeszcze, bo jej pilno było dostać się do ciała ukochanej pani, które koniecznie pogrzebać chciała. Wrzawę jakąś z daleka ciągle słysząc było, ale w Koralówce nie się nie działo. Przed podwórką zatrzymała się Motruna, bo coś jakby jęczenie nagle usłyszała, więc się bała iść dalej; skulona pod drzewem, słuchała wystraszona, co to być może, aż nareszcie zerwała się znowu; poznała już teraz, że to się odzywa Hawryłko, chłopak niemowa, którego z litości we dworze trzymano. Pewno się gdzieś ukrył przed rozbójnikami a teraz wylazł z jamy. I tak też było istotnie: chłopak siedział na ziemi i w alkierzu, patrzył na zmarłą panią i płakał głośno. Na widok Motruny, zerwał się, jak nieprzytomny i chciał uciekać, ale go zatrzymała i pogłaskawszy po głowie, zaczęła mówić do niego łagodnie. Hawryłko słyszał, co do niego mówiono, lecz sam tylko na migi odpowiadał; ale kto go znał, mógł zrozumieć doskonale. I teraz choć blady i obłąkanymi oczyma rzucający wokoło, pokazywał Motrunie, jak był ukryty w jamie, gdzie ziemniaki chowają na zimę, jak tu wszędzie ludzi zabijali, jak wokoło widać było łunę z sąsiednich wiosek, jak piorun w drzewo uderzył i rabusie uciekli. Motruna chciała pogrzebać ciało swej pani i wytłomaczyła to chłopakowi, ale niemowa płacząc, przyłożył ucho do ziemi, potem zerwał się i począł uciekać, pokazując Motrunie, że rabusie idą, i zniknął gdzieś w zgliszczach niedopalonych budynków. Nie czas było rozmyślać. Motruna także

skoczyła i w największym pośpiechu rzuciła się ku pieczarze. Jeszcze nie zdołała skryć się za brzeg jaru, kiedy straszne krzyki i tętent kopyt końskich rozległ się w powietrzu.

— Co tu robić? — myślała staruszka — żeby jeszcze tę noc przebyć mogli jako tako w Skalnicy, póki będzie chleba choć trochę, ale potem z głodu samego trzeba będzie iść gdzieś szukać innego schronienia. Ale gdzie? Niewiadomo.

Tymczasem ściemniło się znowu a staruszka w pieczarze otuliła jak mogła najlepiej sierotki swoje, żeby we śnie zapomniały o chłodzie i głodzie. Sama parę razy w nocy wymykała się z jaskini, ale bała się wyjrzeć dalej, bo znów luna czerwona płonęła na niebie a krzyki słysząc było wyraźnie. Nad ranem ucichło, — rabusie znikli, jak złe duchy, co pierzchają przed wschodem słońca. Motruna wdrapała się na brzeg wysoki i spojrzała ku wiosce, ale teraz już i śladu dworka nie było, tylko kupa dymiącego zgliszcza, jak ciemna plama czerniała z daleka. Tu już nie było pogo wracać, i staruszka postanowiła z dziećmi uciekać daleko, ale wszędzie roilo się od rozbójników; jak tu przemknąć się z dwojgiem dzieci, a chciałyby dostać się do klasztoru aż w Kamieńcu, gdzie siostra pana była księnią u Panien Wizytek. Trzeba było coś począć z sierotami. Ojciec jak pojechał, tak i wieści o sobie nie daje, może gdzie zginął albo ranny leży, matkę Bóg wziął, a krewnych tu żadnych nie było. Motruna pocziwa, roztropna kobieta, obmyśliła wszystko.

Najprzód chyłkiem podsunęła się ku wiosce, tylko, że tego trudno było teraz wioską nazywać, bo zamiast chat sterczały popalone belki, i kupy gruzów leżały wokoło, gdzieniegdzie pies wył żałośnie nad stratą tych, którym służył. Motruna żegnała się, odwracała oczy od okropnego widoku, ale szła dalej, choć ją piekły tlejące jeszcze pod popiołem zgliszcza, albo kaleczyły rozbite cegły. I tak przechodziła od zagrody do zagrody, a nigdzie żywego ducha nie spotkała; raz tylko znalazła parę białych gołąbków z poopalanemi skrzydłami pod gruzami komina; jeden żył jeszcze, więc go z litości wetknęła w zana-drze. Musiała także znaleźć to, czego szukała, bo wkońcu blada i posmolona, wysunęła się z pomiędzy gruzów, i poczęła iść z powrotem ku rzece. Tu obmyła twarz i ręce, żeby dzieci nie przestraszyć i wsunęła się do pieczary.

II.

Maskarada. — Spotkanie. — Przytułek. — Dalej w drogę.

Dzieci niespokojnie czekały i znów powitały piastunkę pytaniem o mamę.

— Dziś nie mogłam jej widzieć — odrzekła staruszka — oto znalazłam kilka ziemniaków, które upieczemy przy ogniu, a to dla ciebie, kochanko, do-

dała, wkładając Hańdzi w rączki małego gołąbka. Dziecina, głodna i zmęczona, ucieszyła się jednak ptaszkiem, zaczęła go całować, a tymczasem Motruna skrzesła znów ognia i podpaliwszy suchymi liśćmi, wrzuciła nań kilka gałęzi, które także z sobą przyniosła. Dym z początku wił się nisko, ale powoli zawlókł się do jakiejś szczeliny, przez którą zaczął na zewnątrz uchodzić. W pieczarze jaśniej się zrobiło. A Hańdzia zaczęła oglądać gołąbka i narzekać, że skaleczony pod skrzydełkiem, a tak się nim zajęła, iż zapomniała o głodzie i zmartwieniu.

Tymczasem upiekły się ziemniaki w popiele, a chociaż bez soli, smakowały bardzo zgłodniałej dziatwie z resztą wczorajszego chleba, którego Motruna jeszcze kawałek później schować musiała. Wody zaczerpali sobie z rzeki w drewniany kubek, który także ze wsi przyniosła staruszka, zaprawili ją winem, i potem śniadaniu rażniej im się jakoś zrobiło i weselej. Dla gołąbka nawet wyłuskali trochę kukurydzy nawpół upieczonej, która się znalazła w gruzach. Teraz Motruna zapaliła woskową świeczkę bo ogień już zagaś, i rozwinęła to, co z sobą przyniosła.

— Niema co robić — mówiła — trzeba nam uciekać! Chwała Bogu! znalazłam odzienia trochę między zgliszczami wioski; trzeba was oboje przebrać za proste chłopięta, tak się prędzej przesuniemy pomiędzy grabieżcami, którzy się wszędzie snują.

Bohdanowi nie chciało się zrzucać granatowej bekieszki, więc mu ją na drugą stronę obróciła

staruszka, a na to wciągnęła sukmankę i jakąś czapkę barankową włożyła na jasne jak len włosy chłopczyńny.

— Trzeba cię węglem osmolić — rzekła staruszka — boby od razu poznali, że to nie proste pacholę, a Hańdzia moja, to niby mleko bieluchne! Trzeba ciebie, gołąbko, sadzą osmarować i te śliczne kosy obciąć ze szczędem.

I piastunka, płacząc nad pieszczotką swoją, zaczęła ostrożnie piłować warkocze dziewczynki nożykiem, który się znalazł w kieszeni Bohdana. Dziwny to był obrazek przy bladym świetle migającej świeczki, która nie zdołała rozjaśnić wielkiej, ciemnej pieczary, nawet z pomocą dziennego promyka, co się znów wkładał przez otwór jaskini. Wkrótce jednak przebranie było skończone, i Motruna zmówiwszy na klęczkach Pacierz, z dziećmi razem wysunęła się z pieczary, a za nią dwoje pacholąt w siermięgach, czerwoną krajką podpasanych. Bohdanowi jasne jak len włosy wymykały się z pod barankowej, zadużej dla niego czapki; Hańdzi zaś, przewzanej teraz Andrzejkiem, ledwie widać było duże, szafirowe oczy z pod szerokiego, słomianego kapełusza. Najgorzej było z obuwiem, bo Motruna nie mogła się zdecydować na puszczenie dziewczynki boso, a zresztą drobne białe nóżki jeszcze łatwiej zwrócić mogły uwagę rabusiów, niż trzewiczki, o których w ostateczności, możnaby powiedzieć, że je znalezione. Motruna знаła okolicę, ale tu nie tyle szło o drogę najkrótszą, ile o wymijanie napastni-

ków, co się gromadami snuli wszędzie. A w stepie szerokim skryć się niełatwo: jak okiem zajrzeć, nigdzie lasu ani góry, czasem tylko kurhan usypany na mogiłę tym, co tu dawniej polegli. Od wsi do wsi daleko, gdzieś bieleje futer z pasieką i sadem wiśniowym, ale teraz i oto trudno, bo rozbójnicy nie oszczędzili w krwawych zagonach swoich. Za Koralówką rozciągał się kawał stepu, przez który Motruna z dziećmi przejść musiała, kierując się ku południowi, żeby się dostać do wioski, gdzie miała kumów. Bóg wie, czy i ta wioszczyna z dymem nie poszła, ale popróbować nie zaszkodzi.

Motruna postępowała ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony; Bohdanek i Hańdzia, a raczej Boryś i Andrzejko, jak się teraz nazwali, szli przed nią, trzymając się za ręce. Słońce przyświecało, a muszki rozmaite i pszczoły, co to miód biały a wonny składają, brzęczały w powietrzu; z daleka widać było łan pszenicy ogromny, jak okiem zajrzeć, falujący się od wiatru, jak morze zielone, ale gdy zboże pożółknie a kłos plenny ku ziemi się nachyli, któż je ścinać będzie? Kosy zakrwawione teraz, inne mają żniwo, inne zbierają plony, już nie potem ale łzami zalane; zamiast pieśni, rozlegają się jęki lub przekleństwa.

Nagle coś zaszeleściło pod kurhanem; Motruna przestraszona stanęła, nie wiedząc czy to zwierzę czy człowiek się wynurza z zielonych traw i burzaków; ale ukryć się nie było gdzie, więc czekali na miejscu, a tymczasem głowa jakaś, płowym włosem

pokryta, podnosiła się coraz wyżej nad ziemię, jakby nasłuchując.

— Nianiu, to nasz Hawryłko!—krzyknęła Hańdzia i skoczyła naprzód, a biedny niemowa, bo on to był rzeczywiście, klaszcząc radośnie w ręce i dziwne głosy po swojemu wydając, przypadł do dziewczęcia i zaczął je w rączki całować.

Hawryłko zawsze Hańdzię lubił bardzo, kiedy była mulutka na rękach ją nosił i bawił, a cieszył się, kiedy go drobnymi rączkami za włosy targała. Czasem kładł się u nóg dziewczynki i patrzył jej w oczy, jak gdyby chciał odgadnąć czego pragnęła; nie było drzewa, na któreby się nie wdrapał, żeby jej dostać owoc dojrzały lub jakie bawidelko. Krok w krok chodził za dziewczynką, która tak do niego przywykła, że się puszczała bezpiecznie poza domową zagrodę, wiedząc, że Hawryłko nad nią czuwa i nikomu jej dotnąć nie pozwoli. Straszna też była rozpacz biedaka, kiedy w onej okropnej nocy, gdy bramę wywalili, pobiegł jak strzała do izdebki dziecinnej i tam nie znalazł nikogo, nie zobaczył ukochanej panienki swojej. To bardziej jeszcze, niż strach przed rabusiami, pomieszało mu zmysły, tak, że nie wiedział, co się z nim dzieje; takim go jeszcze zastała Motruna. Teraz Hawryłko śmiał się i płakał naprzemian, a kiedy Motruna mu pokazała, że iść muszą daleko, porwał Hańdzię na ręce i posadziwszy ją sobie na ramieniu, żwawo iść począł. Potem, jak gdyby sobie coś przypomniał, wyjął z sakwy kawał placka z kukurydzowej mąki i wetknął go w rękę



Z krwawych dni. str 185

Motruna postępowała ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony, Bohdanek i Handzia szli przed nią trzymając się za ręce.

dziewczyńce. Hańdzi jeść się chciało, bo od rannego śniadania w pieczarze, upłynęło już godzin parę, a ona jeszcze nic nie jadła. Mimo tego placek rozłamała na trzy części, żeby podzielić niańkę i braciszka, a sama ze swojej części łamała po kawałku i kładła do ust Hawryłce, który śmiał się i całował rączki panienki, pilnując, żeby i sama jadła. I znowu szli może z godzinę nie spotkawszy nikogo, a przed nimi coś czerniało.

— Tu powinna być Krasnohórka, Motruno — ozwał się Bohdan — tylko dworu jakoś nie widzę.

Pobladła staruszka, i ona postrzegła pierwej jeszcze, że zamiast białego dworu czerniała jakaś niby mogiła, jak w Koralówce. Po za wsią była też karczma wygodna, co ją trzymał Awrum stary; teraz zamiast słomianego dachu sterczał tylko nagi, okopcony komin.

— Nieszczęśliwa godzina moja! — zajęczała Motruna — gdzie my się podziejemy teraz...

Musieli gdzieś spocząć i jedzenia jakiego poszukać, nim pójdą dalej, a straszno było spojrzeć gdziekolwiek, żeby znów jakiej okropnej pamiątki nie zobaczyć. A w dodatku na niebie zbierać się zaczęły chmury sine i grzmot słychać było z daleka. Za karczmą, znajdował się w ziemi wykopany loszek, do przechowywania jarzyny; zamiast dachu pokryty był darnią, i dlatego nie spłonął z innymi budynkami. Tu biedni zbiegowie ukryć się postanowili. Drzwi wprawdzie zamknięte były na ciężką kłódkę,

ale Hawryłko, podważawszy je drągiem, wysadził z zawias, i lamusik stanął otworem.

Z początku widać w nim było tylko beczki rozmaite, desek kilka, kupkę ziemniaków, połamane stołki, ale za tem wszystkiem znajdowały się ukryte z boku drzwiczki małe, umyślnie widać pozasłaniane starymi bezużytecznymi gratami. Hawryłko z Motruną, pousuwawszy ostrożnie to wszystko, usiłovali i te drzwi otworzyć, ale nie udawało im się, drzwiczki bowiem były żelazem okute i tak szczelnie zamknięte, że nawet zamku w nich dopatrzyć nie mogli. Staruszka więc postanowiła choć tu dzieciom kącik jaki do spoczynku przygotować; tymczasem grzmoty rozlegały się coraz gwałtowniej. Hańdzia przykucnęła na ziemi, tuląc zawsze swego białego gołąbka pod siermięgą; Bohdan umieścił się przy niej i zaczęli pocichu rozmawiać o mateczce, która tam pewno tęskni za nimi.

Nagle szmer jakiś dał się słyszeć i coś jakby odgłos kroków. Wystraszona Motruna skoczyła ku drzwiom, chcąc je czemś podeprzeć, ale zatrzymała się zdziwiona. W ogródku bowiem stała piękna, ryża krówka i właśnie szyję wyciągnawszy ryknęła, tak żałośliwie, jak gdyby rozumiała, co się tu stało. Gdzie była dotąd, że się przed rabunkiem wymknęła, niewiadomo, to pewna, że Motruna ucieszyła się nią, jakby darem Bożym, umyślnie dla biednych sierot zesłanym. Znalazłszy też w lamusiku garnek jakiś, wypłókała go śpiesznie u studzienki, uwiązała krówkę do drzewa i doić ją zaczęła. Jakże smakowało

świeże, ciepłe mleko wygłodniałym i zmęczonym, Hańdzi i Bohdanowi! Odżyli też prawie napiwszy się do sytości, Hańdzia tylko daremnie zachęcała gołąbka, żeby wziął udział w tej biesiadzie; ptaszyna otrząpywała dzióbek, zamoczony w mleczku, i ani kropelki przełknąć nie chciała. Tymczasem grube krople deszczu spadać zaczęły, a krówka wystraszona weisnęła się do lamusu. Nagle czerwona błyskawica rozdarła chmury a Hawryłko, który znów koło drzwiczek majstrować zaczynał, krzyknął jak szalony i porwawszy coś z ziemi skoczył z radości do góry. Przy świetle błyskawicy, dojrzał sprytny niemowa klucz, ukryty za kamieniem, tuż koło drzwiczek. Okazało się też, że z boku, niziutko ukryty był pod kawałkiem skóry zamek, który teraz z łatwością dał się otworzyć i za drzwiczkami pokazała się wążka, sklepiona szyja. Motruna skrzesała ognia i zapaliwszy zwitek słomy kukurudzywej, rzucony gdzieś w kącie, poświeciła sobie do ciemnej szyi; na gwoździu, tuż przy wejściu, wisiała druciana niby latarnia a w niej woskowa świeczka, którą zapaliwszy, puściła się staruszka ostrożnie naprzód. Szyja była dość długa, ale porządnie mурowana a kończyła się okrągłą niby salką, gdzie widocznie pochowano co było kosztowniejszego. Stały tu kuferki i pudełka różnej wielkości, poprzykrywane słomą, w kącie leżały worki skórzane i płócienne a nawet przy ścianie piętrzyły się puchowe poduszki, wysoko ułożone. Pewnie rodzina żydowska, ukrywszy to, co miała lepszego, chciała się i sama schronić

w razie niebezpieczeństwa, ale w ostatniej chwili musiało im do tego czasu zabraknąć. Teraz jednak Motruna miała wygodne schronienie, dla swoich wychowanków i zawoławszy Hawryłka, z pomocą jego usłała wygodne łóżko w kryjówce.

Nad nimi huczał grom po gromie, padały pioruny, a nasza gromadka, ukląwszy na kamiennej podłodze, pobożnie odmawiała: „Kto się w opiekę” i t. d., nawet niemowa klęcząc ze złożonymi rękoma, zdawał się powtarzać słowa modlitwy, którą Hańdzia głośno i wyraźnie odmawiała.

Nazajutrz słońce wstało pogodne, jakby wykapane wczorajszą ulewą, i odbijało się w kropelkach rosy, drżących na każdej trawce. Motruna wydoła znów krówkę, a prócz tego, znalazła się w lamusie ryba suszona, placki i kukurydza dla gołąbka. Ziemniaków napiekli sobie, przyniósłszy niedopalonych kawałków drzewa z nieszczęsnej karczmy, i naładowawszy żywnością sakwy podróżne, zaczęli znów się w drogę wybierać. Teraz wszystko było spokojnie, ale Bóg wie, co ich dalej czekało; w każdym razie, dłużej tu pozostać było niepodobieństwem. Obejrzawszy się w prawo i lewo i wymijając spaloną wieś, ruszyli ku południowi. Hańdzia, posilona i wyspana, nie dała się nieść Hawryłce i żwawo postępowała naprzód, trzymając się ręki Bohdana. Bohdan chmurno jakoś poglądał, ale Motruna znów przekładała mu, że trzeba spokojnie się zachować, gdyby nawet zaszło jakie przykre spotkanie, od

czego niech Bóg broni, powtarzała, żegnając się pobożnie.

— Cóżbyto mateczka powiedziała, gdyby jej dzieci wpadły w jakie niebezpieczeństwo! — dodawała.

Na wspomnienie matki, Hańdzi łzy spływały po twarzyczce, a Bohdan zeicha powtarzał:

— Dobrze, dobrze! Handzię do mateńki odprawdę, a potem pomyślę o sobie. Przecie król Bolesław Krzywousty był takim, jak ja młodym, kiedy już bił Niemców, to i ja to samo potrafiłbym.

III.

~~Nie~~bezpieczna gościna. — Ucieczka. — Spotkanie.

Tymczasem postępowali dalej po stepie, i już słońce wysoko stało na niebie, kiedy z daleka zabiełało coś przed nimi; szli więc ostrożnie, nasłuchując ciągle, i nagle u nóg ich otworzył się jar, gdzie nad brzegiem szumiącego potoku, tuliła się do skał wapiennych wioska, tak ukryta stromymi jaru brzegami, że ją teraz dopiero zobaczyli w parowie. Dwór tylko na wzgórzu się wznosił i ten im zabielał zdala, wysokim otoczony częstokołem. Motruna zawahała się co robić. Nie wiedziała, czyja to była wieś i czego się w niej spodziewać można, ale przecież trzeba

gdzieś spocząć i dowiedzieć się między ludźmi, co słyhać, którędy iść bezpiecznie. A właśnie u wejścia do jaru, przy ubitej grobelce stał młynek niewielki, terkocząc dwoma kołami, które obracał strumień, spływający ze skały z szumem i hałasem. Przed młynem, wsparłszy się pod boki rękami, z czerwoną chustką na głowie zawiązaną, stała młynarka zapewne, bo cała była umęczona, i rozglądała się wokoło.

— Dobrego zdrowia życzę! — ozwała się do niej Motruna.

— A skąd wy? — odparła młynarka.

— Do Poczajowa idziemy — mówiła znów Motruna, ale dzieci się pomęczyły i chcielibyśmy spocząć cokolwiek. — Może nas, matko, przyjmiecie?

Młynarka prosto w oczy spojrzała przybyłej; a wzrok miała przenikliwy: duże czarne oczy świeciły z pod brwi gęstych i namarszczonych, a patrzała z góry, bo wysoka była jakby mężczyzna. Nie musiała być bardzo rada gościom, ale żal jej się widać zrobiło dzieci, bo rzekła do Motruny:

— Po co to taki drobiazg brać z sobą w drogę, żeby gdzie zamarły!

Potem poszła przodem i otworzyła drzwi od chałupy do młyna przypartej. Czysto tam było i chędogo: piec wybielony z leżanką na nim do spania, ławy umyte i stół wyszorowany doskonale, a w kącie duża skrzynia, na ciemno pomalowana, równie jak i belka u pułapu, na której wyrzynięty był napis z Pisma Świętego w cerkiewnym języku.

Na półkach u ściany poustawiane były misy gliniane i garnuszki, a nad łóżkiem wysoko usłanem, świeciły jaskrawo obrazy Matki Boskiej Poczajowskiej, Berdyczowskiej, Pana Jezusa, Św. Mikołaja, Św. Onufrego i inne. Młynarka nakryła stół obruskiem bielonym i haftowanym wzorzysto w czerwone i granatowe krzyżyki, położyła na nim duży placek, sera kawał i sól w drewnianej solniczce. Potem usiadłszy na ławie pod oknem, zaczęła się bacznie przyglądać podróżnym.

Motruna tymczasem zaczynała gawędę o tem i owem, żeby odwrócić uwagę gospodyni od dzieci, które Bogiem a prawdą, chociaż w świtkach, wcale jednak pokaźnie wyglądały. Z rozmowy pokazało się, że mąż młynarki, Hryhor, był czumakiem, to jest, jeździł po sól nad morze, a żona sama we młynie gospodarzyła.

— I teraz pojechał, ale nie po sól — dodała młynarka, uśmiechając się jakoś złowrogo.

I młynarka przypatrywała się chłopięciu, podnosząc od niego znów oczy na Motrunę, jak gdyby chciała porównać te dwie twarze.

— To wasz chłopiec? — zapytała wreszcie, patrząc dziwnie jakoś w oczy Motrunie.

— A mój wnuk — odrzekła staruszka — odwracając się niby dla poprawienia włosów chłopczynie, które mu nasunęła na czoło i oczy.

— Jakiż piękny! — wymówiła powoli młynarka — bielutki jak mleko!

I znów zaczęła rozpytywać, skąd przybywają podróżni?

Motruna, niewprawa w kłamstwo i zresztą nie wiedząc sama co mówić, wymieniła Koralówkę.

— A to już tam pewno byli nasi! — ozwała się młynarka nagle. — Widzieliście ich? — dodała.

— Kogo? — spytała znów Motruna wystraszona.

— A bo to wy nie wiecie, co się na świecie dzieje? Ho! ho! teraz wszystko będzie inaczej.

I dalej opowiadać, jak to ludzie gromadzą się, jak przechodzą z jednej okolicy do drugiej...

Andrzejko z otwartymi szeroko oczami słuchał tego, Bohdan zaś zrywał się z ławy, już miał coś wykrzyknąć, bo mu oczy zabłyśły, ale Motruna porwawszy mniemanego wnuka za ramiona, wypchnęła z izby, szepcząc do ucha, żeby się nie odzywał, broń Boże, a głośno mówiąc, żeby trochę posiedział na przyźbie z Andrzejkiem.

— Nie trzeba przy dzieciach mówić — odezwiała się do młynarki — jeszcze małe, nie rozumieją nic.

— Czemu nie — odparła kobieta, biorąc się pod boki, ot, i mój nie starszy a poszedł za ojcem.

Motruna słuchała, udając, że potakuje, ale w duchu zamierała ze strachu. Chciałaby jednej chwili uciec od strasznej gospodyni swojej, ta jednak raz się rozgadawszy, nie przestawała.

— Ot, — mówiła, i z naszego dworu pani uciekła z dziećmi gdzieś daleko, a pan jeszcze dawniej

poszedł na wojaczkę. Nie źle to paniska, ale lepiej żeby ich nie było, to wszystko nam zostanie. Dworu spalić nie dam, bom to przyrzekła pani, co mnie i mojego ratowała nieraz w chorobie, ale „komisarza” pańskiego nie przepuścimy, bo to zły człowiek. Nasi też nadejdą, ale trzeba im się śpieszyć, boć tu pono idzie z wojskiem pan Stempkowski, którego się wszyscy boją strasznie; nasi przed nim, jak barany uciekają, gdy się pokaże.

— A gdzież jest pan Stempkowski? — jęła rozpytywać Motruna, pomyślawszy zaraz, że wartoby skryć się pod jego opiekę jak najprędzej.

— Bóg jego wie — odparła młynarka — on dziś tu, jutro tam, ale musi być niedaleko.

W tej chwili zrobił się jakiś szmer na podwórzu, a Motruna, usłyszawszy krzyk przestachu Andrejka swego, wyskoczyła z chaty jak szalona. Na środku podwórza stał Borys z zaciśniętymi pięściami i iskrzącem okiem, a naprzeciw niego chłopak czarny, ogorzały z kudłatym włosiem, którego Hawryłko trzymał za kark i nie dawał mu się rzucić na Borysia. Chłopak szarpał się ze złości, ale niemowa trzymał silnie.

— A to co? — krzyknęła młynarka. — Puszczajcie mego Hrycia!

Niemowa puścił chłopaka, który z krzykiem rzucił się do matki, wołając, że go ten przybłąda bić chciał.

— Co to jest? — pytała znów Motruna mnie-manego Borysia.

— Chłopiec ten — odrzekł Bohdan — przyszedł tu i zaczął oglądać nasze ubranie, a namacawszy pod siermięgą moją bekieszkę, pytał, czy to zrabowane. „My nie złodzieje, nie rabusie,” krzyknąłem, a on mnie chciał uderzyć, więc go schwyciłem za kark, a tu Hawryłko przyskoczył, żeby nas powstrzymać.

Hryćko tymczasem coś głośno bardzo matce opowiadał, ta zaś niewiele myśląc, porwała łopatę, i nim się kto obejrzeć mógł, ugodziła w głowę biednego niemowę, aż się potoczył na ziemię.

— Co to wy — krzyknęła do Motruny — będziecie rozbijali w mojej chacie, dam ja tu wam...

Staruszka chciała tłumaczyć, że choć się dzieci trochę poswarzyły, to przecie nic nie szkodzi. Młynarka jednak zdawała się coś podejrzewać, bo rzekła, że ich krokiem stąd nie puści.

— To nie nasi! — krzyczał Hryćko i wskazywał na Andrejka, który drząc na całym ciele, tulił się do babki.

Darmo Motruna prosiła, żeby ich puścili dalej, młynarka śmiała się tylko, mówiąc, żeby sobie wypoczęli tymczasem. Biedny niemowa jęknął boleśnie, i w jednej chwili Andrejko był przy nim a zdejmując z szyi chustkę, maczał ją w wodzie i przykładając do skaleczonej głowy biedaka. Gołabek, puszczony tymczasem, usiadł na ramieniu chłopczyka i wszyscy troje tak dziwnie wyglądali, że aż się młynarka

zastanowiła, patrząc na nich. Mały chłopczyzna z ciemnymi oczyma leż pełnemi, klęczał na ziemi, podtrzymując kudłatą głowę niemowy, a biały ptaszek, jak gdyby chciał im dopomóc, przechylił czubą główkę na bok i rozglądał się wokoło.

— Nie gniewajcie się matko — prosiła Motruna — i pozwólcie nam odejść spokojnie, a waszemu chłopcu dam ot, tę krasną chuścinę, żeby był dobry — dodała, wydając czerwoną jedwabną chusteczkę z pod kożuszka, który miała na sobie.

— Na co mnie wasza chustka, dosyć mi mój nawiózł wszystkiego do skrzyni — odrzekła młynarka — ale chłopiec już chwycił za krasną szmatkę i uciekł z nią do izby.

— Oj, ten urwipołec! — mruknęła młynarka, patrząc za synem — całkiem ojcowska natura! Ale co was, to nie wypuszczę — dodała — jeszcze naprowadzilibyście tu wojsko, Bóg wie kto wy i poco tu przyszłiście?

Nie było rady, musieli zostać, a Motruna tylko przemysłowała, jakby dzieci uratować z tej pułapki, w którą wszyscy, prawie dobrowolnie, wpadli. Młynarka odeszła wprawdzie do swego młyna, ale chłopcu przykazała, żeby ani na krok od więźniów nie odstępował, czego złośliwemu Hryciowi nie trzeba było powtarzać.

Motruna po cichu coś szeptała z Borysiem, a biedny Hawryłko, usiadłszy na ziemi, podpierał rękami bolącą głowę. Tak im przeszło godzin parę i już się miało ku wieczorowi, gdy wróciła gospodyni.

Motruna starała się ją udobruchać, a widząc, że udawanie niewiele tu pomoże, i że młynarka ciągle się jakoś przypatruje mniemanemu Andrejkowi, przyznała się jej, że to dziewczynka przebrana tylko tak na drogę, żeby łatwiej przejść między obcymi ludźmi.

— Widzicie — rzekła wieśniaczka — ja to odrazu poznałam, że wy coś tumanicie, dałabym wam dobrze za to, ale mi żal tego dziecka — i pogłaskała Hańdzię po główce.

Potem zaczęła opowiadać, że i ona miała córeczkę, co jej zmarła, a takie same oczy duże miała i taka bielutka była; nie tak jak Hrycio — mówiła — bo ten, to czysty ojciec.

— Ot, wiecie co? — dodała w końcu — zostawcie mi waszą dziecinę a idźcie sobie z chłopcem, gdzie was oczy poniosą. Ja jej krzywdy nie zrobię, umyję, wyczeseję, będę pieściła i pilnowała, jak oka w głowie.

Biedna Hańdzia, słysząc te słowa, z trwogą się tuliła do Motruny, która widząc, że wcale jej nie zachęcały pieśczoły czarnej młynarki, bała się wręcz odmówić, i tylko prosiła, żeby ją teraz z dziećmi puścić do Poczajowa, gdzie się ofiarowała, z powrotem zaś wstąpi znowu.

— Ej, co tam gadacie o Poczajowie, zanimbyście doszli, toby was sto razy złapali na drodze! — odrzekła młynarka. — Naszych ludzi, jak mrowia wszędzie, a oni wam pewno nie darują. Ot, idźcie spać teraz, a jutro pogadamy.

Dziwaczna gospodyni postawiła jeszcze przed nimi donicę, pełną gorącej mamałygi, czyli lemieszki z mąki kukurydzowej, ze skwarzoną słoniną, która, mimo strachu i niepokoju, smakowała naszym wędrowcom. Hańdzia tylko nie chciała jeść, dopóki nie zaniósł Hawryłce, który się trochę ocucił i pił cheiwie wodę ze studni. Po wieczery, gospodyni Borysia z niemową zamknęła w szopie i założyła drzwi kółkiem, a Motrunie z Hańdzią kazała się położyć na piecu w izbie, gdzie też sama układała się do spania na łóżku, Hrycią mieszcząc przy sobie. Motruna udawała, że śpi, ale ciężko jej było na sercu i oka zmrużyć nie mogła, przemyślując co robić? Kiedy wreszcie poznała, że gospodyni twardo usnęła i sapie, jak miech kowalski, zsunęła się cichutko z pieca i ostrożnie drzwi odchylając, znalazła się w sieni. Na podwórzu biegał teraz wielki pies, z łańcucha spuszczoney, ale Motruna miała dla niego płacka kawałek i otworzywszy drzwi od sieni, czekała, aż do niej przyjdzie; potem zwabiwszy go plackiem, sama się wysunęła na podwórze i drzwi zaparła. W jednej chwili była już przy szopie i namacawszy kolek, otworzyła ją a Bohdan, który także spać nie mógł, zerwał się na równe nogi, pytając, kto to?

— Cicho synku — szepnęła Motruna — uciekajcie co prędzej z Hawryłkiem i szukajcie pana Stempkowskiego, który gdzieś tu niedaleko ma być z wojskiem. Nas z Hańdzią jakoś Bóg uratuje, a może wróćcie po nas...

Niemowa także się dźwignął i prędko zrozumiał, czego chcą od niego, ale ciągle pokazywał w stronę, gdzie była Hańdzia, jak gdyby ją chciał zabrać. Musiała go Motruna głaskać i prosić, wreszcie wypychać, żeby koniecznie szedł z Bohdanem. Wkrótce obaj byli już za wrotami, a Motruna znów cichutko wsunęła się do izby. Młynarka chrapała, aż się ściany trzęsły, Hrycio także się nie ruszał, a Hańdzia z zarumienioną twarzą spała smacznie; czasem tylko usteczka poruszały się dziewczynce i łkając, szeptała przez sen: „Mateńko, Mateńko...”

— Biedna sierotka! — mówiła ze łzami pocziwa piastunka — biedne dziecińcy moje! — i gorzko zapłakała, myśląc znów o Bohdanie, co tam w ciemną noc gdzieś wędrował. Znużona wreszcie staruszka zaczyna wśród płaczu drzemać, gdy nagle dał się słyszeć hałas jakiś z daleka i stukanie do wrót, które ona sama podparła starannie, wyprowadziwszy Bohdanka z niemową.

— Hej, Kiłynol! — ozwał się głos męski, chrapliwy, a pies zaskomlił głośno, i młynarka zerwała się z posłania.

— To mój powraca — zawołała do Motruny — cicho tam siedzicie — i wybiegła z izby.

Po chwili ciężkim krokiem wszedł wysoki mężczyzna i rzucił się na ławę, mówiąc:

— Rozpal ogień i dawaj co pić i jeść!

Przy słabem świetle kaganka, Motruna przypatrywała się nowoprzybyłemu, którego twarz ogo-

rzała, małe czarne oczy i długi, cienki wąs, wstrętnie jakoś wyglądały. Miał na sobie krótki kozuch, u pasa wisiał mu długi nóż, błyszczący z daleka, a w ręku trzymał topór czy siekierę, którą teraz rzucił na ławę, aż szyby zabrzęczały w oknie. Odzienie jego było pokryte ciemnymi, jakby rdzawymi plamami, a włos splątany pod baranią czapką, której nie zdejmował wcale, nadawał mu pozór bardzo niepowabny.

Młynarka postawiła przed nim blaszaną z wodką i miskę zimnej mamałygi, którą zjadł chciwie, a potem, jak był odziany, rzucił się na łoże. Sen jego był niespokojny, bo się rzucał i miotał a czasem wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe wyrazy; wtedy Motruna, modląc się po cichu, zaślaniała sobą Hańdzię, jakby ją uchronić chciała; ale dziecina spała spokojnie w tej wilczej jaskini, jak gdyby w łóżeczku swem, w Koralówce. Myślała przed chwilą piastunka, żeby wzięwszy dziecko na ręce, wysliznąć się także z chaty, ale strach ją przejmował, bo wszędzie wokoło na stepie, mogli być napastnicy, a tu przynajmniej młynarka może choć dziecku krzywdy zrobić nie da. Niezadługo już i dzień zaczęło: gospodyni, wstając do rozpalania ognia, odezwała się do Motruny:

— Nie śpicie, kumo! Nie bójcie się, tylko nie nie gadajcie, już ja mu powiem, co potrzeba...

Jakoż gdy tylko gospodarz chaty oczy otworzył, rzuciwszy okiem po izbie, spytał, co się tam rusza na piecu? Młynarka zaczęła prawić, że to jej

kuma z dzieckiem na nocleg się zatrzymała, w drodze na jarmark, do Bałty.

— Teraz wszędzie jarmark — odezwał się gospodarz — a dobry, bo i pieniędzy nie trzeba, wszystkiego pełno, czego dusza zapagnie.

Zaśmiał się, mówiąc to, a z worka, który był zdjął w nocy i położył przy sobie, wysypał na łóżko rozmaite rzeczy. Były tam i kawałki materii złotolitych, pasy, kołpaki i naczynia złote lub srebrne, klejnoty, perły, aż blask bił od tych kosztowności.

— To dla ciebie i dla chłopca — mówił, kładąc na kudłatą głowę Hrycia piękny, sobolowy kołpak z kitą i turkusową spinką, a żonie rzucił pas szeroki, złocisty. — Było tego i więcej, ale nie miałem gdzie zabierać; a regimentarz Stempkowski niedaleko, jak mówią ludzie.

Motruna martwiła ze strachu, słuchając tego wszystkiego, biedna zaś Hańdzia tuliła się w kąciку, bojąc się odetchnąć nawet. Po chwili młynarka z mężem wyszła z izby, zabrawszy w worku łupy świeżo przyniesione i przykazując Hryciowi, żeby się nie oddalał. Zaledwie starzy zniknęli, gdy chłopiec przysunął się do Motruny i cicho mówić zaczął:

— Bierzcie swoją dziewczynę i uciekajcie, bo ja nie chcę, żeby ją matka wzięła i karmiła tu w chacie, bo to moja chata i wszystko dla mnie.

Motruna, nie wiele myśląc, zabrała się co prędzej z Hańdzią i wybiegła na podwórze, a chłopiec

sam im wrota otworzył. Słońce już weszło, rosa drżała na wszystkich trawkach, Motruna, wzięwszy za rękę dziecko, biegło szybko przed siebie, nie oglądając się poza siebie.

IV.

Opiekun. — Choroba. — Wiadomość.

Bohdan, z niemym towarzyszem swoim znalazłszy się wśród nocy na stepie, uczuł mimowolną trwogę. Pierwszy raz w życiu znalazł się sam na szerokim świecie, bez ojca i matki, bez opieki, gdyż biednego kalekę, trudno było za opiekuna uważać. Gwiazdy błyszczały na niebie, w jarze z daleka czerniały chaty wioski, ale do tej nie miał chęci zaglądać Bohdan, bał się tych ludzi, dziwnym jakimś ogarnionych szaleń, a tak niepodobnych do tych, których przywykł znać od dzieciństwa w rodzinnej wiosce. Wolał w stepy się zwrócić i tam szukać owego regimentarza Stempkowskiego, którego się tak opryszkali bali. Szli więc oba z Hawryłkiem prosto przed siebie: cicho było, tylko trawy stepowe od wiatru poruszane, wydawały lekki szum, świerszcze odzywały się, przygrywając na swoich skrzydełkach, a czasem rozlegał się smutny krzyk puszczyka. Potem odległe, ale dziwne jakieś dolatywały ich szmery: chwilami zdawało się, że jęk żalсны przedziera

się przez powietrze i głuchy szczeł jakiś słychać zdala, a na niebie od wschodu, zabłysła czerwona luna. Przystanęli, obejrzel się, a potem żwawo pomknęli naprzód; nagle Hawryłko zatrzymał się i po swojemu przypadł do ziemi, nasłuchując; Bohdan ukląkł także i przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał wyraźnie tętent kopyt końskich, szybko się zbliżający ku nim. Co to było, wróg czy przyjaciel, zgadnąć trudno a ukryć się, także niełatwo, zwłaszcza, że gwiazdy poblady już na niebie, a obok łuny pożarnej, białął jasny pas zbliżającego się świtu. Wkrótce słychać już było gwarne krzyki i śpiewy dzikie. Bohdan nie wątpił, że do nich zbliżali się hajdamacy. Niemowa wystraszony padł na ziemię, jęcząc i krzycząc po swojemu, ale Bohdan, choć mu także serce biło jak młotem, stał przy nim i patrzył prosto wdał, skąd ich dochodziły odgłosy pochodu. Niebawem cała gromada wysypała się na równinę, teraz już bielejącą dziennem światłem. Ptastwo spłoszone zerwało się w górę, wydając trwożny pisk zamiast świegotania, jakim zwykle było witać wschód słońca. Kilku mężczyzn jechało na przedzie konno, za nimi dopiero wlokła się reszta. Jeden z jadących przodem, dostrzegł coś czerniejącego wśród stepu i krzyknął, zapytując, co to za lichy?

Niebawem gromada cała obstała Bohdana i leżącego ciągle na ziemi niemowę, którego zaczęli szturchać, żeby się przekonać, czy żyje. Bohdan wtedy przemówił do nich, tłómacząc, że to biedny

niemowa i że musi chleba prosić, bo zarobić nań nie może.

— To chodź z nami, chłopcze, a głodu nigdy nie zaznasz — zawołało kilka głosów.

Nie było co robić, Bohdan potrząsnął Hawryłką, który dźwigał się z ziemi, wystraszonym wzrokiem poglądając wokoło i mrucząc coś po swojemu, co się tak gromadzie spodobało, że jeden z niej, wywijając skrzypcami, zaczął naprzeciw niego tańczyć i skakać. Bohdanowi dziwna myśl przyszła nagle, i porywając smyczek, zaczął grać „czarabaszkę,” przy której tancerze klaskali i krzyczeli: hu-ha! Potem przeszedł w rzewną jakąś dumkę. Chłopczyna od kolebki lubił niezmiennie muzykę i na przywiezionych przez ojca skrzypcach wygrywał nieraz wieczorami całymi, rozmaite dumki i szumki ukraińskie. Teraz mu się to przydało, bo cała gromada na dźwięk pieśni znanych i ulubionych, skupiła się wokoło młodego grajka. Gdy wreszcie zmęczony umilkł, otoczyła go zgraja, krzycząc, żeby z nimi dalej jechał, znalazł się i koń luźny, na którego wsadzono chłopaczka, za nim wgramolił się niemowa i tak ruszyli, nie wiedząc, dokąd i po co. Wkrótce jednak usłyszał Bohdan nowe jakieś krzyki, które zdała wiatr przynosił, później czarna chmura dymu wznosiła się przed nimi ku niebu, a wreszcie zabieła wioska, gdzie już gospodarowała inna gromada, spaliwszy zabudowania. Głośniejsze jeszcze okrzyki powitały przybywających, którzy też, nie czekając długo, pozsiadali z koni i powytaczali beczki z wódką

i piwem ze wsi na pole. Rozpoczęła się pijatyka, bójki i wydzieranie sobie zdobytych łupów; na Bohdana wołali żeby im grał i wyskakiwali, płacząc nogami a wykrzykując, hu-ha! Były w tej, gromadzie i kobiety z rozpuszczonymi włosami, wszystko to śmiało się, klęło, krzyczało, a biednemu Bohdanowi zdawało się, że jest w piekle, o którym straszne prawią powieści. Znużony, wystraszony, odsunął ze wstrętem podawaną sobie czarękę z wódką i grał, jak nieprzytomny, nie wiedząc prawie, co się z nim dzieje. Hawryłko nie odstępował go ani na chwilę.

Długo trwała pijatyka, wreszcie pokładli się wszyscy na ziemi i pozasypiali wśród dnia białego; chłopczyna, nie puszczać skrzypki, wsparł głowę na jakimś węzelku z rzeczami i także usnął twardo. Wiele godzin tak przespać musiał, aż obudził go nowy hałas: przetarł oczy nie wiedząc z początku gdzie się znajduje, a Hawryłko, u nóg jego siedzący, włożył mu w rękę kawał mięsa pieczonego i placka, sam także zajadając. Zgłodniały chłopczyna machinalnie prawie podniósł jadło do ust, a tu wokoło nich ruch i gwar coraz większy: nowa gromada musiała przybyć i obozowisko coraz się rozszerzało. W kilku miejscach rozpalone były ognie, przy których ludzie piekli ogromne kawały mięsa, z porzniętego świeżo bydła. Śpiewy i krzyki, dymy z ogniska, zapach wódki i z mięsa skwarzonego, wszystko to razem tworzyło okropną mieszaninę. W jednym jednak miejscu, głośniejsza jeszcze była wrzawa,

ludzie się tam tłoczyli, jakby na jakie widowisko. Nagle rozległ się krzyk rozdzierający. Bohdanek a za nim Hawryłko, poskoczyli w stronę, gdzie się rozległo żalosne to wołanie, i straszny widok przedstawił się ich oczom: wokoło ogniska skupiła się gromada pijanych rabusiów, a jeden z nich widłami popychał dwoje małych dzieci, związanych za ręczki z sobą; dziewczynka jasnowłosa tuliła się z przerażeniem do braciszka, który siostrzyczkę swoją zasłaniał ciałem własnem, bo ręce miał związane. Dzicy ludzie, upojeni gorzałką i szaleństwem, krzyczeli:

— W ogień rzucić, upiec te kurczęta!

I coraz bliżej pchali ku płomieniom biedne małeństwa. Krew zawrzała w Bohdanku: zapomniał o własnem niebezpieczeństwie, o strachu, o słabości swej i rzucając się przez tłum do rabusia, który widłami szturchał dzieci, wyrwał mu je w jednej chwili i z okiem zaiskrzonem krzyknął:

— Nie mordujcie niewinnych! Bóg was ciężko skarze!

— A ty gadzino jakaś! zakłuć go! — krzyczeli rabusie i już jeden z nich podniósł wyostrzoną kosę.

Błysnęło w oczach Bohdanowi, ale w tej samej chwili, wierny Hawryłko, rzucił się przed paniczą swego i padł z roztrzaskaną głową, jednocześnie też dał się słyszeć hałas z przeciwnej strony. Co tam się dalej działo, już Bohdanek nie wiedział, pamiętał tylko, że nastąpił popłoch i że uczuł nagle ból i go-

17 rąco w lewem ramieniu, potem pociemniało mu w oczach i stracił przytomność.

Gdy Bohdan oczy otworzył, pole wokoło zasłane było trupami: między zgliszczami niedopalonych ognisk, wały się porzucone różne ostre narzędzia i niedojedzone mięso; trawa była zdeptana. Chłopczyna podniósł się trochę na prawym łokciu, drugie ramie bowiem ciążyło mu i bolało za każdym poruszeniem; tuż obok zobaczył już nieżywego, pocziwego Hawryłka. Tymczasem przez pobojowisko przejeżdżał zwolna orszak zbrojny znanych mu ludzi. Dobył biedak sił ostatnich, żeby zawołać i dać znać o sobie, czując, że sam z miejsca ruszyć się nie potrafi. Przodem jechał dowódca, średniego wzrostu, ale dobrze zbudowany; twarz miał przyjemną i jak gdyby dobroduszenie uśmiechniętą, a spadały mu aż do szyi wąsy zawiesiste, jeden ciemny, drugi jasny, lnianej prawie barwy *). Był to pan oboźny Stempkowski, tak później wstawiony srogością, że go Józefem „Strasznym” przewano i długie lata imię jego było postrachem dla wszystkich awanturników. Jadąc na czele hufca, z którym rozpędził rabusiów, sporo ich schwytawszy i kazawszy w dyby okuć, oglądał się bacznie wokoło, jak gdyby czego szukał. On też najpierwszy spostrzegł dźwigającego się z ziemi Bohdana i spiąwszy konia ostrogą, podjechał bliżej. Na widok sukmany krwią zboczonej krzyknął:

*) Szczegół historyczny.

— A ty czego wrzeszczysz, dyabli synu! Dość tę gadzinę!

— Jam nie z gromady, panie! — ozwał się ranny chłopczyna — nazywam się Roszkowski z Korólówki, matka nasza uchodzić musiała a mnie w nocy schwytali i pokaleczyli.

Tu mówić przestał, krew mu się znów połała z ramienia i omdlały, usunął się na murawę.

— Hej! chłopcy! podnieście mi tego chłopczynę — zawołał pan oboźny do swoich — i niech mu który ranę obwiąże!

Najpierwszy rzucił się do Bohdana siwiejący już mężczyzna o długich wąsach, i podniósłszy go delikatnie,łożył głowę jego na swoich kolanach i zaczął mu skronie oblewać wodą, podaną w czapce, przez któregoś z żołnierzy. W lewem ramieniu chłopca, powyżej łokcia, tkwił odłamany kawałek spisy, który wysiągnął z ręcznicy: krew trysnęła a ból ocucił Bohdana. Tymczasem Kozak kazał udrzyć kawał płótna i owinął nim ranę chłopczyny.

— Bóg wam zapłaci — ozwał się mały wojak — teraz mi już lepiej, a za kilka dni może znajdę pana Stempkowskiego i pojadę z nim na wojnę.

— Ho, ho! mój junaku — zawołał dowódca, podciągając wąs swój jasny, (bo ciemnemu zwykle dawał pokój) — cóżto ci tak pilno do wojaczki, a pan Stempkowski, czy to waścin brat czy swat, że tak się napewno do niego wybierasz?

— To żaden mój krewny, nawet go na oczy nie widziałem, ale słyszałem, że dobrze bije roz-

bójników, chciałem więc prosić, żeby mnie zabrał z sobą,

— Pana Stempkowskiego nie potrzebujesz długo szukać, bo oto go masz przed sobą, ale przyznam się, że w mojej chorągwi, dotąd jeszcze, takich towarzyszy nie miałem. Podoba mi się jednak twoja fantazyja, młodzieńcze!

Ośmielony dobrocią dowódcy, Bohdanek miał już prosić, żeby choć kilku żołnierzy posłał do wioski, gdzie być musiała Hańdzia z Motruną, ale rana go coraz mocniej bolała i znów słabnąć począł.

— Niema tu co gadać długo — ozwał się pan oboźny — słuchaj, Szelest, weź ze sobą tego chłopaka i jedź do miasteczka z konwojem przy rannych, których tam mamy. Pamiętaj, żebyś mi chłopca nie zatracił, boby go szkoda — dzielna sztuka, na nogach ustać nie może, a rwie się do pracy, będą z niego ludzie...

I oboźny odjechał ze swoim oddziałem, a kilku zbrojnych, pod wodzą Szelesta, zawróciło w przeciwną stronę, otaczając wóz, gdzie leżało kilka osób jeżdżących i pokrwawionych. Bohdanowi serce zabiło, gdy ujrzał kobietę ranioną o bardzo bladej twarzy. Przypomniała mu się własna matka jego, która teraz Bóg wie gdzie się znajduje. Kozak Szelest, który go za sobą na koniu umieścił, (bo chory prosił, aby go na wozie nie położono), opowiedział, że to były ofiary, pokaleczone przez rozbójników w sąsiednim dworze, skąd je nawpół żywe zabrano, żeby jako tako ratunku udzielić.

snuwała. I widział ucieczkę z domu w noc ciemną, i pieczarę nad Bohem, potem straszną młynarkę, zakrwawione zwłoki Hawryłki i postać okazała pana oboźnego, z jednym wąsem ciemnym, a drugim lniącym, w błyszczącej zbroi, na bułanym koniu. Zdało mu się także, że widzi pocziwą twarz starego Kozaka, pochyloną nad sobą. Tak, teraz już wiedział, co się z nim stało. Spojrzał na wychudzone ręce swoje, dotknął głowy i uczył króciutko obcięte włosy. Wieśniaczka, która od chwili patrzyła na niego, jak gdyby myśli jego odgadła, zbliżyła się do łóżka, uśmiechnęła się i spytała:

— Cóż, czy już wam lepiej, paniczu? Wiele to już niedziel, jakżeście tak jasno nie spojrzeli, jak teraz! A możebyście co zjedli?

— O, dajcie, dajcie, matko! bardzo mi się jeść chce! — odparł Bohdan — i aż się na łokciu wsparł, patrząc chciwie, jak mu Horpyna przyrządzała misę jakiejś kwaskowatej wiśniarki. Zjadłszy z apetytem tę polewkę z kawałkiem podpłomyka, dopiero wdał się w rozmowę ze swoją opiekunką, która mu opowiadała co mogła.

Powoli zaczął nasz chory podnosić się z łóżka i siadywać na przyźbie przed chatą; w sadzie dojrzewały śliweczki, więc już wiele czasu upłynąć musiało, odkąd go tu odwiózł Szelest. Nie miał już teraz ochoty naciągać owej sukmany, w którą go dla bezpieczeństwa musiała przebrać Motruna, ubierał się więc w ulubioną bekieszkę granatową, którą zdjawszy zeń, gdy był nieprzytomny, wiernie prze-

chowała Horpyna. Była, co prawda, duża a niezbyt zręcznie zaszyta dziura na lewem ramieniu, przebitem niegdyś spisą. Ale cóż to szkodził Bohdanowi się zdawało, że był żołnierzem, jak np. dziadek jego, co pod Półtawą w r. 1709 otrzymał rany, przy boku Karola XII, króla Szwecyi.

Jednego razu, siedząc tak sobie na przyźbie przed chatą, bo jeszcze nie miał dość siły do chodzenia po dawnemu, spostrzegł Bohdan niezwykle tuman kurzu na drodze, gdzieś od południa. Prawda, że i bydelko, wracając z paszy, nieraz kurz podnosiło, ale ten tuman był większy i nawet ziemia dudniła, jakby od kopyt końskich; jakoż rychło ukazał się poczet zbrojny, połyskujący się od promieni zachodzącego słońca. Chłopczyna zerwał się z miejsca i podszedł ku wrotom, blady ze wzruszenia, i Horpyna też wybiegła, ciekawa i niespokojna o wychowanka swego, do którego się szczerze przywiązała.

Znów jechał na przedzie znany już Bohdanowi pan oboźny, za nim drużyna zbrojna, tylko Szelesta dojrzeć nie mógł chłopczyk. Z tyłu postępowała gromada, otoczona także zbrojnymi, a między nimi jechało też kilka wozów.

— To chyba więźniowie — pomyślał Bohdan — ale gdzie tam! Ci wprawdzie byli bez broni, niektórzy bardzo blado wyglądali, mieli poobwiązywane głowy albo leżeli na wozach, ale po większej części mieli rogate czapeczki, barankiem lub innem futerkiem oblamowane. Na razie nie mógł Bohdan zwró-

cić na siebie uwagi jeźdźców, choć wołał i ręce wyciągał, ale później musiał go poznać któryś z towarzyszów chorągwi pana oboźnego, bo skinął głową przyjaźnie i coś nawet zawołał, czego chłopak dosłyszeć nie mógł. Chciał zaraz biec do miasteczka, ale Horpyna go powstrzymała, przekładając, że przecież wojsko tu nocować będzie; teraz wszyscy znużeni i pora spóźniona, lepiej więc jutro po dniu dowiedzieć się i rozmówić.

Nazajutrz skoro świt, Bohdan już był na nogach i sposobił się iść do pana Stempkowskiego, wyczyściwszy bekieszkę, jak mógł najlepiej. Chciał koniecznie iść z drugimi, zgłosiwszy się o pozwolenie do matki, będącej, jak sądził, w klasztorze Panien Wizytek, ale wprzód jeszcze pragnął gorąco dowiedzieć się, czy gdzie nie znaleziono Hańdzi z Motruną. Sił jeszcze nie odzyskał zupełnie, ale ręka się mu wygoiła i czuł, że nie może na miejscu dłużej usiedzieć.

Zabierał się właśnie do wyjścia, gdy u wrót stanął chłopaczek młody, i pokłoniwszy się powiedział, że go pan oboźny przysyła po młodego panicza, co go to kiedyś spisami pokłuli. Ucieszony Bohdan natychmiast się z nim wybrał, pożegnawszy uprzejmie Horpynę, która niespokojnie za nim patrzyła. W drodze dowiedział się od Kozaczka, że pan oboźny śpi jeszcze, tylko wczoraj rozkazał był, ranniutko sprowadzić panicza; o Szeleście posłyszał także, iż ten odprowadza konwój z więźniami do Żytomierza, gdzie ich sądzić miano. Trzeba wiedzieć, że

w Żytomierzu zasiadała komisya do sądzenia spraw, z zaburzenia wynikłych; na jej czele był Dubrawski, człowiek drobny, chudy, a tak na pozór wątłej budowy, że pasa litego udźwignąć nie mógł i z tego powodu szabli przy boku nie nosił; opasywał się więc rzemieniem o srebrnej klamrze i wieszał na nim mały puginalik. A jednak był to mąż wielkiej odwagi i kiedy szlachta na wieść o zaburzeniach głowy potraciła, Dubrawski jej nie stracił, ale po dawnemu, jak owi rotmistrze z XVII wieku, rzucił się w ogień i przytłumił go w swojej okolicy.

Teraz jednak, wracając do Koszowatej, widzimy Bohdana wśród pokrytej kurzem ulicy miasteczka. Zwróciła najprzód uwagę jego duża szopa, wokół której wartowało kilku żołnierzy, a na progu siedział mężczyzna, smutnie jakoś zadumany, w rogatej czapeczce na głowie. Bohdan żwawo posunął się ku szopie. Żołnierze puścili go z łatwością, zwłaszcza, że przy nim widzieli Kozaczka pana Stempkowskiego, a chłopczyzna, zbliżając się do smutnego szlachcica na progu siedzącego, pozdrowił go słowem: „Niech będzie pochwalony!”

Jeszcze nie miał czasu o nic go zapytać, gdy z szopy wyszedł inny, siwiejący już mężczyzna z twarzą zalepioną dużym plastrem, który mu oko jedno przykrywał; stanął, przysłonił ręką drugie oko, od złocistych promieni porannego słońca i zawołał:

— Bohdan! co ty tu robisz?

Chłopiec stanął jak wryty i nagle z głośnym okrzykiem rzucił się do starego, całując jego ręce. Poznał bowiem pana Krzysztofa Roguskiego, ojca swego chrzestnego, który w zimie jeszcze z ojcem jego odjechał. Dopierożto się zaczęła rozmowa, zapytania, odpowiedzi z jednej i drugiej strony i dowiedział się w końcu Bohdan, że Bar wzięty został przez wojska królewskie z innymi sprzymierzonymi, że pan Stempkowski tam dowodził, że 400 ludzi zginęło a jeńców wzięto więcej jeszcze. Między innymi, był i brat pana oboźnego, szambelan Jan Stempkowski, który miał potem ostrą rozmowę z bratem; niewiadomo, o czem tam z sobą gadali, dość że obaj wyszli z chmurnem obliczem, a pan Jan pod strażą z innymi więźniami dalej był prowadzony. Bohdan z bijącym sercem pytał o ojca, z którym pan Roguski ciągle się razem trzymał, i odetchnął też wolniej, gdy się dowiedział, że pan rotmistrz, lekko ranny tylko, cofnął się wraz z innymi w Stepes bessarabskie. Pan rotmistrz kilka razy przysyłał listy do Koralówki, zalecając, żeby żona z dziećmi do Kamieńca zawczasu jechała, ale pisma te w czasie zawieruchy przepaść gdzieś musiały, gdyż Bohdan dobrze wiedział, że nie doszły; nieraz widział matkę płaczącą, w niepokoju o ojca wyczekującą wieści. Roguski ze swej strony wypytywał Bohdana, kiedy i jak się rozstał z matką i dziwnie się jakoś zafrasował, gdy mu chłopiec wszystko opowiedział.

— Więc sądzisz, że matka bez was z domu wyjechała? — zapytał.

— Mnie samemu to się dziwnem wydaje — szepnął Bohdan — ale Motruna twierdziła, że mateczka jej poleciła nas tam doprowadzić.

Pokręcił głową Roguski i frasował się wraz z Bohdanem, że teraz o Hańdzi i Motrunie nie się dowiedzieć nie można było.

— Ja jestem więźniem — mówił Roguski — i kroku zrobić nie mogę, a ty, sam rzucony na świecie, cóż poczniesz, nieboże?

— Otóż właśnie, że teraz srodze zakłopotany — odparł Bohdan. Ciągłe sobie układałem, że uproszę pana oboźnego, żeby mnie z sobą wziął do chorągwi, jak tylko od mateczki dostanę pozwolenie, ale teraz, kiedy wiem, że p. Stempkowski wojował z ojcem i naszych wziął do niewoli, straciłem serce do niego i wolę sam iść w świat boso i bez kawałka chleba, póki Haneczki z Motruną nie znajdę i do matenki się nie dostanę...

— To powiedzieć łatwo, mój chłopcze, ale wykonać trudno.

Dopiero się teraz dowiedział Bohdan o straszliwych gwałtach, jakich się w wielu miejscach dopuszczono, o czem słuchając, tem większą czuł trwogę o Hańdzię i chciał w tej chwili biedz jej szukać, ale go znów wstrzymał Roguski.

— Cóż zrobisz sam, taki młody i bezsilny po chorobie? Niema innej rady, tylko teraz, kiedy rodziców los rzucił daleko i z przyjaciół niema nikogo, idź do pana oboźnego i z jego pomocą, staraj się do Kamieńca dostać. Nic ci innego poradzić nie

mogę, tylko, co bądź się stanie, pamiętaj chłopcze, gdzie jest twój ojciec i czego od ciebie żądać ma prawo.

— Ach, panie! — zawołał Bohdan — czyżbym nie mógł trafić do ojca? Poszedłbym o suchym chlebie, mógłbym się zdać tam na co, choćby konie siodłać, jeżeli czego innego nie potrafię; przecieżby mnie ojciec nie wypędził.

— To niepodobna, mój kochany. Ja sam ci wskazać nie mogę, gdziebyś ojca znalazł napewno. Oni, biedacy, z miejsca na miejsce się przenoszą i nie wiadomo, gdzie zgromadzić się im każą. Zresztą, zginałbyś w drodze, pośród snujących się wojsk, na szerokim stepie.

Bohdan nie wiedział już co mówić, stał smutny i zafrasowany srodze, a tu Kozaczek dawał mu znaki, żeby odszedł, bo już słońce wysoko na niebie. Chłopiec, ze łzą w oku, ucałował ręce Roguskiego, który go pobłogosławił i po ojcowsku do serca przycisnął. Już miał odejść, gdy stary go jeszcze przywołał i zdejmując z piersi ryngraf z Matką Boską, zawiesił mu go na szyi, mówiąc:

— Niech cię ta Święta Królowa broni, od wszelkiego niebezpieczeństwa, jak mnie broniła, czego dowodzi znak kuli, którą zatrzymała blacha ryngrafu, i niech w sercu twoim chroni uczucie poeciwe!

Wzruszony i uszczęśliwiony, przycisnął Bohdan do piersi skarb swój, i z lepszą już otuchą szedł

dalej, przysięgając sobie w duchu, że się musi stać godnym zacnego ojca swego i jego towarzyszy.

V.

Święty Onufry. — Starzec. — Zguba. — Odkrycie.

Hańdzia z Motruną znalazły się same na szerokim stepie; dziewczynka, wypawszy się i posiliwszy we młynie, teraz żwawo szła naprzód, trzymając się ręki starej piastunki, która w ciężkiej trosce i frasunku, znużona bezsennością i niepokojem, dobywała jednak sił wszelkich, żeby jak najdalej odejść od wioski. Szły tak może ze dwie godziny, gdy ucha ich doleciały śpiewy i krzyki, zbliżające się ciągle.

— To rabusie — pomyślała stara i przytulając do siebie Hańdzię, obejrzała się trwożnie dookoła.

Na lewo przed niemi trochę, zółcił się z daleka łan wysokiej, bujnej pszenicy ukraińskiej, co to w niej mężczyzna z głową skryć się może. Nie wiele myśląc, Motruna z Hańdzią pobiegła do łanu, i po chwili obie zanurzyły się w złociste zboże, które rozdzielone na chwilę, jak owe fale wokół wojska Faraona egipskiego, zamknęło się nad niemi i ukryło biedne wędrowniczki, co się do ziemi

przytuliły, jak spłoszone przepiórki. Hańdzia garnęła do siebie białego gołąbka, z którym się przez cały ten czas tułaczki i niepokojów nie rozstawała ani na chwilę.

Tymczasem gromada nadciągnęła: słychać było wyraźnie ich rozmowy, klątwy i dzikie piosenki; Hańdzia drżała, tuląc główkę do swej piastunki i modląc się po cichu do Matki Najświętszej. A niebezpieczeństwo było wielkie: rabusie, skuszeni widokiem pięknego zboża, zatrzymali się, żeby napaść konie, których kilka mieli z sobą, choć większa część gromady szła pieszo, zataczając się i potykając. Biedne wędrowniczki nasze słyszały stąpanie koni, zbliżających się do nich i bojąc się odetchnąć, siedziały nieruchome, przyciśnięte do siebie. Lada chwila mogli rabusie je zobaczyć; pszenica, tłoczona kopytami, kładła się na ziemi, otwierając tym sposobem szerokie ścieżki, przez które wszystko dojrzeć można było.

Tak przeszło może pół godziny, które wydawały się wiekiem Motrunie, wreszcie zaczęto nawoływać koni, te jednak nieprzyzwyczajone do głosu nowych panów, zamiast wracać, rozbiegły się po łanie. Rozpoczęła się więc gonitwa, bicie, klątwy i krzyki straszliwe! Jeden z koni prosto pędził w stronę, gdzie przykucnęły nasze zbiegi — już, już zdawało się, że je roztrątuje, gdy nagle... stanął, parsknął i pomknął w przeciwną stronę.

Jak tam sobie dano radę — nie wiadomo, dość że powoli krzyki słabnąć zaczęły, i cała gromada w step się oddaliła.

Słychać jednak było chrapanie dziwne jakiegoś opodał: Motruna, rozgarniając kłosa, wychyliła ostrożnie głowę i zobaczyła leżącego konia, którego w złości rabusie cepami pobili tak, że ledwie dyszał.

— Biedny koń! — szepnęła Hańdzia — chodźmy do niego, może go poratujemy — ale nim jeszcze mówić skończyła, biedne zwierzę żyć przestało.

— Patrz, patrz, nianiu, to ten sam konik siwy, co nas nie chciał potratować, biedny! — i Hańdzia zalała się łzami.

— Daj pokój, dziecino! nie płacz, chwała Bogu, że nas tak nie pozabijali; uciekajmy teraz, może gdzie wreszcie znajdziemy schronienie.

A trzeba im było spocząć i pokrzepić się trochę: Hańdzi nóżki, podrapane i pokaleczone, nie pozwalały już iść tak prędko jak z początku, a w dodatku, bojąc się wysuwać na step goły, Motruna prowadziła ją między zbożem, rozgarniając, jak mogła, bujną słomę, żeby nie kaleczyła dziewczeczki. Hańdzia, choć zmęczona i wystraszona, nie mogła wytrzymać, żeby nie zrywać bławatków, których mnóstwo w pszenicy rosło, i wtykała je jak mogła w kapelusze swój słomiany, za krawę u pasa, a nawet w zanadrze gdzie już siedział gołąbek.

— Oj, dziecino! — mówiła Motruna — a jednak nie mogła się wstrzymać, żeby nie uśmie-

chnąć się, widząc, jak to dziecko, dopiero wylękłe i rozplakane, teraz znów gotowe bawić się kwiatkami.

— Czy my znajdziemy prędko Bohdana? — pytała znów dziewczynka — przecie go Bóg uratuje, tak jak i nas — prawda, nianiu?

— Daj Boże, daj Boże! — odpowiedziała piastunka — ale ją samą okropny dręczył niepokój.

I szły tak obie, gdzie oczy poniosą, a zamiast pszenicznego ładu na stepie, widniał zielony basztan *) z szerokimi liśćmi kawona. Wioski nie dojrzały nigdzie, ale wśród stepu zaczynał się jar, obrosły drzewami. Z ziemi, jakby rozprutej nagle, tryskał źródź żywej wody, płynący z pieczary brzostem ocienionej. Motruna weszła tam, ale Hańdzia krzyknęła i zatrzymała się przerażona; w pieczarze bowiem klęczał starzec z brodą długą za kolana, żółty, mchem obrosły. Dziewczynka utkwiała weń oczy, i nie śmiała już ani kroku postąpić, ale Motruna przeżegnawszy się i uderzywszy pokłon do ziemi, ozwała się:

— Nie bój się, dziecko moje, to figura, ot, lepiej napij się czystej wody krynicznej, od Świętego Onufrego, to ci na zdrowie będzie i na błogosławieństwo.

*) Zorany na stepie ziemi kawał, na którym się sieje kawony, melony, kukurydzę lub ogórki.

Trzeba wiedzieć, że według podania miejscowego ludu, Święty Onufry Pustelnik, który miał w Egipcie przeżyć lat 60 na modlitwie i w takim ubóstwie, że mu tylko broda ogromna za odzienie służyła, jest czczony, jako patron czystych źródeł, często też dawniej spotkać można było posągi jego, po pieczarach i monasterach. Hańdzia, ciągle jeszcze z niejaką nieufnością spoglądając na Świętego, przeżegnała się i nie odwracając oczu od tej klęczącej postaci, zaczerpnęła ręką wody z kryniczki i napiła się jej kilkakrotnie. Motruna nieomieszkała także pokrzepić się u Świętego źródła, potem wyszły obie, kierując się do wnętrza jaru, który się rozszerzał przed ich oczami, odsłaniając rozkoszny futor z bieluchnym dworkiem, śród gaju czeremchowego. Drzewa kwitły jeszcze, woń miłą rozlewając, dalej śród krzaków kaliny, kryła się pasieka, a strumyk z pieczary Świętego Onufrego, płynąc coraz dalej, gubił się w małym stawku, co się srebrzył jak zwierciadło, odbijające drzew wiercholki. Był tam i dąb wyniosły, a pod nim ławeczka z darniny i brzoźka o białej korze, a taki świeżutki powiew załatywał, że aż się miło robiło i rzeźwiej na sercu.

— Otóż nas Św. Onufry zaprowadził — rzekła Motruna — tu nas pewno dobrzy ludzie przyjmą i przygarną, i skierowała się wprost do dworku. A miało się już ku wieczorowi, chociaż słońce świeciło na widnokręgu, wyzierając czerwonym blaskiem z za kalin i pasieki. Nagle pies mocno

zaszczekał, a na ten odgłos, ukazał się z pomiędzy ulów wysoki, o siwych włosach starzec z długą brodą, co mu, jak Św. Onufremu, do pasa prawie spływała. Przysłonił oczy ręką i długo się wpatrywał w przychodniów, zdziwiony snąć, czego tu szukać chcieli. Motruna, trzymając dziecko za rękę, zbliżyła się i kłaniając, przemówiła:

— Niech będzie pochwalony!

— A skądto, skąd Bóg prowadzi? — zapytał starzec, odwołując psa, który rzucił się na wędrowców, ale potem jakby zawstydzony, ogon spuściwszy, wrócił do pana swego.

— Z daleka, wielmożny panie — ozwała się piastunka — uciekam przed hajdamakami z tą otę dzieciną, którą w proste suknie przebrać musiałam dla niepoznaki. Pozwólcie nam miłościwie tu spocząć, bo już nie wiemy, gdzie się nam podziąć biednym sierotom...

— Chodźcież! chodźcie w Imię Boże — rzekł sędziwy gospodarz. — Do mnie tu hajdamaki, jak ich tam nazywacie, nie zaglądają, bo łupu wiedzą, że nie znajdują, ale wszędzie w okół podobno palą i plądrują haniebnie. Ja tu sam, stary, ale czem chaćta bogata, tem rada — proszę za mną!...

I szedł starzec przodem, a za nim Motruna z dzieckiem. W sieni leżał znów pies ogromny i groźnie zawarczał, ale gdy pan krzyknął: „Obał, do nogi!” przypadł do ziemi i przyczołgał się do nóg pańskich.

W izbie, na prawo, skromnie było, lecz czyściutko: stół dębowy, ława kilimkiem przykryta i w kącie sepecik, misternie okuty, na ścianach trochę oręza a przez drzwi otwarte, widać było alkierzyk i łożę wązkie, niedźwiedzią skórą zasłane; nad niem Matka Boska Berdyczowska z palmą święconą i gromnicą, za obraz zatkniętą, a poniżej karabela w jaszczur oprawna.

— Spocznijcie — rzekł starzec, wskazując na ławę, a sam wyszedł przed sień: po chwili ukazał się równie podeszły w wieku, stary sługa, i postawił przed podróżnemi dzbanek z miodem, dwa kubki i chleba bochenek, z nożem składanym w oprawie rogowej. Motruna nalala Hańdzi i sobie, ukroiła chleba, a tymczasem wrócił gospodarz i usiadłszy z boku na ławie, przyglądał się gościom swoim w milczeniu. Gdy już trochę podjedli, ozwał się do Motruny:

— Coś ten wasz chłopak pieszczony być musi, bo ręce ma, jakby panienka i czoło białe, jak kość słoniowa. Gdzieżto go chowacie, na księdza, czy co?

— Oj! dużoby to mówić, proszę jegomości: nie moje to i... prawdę rzekłszy — nie chłopczyk, tylkośmy się tak przebrali, dla niepoznaki.

I dopiero jąła rozповідаć staruszka, jak nocą musieli z Koralówki uciekać, jak się kryli po norach i pieczarach, i błakali się długo. Zataiła tylko śmierć swojej pani ukochanej; gdy zaś przyszło jej wspomnieć o Bohdanie, wybuchła rzewnym płaczem. Staruszek słuchał, nic nie mówiąc, zamyślił

się posępnie i zadumał, zapatrzone przed siebie, a na czoło mu wystąpiła gruba zmarszczka, jak gdyby bolesne jakieś wspomnienie ją wycisnęło. W tej chwili wypadła mu z ręki tabakierka, o której snadź zapomniał, a Hańdzia podbiegła i podając ją starcowi, spojrzała nań dużemi szafirowemi oczami. On położył rękę na jej głowce i wpatrując się w twarzyczkę uśmiechniętą, rzekł:

— Bóg zapłać, dziecko, a jakże ci na imię?

⁶ — Anulka, proszę jegomości!

— Anulka, Hańdzia — powtórzył — ciągle patrząc na nią, jak gdyby się dziwił. I takie oczy szafirowe... no, żal się Boże! ale przecie nie jedną dziewczkę u nas Hańdzią nazywają... Nie dziwnego... — powtarzał, jak gdyby w zamyśleniu, sam do siebie mówiąc.

— A gdzież rodzice twoi? — pytał dalej.

— Ojczunio dawno już do Baru pojechał, a mateczka... nie wiem... I tu dziewczynka zalała się łzami.

Motruna skinęła na gospodarza, żeby więcej nie pytał, a sama powstając z ławy, skłoniła się nisko, dziękując za gościnność i posiłek.

— Ależ zostańcie, rozgośćcie się w mojej chacie tymczasem — mówił staruszek — potem uradzimy, co dalej robić. Maciej wam pościeli świeżego siana w izdebce naprzeciwno, spoczniecie, a jutro pogadamy.

Właśnie słońce zaszło było i na podwórku ozwał się dzwonek, bo stary Maciej wzywał na Anioła Pań-

ski; ukląkł sędziwy gospodarz, za nim dziewczeczka i piastunka stara i kornie schylając głowy, odmawiali Modlitwę wieczorną. Potem Motruna, pokłoniwszy się znowu, odprowadziła panienkę swoją do izdebki, gdzie ucałowałszy ją i rozebrawszy z sukmany, ułożyła wygodnie na skromnem posłaniu, sama zaś wysunęła się jeszcze z izby.

Na podwórku, przed domem, stał stary szlachcic i patrzył w niebo, gdzie się ukazywać zaczynały blade jeszcze gwiazdki; Motruna zbliżyła się cicho i czekała, nie śmiąc przerywać milczenia, ale widocznie pragnęła coś jeszcze powiedzieć panu. Staruszek obrócił się, a spostrzegłszy ją, spytał:

— Cóżto, żal się Boże, może wam czego brakuje? Powiedzcie! Może dziecku jaka niewygoda?

— Oj, nie, jegomościuniu, śpi już moje biedactwo, ja tylko chciałam coś powiedzieć; może mi jegomość poradzą, jeśli łaska, bo mu taka dobroć z oczu patrzy, że człowiekowi aż śmiej się robi...

— Mówcie, mówcie, kobieto, żal się Boże, co wam na sercu leży.

Tu Motruna zaczęła opowiadać, jak to w nocy, ze dworu w Koralówce z dziećmi uciekać musiała, jak potem zastała swą biedną panią nieżywą, jak to przed dziećmi ukrywała i tak dalej.

— I nie macie tu żadnych krewnych w pobliżu? — pytał gospodarz — jakże pani wasza była z domu?

— Otóż tego nikt nie wie, proszę jegomości, dziwna to była historia.

— Siadajcie tu na ławce — przerwał szlachcic — i odpowiedzcie mi, jak to było.

— Otóż, proszę jegomości, pan nasz, com go od maleńkości wypiastrzowała na rękach moich, dobry był jak anioł, tylko krwi strasznie gorącej; miał po rodzicach wieś Koralówkę nad Bohem i stamtąd razu jednego, że to był ciekawy wszystkiego, wybrał się na Krym, za kupnem koni. Bawił długo, zaś za powrotem przywiózł z sobą piękne konie tureckie i bakalie rozmaite, ale prócz tego owiniętą w szale i zasłony śliczną dziewczeczkę, którą był od Tatarów wykupił. Porwali ją oni gdzieś w naszych stronach, a biedactwo, żyjąc lat kilka na Krymie, gdzie też ciężko chorowała, zapomniała skąd i jak się tam wzięła; jedno tylko wiedziała, że na nią dawniej Hańdzia wołał, a Tatarzy ją po swojemu *Hani* przezwali...

Tu starzec nagle zerwał się z ławy i chwytając ręce Motruny, drżącym głosem zapytał:

— Kiedy to było? powiedzcie, a dziewczeczkę zwali Hańdzią, mówicie?

— Będzie temu, jegomościuniu, lat piętnaście z okładem, a panienska miała wtedy może piętnasty roczek także, a śliczną była, jak nieprzymierzając nasza mała Hanulka, tylko, że to biedactwo teraz zmęczone i opalone straszliwie, a tamtę Tatarki od słońca chroniły i pono w mleku kąpały, żeby wypiękniła, bo ją do Carogrodu sprzedać chciano. To też pan nasz wielki miał kłopot, nim tam z nimi targu dobił i dziewczeczkę z sobą przywiózł, bo mu się

niezmiernie podobała i za serce go chwyciła. Dopiero ją oddał do klasztoru Panien Wizytek w Kamieńcu, gdzie teraz siostra jego już jest Ksienią, a we dwa lata ożenił się z nią i do Korarówki przywiózł. Słodkież to było niebożátko i drobne, jakby dziecina; nieraz każe sobie dumki nasze śpiewać, słucha i płacze, jakby sobie coś przypominała. Zdawało jej się, że to kiedyś słyszała dawniej i chciała przypomnieć, aż główkę rękami ścisnęła, ale nie mogła; wiedziała tylko, że ją w nocy porwali i wieźli gdzieś, daleko, daleko...

— I nie... nie więcej, pani wasza nie pamiętała?

— Nie pamiętała nawet matki rodzonej, tylko kiedy pan nosił i całował synka, małego Bohdana, rozplakała się i mówiła: pamiętam, mnie tak kiedyś ojciec nosił i pieścił.

— Słuchajcie, kobieto dobra, a nie widzieliście u pani waszej jakiego znaczka na czole?

— A jakże, jegomościuniu, pani miała z lewej strony na skroni, blisko oka, wążutką pręgę czerwoną jak krew, jakby od przecięcia bliznę.

— Boże wielki! — zawołał starzec i padł na kolana: — Boże wielki, dzięki Tobie, żeś sługę twego pocieszył! Niech Imię Twoje Święte będzie pochwalone. I złożył ręce, a po sędziwej twarzy jego dwie grube łzy spływały. Motruna stała zdziwiona, nie wiedząc, co to ma znaczyć, ale starzec, pomodliwszy się, wstał i siadając, wziął rękę wieśniaczki i ozwał się w te słowa:

— Dziwne są Boże sądy i wyroki! — Słuchajcie, pocziwa kobieto... Lat temu dwadzieścia i dwa, musiałem wyjechać z domu i zostawić córkę jedy-naczkę, co mi po żonie nieboszczce została, Hanulkę moją słodką, kwiateczek mój złoty, com ją strzegł, jak oka w głowie. Wróciłem i zastałem dwór spalony, słudzy pomordowani — dziecka ani śladu, w ogrodzie tylko węzelek z przyodziewkiem mego dziecięcia. Com się naszukał, naśledził, i wszystko na próżno. Dzieweczka, małąką będąc, upadła i żal się Boże, przecięła sobie skroń o żelazo przy progu, aż się krwią załala. Cośmy ją też z Maciejem nosili, cucili, wodą skrapiali, maścią okładali, aż się ranka zgoiła i tylko od krwi upływu, bladeść na twarzy-cze została, że jak biały kwiatusek, wyglądała dziecina moja. I wy mówicie, że pani wasza miała taki znak na skroni?

— A jakże, jegomościuniu! Nieraz się temu przypatrywaliśmy z panem, ale ona nie wiedziała, niebożátko, jak się to stało. Cudowny mój Boże! To nasza pani miałaby być córeczką jegomości? To już chyba Święci Pańscy nas tu sprowadzili do dziadunia naszych dzieci...

I stara rozplakała się, ręce składając, jak do modlitwy.

— Niezbadane są wyroki Boże — mówił szlachcie — tylem lat spędził w ciężkiej żałości, co mi jak kamień serce tłoczyła, żal się, Boże! Teraz wiem, że moja Hanulka nie żyje, a jednak dusza moja pocieszona. Dzięki Ci, Boże, dzięki za wszystko! Kiedy na

mnie ta dziecina spojrzała, swemi wielkimi, szafirowemi oczkami, dziwnie mi się koło serca jakoś zrobiło i nie mogłem od niej oderwać spojrzenia. Chodźmy do dziecka, chodźmy! Niech się stare oczy moje nacieszą widokiem wnuczki.

Tymczasem nadszedł i stary Maciej, nieodstępny towarzysz pana swego, od lat wielu; trzeba więc było i jemu wszystko opowiedzieć; stary dziwował się i płakał z nimi razem, a potem wszystko troje weszli cicho do izdebki, gdzie spała Hańdzia, niczego się nie domyślając. Rączkę zarzuciła na główkę, a rumiana jej twarzyczka uśmiechała się we śnie. Dziadek ukląkł i wznosząc ręce, błogosławił tę zesłaną mu, jak gdyby z Nieba wnuczkę, która mu wracała ową straconą pieszczotkę z lat dawnych, ukochaną Hanulkę. Potem jeszcze mówili o Bohdanie, i pan Onufry Świderski, tak się bowiem zwał sędziwy gospodarz, postanowił wybrać się na poszukiwanie wnuka nieznanego, zaraz na jutro.

Tymczasem późna już była godzina; w dużej izbie spaliło się kilka węzłów na sznurze, który zamiast zegara służył, pokazując, że już było po północy, kiedy się wszyscy rozeszli na spoczynek. Sędziwy gospodarz długo jeszcze klęczał na modlitwie przed obrazem Bogarodzicy i bił się w piersi i wzrok podnosił ku niebu, jak gdyby tam szukał swojej Hanulki u stóp Najwyższego.

Motruna znużona usnęła twardo i rankiem dopiero przebudziła się, gdy już słońce świeciło jasno.

I Hańdzia już nie spała, a pokrzepiona snem, szczeniotać zaczęła wesoło i cieszyć się gołąbką, który dziobał kłoski, tu i owdzie rozrzucone. Pan Onufry, który już od świtu był na nogach, bo mu wzruszenie spać nie dało, przywołał do siebie Motrunę i zaprowadziwszy ją do alkierza, w te odezwał się słowa:

— Widzicie, nianiu pocziwa, tu leżą szaty mojej jedynaczki, jak się przechowały przez lat dwadzieścia, żal się Boże! na pamiątkę ojcu stroskanemu; weźcie je teraz i ubierzcie wnuczkę moją a potem jej powiem o wszystkim.

— Proszę jegomości, a jakże temu biedactwu powiedzieć, że jej matunia nie żyje? Ona ciągle pyta, czy prędko do Kamieńca zajdziemy i we śnie nawet matki woła. Jak jej to powiedzieć?

— Biedna dziecina — powtórzył dziadunio — a trzeba jej wręcz powiedzieć o tem nieszczęściu, może się trochę pocieszy przy dziadku, biedactwo! Ale przyprowadźcie ją do mnie jak najprędzej.

Piastunka umyła i wycesała swoją gołąbkę, ubolewając tylko, że kosy śliczne zostały tam gdzieś w pieczarze Orlyci, potem zaczęła ją ubierać w białą koszulkę i sukienki, które dostała od dziadka: znalazł się kubraczek szafirowy z białym puszką, w którym ślicznie było dzieweczce, a zapiał się, jak gdyby na nią robiony. Dziwiła się Hańdzia, skąd to się wszystko wzięło, ale Motruna, nie chcąc od razu opowiadać całej historii, odrzekła, że to mateczka z daleka przysłała dla dziecka.

— A kiedyż my wreszcie do mateczki dojdziemy? — skarżyła się Hańdzia — mnie już tak smutno. Poproszę dobrego tego dziadunia, on nas pewno do mamy odeśle i Bohdana wyszuka, prawda, nianiu?

— Oj, nieprędko my, nieprędko, do mateńki dojdziemy, dziecino moja, bo ona bardzo daleko. Trzeba do Boga się modlić, żeby jej się nie złego nie działo, a tymczasem naszego Bohdana szukać na stepach.

Zasmuciło się dziewczę i główkę spuściło a duże łzy błysnęły w jej oczkach, gdy trzymając Motrunę za rękę, wychodziła z izdebki.

Na gańku już stał pan Onufry, który dziewczkę podniósł w ramionach i przycisnąwszy jej główkę do piersi, całował, nie mówiąc i słowa z początku.

Jak się Hańdzia dowiedziała, że ma dziadunia rodzonego, że mateńka już jest u Boga i pewno na nich z góry patrzy i uśmiecha się, że jej już żadne troski nie dosięgną, jak rzewnie płakała i utulić się długo nie mogła, jak się potem garnęła do dziadunia i błagała, żeby jej Bohdana odnalazł, tego wszystkiego opowiadać nie będziemy; dość, że dziadunio wyprawił tymczasem zaufanego chłopaka na zwiady, zanim sam będzie mógł wyruszyć na poszukiwanie wnuka.

VI.

Gość. — Oblężenie.

Było już po południu godzin parę, kiedy na stepie, pod futorem, zabrzmiała pieśń wojskowa *) i niebawem u wrót ukazał się oddział zbrojny. Przodem jechał dowódca z jednym wąsem lnianym a drugim ciemnym i widząc gospodarza, wychodzącego przed ganek na powitanie gości, podjechał ku niemu i pozdrawiając po rycersku, ozwał się:

— Nie mogłem ominąć siedziby starego druha mego ś. p. ojca, żeby waszeci się nie pokłonić, panie poruczniku, i nie przypomnieć łaskawej pamięci.

— A! pan obożny Stempkowski! czołem! czołem! — odrzekł pan Onufry, kłaniając się uprzejmie. — Ale zsiadajże waszec z konia i ludziom pozwól spocząć. Miło mi w progach moich niskich ugościć syna pana kasztelana Żarnowskiego, mego zanego druha. Hej! Macieju...

I staruszek zajął się przyjęciem gości, a choć się krzątał i zapraszał, znać jednak było, że nie jest rad sercem całem, jakby tego można się było spodziewać.

*) Był zwyczaj we wszystkich chorągwiach od wieków, iż z pośród towarzyszy dobierano śpiewaków, którzy na czele jadąc, śpiewali pobożne i światowe pieśni.

Niebawem zapytał pana oboźnego o młodszego brata, Jana, a gdy tamten kwaśno jakoś wspomniał o nim, pan Onufry, począł się rozwodzić nad zacnością tego ostatniego.

— Wiadomo waszmości — prawił pan Józef — że brat mój Jan przez dawne stosunki, w jakich zostawaliśmy ze stolnikiem litewskim, a dziś nam miłościwie...

— Miłościwie, jak miłościwie! — mruknął gospodarz.

— I łaskawie panującym — ciągnął gość dalej — królem Stanisławem, przez dawne, mówię, stosunki, otrzymał stopień szambelana i mógł był dalej zaszczytnie pełnić służbę u dworu, bo do wojaczki nigdy nie zdawał się mieć wielkiego animuszu; niechby zresztą był wstąpił do wojsk jego królewskiej mości, ale porzucił stolicę i, mówię waszmości, kopnął się w stopy i przepadł bez wieści.

— To pewna, że do łupieżców nie przystał — rzekł z uśmiechem pan Onufry i miał coś mówić dalej, gdy nagle pan Stempkowski przez okno wyjrzawszy, zagadnął:

— A to co za dzierlatka chowa się u waści? Przecież zda mi się, że rodziny waszec nie miałeś od... i urwał nagle.

— Od kiedy — ciągnął gospodarz dalej — od kiedy mi moją jedynaczkę porwano, jak o tem wiedział ojciec waszmości i inni druhowie moi. Otóż dowiedz się waść, że w cudowny prawie sposób

dziś niebo mi zesłało wnuczkę po tej właśnie zaginionej córce.

— Co waś mówisz, a to jakim sposobem?

Ale w tej chwili nowy hałas dał się słyszeć, i wpadł na podwórko ordynans od Ksawerego Braniczkiego, późniejszego hetmana, z wezwaniem do pana oboźnego, żeby natychmiast śpieszył ku Humanowi. Rozmowa się przerwała, i tylko pan Stempkowski w krótkich słowach usłyszawszy, że Hańdzia nie ma już matki, zobowiązał pana Onufrego, że ten wnuczkę tymczasowo powierzy opiece pani Franciszki, żony jego, która obecnie w Żytomierzu przebywając, dziewczeczkę macierzyńską otoczy troskliwością.

— Miło nam będzie — powtórzył na wsiadanem już pan oboźny — choć w taki sposób okazać szacunek, jaki mam dla zacnego druha pana kasztelana, a ś. p. ojca mego.

Nie przyrzekał nie stanowczego pan Onufry, dziękował jednak za uczynioną sobie propozycją.

Nad wieczorem, powrócił wysłany chłopak i opowiadał o strasznych spustoszeniach, jakie wszędzie w okolicy zrzadzili hajdamacy, o bitwie, w której pan oboźny rozpedził bandytów; resztki ich podobno kryją się gdzieś niedaleko, o Bohdanie tylko nie się dowiedzieć nie mógł. Słuchał tego wszystkiego z chmurnem obliczem pan Onufry i postanowił niezwłocznie puścić się na odszukanie wnuka, a tymczasem pieścił i tulił Hańdzię, która się doń garnęła z płaczem.

Na noc pościelano jej i Motrunie w wielkiej izbie na prawo, gdzie stary Maciej poznosił wilcze i niedźwiedzie skóry na wygodne posłanie dla kochanej pani. Gołąbek, nakarmiony grochem i kukurydzą, usnął smacznie, kryjąc główkę pod skrzydełka, a spłakana pani jego także we śnie zapomniała o swym żalu.

Około północy psy straszliwie ujadac zaczęły, a pan Onufry, który miał sen czujny, zerwał się i narzuciwszy jakiś przyodziełek, wyszedł na podwórko; tu spotkał się z Maciejem, już także rozbudzonym, i obaj usłyszeli hałas jakiś niezwykły na stepie.

— Co to być może? — pytał stary sługa zaniepokojony. — Gdybym nie wiedział, że ci opoje mają respekt dla jegomości, sądziłbym...

Tu przerwał, bo krzyki coraz wyraźniejsze, zapowiadały zbliżanie się gromady ludzi.

— A to łotry! Już się do gniazda starego sępa dobierają, przyjmujemy ich, jak należy, tylko mi żal dziewczątka, żeby się strzałów nie przełękło. Skocz żwawo, Macieju, po rusznicę, wołaj Pawlusia, i znieście wszystką broń jaka jest. Damy im od bramy takie przywitanie, jakiego jeszcze pewno nie mieli.

I sam pan porucznik z żywością młodzieńczą zakrzętnął się około broni i ładunków, uprzedzwszy przedtem Motrunę, żeby nad Hańdzą czuwała, nie się nie bojąc.

— Chryste Panie! — szeptała wystraszona starszka — i tu nas znajdują ci niegodziwcy, i moją gołąbkę wystraszą! Boże! zmiłuj się nad nami!

Noc była ciemna, bo chmury zaciągnęły niebo, ale po krzykach znać było, że gromada zbliża się; pan porucznik kazał zapalić parę smolnych pochodni i przez okienko, w szczelnie zamkniętej furtce, spojrzał w pole. Jar zapelniał się ludźmi, którzy po swojemu, to jest z pijanymi krzykami i przekleństwami walili się ku dworowi. Niewielu ich jednak było, może ze dwudziestu; musiały to być nie-dobitki z gromady przez pana Stempkowskiego roz-pędzonej.

— Damy im radę — mruknął pan porucznik, i naprędce wydał rozporządzenia; Pawluś miał tylko nabijać strzelby i podawać je panu i Maciejowi, którzy stanęli przy furtce w okienku. Brama była wysoka i broniona częstokołem, który z jednej strony przypierał do skały, z drugiej łączył się z pasieką, także płotem otoczoną. Od frontu więc tylko mieli otwartą drogę rabusie, a nie przywykli do silnego oporu, śmiało walili się naprzód.

Ale padł strzał jeden i drugi, i już dwóch leżało na ziemi; dzikie wycie dało się słyszeć między napastnikami, a reszta rzuciła się ku bramie. Psy ujadły wściekle, rwąc się do bramy, którą aż gryzły zębami.

— A gdyby je wypuścić? — rzekł Maciej, mierząc znów przez okienko.

— Poczekaj, stary! — odpowiedział porucznik.

Napastnicy cofnęli się z wrzaskiem, ale nie chcieli dać za wygraną, tylko zmienili taktykę. Widocznie postanowili zapalić bramę i tak sobie drogę otworzyć; musieli też mieć przy sobie pakuły, czy jakie łuczywo, gdyż po chwili ognisty snop poleciał na częstokóły.

— Dobrze, będzie nam jaśniej! — zawołał pan Onufry, zagrzany zapalem. — Za mną, Macieju, a ty, Pawlusi, ruszaj do domu i wyprowadź co tehu Motrunę z panienką przez pasiekę do pieczary, wiesz, tam, w zaroślach.

I dzielny starzec, otwierając rygle furtki, puścił psy przodem, a sam z Maciejem, stojąc na wysokim progu, jak zaczął razić z rusznicy nieprzyjaciela, tak się wszystko w kłębek zbiło. Brakło już ładunków, porucznik porwał szablę, Maciej toż samo, zapominając, że obaj już z górą siedem krzyżyków życia dźwigają. Rąbali też naoślep, psy rzuciły się do gardła napastnikom z wyciem i szczekaniem, na to wszystko ogień rzucał blaski krwawe, bo już częstokół zapłonął. Piekielna wrzawa napełniła powietrze, ptactwo wystraszone wlatywało w górę, ale chwila jeszcze i wszystko ucichło. Pan porucznik wsparł się na mieczu i pogląda wokoło:

— No, Macieju! grackośmy się spisali, mój stary! I psiska pocziwe dopomogły!

— A w tej chwili właśnie biedny Obal przyczołgał się do nóg pana, skrwawiony, z rozrzu-

tym bokiem, zaskomlał, patrząc mu żałośnie w oczy i skonał.

Tymczasem jednak częstokół płonął w najlepsze, i ogień mógł dojść do dworku, trzeba było ratować. Maciej uderzył w dzwon na podwórzu, aby dać znać o sobie, a po chwili nadbiegł Pawluś z pasieki, wołając do Motruny, że wszystko dobrze. Piastunka z Hańdzą nie zdołały jeszcze dojść do pieczary, więc powróciły; niebawem Motruna zajęła się żwawo czerpaniem wody ze studni do gaszenia pożaru. Wiatru szczęściem nie było, więc w krótkim czasie porąbawszy częstokół w kilku miejscach, ogień ugaszono. Dnieć już zaczynało, kiedy znużona gromadka powróciła do dworku. Zagraj i Sajdak, skomląc, pokładły się przed gankiem, jakby oplakiwały straconego towarzysza. Maciej z Pawlusiem pozostali dla bezpieczeństwa na dworze, bo już i bramy nadpalonej zamknąć nie było można, a pan Onufry choć się położył, jednak zasnąć nie mógł, rozważając, co dalej robić.

— Bóg wie, czy nie powrócą znowu — myślał sobie — zresztą, ręka moja nie taka zdrętwiała, jakem sądził, można jej jeszcze użyć. Dziecka tu trzymać niepodobna, żeby się znów nie nabawiło strachu, żal się Boże! Niema rady, trzeba ją oddać pod opiekę pani Stempkowskiej, zacna to ma być niewiasta, chociaż pan obożny nie bardzo mi do smaku przypada. Z rodzicem jego żyłem w przyjaźni, ale syn do niego wcale niepodobny i zanadto jakoś

ba o łaskę pańską. Ale żona zacna niewiasta i z do-
lego gniazda.

Nazajutrz pan Onufry, nie zwlekając, porobił
przygotowania do drogi, żeby swoją wnuczkę od-
wieźć do Żytomierza. Nie tracił też nadziei, że mu
się uda odszukać wnuka. Przybyło starcowi jakoś sił
i energii, teraz kiedy czuł, że mógł się na świecie
jeszcze przydać, a kiedy mu Hańdzia zarzuciła rącz-
kę na szyję, prosząc, by jej nie porzucił, to mu i ser-
ce żywiej zabiło w piersi.

— Powrócę, kochanko, powrócę, tylko ci bra-
tuszka odnaleźć muszę, a tymczasem postaram się
pieszczotkę moją ubezpieczyć, żeby mi jej nie por-
wano z gniazdka.

VII.

Pan oboźny. — Podróż. — Czapla. — Pan Mohort —
Niespodzianka.

Kiedy Bohdan wprowadzony został do kwatery
pana Stempkowskiego, pan oboźny siedział przy
stole, zasłanym kobiercem wzorzystym, a przed nim
stała butelka i puhar złocisty dowodziły, że się
czepiał od rana. Nie znać też na nim było tru-
dów wojennych; wyglądał czerstwo i rumiano,
a na miechnięta twarz jego nie wskazywała, żeby
nie oddawać jakim zgryzotom. Szczęście bo też

a raczej, po staremu mówiąc, *fortuna* sprzyjała panu
Stempkowskiemu; umiał się starać o fawory kró-
lewskie i w czasach, kiedy inni mienie i życie nieśli
w ofierze, on w miarę tylko używając silnego ra-
mienia, wzrastał w majątek i zaszczyty. Teraz zmie-
rzył pan oboźny wzrokiem wchodzącego Bohdana
i ozwał się doń z uśmiechem:

— A tożes mi waśc przymizerniał, mój młody
bohaterze! Cóż tam słysząc? Czy nie ostygł czasem
ów zapał wojenny?

Bohdan czuł, że mu na bladą twarz wystąpił
silny rumieniec; teraz już nie miał w sobie tej ufno-
ści, z jaką przystępował dawniej do pana oboźnego.
Rozważał sobie wszystko, co słyszał od ojca chrzest-
nego i słuchał też tego, co mu własne mówiło serce.

— Miałbym chęć do twojaczki, panie oboźny,
ale ponoć nie czas mi i a to jeszcze, wolałbym się
trochę nauczyć przedtem jak ojczyźnie służyć, a nim
się głowa napelni, to może i ramię zmocnieje.

— Dobrze waśc mówisz, mój młodziku, i wi-
dę, żeś przez czas choroby nabrał rozumu. I owszem,
możesz się przy mnie zaprawiać do służby królew-
skiej, a tam, dokąd jącę z moją komendą, ksiądz ka-
pelan może waszeć w wolnych chwilach udzielać
trochę nauk i obiektów rozmaitych... Spodziewam
się, że z czasem wykieruję cię na ludzi.

— Połkorne dzięki składam panu oboźnemu za
jego dobroć i łaskę dla mnie, ale...

Opowiadania historyczne.

Tu się zaciął chłopak, nie wiedząc, jak do rzeczy przystąpić, żeby pana Stempkowskiego nie obrazić, a zarazem usunąć się od człowieka, który niedawno oręż podnosił przeciwko ojcu jego rodzenemu.

— Cóż ale! Gadaj waś — zawołał niecierpliwie trochę pan oboźny.

— Oto umiem cenić łaskę dla mnie, ale... wolalbym udać się do szkół jakich, byle tylko przedtem trafić do matki i o jej woli się dowiedzieć.

— A dostałeś jaką wiadomość od matki, bo ojca, sądzę, że już nie masz?

— Owszem, żyje mój ojciec; wiem, że był w Barze, ale o matce nic się dowiedzieć nie mogłem, ani o siostrze.

Tu pobladł, i duże łzy w oczach mu stanęły.

— W Barze? — mruknął pan Stempkowski. — Nazywasz się Roszkowski? Słuchaj waś, młodziku, a jak na imię twojej siostry?

— Hańdzia — odparł chłopak, wpatrując się chciwie w oblicze pana oboźnego, czy mu jakiej nie udzieli wiadomości.

— No, daj pan! — zawołał oboźny. — To szczególne zrządzenie Boże, czy co! Już ja widocznie od waści odczepić się nie będę mógł. — Nahum! — tu klasnął, a do izby wbiegł kozaczek, ten sam, który przyprowadził tu Bohdana.

— Skocz do pana Łabęckiego, niech nie wyjeżdża, aż się ze mną zobaczy. A ty, panie towarzyszu — dodał, zwracając się do Bohdana — gotuj się

do drogi, bo ruszysz z tym panem do grodu, gdzie cię czeka pewna niespodzianka.

Bohdan, ucieszony nadzieją, choć tak mglistą, jeszcze, spojrzał jednak mimowoli na wytartą odzież i obuwie podarte, nie mówiąc ani słowa, ale pan oboźny, czy myśl jego odgadnął, czy sam sobie coś przypomniał, dodał jeszcze:

— Ale prawda, powietrzem żyć nie możesz, ani też w liście figowe się odziewać. Pamiętaj, w Żytomierzu zwróć się natychmiast do dworu pani Franciszki Stempkowskiej, a tam znajdziesz, zda mi się, kogoś dobrze znajomego. Tymczasem oto masz na przeżycie i odzież, której zapewne potrzebujesz.

Krew uderzyła do głowy Bohdanowi; był co prawda w potrzebie i nieraz już nawet biedził się myślą, jak zapłaci pocziwej kobiecie, która go pielęgnowała w chorobie, przytem obuwie i odzież mu się podarły; czapkę nawet skądś mu wydestała wieśniaczka, żeby wyjść mógł między ludzi; ale tak przyjmować jałmużnę od obcego człowieka, któremu służyć nie mógł i nawet nie chciał, nie miał jałkoś śmiałości. Odrzekł też drżącym głosem:

— Bóg zapłać, miłościwy panie, ale czy nie mógłbym jakim sposobem na te pieniądze zarobić?

I cofnął mimowolnie rękę, a wyciągniętą przez pana oboźnego sakiewka ze złotem, padła z brzękiem na ziemię.

— Harda dusza — mruknął Stempkowski — ale kiedyś taki skrupulatny, to ci powiem, że mój pan

brat, szambelan Stempkowski, spotkał się tam z ojcem waszceci Stanisławem Roszkowskim.

— Tak, to mój ojciec.

— A no! więc ojciec twój, coś tam panu bratu memu pożyczył, a ja ci tymczasem zamiast brata dług spłacam, rozumiesz wasć, młodziku? Bierz spokojnie pieniądze; za godzinę, żebyś tu był z powrotem, odeślę cię bezpiecznie do Żytomierza, a potem, ruszaj sobie na cztery wiatry, kiedy nie chcesz być w mojej komendzie.

W parę godzin po tej rozmowie, nasz Bohdan, siedząc na tęgim, choć niewielkim siwku, jechał wśród gromadki udających się do Żytomierza. Od pana Łabęckiego dowiedział się, że ten był właśnie wyprawionym do pana oboźnego przez Dubrowskiego, sędziego, dla porozumienia się przed rozpoczęciem sądów. Oprócz pana Łabęckiego i kilkunastu ludzi z komendy pana Stempkowskiego, towarzyszących dla bezpieczeństwa, przyłączył się do kawalkaty pan Bohowityn, nie pierwszej już młodości, który, mając także sprawy jakieś do załatwienia w grodzie, wolał podróż tę odbyć w kompanii. Z tym jakoś najprędzej rozgadał się Bohdan, zwłaszcza, gdy się dowiedział, że p. Bohowityn wraca z kresów od porucznika Mohorta, gdzie konie kupował. Szlachciec wyglądał strojno i buńczuczno; głowę mu okrywał kołpak rysy z czapłem piórem, co jedno i drugie było cenne wielce, bo i o rysie nie łatwo podówczas

było *), a na jedną kitkę, trzeba dużo upolować czapli **), — wiadomo bowiem, iż każda z nich jedno ma tylko lśniące pióro w czubku. Na ręce, okrytej grubą, łosiową rękawicą, trzymał też pan Bohowityn sokoła, uwiązanego na rzemyku, z kapturkiem na głowie. Przypatrującemu się ciekawie Bohdanowi, który po raz pierwszy widział z bliska sokoła, tłómaczył Łowczyc, taki bowiem tytuł nosił, że to ptak tak cenny, iż możnaby zań śmiało dać dwa wierzchowce. Opowiadał dalej, że młodego sokoła zowią Maizem, starszego, już wypróbowanego, Ćwikiem albo Nurkiem. Najlepsze z nich sprowadzają z Krymu.

— Może nam się uda dojrzeć gdzie czapłę — mówił Łowczyc — to się przekonamy, czy mój Ćwik taki dobry, jak mi zaręczano, bo nie łatwo tego ptaka pokonać. Bohdan, ciekaw niezmiernie takiego polowania, wyteżał wzrok, czy nie dojrzy gdzie ptaka wodnego, a właśnie przejeżdżali koło stawów, ciągnących się opodal drogi. Jak na wezwa-

*) Rysia trudno wytropić, a trudniej jeszcze upolować, bo gdy na drzewo skoczy, psy trop tracą; czasem przyparty, ostro rzuca się nawet na ludzi.

**) W rodzinach szlacheckich, gdy ojciec dawał synowi sygnet herbowy, matka obdarzała go spinką z drogich kamieni z czapłem piórem. Nitki takie szły spuścizną po babkach i matkach, przechowywane w ozdobnych torebkach.

nie, coś zaszeleściło w sitowiu i spłoszona tętentem kopyt czapla uleciała wysoko w powietrze, unosząc łup swój w dziobie.

— Masz szczęście, młodziku — zawołał pan Bohowityn, i szybko zdarłszy kapturek sokołowi, wypuścił go w powietrze. Wzbił się wysoko dzielny ptak i zakreślając koła, wzlatywał nad czaplą, która krzyknawszy przeraźliwie na widok niespodziewanego wroga, puściła z dzioba zdobycz i rzuciła się z wiatrem w lot, wprost przed podróżnych. Sokół z góry już spuszczał się na nią, ale ta, przewróciwszy się na wznak, ostro dziób nastawiła. Ptak coraz ciśniejsze koła zakreślał, wreszcie jak strzała spuścił się, i z boku, wymijając grot ku piersiom jego wymierzony, porwał czaplę za szyję. Już tylko chwilę trwała walka, a sokół na świst i wołanie: Kubuś! Kubuś! wrócił i usiadł na wyciągniętej ręce myśliwego.

— Piękna czapla! — rzekł Łowczyca, podnosząc z ziemi zdobycz, a wyrывая z czubka jej pióro, podał je z uśmiechem Bohdanowi, mówiąc:

— Zachowaj to na pamiątkę starego Bohowityna, a daję ci to dlatego, że mi z twarzy dziwnie przypominasz starego druha mego, z którym się też niedawno na kresach spotkałem.

Podziękował ucieszony Bohdan i jadąc obok Łowczyca, rozpytywał go o rozmaite przygody z podróży jego i lat dawniejszych. Tak niepostrzeżenie zbiegł czas do wieczora, a że nocą jechać jeszcze nie było bezpiecznie, bo się rabusie rozmaici po ja-

rach i dołach kryli, postanowiono prosić o gościnę w klasztorze OO. Bazylianów, który się przed nimi wznosił wśród gaju z dębów, lip i jaworów. Furty wprawdzie starannie były zamknięte, ale na wezwanie pana Łabęckiego, otwały się przed wędrowną drużyną. Ksiądz rektor, starzec siwy jak gołąbek, kazał podać w refektarzu wieczerzę, a po wybornej pieczeni baraniej, pokropionej starym miodkiem, humor dobry zapanował w zgromadzeniu. Najwięcej rozprawiał pan Bohowityn, z dawna już znajomy w klasztorze, zaś Bohdan, przysłuchiwał się z ciekawością.

— Wracacie, jak słyszę, panie Łowczyco — ozwał się ksiądz rektor — od wielce szanownego i zacnego naszego porucznika Mohorta, z kresów Zechciejcież więc nam powiedzieć, co tam słychać, coście widzieli lub słyszeli?

— Z miłą chęcią — odrzekł pan Bohowityn — już to pewno, że takiego drugiego człowieka, jak pan Mohort, to i ze świecą nie znajdzie. Co to za dzielność i surowa, można powiedzieć, spartańska cnota! Ale co mam mówić... przecie każdy z nas wie, jak i cała nasza kraina, kim jest pan Mohort na kresach. Wolę opowiedzieć, jakiego wydarzenia byłem świadkiem, w czasie tej mojej tam bytności *). Wiadomo waszmościom, że się z wiosną już wybrał dla kupna koni — sławne są bowiem stadniny tamtejsze —

*) Według Winc. Pola.

gdy tymczasem wybuchły te oto nieszczęsne rozruchy, które mię dłużej zatrzymały, niżem się spodziewał. Swoją drogą, z przeproszeniem waćpana, panie Łabęcki, ów wasz sławiony pan Stempkowski, nie ze wszystkiem mi się podoba. Gdzie jemu do pana Mohorta! Ale ręczę, że nim nasz kochany zaawansuje, to się tamten, trzymając klamki pańskiej, do senatorskiego krzesła dostać gotów, po łbach rozszalałych, których też, Bogiem a prawdą, nie szczędzi. Ale wracam do mojego opowiadania. Gdy nas doszła wiadomość o tutejszych rozruchach, pan Mohort srodze się zafrasował. Przetrwalem — mówił — głód, dzumę, walki z pohańcami, ale iść na braci obląkanych, z szablą święconą, na noże, to już chyba dopust Boży! Tymczasem chorągwi swej kazał stać, nie ruszając się ze stannicy, porządnie warownej. Wtem znać dają, od księdza rektora Ihumena z pobliskiego monasteru, że czerni na klasztor idzie i już w pobliskim lesie obóz rozbija.

— Idźmy na obronę — rzecze pan Mohort. — Jakoż tej nocy jeszcze stanęliśmy u klasztornej bramy, z wielką radością witani. O brzasku znów przybył pan Łukowski z garstką szlachty, na prędcę zebranej. Pan Mohort wszystko sprawił pięknie, a że klasztor był zasobny i w żywność zaopatrzony, więc już od rana stały na murach armatki, moździerze, a na wieży trąbiono pieśń Bogarodzicy. Skoro się dzień zrobił, drogą, jadą ludzie jacyś i zbliżywszy się pod mury, żądają soli i chleba. Czterech ich było, więc pan Mohort, oczy im zawiązać kazawszy, do

klasztoru wpuścił. Tu dopiero prawią, że ksiądz rektor, ma im wszystkie srebra i miody odstawić do obozu; wydać gości, jakich tylko ma w klasztorze w ręce czerni, bo inaczej kamień na kamieniu nie zostanie. Na takie „dictum” tych rozbójników, pan Mohort udał się do księdza rektora, ofiarując, że się z komendą swoją oddali, jeżeli to ma klasztorowi ulgę przynieść.

— Niech Bóg broni! — odrzeczł zacny ksiądz rektor — siebie i klasztor cały oddaję pod władzę waszą, poruczniku: róbcie, jak wam się zdaje. Więc, nie wiele myśląc, pan Mohort trzech zbójceckich parlamentarzy natychmiast obwiesić kazał, za świętokradztwo i rabunek świątyń, czwartego zaś odesłał do czerni z odpowiedzią, że każdemu z nich sztuka na sztukę, taki sam los się należy. Tożto dopiero zawyli, jak milion wilków wściekłych i nuż się walić na mury klasztorne. Pędzili na oślep, a my do nich z armat — że kupami padali, ale inni darli się po trupach dalej. Trzy razy tak ich odparliśmy, aż wreszcie zawinęli się i zniknęli, jak gromada szatanów. Mówią, że pono wrócić mieli z większymi siłami; my tymczasem trupy pogrzebawszy, czekamy. I przeszło dni kilka, aż raz jednego zbliża się wojsko jakieś; widzimy tatarskie buńczuki. Oddział stanął na błoniach opodal i śle posła z przyjaznemi słowy od Murzy, dla pana Mohorta. Ni mniej ni więcej, tylko pohaniec ów ofiaruje się porucznikowi z oddziałem swoim przyjść ku odsieczy, przeciwko czerni hajdamackiej. Skąd mu to przyszło, nie wiem, choć to

prawda, że pana Mohorta i pohańcy szanują, ale pan porucznik na tę sprawę inaczej się zapatrywał.

— Grzech to — mówił — ściągać pohańców na własną niwę, grzech wiązać się z nieprzyjacielem, choćby na poskromienie buntu. Zgodził się z tem rektor Ihumen, więc pan Mohort podziękowawszy Murzy za przymierze, nie żądał na teraz pomocy, zaś w dowód życzliwości, słał piękne podarki: kubek misternie rzeźbiony złota pełny, konia z rzędem i szablę kamieniami drogiemi sadzoną. Murza nietylko że się nie rozgniewał, ale ku bramie podjechawszy, złożył nawzajem sztukę drogiej lamy i pieniądz złoty, niby w zapłatę za szablę, bo trzeba wiedzieć, że bisurmanin od przyjaciela nie przyjmie żadnego ostrza w upominku. Ksiądz rektor dodał jeszcze sto baranów Tatarom, i tak się wszystko zgodnie zakończyło. Trzeba jednak wiedzieć, że hajdamactwo, przez szpiegów widząc uwiadomione o przybyciu Murzy, wyrozumiało sobie, że już przeciw nim sojusz zawarty. Jak tedy pierzechnęli z tych stron, tak już ani słychu o nich nie mieliśmy. Murza zaś, jakby naumyślnie, stanął na kresach z Tatory swymi. Pan Mohort spokojnie wrócił do swej stannicy, uważając cały ten wypadek za prawdziwe zrzęczenie Boże, ja zaś z druhami moimi, panem Onufrym Świdorskim, którego też pono znacie, ojcze, bo to człek zacny i pobożny, zabraliśmy się wnet do powrotu.

— Dziękujemy waćpanu, panie Łowczycu, za piękne opowiadanie, ale czybyście też nie mogli nas

objaśnić, gdzie się obecnie znajduje pan Onufry, bo tak nagle ze stron tych zniknął, żeśmy o niego wielce niespokojni, w tych czasach zwłaszcza, gdy nikt nie pewien życia, ani mienia, więc swoich i cudzych wystrzegać się musi. Wiemy tylko, że mężnie odparł we dwóch tylko, ze starym Maciejem, napad hajdamacki na futor swój, ale potem zniknął, jak kamień w wodę.

— Z miłą chęcią zaspokoić was mogę, ojcze, bo właśnie w Żytomierzu, spotkać się mam z naszym panem Onufrym, gdyż mamy rozmaite ważne sprawy do załatwienia. Wielkiej to zacności człowiek, ale co jest rzecz zabawna, to, że ten oto młodzieniaszek, dziwnie mi jakoś starego naszego druha przypomina, z rysów i nawet z wzięcia się i mowy.

— Prawdę mówicie, panie Łowczycu, teraz i ja to spostrzegam — odrzekł ks. rektor, mierzając spojrzeniem Bohdana — a jednak nie słyszałem, aby pan Onufry miał krewnych w tych stronach.

— To też i pacholę to powiada, że wcale nie zna starego sępa, a mnie jednak tem podobieństwem, dziwnie jakoś od razu za serce chwycił — mówił pan Bohowityn.

Nazajutrz skoro świt, Mszy Św. wysłuchawszy w Bazylińskim klasztorze, kawalkata nasza ruszyła w drogę, która się bez żadnych przygód nadzwyczajnych w kilka dni skończyła. Bohdan był zadumany i pomieszany wielce, dojeżdżając do grodu, w którym wiedział, że go niespodzianka jakaś cze-

kała, chociaż pan oboźny nie chciał powiedzieć, co go tam spotkać miało. Cieszył się, a jednak zarazem dziwna jakaś tęsknota ścisnęła mu serce. Gdy przybyli, dobrze jeszcze przed wieczorem, pożegnał pana Łabęckiego, pod którego niejako opieką podróż ową odbywał i zabierał się właśnie do pożegnania z panem Bohowitynem, gdy go ten zagadnął:

— A gdzież to, mój chłopcze, "masz szukać tej niespodzianki obiecannej?"

— W dworcu nad Teterowem, który zajmuje obecnie pani oboźna Stempkowska.

— A no, to tam właśnie i ja mam dostać wiadomość o panu Onufrym; dziwne zrządzenie, co prawda, ale tymczasem ruszajmy razem.

Bohdan zadowolony, że będzie miał przecież przy sobie człowieka, którego przez drogę pokochał i szanować się nauczył, ruszył żwawo do wskazanej kwatery. P. Bohowityn, który znał już dawniej dworek ów, był mu przewodnikiem. Niebawem zatrzymali się przed bramą, wiodącą na podwórze. Stary jakiś sługa, z sumiastym wąsem i podgoloną czupryną, powitał ich słowami: „niech będzie pochwalony!” A dowiedziawszy się, że starszy ma sprawę do pana Onufrego, młodszy zaś pismo do samej pani oboźnej koronnej, wskazał im furteczkę, prosto z podwórza do ogrodu prowadzącą, gdzie, jak mówił, cała kompania obecnie siedziała. Ogród ten rozciągał się na pochyłości wzgórza, aż do brzegów Teterowa, którego srebrzyste wody łamały się o skały nadbrzeżne. Blżej domu wiły się, różnobarwnem kwie-

ciem zasadzone, wirydarze i ścieżki piaskiem wysypane, a dalej na trawniku, zostawiono kilka drzew starych, ocieniających kamienne i darniowe ławeczki.

Bohdan rzucił okiem i w tej chwili okrzyk stłumiony wyrwał mu się z piersi; pod lipą cienistą siedział białowłosy starzec, a obok niego dziewczka w żałobnej sukience z oczami utkwionymi w twarz starca, który zdawał się jej coś objaśniać coś opowiadać.

— Hańdzia! — zawołał Bohdan i dech mu zaparło w piersi, na widok żałobnej sukienki. Dziewczynka w tej chwili spojrzała i poznawszy brata, rzuciła się z okrzykiem ku niemu, a spłoszony tym hałasem gołąbek biały uleciał w górę ponad nich. Co tam było pytań, odpowiedzi, łez i okrzyków, zdziwienia — opowiedzieć trudno. Bohdan, od dawna przeczuwający coś złego, bolał teraz sercem całym nad śmiercią matki. Motruna, która przybiegła witając ukochanego paniczka, musiała mu ze szczegółami wszystko opowiadać, a dziadek nacieszyć się nie mógł, patrząc na wnuka, którego mu zsyłało Niebo. Bohowityn przyglądał się temu wszystkiemu, twierdząc, że on nie darmo odkrył w chłopięciu od razu rysy dziadka i wróżył, że teraz stara szablica znajdzie godnego dziedzica. Wszyscy się popłakali, nie wyłączając pani oboźnej, która Bohdana we dworze swym zatrzymała. Po długich naradach, zgodzili się na to, że chłopiec pojedzie do Warszawy, do szkół XX. Pijarów, żeby tam wyrósł

na porządnego człowieka. Z Hańdzią pani Stempkowska rozstać się nie chciała, przywiązawszy się wielce do sierotki i obiecała, że ją u siebie na wychowanie zatrzyma, poprosiwszy i Motrunę, żeby nie opuszczała swej panienki. Pan Onufry uspokoiony tymczasem o los wnuków, wybrał się w dalekie strony, żeby odszukać nie znajomego jeszcze zięcia i z nim razem walczyć, dopóki mu sił starczy.

— Jeśli Bóg pozwoli, to powrócimy! — mówił do wnuka.

CZEŚĆ DRUGA.

Pan Stempkowski.

I.

Sądy. — Pałac w Łabuniu.

Pod jesień, roku 1768, rozpoczęły się sądy na zbrodniarzy. Dubrawski sędzia, winnych odsyłał do miasteczka Kodni, o trzy mile od Żytomierza, gdzie stała komenda oboźnego Stempkowskiego. Oprócz tego, pan oboźny, korzystając z przyznanego mu prawa miecza, nie przepuszczał żadnemu z tych, którzy mu w ręce wpadli. W pierwszej połowie września, miano ściąć 114 a powiesić 200 winowajców w Kodni, i od tego to czasu, między ludem powstało przysłowie a raczej przekleństwo: „Bodaj cię Kodnia nie minęła.” Imię pana Stempkowskiego, także krwawej nabrało sławy; wymykał się on często ze smutnego, zapadłego wśród błot i trzęsawisk miasteczka i z po-

mocą swych podkomendnych, wyławiał przestępców do swoich szubienic, aż do króla wieść doszła o srogości jego. Król się rozgniewał z początku, ale wkrótce, na prośbę Branickiego, ozdobił Stempkowskiego orderem i tytułem generała.

Tymczasem lud, wystraszony z jednej strony, a podburzany z drugiej, znów się zaczął skupiać w gromady. Żurba z 700 ludźmi okopał się grubym wałem pod *Olszowem*, Paczenko w zamczku Letniowieckim, a inni poszli za ich śladem. Pan Stempkowski z początku próbował wziąć ich głodem, ale potem, udał się o pomoc do wojsk, znajdujących się w owych okolicach. Wspólnymi siłami pobito Szostaka pod *Rotmistrzewką*, wkrótce poległ i Żurba, ale najwięcej kłopotu sprawił Paczenko w swojej forteczce, wreszcie i tę zdobyto a załogę w pień wycięto. Pochwalił się zwycięstwem Stempkowski przed królem, i odtąd posypały się nań zaszczyty i nagrody rozmaite. Mianowany regimentarzem w roku 1769, siedział odtąd beczynnym na kresach, nie walcząc z konfederacją Barską ani z nikim. W r. 1772 mianowany kasztelanem, miał odtąd prawo zasiadać w senacie. Wkrótce potem nabył Łabuń, majątność, w której wznosił pyszny pałac, za pieniądze hojnie mu udzielane, za wielkie jakoby zasługi w morowej zarazie, od której, prawdę powiedziawszy, daleko się trzymał.

Do opisanie tej nowej rezydencji pana Stempkowskiego, posłużyć nam może list Hańdzi, wysłany

do Warszawy, do brata, który tam się jeszcze w naukach ćwiczył.

Łabuń 177...

Serdeczny mój braciszku! Korzystam z łaski zacnego pana Łowczyca, który mi obiecuje list ten tobie do rąk własnych oddać, i zatemperowawszy aż trzy pióra od razu, zabieram się opisać ci szczegółowo, tak, jak chciałeś, co się obecnie u nas dzieje. Zdziwisz się zapewne, że pismo moje datowane z Łabunia. Otóż tu właśnie, przed tygodniem, przybyłam z panią kasztelanową, z dziećmi i dworem całym pani naszej. Wiesz może, iż pan kasztelan sprzedał dobra swoje w Halickim, a tu, w Łabuniu, nabytym po książętach Muborzewskich, wspaniałą rezydencję wystawił. Ty mi opisywałeś różne dziwy warszawskie, ja więc muszę odplacić się, malując, ma się rozumieć słowami, pałac Łabuński, który mnie się wydaje, jak owe zaklęte pałace królewien, o których nam dawniej Motruna opowiadała. Pocziwa niania nasza prosi, by cię od niej serdecznie ucałować; pewno myśli, żeś taki maleńki jak dawniej, kiedyśmy się w pieczarze ukrywali! Otóż pałac nasz wznosi się nad rzeką Poganką; front jest na kilkunastu kolumnach wsparty, szkoda tylko, że zeń widok na brudne miasteczko wypada. Z kolumnady wchodzi się do westybulu, a stamtąd do sali o siedmiu oknach; drzwi z niej prowadzą na taras, wychodzący na sztuczne jezioro z szumiącymi kaskadami; wzdłuż brzegów

jego mieszczą się klomby kwiatowe, gazony, altanki cieniste, gaiki wonne, że nawet w upał największy, ochłodę tu znaleźć można. Pałac po bokach ma wspaniałe też pawilony, a w całym gmachu naliczyłam więcej, niż sto komnat. Najpiękniejsza sala balowa: naprzeciw okien ma siedem ogromnych zwierciadeł, a na wieczór i okna zwierciadłami zasłaniają tak, że się aż gorzeć zdaje od światła. Świece zapalają w niej 800 na wielką paradę, a taką właśnie urządzono na przybycie pani kasztelanowej. Biedna pani nasza, taka wątła i słaba, ugięła się od strojów i drogich kamieni, a dobra jak zawsze, chciała i mnie przyozdobić. Ale nie bój się, Bohdanie, zawsze pamiętam o tem, co mówi dziadunio kochany i o czem najukochańszy ojciec pisze i co ty mi zalecasz, stateczny brateńku, i o tem, co wokoło siebie widzę i słyszę. Miałam też na sobie białą sukienkę, białą różyczkę we włosach i tylko sznurek pereł na szyi. Ale co tam ciebie obchodzą stroje, mój panie bracie! Ty dbasz tylko pewnie o swój kadecki mundur, w którym, jak mówił dziadunio, tak pięknie wyglądasz, a tem piękniej, że w naukach celujesz. Wracając do pałacu — jest w tej sali u góry pyszna galeria dla kapeli, którą pan kasztelan utrzymuje. Mnóstwo osób tu przyjeżdża, a niekiedy prawie mieszczą, jedzą, piją i bawią się. Ale przyznam ci się w sekrecie, że mnie to wcale nie cieszy, bo wiem, że gdzieindziej się ludzie smucą, i nasz ojciec najukochańszy, z daleka tęskni za nami. Z tych, którzy częściej nawiedzają Łabuń, pamiętam pana chorą-

żego Giżyckiego z Krasnopola, pana Woronicza z Trojanowa, pana Ilińskiego, starostę z Romanowa, pana Ponińskiego z Cudnowa pp. Bukarów z Jampola, pp. Bierzyńskich i innych, ale pocóż ci cały ten regestr wypisywać! Służby co niemiara; aż się roi od pajuków, hajduków, masztalerzy, kozaków, woźniców, lokajów, kucharzy. Pan kasztelan, gdy wyjeżdża w podróż, choćby na dni kilka, zabiera z sobą bryki pakowne z kuchnią i piwnicą. W landarze obok pana siedzi dyżurny dworzanin, na koźle dwóch chłopców, do nakładania fajki, a za karętą stoi dwóch olbrzymich drabów, uzbrojonych od stóp do głowy. A że pan kasztelan jest także generał-lejtnantem i regimentarzem, więc obok pałacu znajduje się odwach i wartę zaciągają przed pałacem. Oficerowie kręcą się około pana Stempkowskiego, a muszę ci opowiedzieć, jakem się kiedyś uśmieła, ma się rozumieć po cichu. Dwa dni temu, pan kasztelan, który, tak jak król, wszystkim tu rozkazuje i posługiwać sobie każe, zawołał, chcąc fajkę zapalić:

— Ognia, adjutancie!

Otóż pan oficer, któremu się nie podobało pełnić służby hajduka przy panu, udał, że nie rozumie, o co rzecz idzie i wybiegłszy na dziedziniec, zakomenderował, zwracając się do żołnierzy:

— Ognia!

Huknęły strzały, aż wybiegł pan kasztelan, zobaczyć, co się stało. Dopiero rzecz się wyjaśniła, i pan wrócił zły, usta prz gryzając, ale nic nie po-

wiedział. Przepych tu we wszystkim, i Motruna mówi, że złoto płynie, jakby rzeką, ale mnie się lepiej podobało w naszym cichym dworku. I biednej pani naszej tu jakoś nie swojsko, ciągle teraz cierpiąca, opuścić jej nie mogę, dlatego dziadunia mnie nie zabrał do Warszawy; ale jak tylko się pani kasztelanowej polepszy, radabym lotem ptaka, jak niegdyś mój biały gołąbek, pochowany w ogródku nad Teterowem... polecieć do ciebie, braciszku mój złoty, a tymczasem ściskam cię i całuję po tysiąc razy.

Twoja Hańdzia.

II.

Bohaterowie kielicha. — Odwiedziny królewskie.

To, co w liście siostrzyczki do brata znajdujemy, nie może nam dać jeszcze wyobrażenia o życiu, jakie w rozkosznym Łabuniu prowadzono. Umiał się pan kasztelan zasługiwać królowi; chociaż bez wykształcenia głębszego, miał jednak sprytu dosyć i umiał zjednywać, i sobie i monarsze stronników. Sam też opływał w zaszczyty i dochody, jak pączek w maśle. Zbierał w pałacu swym tłumy szlachty, którą do hulanki i pijatyki zachęcał; i gdy tu wino lało się strugą, gdzieindziej inni bohaterowie hojniej

jeszcze krew własną przelewali. Do tych żaden z gości pana wojewody nie należał. Rozbawił on tak wszystkich w całym województwie, że myślano tylko o ucztach i hulatyce. Mówią, że naśladował Tulczyń Potockiego, tylko że Szczęsny *) zajmował się przynajmniej majątkami swoimi, ulepszał gospodarstwo, poprawił byt włościan, drogi przerzynał i t. p., a Stempkowski o niczem podobnem ani pomyślał. Jadł, pił i w końcu tak się przesycił, że dla obudzenia apetytu, musiał wybierać się w podróż: po ujechaniu mil kilku, zatrzymywano się w jakiej gospodzie, kuchmistrze przyrządzali śniadanie lub obiadek, który miał lepiej tu smakować wojewodzie, a potem znów się wracało do domu.

Karmiąc i pojąc gości swoich, wymagał od nich, żeby według woli jego wybierali posłów, i tem właśnie królowi się przysługiwał. Nawzajem król rozdawał urzędy i orderzy tym, za którymi się wstawał Stempkowski. Król Stanisław August po dwa-kroć gościł w Łabuniu: raz 1781 roku, kiedy tam obchodził rocznicę koronacji swej, i wtedy dość się to spokojnie odbyło. Zato gdy drugi raz, w r. 1787, w czasie podróży do Kaniowa, dla widzenia się z Im-

*) Szczęsny Potocki, syn Franciszka Salezego, w Tulczynie miał dwór, jak gdyby królewski; nadwornych poetów, historyków, pochlebców; mimo tego był dręczony ciągłym smutkiem, po stracie pierwszej żony, Gertrudy Komorowskiej, opisanej w poemacie Malczewskiego, pod tytułem: „Marya.“

peratorową, król zjechał do Łabunia dnia 16 marca, przyjmowano go tak wspaniale, że prócz księdza Naruszewicza, opisywali tę uroczystość Plater, Ochocki i Bukar. Ojciec tego ostatniego zastępował gospodarza domu, bo sam wojewoda musiał siedzieć w Warszawie, jako członek Rady. Cóż się to działo wtedy! Meble szły ze stolicy; dokupiono 65 tuzinów porcelany, serwis srebrny, win kosztowniejszych 15,000 butelek i t. p. Z tych bez mała tysiąc wypił sam Iliński, który przez kilka tygodni czekał na króla w Łabuniu; czekali i inni, jedząc i pijąc po swojemu. Wreszcie nadjechał i monarcha, którego dwunastu wyższych urzędników witało w Łabuniu. Przy stole zasiadło sto dam błyszczących od złota, diamentów i pereł. Wieczorem pałac zajaśniał iluminacją: wewnątrz zapalono 1,400 świec jarzących; przechadzano się wśród tonów muzyki, odbijającej się od sklepienia pomiędzy drzewami pomarańczowemi, i cytrynowemi; w ustronnych komnatach, altanach bluszczem oplecionych, lampy alabastrowe rozlewały łagodne światło. W jednym kącie sali balowej, figurowała kula ziemską a na niej wyobrażenie okolic Łabunia, nad którym świeciło słońce. Aluzja do przybycia króla. Cały świat w mroku, tylko Łabuń jaśniał, bo w nim Stanisław August stopę postawił! Śród tego strzelano na wiwat. Cóż kiedy nagle armaty się zbuntowały, i ani sposobu do dalszych salw zmusić się nie dały. Daremnie biegł sa gmenerał Komarzewski, dyrektor wojkowego departamentu, próbowano rozmaitych sposobów —

armaty wypowiedziały stanowczo posłuszeństwo. Musiano się kontentować muzyką i komplementami, na które się sadzono dla króla, a ten odpowiadał w również wyszukany sposób. W sali balowej przechadzały się zastępy pań i panów, jak mówi piosneczka pod owe czasy ułożona:

„Jedni po polsku, drudzy z niemiecka,
Każdemu z boku świeci gwiazdeczka“...

III.

Przykre skutki. — Smutny koniec.

Z obliczeń po balu dokonanych okazało się, że samo dwudniowe przyjęcie króla kosztowało 18,000 dukatów, czyli 324,000 złotych ówczesnych. Poprzedniego roku, poszło kilkadziesiąt tysięcy dukatów na wjazd pana Stempkowskiego, o którym aż ksiądz Łuskiński pisał w swojej gazecie w Warszawie; okazało się też wkrótce, że dochody, jakkolwiek znaczne, nie wystarczają na pokrycie olbrzymich wydatków.

Pan wojewoda więc kazał sobie płacić za wyrabianie szlachcie urzędów, za to, że ją dawniej od napastników bronił i rozmaitymi sposobami dostawał pieniędzy, ale wszystko to nie wystarczało. Wierzylieli było mnóstwo, i ci, nie mogąc się docze-

kać wypłaty swoich należitości, rozpoczynali procesy. Wprawdzie Stempkowski starał się takowe wygrywać niesprawiedliwymi sposobami, popierając sprawy swe po grodach i trybunałach z pomocą króla; w końcu jednak przebrała się miarka i krucho było z panem wojewodą. Tymczasem w 1788 roku, gdy sejm czteroletni rozpoczynał się, zaczęły się znów szerzyć jakieś rozruchy, ale tym razem pan wojewoda nikogo nie wieszał, gdyż w okolicy Łabuńia zachowano się spokojnie. Przez całe jednak cztery miesiące, ze dwieście osób gościło u pana wojewody, wysuszając jego piwnicę. W następnym już roku, pan Stempkowski musiał przed długami uciekać do Warszawy, zostawiając pałac nad Poganką, na pastwę wierzycieli. Ale i w stolicy nie potrafił ograniczyć swych wydatków. Zaprzęgi wspaniałe, liberya, mieszkanie w pałacu Krasińskich pysznie urządzone, wytworne obiady i kolacyjki ściągały grono przyjaciół do pana wojewody. Chwalono uprzejmość i wyborną kuchnię, ale... wkrótce i tu się zjawiała zgraja wierzycieli, począwszy od tapicerów, winiarzy, bławatników i t. p. Mógł się wprawdzie pan Stempkowski tem pocieszać, że podobna procesya nawiedzała często i króla jegomości i wielu innych dostojników. Nie mogąc sobie dać rady, zaczął pan Stempkowski sprzedawać co miał; najprzód tedy krzesło w senacie, panu Piotrowi Potockiemu, potem klejnoty, orderzy brylantowe, guzy perłowe, tabakierki i t. p. Przyszła wreszcie i choroba, lekarze kazali się szanować, w łóżku często prze-

bywać, ale pan wojewoda wołał w ucztach i winie topić swój frasunek. A miał też czem się trapić, co sobie wyrzucać: zmarnowane życie bez sławy, bez pożytku dla innych, żadnej chluby z czynu pięknego, żadnej pamiątki po sobie, bo nawet i ta wojna z hajdamakami wielkiej mu sławy nie przyniosła. W początkach roku 1793, przyszedł nagły atak i pan Stempkowski życie zakończył — samotny, bo wojewodzina nie żyła już od dawna, a dzieci nie miał przy sobie *).

Łabuń, po zgonie wojewody, przeszedł w ręce wierzycieli, a po sześciu latach, piękny pałac rozsypał się ze szczytem. Nie było czego żałować, gdy padało tyle innych gmachów, droższych i piękniejszych.

Zato synowie i wnukowie Stempkowskiego zamożnością i krwią własną okupili samolubstwo wojewody. W czwartym pokoleniu wygasł ród ten po mieczu.

IV.

Jeszcze Hańdzia i Bohdan.

A cóż się z Hańdzią i Bohdanem działo? zapytacie zapewne, kochani czytelnicy! O! ci już byli

*) Szczegóły o tem w „Opow. hist.“ dra Antoniego J.

daleko wtedy. Zaraz po śmierci pani kasztelanowej, dziadunio zabrał wnuczkę, która do ostatniej chwili troskliwie pielęgnowała swą opiekunkę, i odwiózł ją do Warszawy. Hoża dziewczeczka o długich, kruczonych warkoczach, rzuciła się na szyję bratu, który przypatrując się jej z uśmiechem na ustach a łzą w oku pokręcał ładnego wąsika. Motruna, o której także nie zapomniano, aż ręce składała z podziwu, nad „cudnym” paniczem swoim. Jakże im brakło wtedy ojca ukochanego, który nie mógł powrócić dotąd. Czekano listu od niego i nadeszło owo pismo upragnione, ale ojciec, błogosławiąc dzieci, donosił, że przybyć nie może, że przeciwnie, wybiera się daleko—za morze, do Ameryki, gdzie się toczyła walka krwawa przeciw Anglii. Zasepiły się twarze dziadunia i wnuków; po chwili Bohdan wstał z krzesła swego i klękając przed dziadkiem, rzekł:

— Błogosław mi, dziaduniu, i pozwól iść za ojcem. Tu mnie nie potrzebują teraz, a tam od niego się nauczę, jak szablą władać.

— Idź, pocziwy mój chłopcze, błogosławie ci sercem całym! — odrzekł starzec i łza upadła mu z oczu na jasną głowę młodzieńca. Hańdzia zapłakana ale poważna i milcząca, pomagała bratu wybierać się w drogę. Motruna, kręcąc głową, szeptała coś do Macieja, który jej tłumaczył, że inaczej być nie może, ale sam jakós ciągle miał do czynienia z tabakierką, przyczem ocierał oczy rękawem.

A było to w r. 1777, kiedy Francya posiłki słabła wybijającym się na wolność Amerykanom; mię-

dzy wielu innymi, odplynęli nasi dwaj podróżni: siwiejący już ojciec z synem hożym, czerstwym, pełnym nadziei. Dziadek tymczasem z wnuczką zamieszkał w małym dworku na Solcu w Warszawie; do rodzinnej wsi nie było już poco wracać. Koralówkę zabrano, futor spaliły wojska tamtędy ustawicznie maszerujące; zresztą tu było łatwiej o wiadomości, co czasem, jak gołębie wędrownie z za morza się dostawały. Hańdzia pielęgnowała dziadunia, kwiatki sadziła w ogródku i haftując w krosienkach, śpiewała smętne dumki ukraińskie, których staruszek z rozrzewnieniem słuchał; Motruna też i Maciej przysuwali się wtedy do drzwi, aby się nacieszyć słowikiem swoim.

I tak cicho płynął rok za rokiem w małym dworku, a burze, wstrząsające światem szerszym, obijały się o białe jego ściany, jak fale morza o mały kamyk na wybrzeżu.

Jeszcze raz rzucimy okiem na znajomych naszych; znowu step szeroki nas otacza, a wśród jaru zielonego ze świętym Onufrym, bieleje futor. Powietrze ciepłe, pełne wiosennych oparów, złoci się od wschodzącego słońka, a skowronek z wilgotnej roli wzbija się wysoko ku niebu błękitnemu z poranną pieśnią. Na między wetknięta szabla, śnać, że sam wojak rolę swoją orze *). Dwa siwe woły,

*) Szlachcic u nas nie wstydził się tego, gdy sam ziemię orał, ale wtedy zatykał szablę na pierwszej odwalonej

o rogach ogromnych, ciągną pług, a za nimi postępuje siwy już, ale czerstwy mąż, o twarzy ogorzałej kresami pooranej. Snać nie w jednej bywał potrzebie, a stąpa żwawo, choć jedną ma nogę drewnianą, a patrzy jasno przed siebie — znać, że ma czyste sumienie i pogodę w duszy. A z białego, świeżo żółciuchną słomą pokrytego dworku, przed którym się zóraw kołysze u studni, wybiega w tej chwili dzieweczka o ciemnych warkoczach, w granatowej bekieszce, czerwonym pasem obciśniętej; w rękę ma dzbanek mleka świeżego i bieży prosto do rolnika wołając:

— I znów mi się tatuś wymknął bez śniadania raniutko. Ej! poskarżę się Bohdanowi, że sobie rady już dać nie mogę!

Ojciec wstrzymał woły u granicy łąny i całując w głowę ukochaną dziewczeczkę, ozwał się do niej:

— Zapominasz, Hańdziu moja, wielem ja lat tęsknił do tej ziemi naszej. Widzisz, córko, że mi tu zdrowie i siły powróciły, nawet już rany nie bołą, zda się, od kiedym rodzinnem odetchnął powietrzem.

— Czemuż to dziadunia drogiego już nie ma z nami? — szepnęło dziewczę smutnie — nawet grób jego został gdzieś daleko nad Wisłą, ale mnie się zdaje, że on tam z wysoka widzi nas i błogosławi

skibie, aby każdy wiedział, że ten orze, co tej ziemi broni. Był to zwyczaj stary, który się długo przechowywał.

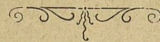
swoim ukochanym na futorze. Wszystko tu żyje po dawnemu, nawet pszczołki brzęczą w pasiece, tylko domek szerszy i większy, niż był dawniejszy.

W tej chwili z dworku wyszedł młody mężczyzna z długimi jasnymi wąsami i ręką lewą na temblaku zawieszoną.

— Idź do brata, Hańdziu — rzekł ojciec — jemu się tu przykrzy w tej ciszy wiejskiej, i nie dziw, bo młodemu skrzydła prędko odrastają, z chęcią leciałby w świat szeroki...

— Nie mówmy teraz o tem, ojczulku; przecież wam obu spocząć warto na rodzinnym zagonie, i nawet Motruna powiada, że nie puści Bohdana, dopóki jej oczu nie zamknie, co się tyle za nim napłakały.

I ucałowawszy rękę ojca, pobiegła ku dworkowi, a stary popędził wołki swoje, orząc dalej zagon ojczysty.



BRANIEC TATARSKI.

Opowiadanie na tle historycznem osnute z XVI wieku.

dziewczęta w krasnych wstążkach i koszulach wzorzysto czerwoną i granatową bawełną wyszywanych, z powodu ciepłej pory, bez kożuszków nawet.

Opodał od wioski, z za białych brzózek, widnieje futor*) nad jarem, gdzie szumi bystry potoczek, sadkiem wiśniowym od północy zasłonięty domek z modrzewia, a opodał rojna pasieka lipami obsadzona. Na futorze tym, mieszka szlachcic pocziwy, z dziadów i pradiadów na usługi kraju gotowy. Dziś tu osiadł spokojnie żoną i trojgiem dzieci, które mu niby kwiatki na futorze wyrastały, rumiane i wesołe, ale za młodu służywał w pancерnej chorągwi, aż dopóki mu pod Kleckiem, nogi nie odrąbano. I stąd już pan Bohowityn niejednokrotnie uganiał się za Tatarzynem, choć ten jakoś szczęśliwie Koziniec omijał, ciągnąc szlakiem**) ku południowi,

*) *Futor*, na Podolu i Ukrainie sad, często z pasieką i domkiem mieszkalnym.

**) Szlaków, czyli dróg tatarskich trzy: *kuczmański, wołoski i czarny*, to główne, prócz mniejszych, którymi niespodzianie wpadali. Nad całą siecią szlaków, strażnic i mogił kresowych, panował zamek, dawniej Rów zwany, potem na cześć królowej Bony, przezwany Barem, najmocniejsza po Kamieńcu twierdza. Nadzór nad twierdzami i strażnicami granicznymi należał do osobnego urzędnika, zwanego „Strażnikiem trzech szlaków,” który podlegał władzy hetmana koronnego, najwyższego naczelnika sił zbrojnych Rzeczypospolitej.

gdzie Latyczów i Winnica, lub bliżej Dniepru w stronę Kijowa.

Właśnie pan Bohowityn z żoną i dwoma synami (bo mała Maryjka w kołysce jeszcze była), wybrał się na nieszpór do cerkiewki. Już się do wrót zbliżają, a pani Bohowitynowa w białym na głowie czepcu i jubce, barankiem krymskim podbitej, zaleca Hani, żwawej i dorodnej dziewczynie, żeby dziecko dobrze w izbie pilnowała, już Janko ze Staśkiem, za ręce się wzięwszy, żywo naprzód pośpieszają, gdy wtem... cóż to? Czy się ziemia zatrzęsła? Czy nagle wichura pędzi z za gór? Zadudniało coś od wschodu, dzikie okrzyki zagłuszyły dzwon cerkiewny i nagle, jak szarańcza, co chmurą spada na zielone pola, wali się jarem hurma Tatarów.

— Ałachu! Ałachu! — wrzeszczą, pędząc na koniach.

Twarze ich żółte i wykrzywione, kose oczy błyszcza, jak węgle żarzące, zęby białe i ostre, jak u wilków, i oni też, jak stado wilków dzikich, rzucają się na gromadkę wiejską. W jednej chwili wieś stanęła w płomieniach, a pohańcy, rozbiegłszy się w różne strony, spędzali bydło i lud w jedną, wielką gromadę.

Stary Bohowityn zrazu chciał się rzucić na ratunek, ale go żona powstrzymała, bo i cóż było jednemu robić z taką hałastrą? Namawiała, by się z dziećmi ukryć gdzie w piwnicach, ale nim to zrobić mogli, już się Tatarstwo rzuciło na futor. Sta-

nał przy wrotach pan Bohowityn z nabitą rusznicą, za nim wierny Maciej, co go w żadnej nie opuszczał potrzebie, i naraz padły dwa strzały i dwóch Tatarów z koni na ziemię się stoczyło; ale setki innych zjawilo się, jak z pod ziemi. Wrzask dziki nappełnił powietrze, płomienie buchnęły, i już pan Bohowityn tarzał się we krwi własnej, a siwa głowa Macieja, krwawą skąpana posoką, odleciała daleko na murawę.

W godzinę, z pięknej wioski już tylko zgłiszcza zostały i resztki dopalających się główni; cerkiewka złupiona, bez drzwi i okien, sterczała, jak trupia głowa ogromna, dzwon nawet, co przed chwilą wzywał lud na nieszpór, unieśli pohańcy, żeby go później rozbić i przetopić. A lud cały? Mężczyźni, co dzielniejsi, poległi, broniąc swoich; innych pognano, zarzuciwszy powróż na szyję, a z nimi kobiety i dzieci co starsze. Niemowlęta i starców pomordowała dzicz, lub powrzucała w palące się domostwa; mało kto zdołał uciec i schronić się gdzieś w podziemnych kryjówkach, skąd ludzie nazajutrz ostrożnie wychylali się, szukając ciał ukochanych swoich, albo wyciągając resztki pożywienia z pod zgłiszcz i popiołów.

Szczęśliwsi jeszcze ci, którzy zginęli; Bóg im pewnie na tamtym świecie wynagrodzi męczeństwo tu poniesione, ale cóż się stać miało z tymi, których dzicz w niewolę pognęła? Jakie męki, udęczenia i pokusy czekały ich jeszcze w tym srogim

jasyrze! A ileżto tysięcy naszych braci tak nie-
gdys w jasyr pognano!... *).

II.

Na Jasnej Górze.

I znów się słońce ku zachodowi skłania, ale
złociste jego promienie padają na klasztor, co to od
wieków stoi na górze, *Jasną* nazwaną. I prawdzi-
wie to Jasna Góra, takie dziś od niej biją płomienie,
gdy cała w blasku różowym zachodu skąpana, z zie-
mi ku niebu, wznosić się zdaje. A na górę tę, niby
stado gołębi białych, wstępuje gromada pielgrzy-
mów ze stron dalekich; starcy o siwych włosach
i brodach, niewiasty, mężowie w sile wieku, dzieci
nawet, a wszyscy na klęczkach, zwolna na szczyt
góry wstępują, śpiewając hymn nasz stary: „Boga-
rodzico Dziewico” i t. d. Z wieży dzwon się odzy-
wa, organy brzmiały na nieszpór, a tysiące ludu, na
twarz padając, łączą głosy swe ze śpiewem kapła-

*) Tatarzy 91 razy na Polskę napadli; 18 napadów miało
miejsce za panowania Zygmunta I, 14 — za Zygmunta III
zresztą, po kilka mniej więcej napadów, pod każdym pano-
waniem; ostatnie dwa za Augusta II Sasa (wylicza Czer-
wiński).

na: „Przed tak wielkim Sakramentem, upadając na
twarze.”

Odśpiewano nieszpór, nabożeństwo się skoń-
czyło, i rozeszli się pielgrzymi, jedni szukając schro-
nienia po gospodach, inni, by obozować pod gołem
niebem, u stóp Góry i Matki Częstochowskiej. Ale
w kaplicy Bożej Matki, przy bładem światelku lam-
py srebrnej, cóż to za postać, krzyżem leżąc, ni się
rusza, ni podnosi? Możnaby myśleć, że skamienia-
ła, gdyby nie to, że usta szepcą słowa rzewnej mo-
dlitwy, a z piersi dobywa się czasem głośniejsze
łkanie.

Tu znów ciemnowłosa głowa młodziana opada
na płyty kamienne, a usta jego całują ziemię po kil-
kakroć i łzami ją skrapiają. Czy to pokutnik jaki,
czy grzesznik, wzywający zmiłowania Bożego w tak
późnej godzinie, gdy się już wszyscy na spoczy-
nek rozchodzą? Oj, nie grzesznik to chyba, bo gdy
powstał z ziemi, to jasnym okiem powiódł dokoła,
czoło pogodne, a twarz choć ogorzała, jak bronz,
dziwnie jakoś szlachetny i pociągający miała wy-
raz. Podniósł rękę do oczu, gdzie jeszcze łyzy per-
liste błyszczały, otarł je i powoli ku drzwiom się
zwrócił, jeszcze raz głowę skłaniając przed cudo-
wnym Bogarodzicy obrazem. I wzrok jego padł
na dwie inne postaci, skulone w kącie kaplicy, i tak
do siebie przytulone, że gdyby nie srebrny promyk
lampki, co padł w tę stronę, dojrzećby ich nie mo-
żna było.

— Mateńko — szepnęła jedna z nich, młode dziewczę, której jasne, długie warkocze, mieniły się w niepewnym blasku lampki — mateńko złota, pójdziemy już, boś strudzona ciężko, a jutro, skoro świt, znów na Jasną Górę pośpieszymy.

I chciała z ziemi dźwignąć staruszkę, której blade lica, łzami zalane, utkwione były w obraz Boga rodzicy z takim wyrazem bólu i błogości zarazem, że się zdawało, iż to jedna z owych świętych niewiast, co je na obrazach malują. Gdy córka do niej przemawiała, zwróciła się ku niej trochę, i usiłowała wyprostować zgięte kolana, powstać z ziemi, lecz siły ją opuściły i napowrót się pochyliła. Ale młodzieniec już klęczał przy niej i z pomocą jego i córki, na której ramieniu się oparła, zdołała staruszka powstać i powoli wszyscy troje wyszli z kaplicy, a stamtąd przez kościół ku drzwiom się skierowali. A czas był wielki, bo właśnie braciszek w białym habicie ks. Paulinów, z ogromnym kluczem, zabierał się ciężkie zamykać podwoje.

Gdy pielgrzymi nasi znaleźli się za progiem świątyni, już księżyc przyświecał i srebrzystem swem światłem oblewał całą górę i tulące się u stóp jej gromady podróżnych, co tu noclegu szukali; dalej w dolinie rozciągało się miasteczko Częstochowa, o niskich domkach, tu i owdzie bez wielkiego ładu porozrzucanych.

— Jakże wy tam zajdziecie, mateńko? — odezwiała się dziewczeczka z niepokojem — wszak to spory kawał, a widzę, żeście już całkiem z sił opadli.

— Nic mi nie będzie, doniu! *). Pan Bóg dopomoże. Czyż to nie On zesłał tego zacnego młodziana, co się nad staruszką ulitował i tak mię wspiera, jakby syn matkę. Oj, miałabym ja, miała na kim wesprzeć się w starości i wdowieństwie mojem, gdyby nie to nieszczęście... tu łzy mowę jej przerwały.

Młodzieniec ze współczuciem patrzył na biedną niewiastę. Oczy jej, głęboko wpadnięte, nosiły ślady łez wylanych, zmarszczki pożałowały czoło, a włos biały prawie dobywał się z pod wdowiego czepca; jednak nie była jeszcze podeszłą w latach; nie wiek, ale raczej cierpienia powlokły smutną pomroką te ciemne i dotąd jeszcze piękne oczy, pomarszczyły blade lica, co niegdyś pewno świeżym rumieńcem i gładkością świeciły. Wielce z rysów podobną do matki jest hoża dziewczeczka, która ją teraz szczupłym, lecz silnem ramieniem objąwszy, troskliwie z góry prowadzić się starała; oczy tylko miała młode, jak dwa bławatki, choć jeszcze od łez wilgotne i wdzięcznie niemi spojrzała na młodzieńca, który z drugiej strony, wspierał chwiejące kroki jej matki.

— Dozwólcie się, matko, odprawić do gospody waszej — rzekł ten głosem łagodnym — tylko wskażcie, którądy iść mamy, bo ja tu po raz pierwszy i nieświadom drogi.

*) Córeczko.

— I my pierwszy raz na Jasnej Górze — ozwała się wdowa — ale mamy tu krewniaczkę, co nas gościnnie w dom swój przyjęła, a Maryjka upewniała, że do niej i po nocy trafi; cóż, doniu, czy nie zbłądziłaś?

— Nie, mateńko! Ot, tam—przy tych topolach, gdzie się jeszcze świeci, stoi biały dworek ciotki Wincentowej, a może i wujek idzie naprzeciw nam.

Jakoż niezadługo spotkali się pielgrzymi nasi z barczystym szlachcicem, o pełnej, ogorzałej twarzy, z wąsem sumiastym i podgoloną czupryną, na której butnie wsadzona była szafirowa z siwym barankiem rogatywka.

— A wracacie mi przecie, pani bratowo! — przemówił. — Sądziliśmy oboje z moją jejmością, żeście się tam gdzie zbłąkały i już do nas nie traficie.

— Wracamy, Bogu dzięki, z pomocą tego zanego młodzieńca, co nas tu prowadzi, a widzi mi się, że bez jego pocziwego ramienia, nie dowlokłabym się już z moją Maryjką.

— Bóg zapłać, waści! — rzekł pan Wincenty — ale dokądże sami idziecie i co z sobą robić zamysłacie?

— Bogiem a prawdą, nie wiem, gdzie się obrócić, bom tu obcy, ale przecież, gdzie tyle ludzi nocuje, to i ja znajdę przytulisko, choćby pod gołem niebem.

— Co masz waść szukać noclegu, chodź lepiej do nas. Obcy nie jesteś nigdzie na swojej zie-

mi, a żeś szlachcic i pocziwy, to ci od razu z oczu patrzy. Dziwnie tak mi się wydaje, jakbym cię gdzieś już spotkał. Ale teraz gadać nie miejsce i nie pora; ruszaj waść z nami, wypisz się na świętem sianku w stodole, a jutro się rozgadamy na dobre.

I poszli już we czworo. We dworku palił się ogień na kominie, wesoło trzaskały jodłowe gałęzie, a przy nich grzała się wyborna polewka piwna; do tego na misie stał chleb i ser w kostkę krajany, a w rynce smażyła się jajecznicą. Mięsa widać nie było, ale bo też to święta Wigilia do Matki Boskiej Zielnej, więc niktby go do ust nie wziął.

Pani Wincentowa, życzliwie gościa powitawszy, jak to u nas było we zwyczaju, z wieczerzą prędko się załatwiła, żeby podróżnych do snu ułożyć; wkrótce też wszystko pogrążone było w błogim spoczynku. Maryjkę na posłaniu własnem umieściła cioteczna jej Halka, czarnobrewa, żwawa jak iskra, jedynaczka państwa Wincentów. Poszeptały jeszcze trochę dziewczęta, położywszy się, jak to zwyczajem młodych, co nad sen i spoczynek gawędę przekładają, ale matki kazały im się uciszyć, ażeby jutro, skoro świt, być na nogach.

III.

Braćcy. — Step. — Straszny nocleg. — Pieśń. —
Obóz chana.

Dzień Wniebowzięcia N. P. przeszedł cały na modlitwie; zrana spowiedź, po której tłumy pątników przystępowały do Stołu Pańskiego; w ich liczbie wdowa z córką, Wincentowie oboje z Halką i nieznajomy młodzieniec, który im towarzyszył; ten znów krzyżem leżał przez całą mszę w kaplicy cudownej Najświętszej Maryi Panny. Po sumie i posiłku, poszli na nieszpór, tak, że dopiero wieczorem zasiedli znów wszyscy u komina, na którym, mimo że wieczór był ciepły, płonęła z trzaskiem jedlina pachnąca.

— Teraz — odezwał się pan Wincenty Gozdawa — kiedyśmy już Panu Bogu oddali cześć i chwałę, musisz nam, młodzieńcze, opowiedzieć, skąd tu do nas przybywasz, a zdaje mi się, że masz co opowiadać, choćby i do północks, boś sam wspominał, że w dalekich bywałeś krajach.

— Oj, bywałem, dobrodzieju mój, choć nie z własnej woli i chęci; długoby o tem mówić, ale kiedyście łaskawi pytać, będę mówił o wszystkim wam, coście mnie sierotę, do ogniska waszego przygarnęli.

Dziewczęta przysunęły się ciekawie do komina; pani Wincentowa przyłożyła kilka gałęzi do ognia,

a wdowa łzawem okiem wpatrzyła się w młodziana, jak gdyby serce jego przeniknąć chciała do głębi, ten zaś tak mówił:

— Wracam z tatarskiej niewoli, cudowną ręką Bożą wyrwany z rąk pohańców, co wydarłszy mi rodzinę i ojczyznę, jeszcze mają duszę zgubić chcieli na wieki, namawiając i przymuszając niejako wyrzec się wiary ojców. Ale z Bożą pomocą wszystko się przetrwało i oto u stóp Matki Częstochowskiej leżąc w prochu, całowałem tę ziemię ojczystą, której lat dziesięć z górą oczy moje nie oglądały.

— Jakżeto i skąd dostaliście się w moc pohańcom? odpowiedzcie nam.

— Nie mogę sobie przypomnieć samej chwili porwania, ale potem, wszystko mi się w oczach przesuwa, jakby szereg obrazów dziwnych, okropnych, że mię dreszcz przejmuje, gdy to w pamięci widzę. Stoimy na stepie, noc, ogniska palą się wokoło, a przy nich dzikie twarze Tatarów. Ci porozciągali się na trawie i grają z sobą w kości, a który wygrywa, krzyknie, jak dzikie zwierzę, i zabiera drugiemu coś ze złupionej zdobyczy; ten podrzuca do góry kielich szczerozłoty, złupiony z jakiegoś kościoła, tamten narzucił na plecy kapę, inny ornat złotem haftowany, tylko zamiast rubinów, błyszczą na nim, świeże jeszcze krwi krople; inny okręca głowę sutym pasem polskim, w różnobarwne kwiaty, srebrem przetykane — a wszystko błyszczy dziwnie, przy świetle ogniska, jak gdyby szatani w piekle igrzyska jakieś wyprawiali.

I mnie się to tak wydawało, kiedym rzucił trwożne spojrzenie dokoła. Słyszę płacz rzewny i jęki; staliśmy powiązani, spętani w gromadę wielką, niby trzoda owiec; ci już ze znużenia na ziemię popadali, tamci przykućni na zranionych i potłuczonych nogach, inni jeszcze stali, wspierając się plecami jedni o drugich, a byli tam i mężczyźni wysocy i barczyści; ten z odrąbaną ręką, ów płućnięty przez czoło, z krwią skrzeplą na oczach i twarzy, ale najwięcej niewiast; niejedna z małym dzieciątkiem u piersi, blada i spłakana, jak ta Matka Bolesna, co ją w naszych kościołach na obrazie nieraz widać, i dziewczęta o długich kosach, za które po dwie lub trzy razem Tatarzy je pozwiązywali, albo pacholeta małe, jak ja lub brat mój młodszy, który płacząc, do mnie się tulił.

I my obaj byliśmy krwią zbryzgani. Tatarzyn, który mnie porwał, opowiadał później, że się broniłem jak małe lwiątko, i w końcu tak go zębami za rękę uchwyciłem, że mnie z bólu i złości, płućnął przez głowę krzywym swoim mieczem. Dotąd mam bliznę, ot tu, z lewej strony, przez czoło i skroń, ale wtedy była rana krwawa i srodze mię bolała. Brat, choć moją tylko krwią zbryzgany, ale słabszy i węższy ode mnie, nie mogąc się już na nóżkach utrzymać, stulił się, płacząc cicho, do mego boku. Wokoło nas pasły się konie tatarskie. I tak przeszła ciepła noc wiosenna, ale nikt usnąć nie mógł z nas jeńców nieszczęsnych, tylko Tatarzy, napiwszy się wódki,

co ją w beczałkach ze sobą przywieźli, chrapali, miotając się i wrzeszcząc jeszcze przez sen *).

A nam serce zamierało ze zgrozy i obrzydzenia, patrząc na tę dziec. Pamiętam, że ukląkszy z bratem, odmawialiśmy cicho „Pod Twoją obronę,” tonąc przytem we łzach gorących. Usta nam paliła gorączka, a nie było komu podać kropli wody i mężczyliśmy się tak aż do świtu. Kiedy się od wschodu białawy rąbek na niebie ukazał, już się Tatarzy zrywali z ziemi i konie poili w rzeczulce, co się opodał sączyła; i nas jakiś miłosierniejszy, co zdawał się być ich wodzem, kazał podpędzić ku rzece tak, żeśmy powiązani jedni do drugich, ukląkszy, napić się wody mogli, czerpiąc dłonią albo wprost ustami ze strumienia. A tu słońce wschodziło krwawo na stepie, i pohańcy jakieś przed niem musieli odprawić modlitwy, bo padali na twarz, mrucząc wyrazy niezrozumiałe, a potem kiwali się w różne strony.

Miedzy nami zaś, jeńcami, znajdował się jakiś niemłody już szlachcic ze szpakowatą, podgoloną

*) Tatarom, jak i wszystkim Mahometanom, zabrania ich religia używania wina i tym podobnych upajających napojów, ale że prorok nie znał wódki i nie wspominał o niej w swoich przepisach, więc pohańcy pozwalali sobie tego trunku, natrafiwszy nań przypadkiem. Podobnie wiadomo o Turkach, że przysięgając na małą książeczkę, koranu niby, kazali takie książeczki robić z *mydła* i uważali, że wtedy przysięgę bezkarnie złamać mogą. Wspomina się o tem w „Pamiętnikach Janczara” i t. p.

czupryną i siwym wąsem, a tak szpetnie pokaleczony na głowie i rękach, że go poznać trudno było i ledwie się mógł ruszać. On jednak, padłszy na kolana, silnym głosem zaintonował pieśń do Najświętszej Maryi Panny—„Gwiazdy zarannej“, a za nim wszyscy. Cienkie i słabe głosy dzieciinne i niewieście łączyły się z silnym, męskim głosem, tworząc dziwną, podniosłą jakąś muzykę, a łzy rześiste spływały po licach, niby ta rosa, co się szklili na murawie. Z tą pieśnią jakąś dziwna nadzieja wstąpiła nam w serca i zdawało się, że nas Bóg nie opuści, że tu, jak i wszędzie, święte oko Jego czuwa nad nami.

Tymczasem pohańcy już na koniach pędzili nas, otaczając niby kołem drapieżnych kruków, a bali się widać pogoni, bo raz tylko wypocząwszy około południa, gnali nas dalej i dalej, gdzieś ku wschodowi słońca. Teraz już padaliśmy, jak muchy po drodze, i Tatarzy musieli brać wielu na koni do siebie, bo wozów żadnych nie mieli. Brat mój, biedactwo, z poranionymi nóżkami, bo mu obuwie w drodze spadło, uchwycił się mnie za szyję i puścić nie chciał, kiedy go jakiś Tatarzyn na swego konia wciągał; ale i w poganach serce być musi, bo ten się ulitował i obu nas, na konia swego wsadziwszy, sam szedł pieszo.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, kiedyśmy z daleka postrzegli, jak gdyby wielką jakąś gromadę i natychmiast kilku Tatarów pędem strzały pomknęło naprzód, a po chwili słyszeć się dał odgłos bębna. Teraz już widać było dobrze wielki

obóz tatarski, czyli *Kosz*, do którego tak pośpiesznie dążyliśmy; tu się sam han znajdował, jak się później dowiedziałem. Wtedy jeszcze nie rozumiałem tego wszystkiego, ale potem, przez długie lata niewoli u pohańców, poznałem wszystkie ich zwyczaje i obyczaje *). Tak tedy w koszu tatarskim, gdzie na przyjęcie naszego hufca, bito w bęben jedną pałką, stał pośrodku namiot hański, wokoło którego zatknięte były cztery chorągwie: jedna czerwona z żółtą kijałką, druga biała z czerwoną, trzecia z białej kijałki, a trzy zielone końce u niej, z wierzchu zaś, czarny ogon koński; czwarta najpiękniejsza, z jabłkiem złotem na wierzchu, czerwona cała i wyhaftowana złotem pismem arabskim. Wozy stały także, ale o dwóch kołach wszystkie, przy nich duże, garbate zwierzęta, co je dromaderami zowią, a koni moc wielka, więcej nawet, niż ludzi, bo Tatarzy zabierają konie, aby z nich mieć pożywienie, dojąc kobyłę mleko, a przytem, ładując na nie łupy i jeńców słabszych.

Teraz nasz hufiec radośnie był przywitany, a i inne podobne nadejść musiały, bo zastaliśmy gromady jeńców, jak my powiązanych, w koszu ta-

*) Szczegóły tu przytoczane, są po większej części wzięte z dzieła Juliana Bartoszewicza, znakomitego naszego historyka, o Turkach i Tatarach, także z Szajnochy „Mściciela“, z Bielskiego, który żył w XVI wieku, i innych książek historycznych.

tarskim. Tu miało być miejsce na odpoczynek nam wyznaczone; wokoło bujnych traw podostatkiem było, aby koniom pożywienia nie brakło. Na tej świeżej jeszcze, wiosennej trawce leżałem, brata do siebie przytuliwszy, a jakiś Tatarzyn narzucił na nas opończę; spałem twardo, jak kamień i nic nie słyszałem, co się wokoło nas działo. Tak to z wielkiego znużenia i głodu, człowiek częstokroć zapomina o tem, co go w sercu boli, i nawet żal najsroższy jakoś w nim zamiera.

— Możeby i teraz spocząć nie zawadziło — ozwał się pan Gozdawa — jutro musicie nam dalej opowiadać dzieje wasze ciekawe. Przecie wam nie pilno nas porzucać; posiedźcie, wypocznijcie, a raźniej wam będzie, puścić się w dalszą wędrówkę.

— Ciężka to była wędrówka — odparł młodzieniec — bom w tych długich latach niewoli, zatracił pamięć miejsca i ludzi, nazwiska własnego zapomniałem od gorączki, co mnie zgnębiła, i teraz obcy wśród swoich, tułać się muszę, sierota.

— Nie mówcie tak — rzekła wdowa, rzewnie na młodziana patrząc — u nas każda matka przysparza jak swoje, takie biedne a zacne dziecię ziemi naszej. Żeście pocziwi, to wam z oczu patrzy, a i to dowód, żeście dzieckiem porwani od rodziny i kraju, nie zabyli (nie zapomnieli) ojczystej mowy i nie dali się poturczyć, jak tylu innych nieszczęsnych jeńców, w jasyr zapędzonych. Och! stokroć lepiej zginąć — zawołała, łzami się zalewając — niż się wyrzec Boga i kraju własnego! Schylam też pokornie

głowę pod wyrok Boży, co mi dzieciny moje w kwiecie wieku zabrał, żeby je może od większego jeszcze złego uchronić.

Młodzieniec, kornie się schyliwszy, ucałował rękę wdowy, która nad głowę jego po macierzyńsku krzyżyk nakreśliła, i wszyscy rozeszli się na spoczynek; tylko gwiazdki migotały nad cichym dworkiem, jak gdyby zajrzeć chciały, co się tam dzieje, mrugając złotemi oczkami.

IV.

Jak wyrusza wojsko tatarskie. — Trwoga i nadzieja. —
Krwawa mogiła.

Nazajutrz, gdy się znów całe grono w dworku Gozdawów zgromadziło, ciągnął dalej swe opowiadanie młodzieniec:

— Chmurno jakoś zaświtał drugi poranek niewoli naszej, ale przededniem jeszcze, obudził nas wielki rozruch w koszu tatarskim; musiały nadejść jakieś wieści nowe, dzieć bowiem uwijała się, jak mrowie, a stary szlachcic, co się mną i bratem zaopiekował, wytłómaczył nam, co się święci. Widocznie nas brańców, wraz z wielką gromadą wołów, koni i innego bydła, naspędzanego ze wszech stron, miano prowadzić dalej, ale han z częścią wojska, wyruszał znów na północ, ku Polsce. Robiono przygo-

towania do pochodu, a rankiem han z wojskiem swoim wyciągnął.

Dziwne bo to jest wojsko! Najprzód niosą owe chorągwie, o których już wspominałem; dalej przed hanem wiodą kilkanaście pięknych koni. Za hanem, wielki hufiec ludu, a każdy Tatarzyn wiezie po pięć lub sześć koni za ogony powiązanych. Potem szły działa polowe, z dziesięć może, potem strzelcy z rusznicami i wozy przez owe dromadery ciągnięne, a wszystkie o dwóch kołach. Czterech było synów hańskich, a każdy miał swój buńczuk czyli chorągiew z końskim ogonem—u każdego odmiennej sierści. Za nimi dopiero tłum Tatarstwa, a strasznie to wyglądało: odarte, bose, w lichych siermięgach, bez panczerzy, a niejeden, zamiast żelaznej broni, z kością kobyłą uwiązaną u kija.

Kiedy zatrabiono jak na psów, uderzywszy wprzód w bęben, zawsze jedną pałką, cała ta hałstra wrzasnęła straszliwie i rzuciła się, jak chmara dzikiego ptastwa, po zielonym stepie. Brat wylękły tulił się do mnie, a ja, ogłuszony tym wrzaskiem, stałem z oczyma wlepionemi w tę czarną nawalę i patrzyłem, jak gdyby mi dusza za nimi rwała się, tam daleko, do ojczyzny mojej. I teraz zda mi się, że widzę przed sobą tę dziką hurmę, i słyszę wrzask ich, i te trąby, co uszy rozdierały... aż powoli, powoli, wszystko ginęło gdzieś w oddali, i tylko zdaleka zalatywały czasem krzyki niesforne, a w końcu i ucichły zupełnie...

My zostaliśmy z hufcem tatarskim, co nas otaczał wielkiem kołem, ale w drogę się jeszcze nie wybierał. Tatarzy rozrzucili między nas kawały mięsa końskiego, które z pod siodła wyjmowali, ale mimo głodu co nas dręczył, niepodobna było do ust wziąć, tego cuchnącego i wstrętnego, końskim i ludzkim potem przesiąkniętego jadła; bojąc się więc, żebyśmy im nie poginęli, pozwolili doić nam mleko krów i owiec, spędzonych z wiosek naszych. Biedne stworzenia także czuły niewolę, bo dziwnie jakoś ryczały i usiłowały rozbiedz się w różne strony, ale je pohańcy spędzali do kupy, bijąc powrozami i łukami swoimi. Jedna krówka padła była w nocy jeszcze; na tę rzucili się pohańcy i rozrywając na sztuki, pożerali to mięso nawpół surowe, przypiekłszy je trochę tylko nad ogniem, rozpalonym z resztek jakichś połamanych sprzętów i skrzyń, które zrabowali; na stepie bowiem trudno o drzewo, i nawet lud tam podobno na paliwo używa nawozu suszonego, co go *kirpiczem* zowie. Takie nas obrzydzenie zdjęło na ten widok, że nie jeden nie mógł przełknąć i tego mleka upragnionego, które mu za jedyny posiłek starczyć miało.

Niezadługo jakoś po wyruszeniu hana, dziwny hałas odbił się o uszy nasze; szlachcic przypadł do ziemi, słuchał, a podnosząc się, rzekł drżącym głosem:

— Bracia, módlmy się — to bitwa. Nasi gdzieś musieli dognać Tatarów, już słyszać strzelanie, Bóg wiedzieć raczy, co z nami będzie!

Wszyscy, jak jeden człowiek, przypadliśmy do ziemi, nasłuchując. Jakże drżała ona od dalekiego huku i tętentu. Ale pohańce zmiarkowali od razu, co się dzieje, i kiedyśmy poklękali, głośno śpiewając, „Bo-garodzico Dziewico,” zaczęli nas bić i spędzać w gromadę, abyśmy nie zrobili jakich czarów. Co się wtedy w duszy działo, wypowiedzieć niepodobna! Mówił nasz szlachcic, że to już nieraz bywało, iż hufiec pana hetmana, albo którego z dzielnych panów naszych *), dogna pohańców i rozgoniwszy ich, uwolni cały poczet brańców. Pewnie i Tatarzy o tem pamiętali, bo ich teraz widoczny ogarnął niepokój; jedni pędzili na zwiady, inni coraz ciaśniejsem nas kołem

* Wieczna cześć się należy tym, co krew swą tam przelewali, co ciałami swemi sypali wał przeciw wrogom. Buczaccy zaczynają ten szereg bohaterów, dalej Odrowążowie, Wiśniowieccy i t. d. Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski, dognawszy zagon tatarski pod *Komorowem* 1506 roku, odbił łup wszystek, ubiwszy 2000 pohańców; potem dwaj książęta Ostrogscy Konstantowie, ojciec i syn, codziennie ledwie wiedli boje z Tatarami; zasłynął Ostafi Daszkiewicz i inni. Za Zyg. Starego, Stanisław Lanckoroński, Mikołaj Firlej, Bernard Pretwic, uwieńczony w pieśni ludowej, starosta barski i trębowelski („za pana Pretwica, bezpieczna od Tatar granica”). Niewiasty nawet w bojach tych zasłynęły, jak Anastazyja księżna Słucka, Katarzyna księżniczka Ostrogska, co z wielu pannami straszne wytrzymała oblężenie w zamku Dubieńskim i Beata Dolska, co wigilią wesela swego ómy Tatarów od Dubna odparła. Słynne było zwycięstwo nasze pod *Wiśniowcem* 1512 roku; straszna klęska pod *Sokalem* 1519 r.

otaczali, groźnie wywijając mieczami krzywymi i powrozy narządzając. Tymczasem mgła gęściutkim deszczykiem na ziemię opadła, niebo się przejaśniło, a słońce, jakby świeżą rosą splukane, wyjrzało z za chmur i wysoko strzeliło na nas swymi promieniami.

Już było blisko południa a huk nie ustawał — przeciwnie, nawet zdawał się zbliżać ku nam; mnie serce biło jak młotem, zdawało się, że pierś rozsadzi. Aż tu widzimy jak kilku pohańców, co się byli oddalili w stronę bitwy, pędzą co koń wyskoczy. Prowadzą ich przeto do kałgi (najwyższego po hanie rządcy tatarskiego) i widać, że ważne musieli przynieść wiadomości, bo natychmiast wielki ruch powstał w koszu.

Strach mówić... dziś mi jeszcze serce zamiera, gdy sobie o tem wspomnę... Tatarzy, wpadłszy między wielki tłum brańców, spędzonych jak owieczki, na kupę ogromną, zaczęli wybierać starszych i słabszych, odprowadzając ich na bok w oddzielną gromadkę. Widziałem, jak pędzili przed sobą kilka kobiet z dziećmi u piersi i rannych, co się ledwie na nogach trzymali. Wreszcie jeden z pohańców, zarzucił pęta na szyję naszego szlachcica, i włókł go za sobą; my obaj z bratem uczepiliśmy się jego szaty, ja za powróż złapałem i tak trzymałem mocno, że Tatarzyn, klnąc dziko, zamierzył się na mnie i w zamachu przeciął własny postronek. Tymczasem nasz stary opiekun mówił:

— Dajcie pokój, dziatki, Bóg was nie opuści, a mnie staremu lżej będzie zginąć, niż iść w jasyr. Tylko pamiętajcie, dzieci! Bóg i ojczyzna nadewszystko! Nie dajcie się zbismurmanić! niech was Ojciec Niebieski strzeże na wieki wieków Amen!... i rękę skrwawioną nad naszemi głowami wyciągnął.

I porwali go nam, wlokąc za innymi i wszystkich na jeden powróż ściągając. Patrzyliśmy wzrokiem osłupiałym, nie pojmując, co to będzie... Tymczasem Tatarzy ustawili się w długi rząd i wydali przeciągły, okropny świst... W tej chwili chmura strzał gwizdnęła w powietrzu, a my padliśmy twarzą do ziemi... Kiedy się podniosłem, nie było już tej gromady jeńców naprzeciw nas; wszyscy leżeli we krwi zboczeni. Zginęli od strzał tatarskich w jednej chwili, żeby nie przeszkadzać w ucieczce.

Brat mój, gdy główkę podniósł i zobaczył, co się dzieje, padł jak martwy na ziemię; przypadłem go cucić, sam ledwie żywy z przerażenia i grozy. Wokoło nas szlochanie i jęk straszny, a tu pohańce pędzą dalej. Nas, dzieci i kobiety na wozy lub na konie wrzucają, resztę na powrozach ciągną, przytroczywszy u siodła. Gdyby nie brat, zdaje się, że umarłbym był z żalu i grozy, widząc, jak za nami, zostawała niby mogiła z ciał pomordowanych; wreszcie wszystko znikło z oczu, tylko przed nami i za nami step został niezmierny.

I znów pędziliśmy aż do nocy, w dzikim pośpiechu. Braciszek przyszedł do siebie, ale rzewnie płakał i wołał starego szlachcica, co jak ojciec opieko-

wał się nami. I mnie serce się z bólu krajało, ale pocieszałem brata, jak mogłem. Widzisz, mówiłem, oni teraz wolni, do Pana Boga poszli i może na nas z Nieba już patrzą, i nic ich nie boli, niczego się nie lękają, tak, jak ci święci męczennicy, co nam o nich matusia nieraz opowiadała. Kiedym wspomniał matusię, obaj rzewnie płakać zaczęliśmy, i wśród tego płaczu, Bóg nam zesłał sen twardy znowu, żeśmy na chwilę zapomnieli, o trwodze i tęsknocie naszej.

V.

Obyczaje Tatarów. — Najgorsi Nohajce. — Jak żyją. — Co jadają. — Jak wyglądają. — Kotarhy. — Łoszaki.

I ciągnęliśmy stepem coraz dalej a dalej. Tatarzy widząc, że ich mięsa uduszonego pod kulbaką na koniu, brańcy jeść nie mogą, a bojąc się, by nie potracić ludzi, którzy dla nich cenny towar stanowili, zabili kilka owiec, i z tych mięso nad ogniem upieczone nam dawali, pozwalając je zapijać mlekiem świeżem.

— A jakże to oni swoje jadło przygotowują? — spytał pan Gozdawa — bo u nas rozmaite rzeczy o tem opowiadają, a nie wiadomo, co prawda, a co fałsz.

— Jużto na Krymie, po miastach, dobrze sobie żyją Tatarzy, i nawet rozlicznych wygod używają; ale te ich hordy, co się tułają po stepach, za Dnieprem, aż po Don i Wołgę, jak „Nohajcy,” rozbitki Złotej Hordy, żyją w wielkiej dzikości i barbarzyństwie. Nie orzą ani sieją, nie znają chleba ani jarzyn, za to bydła i wszelkiego dobytku dużo chowają; u jednego bywa po kilkaset owiec, po kilkanaście wielbłądów, po kilkadziesiąt krów, wołów i kłaczy. Jedzą chętnie wilki i lisy, które w polach biją. Pieniędzy nie znają, a gdy do nich przybędą Tatarowie z Czerkas z suknem i płótnem, to im płacą sztukami trzody swojej. Najlepsza zwierzyna dla nich, kiedy bydłę padnie. Twierdzą, że to co sam Ałlach (Pan Bóg) zabił, jeść trzeba. Zresztą ze skór bydłęcych robią wory; w te doją mleko kłaczy, wielbłądzie, owcze i t. d., kwaszą je, a po odlaniu serwatki, zgęstniałe na ser, wylewają na opończę, na której zwykle sypiają i tak to się suszy na słońcu; a jedno i drugie, przechowują na zimę, bo drzewa nie mają, żeby sobie co ugotować mogli, tylko czasem suchą trawę zapalają. Większe kawały mięsa, jak mówiłem, pod siodło kładą, żeby się tam rozparzyło i wy-macerowało, a potem ze smakiem jedzą.

— Ach! jakież to szkaradne! — wykrzyknęły dziewczęta.

— To jeszcze nie koniec; kiedy im było wy-ginie od pomoru, lub nieprzyjaciela jakiego, to się

nieraz zdarzy, że syn ojca zabija i zjada; rodzice zmarłe dzieci z ziemi wykopują i pożerają *).

Wszyscy słuchali grozą przejęci, a Gozdawa pytał:

— Czyście to wszystko na własne oczy widzieli?

— A jakże — odpowiedział młodzieniec. — Długo ja lata między nimi przepędziłem, i bywałem na stepach, w domkach ich, czyli namiotach, zwanych kotarchy, co sobie klecą z pilśni owczej lub wielbłądziej ubitej na grube sukno. W lecie i tego nie potrzebują, koczując z miejsca na miejsce, gdzie lepsze pastwisko. Wielki to już pan u nich, gdy na dwóch wozach majątek swój i dom wieść musi, zaprząwszy wielbłądy lub woły. I konie tatarskie dzielnie wytrzymałe **), bez paszy się obchodzą, często poprzestając na liściach suchych, lub korzonkach,

*) Tak opisuje społecznych sobie Nohajców Bielski, historyk XVI w. Naruszewicz zaś, znakomity historyk z czasów Stanisława Augusta pisze, że Dżyngis-han takie przepisy zostawił swoim poddanym: „Jeśliś głodny, szukaj posiłku z myśliwstwa i łuku, albo zaciąwszy konia w żyłę krew jego wypij; jeśli chcesz cięższego pokarmu, zrób z owcy pieczenie, podłóż ją pod kulbakę, prędko się ona rozparzy, a ty ją porrzyj; jeżeli ci się gdzie zdarzy znaleźć gałgan sukna, albo kawał kozucha porzucony, przyszyj go do twojej sukni, choćby nowej, abyś potem naprawki nie potrzebował szukać” i t. d.

**) Pisz Gwagnin, historyk XVI wieku (który podobno wiadomości historyczne zapożyczył od Strykowskiego i pod swoim je wydał imieniem).

z ziemi kopytem wygrzebanych. Konie te, *łoszaki*, niewielkie, cienkie i długie, niepozorne ale silne, ubiegają i 20 mil na dzień, nie lękają się ani ognia, ani wody. Czasem w polu nad wodą, stoi jakaś świątynia pogańska; tu Tatarzy schodzą się i składają bogom na ofiarę pierwotne bydło swoje, połowicę paląc a połowicą karmiąc ptaki i różne zwierzęta; stąd wielka tam moc bywa sępów, orłów, kruków i t. p.

Dzikie te hordy, najwięcej szanują hana z Perekopu, co na Krymie siedzi, ale i tego nie zawsze słuchają tak, że się im okupywać musi, albo wojować z nimi *). Ci to właśnie Nohajcy, których sporo było w naszym koszu, wymordowali jeńców tam na stepie; nawet wyglądali daleko straszniej od innych, z czarnymi wypukłemi oczyma i głową goloną, na której jeden tylko kosmyk zostawiają, koło ucha zakręcony. Twarze ich śniade, szerokie, zęby jak u wilków. Już Tatarzy krymscy, daleko więcej do ludzi podobni.

VI.

Na Krymie. — Przeprawa przez Dniepr. — Gorączka. — Krym. — Niewolnicy tatarscy. — Grody i miasta.

Tymczasem pędzili nas Tatarzy, coraz dalej ku południowi. Czwartego dnia, od czasu porwania na-

*) I tak w 1510 r. Car krymski dwakroć poraził Tatarów Nohajskich nad Donem i zabrawszy im 70.000 ludzi, głów-

szego, o zachodzie słońca, stanęliśmy nad rzeką ogromną, o żółtawych wodach, co się z wielkim szumem rozbijała na kamiennych skałach, przerzynających jej koryto w poprzek, niby olbrzymie progi. To były Dnieprowe porohy! Nad brzegiem rzeki, zatrzymaliśmy się na noc, ale jakże nam, jeńcom nie-szczęśliwym, straszno było myśleć, że to ostateczna ziemia naszej granica! Jutro powloką nas dalej w kraj obcy, straszny; dziś jeszcze, choć w niewoli, ale widzimy wokoło siebie szerokie, bezmierne, jak okiem zajrzeć, stepy Ukrainy. To też wieczorem, przed snem, choć znużeni śmiertelnie, uklękliśmy wszyscy do pieśni nabożnej, i całowali z płaczem ziemię u stóp naszych, jak gdyby żegnając ją na wieki.

Nie było już naszego szlachcica, który niby ojciec, czuwał nad całą gromadą, ale teraz miejsce jego zajął ksiądz, zakonnik w habicie kapucyńskim, którego jakoś pohańcy oszczędzili, myśląc zapewne, że to czarownik jaki. Bali się dotknąć jego i pociorek, które w ręku trzymał, odmawiając często różaniec, ale pędzili go z innymi w jasyr, gdyż był jeszcze zdrów i silny. On to z rana o świcie i przed nocą, pierwszy intonował pieśń do Bogarodzicy, a wszyscy za nim, kto tylko miał siłę jeszcze usta otworzyć. O świcie Tatarzy zaczęli się gotować do przeprawy przez Dniepr, i to bez łodzi i bez mostu żadnego.

nie kobiet i dzieci, do hordy swej zapędził, poczem Nohajcy spokornieli.

— A tom ciekawy, jak sobie poradzili, mości panie? — pytał pan Gozdawa.

— Dziwne oni na wszystko mają sposoby. Oto i teraz, konie wiążąc po kilka i przyczepiając im snopy z trzciny, żeby lżej było płynąć, związywali im ogony razem. Kiedy takie żywe tratwy były przygotowane, co sporo czasu zabrało, zaczęli wsiadać, nas jeńców także powiązanych, na koniach przymocowując, i wybrawszy miejsce, gdzie rzeka mniej bystro pędzi, dziko wrzeszcząc na konie, rzucili się wpław do wody. Pewny byłem, że ostatnia godzina nasza nadeszła, ale i tym razem nas Opatrzność ocaliła. Ile czasu trwała przeprawa — nie wiem, bom ledwie żywy ze strachu, obejmował z całej siły brata, żeby mi się nie wysunął. Wreszcie zmoczeni, zbici, znaleźliśmy się na drugim brzegu. Nie obyło się bez szkody; kilka kobiet z dziećmi utonęło; jedna, jak dziś pamiętam, która omdlawszy, wypuściła z ramion dziecko, kiedy oprzytomniała już na brzegu, skoczyła jak szalona i rzuciła się w rzekę, nim ją Tatarzy pochwycić mogli.

Bydło powiązane za rogi i ogony, wielkimi tykami popychali Tatarzy na brzeg, ale wiele się podusiło i pozabijało; te pochwyciwszy, zaczęli po swojemu na jadło przyrządzać. Wozy, o wysokich dwóch kołach każdy, poprzewlekali jako tako na drugi brzeg i tam dopiero, po ciężkiej przeprawie, rozpoczął się popas.

Co dalej było, nie umiem powiedzieć; z ziębnięty, przemokły, straciłem przytomność i leżałem

w gorączce. To mi się zdawało, że woda zalewa mi nogi, ręce, szyję, podchodzi coraz wyżej, dusi i pochłania, a ja wyrywałem się i broniłem z całej siły; to znów czułem, jak matka się pochyła nademną i głowę moją bierze w ręce swoje, ale te ręce jakoś palą, niby ogień, i pali się głowa cała i pęka z bólu straszego. Musiałem długo tak cierpieć a oni nieprzysotomnego wlekli dalej, coraz dalej.

Kiedyś, pamiętam, otworzyłem oczy. Nade mną bracišek siedzi i płacze, a łzy jego spadają mi na czoło jedna po drugiej i staczają się, jak perły po twarzy mojej. Patrzyłem długo, długo, aż wreszcie wyciągnąłem ręce i zarzuciłem mu je na szyję.

— Ty żyjesz, bracie mój! — wołał i płakał mocniej jeszcze, a blada twarzyczka jego tuliła się do mojej — myślałem, że już nigdy na mnie nie spojrzysz, nigdy nie przemówisz swoim głosem prawdziwym, nie tym okropnym, którym wołałeś pierwszej i matusi i tatka, to znowu groziłeś pohańcom — i całował biedactwo moje ręce, a ja się wpatrywałem w jego wychudzoną, białą twarzyczkę, i zdawało mi się, że to jeden z tych aniołków, co je na obrazku w kościele widywałem.

— Gdzież my jesteśmy? — pytałem — co się stało? Wokoło nas zielona równina, ale to już nie step, bo w oddali widzę pagórki, a tuż obok jakieś dziwne domostwa, jakich nigdy oczy moje nie widziały przedtem. A powietrze dziwnie ciepłe i miłe; wietrzyk orzeźwiający od wschodu zawiewa, słońce czerwono zachodzi gdzieś za górami.

— Jesteśmy w Krymie — brat odpowiada.

Nieraz w bajkach słyszeliśmy o tym Krymie, gdzieś nad morzem, gdzie to zimą, zamiast śniegu, róże zakwitają, i w pieśniach śpiewaliśmy o zielonym Krymie za Perekopem, a teraz tam nas Tatarowie w jasyr zawiedli! Tam kraj piękny, i grodów dużo stoi, co je pohańcy innym ludom poodbierali: *Kaffa*, nad samem morzem Czarnem, *Bakczysaraj*, i blisko Kaffy gród wielki i piękny, co się *Krym* zowie, a od niego i cały półwysep tak nazwany. Ten półwysep, wkoło morzem oblany, wązkim tylko pasieczkiem ziemi (Perekop) lądu się trzyma.

Kiedyśmy przez ten przesmyk jechali, nic nie widziałem, bom w gorączce leżał na wozie, ale brat mi mówił, że po obu stronach widać było morze szerokie bez końca, co się od słońca srebrzyło i szumiało mocno, a środkiem szedł pas ziemi zielony, niby wstęga i ten nas zawiódł do Krymu. Tu zaczęli Tatarzy rozdzielać jeńców; jednych kałga, co w nieobecności hana całą gromadą dowodził, rozdawał po dwóch, po trzech i więcej swoim Tatarom, żeby im po wsiach służyli, na nich pracując. Innych pędzono do miast, żeby ich stamtąd na sprzedaż do Carogrodu wyprawiać. Nas obu z bratem zatrzymał dla siebie jakiś urzędnik Kałgi, i ten nas do swojej zabrał osady.

Na Krymie wielka moc żyje niewolników, co koło roli dla panów swych pracują, bo Tatar, zły rolnik, pracować nie lubi, tylko do wojny i rabunku skory. Żyją tam w niewoli i Włochy, co dawniej

swe osady *), mieli na półwyspie i Gruzini i Czerkiesi z pod gór Kaukaskich, ale najwięcej naszych Polaków i Rusinów, szczególnie z ludu prostego. Ze szlachty mniej się tam dostawało, bo ginęli w obronie po większej części, a niejeden znów bywał wykupiony przez rodzinę, co się do ostatniego ścigała, byle ojca czy brata oswobodzić z jasyru; ale biedniejsi, nie mogąc złożyć drogiego okupu, do śmierci zostawali w niewoli pogańskiej. Smutno powiedzieć, ale wiele, zwłaszcza z ciemnego, nieoświeconego ludu, zapomniało Boga i ojczyzny, wiary i języka swego; żenili się tam, a dzieci ich, nie pamiętając już nawet na pochodzenie ojców, szły nieraz z Tatarami, rabować macierzystą ziemię.

U naszego pana, co się zwał Edyga-bey, dużo było rozlicznych niewolników. I nie można powiedzieć, żeby ci pohańcy bardzo ich dręczyli; męczą co prawda tych, od których się spodziewają okupu, żeby tem mocniej nalegali na swoich o przysłanie pieniędzy i kosztowności, ale z innymi nieźle się obchodzą, i nawet czasem wolność im darują, bo to ich religia zaleca. To właśnie bieda, że wszystkich do

*) Przed samą nawałą mongolską cały półwysep rozdzielał między sobą Grecy bizantyjscy i Włosi. Chodziło im tu głównie o handel, który się prowadził ze Wschodem (z Azją). W Kaffie głównie panowali Genuieńcy, rozciągając handel swój aż do Chin i Indyj. Oprócz nich Wenecya i Piza miały na pobrzeżu krymskim swoje osady.

tej swojej wiary nawracać chcą gwałtem, i niejednemu srogie męki zadają, żeby od niego wymusić wyzroczenie się Chrystusa Pana.

Miedzy niewolnikami Edygo-beya znajdował się człek już niemłody, który od lat wielu w jasyrze zostawał. Oswoił się już widzieć ze swym losem i smutny był, ale spokojny, a Tatarowie szanowali go wielce; miał też nadzór nad wszystkimi niewolnikami pana swojego. Zmiarkowaliśmy wprędce, że nam sprzyja, choć się na razie do nas nie zbliżył, a tylko w czasie choroby mojej, jak mówił brat, często w nocy nawet przychodził i jakieś mi zioła przykładał i napoje chłodzące dawał.

Kiedyś, pamiętam, zrana, o wschodzie słońca, przyklekliśmy oba i, według zwyczaju, śpiewaliśmy pieśń do Bogarodzicy; wtem nadchodzi stary z rzemienną pletnią, którą miał niewolników do pracy naganiać; groził nią też nieraz i krzyczał, ale rzadko się zdarzało, żeby kogo uderzył. Teraz rzucił okiem na nas obu, przystąpił i słuchał zdaleka pieśni; kiedyśmy skończyli, patrzę, a jemu po ciemnej, opalonej twarzy, płyną dwie grube łzy, aż na siwą brodę. Zbliżył się, położył mi rękę na głowie, a brata po jasnych włoskach pogładził, ale nie rzekł ani słowa i jak zwykle, nazначzył nam robotę w winnicy, na Krymie bowiem piękne dojrzewają winogrona. Wina jednak Tatarowie nie piją, bo im prorok ich, Mahomet, którego wiarę wyznają, zabronił używać tego napoju.

— Mądry to był człowiek, ten Mahomet — wyrzekł pan Gozdawa — że bestyjstwu temu napitków gorących zabronił. Już i tak dzikie to, jak zwierz leśny, cóżby dokazywali, gdyby się jeszcze napijali!...

— I wieprzowiny im także jeść niewolno, bo to ma być nieczyste zwierzę.

— Pewno, mości dobrodzieju, czyściejsza ta konina zdechła, którą pod siodłem wyduszą, od naszej kielbasy, albo schabu ze śliwkami! Głupi naród, że się na tem nie zna. Ale mniejsza o jadło; gadajno waćpan, coś tam więcej między tem plugawem tarstwem widział i słyszał, boś się przecie i ich języka nauczyć musiał?

— A jakże, tylko to nie tak łatwo poszło. Pracy zbyt ciężkiej nie mieliśmy, najwięcej, jak mówiłem, koło winnicy; potem przy dojeniu owiec, których moc wielką Tatarowie trzymają, bo prócz mleka, potrzebują ich wełny na odzież swoją; okrywają się zwykle białą opończą z wełny owczej lub ciemną, z wielbłądziej sierści ubitą.

Niedaleko siedziby Edygi był wielki ogród, *Krym* *) tak wielki, że jeździec na dobrym koniu, zaledwie w pół dnia mógł go objechać, a stały tam piękne gmachy i nawet szkoły. Meczet też, czyli świątynia tatarska, zdobny był marmurem i purpu-

*) Miasto *Krym* było stolicą półwyspu; do dziś dnia oglądać można zwaliska grodu tego.

ra. Do tego Krymu przybywali kupcy aż z Azji, z Chiwy, wioząc rozmaite zamorskie korzenie, drogie futra, materye jedwabne i t. p. Mieszkańcy tego grodu, skąpi a chciwi, złoto do skrzyń zamykali, biednym nic nie dając, a tylko z pobożności meczety wspaniałe budowali. Han jednak nie tu mieszka; dawniej przebywał, gdzie mu się podobało: w *Kaffie Karazubarze* i t. p., ale mężny han Mengli Girej, który tam teraz jeszcze panuje, osiadł w *Bachczysaraju*, nad rzeką Czuruku, na południu półwyspu i tam się teraz liczy stolica państwa Tatarskiego na Krymie.

— Oj! dzielny to musi być ów Mengli-Girej, bo się naszym nieraz dał we znaki — rzekł pan Gozdawa.

— Tatarzy go czczą, jakby jakiego półboga, ale bo też on wiele pokonał w swem życiu, i teraz jeszcze, choć podeszły w wieku, nie siedzi bezczynnie. Sam sułtan turecki w Carogrodzie bardzo go szanuje.

— A sułtana waćpan nie widziałeś też przypadkiem? — pytał Gozdawa.

— Na szczęście moje do tego nie przyszło, choć już blisko było, Tatarowie bowiem mają zwyczaj, wybrawszy co najdorodniejsze z pacholąt chrześcijańskich, wyprawiać takowe, jak by było na targ, do Carogrodu, albo posyłać w podarku możnym dostojnikom tureckim, którzy ich poturczywszy, do służby swej używają, albo do wojska przysposabiają. Nie jeden doszedł do wysokich zaszczytów i bogactw,

zapomniawszy ojczyzny i Boga, a setki ich co rok idą do szkół tureckich, gdzie ich do wojska sposobią. I nas pewno byłby Edyga-bey wyprawił do Turcji, ale żeśmy strasznie byli wynędzniali, chciał nas trochę odżywić, i na czas jakiś na Krymie zatrzymał.

VII.

Szlachta tatarska. — Mały Tatarzyn i psoty jego. — Prześladowanie. — Mały męczennik.

— Pan nasz, Edyga-bey, należał do szlachty!

— Alboż to i te pohańce są szlachciami! Tfu co waćpan gadasz? — zawołał z oburzeniem pan Gozdawa — a skądże to oni nabyli to szlachectwo? Czy z tego, kto więcej bydlą ukradnie, albo ludzi niewinnych namorduje?

— A jednak — ozwał się młodzieniec — i oni mają swoją szlachtę, potomków starych rodzin, która jeszcze z Dżyngis-hanem z Azji przywędrowała; zowią ich „Mirzami” czyli Murzami. Takich rodzin jest już tylko pięć, ale bardzo rozgałęzione, wielu mają członków. Z rodzin Murzów nieraz hanowie panujący z rodu Girejów, wybierają sobie żony, czyli raczej niewolnice. Są znów cztery rodziny starożytne „Ulemów,” to jest szlachty duchownej, a z tej

pochodzą kapłani i uczeni, strzegący miejsc świętych i klasztorów, do których lud tatarski pielgrzymki odbywa.

— Co waśc prawisz? U Tatarów święte miejsca i klasztory! Słuchać i u nas wprawdzie o pogańskich świętych, ale to tylko o tureckich i ci pono nieszczególnie wyglądają, jak mówi nasze przysłowie: „Goły, jak święty turecki”.

— Pewno, że to nie są święci prawdziwi, jak u nas, ale Tatarzy im się kłaniają i do nich się modlą, a nawet obfite składają ofiary w świątyniach, czyli meczetach. Ich zaś zakonnicy, czyli derwisze, umartwiają się srodze, palą się ogniem i krają ciało brzytwami. Na odzienie, co prawda, niedużo wydają, ale co mydła i szczotki, to już nie znają z pewnością; dość na nich spojrzeć, żeby temu uwierzyć. O jedzenie żebrzą, a resztki ubogim oddają. Oprócz tedy tych rodzin dawnych Mirzów i Ulemów, jest jeszcze inny rodzaj szlachty, który się tego stanowiska dorobiła, sprawując rozmaite urzędy; tych mniej szanują w Krymie i zowią ich „Kapikulisami.” Ma się rozumieć, że o tem wszystkim później dopiero dowiedział.

Otóż Edyga-bey był z Kapikulisów; miał dwór obszerny, nawet ze szklanemi gdzieniedzie szybami, które Tatarzy możniejsi od kupców weneckich nabywali; posiadał dużo gruntów i te mu niewolnicy uprawiali. Żon miał pewno z piętnaście, sporo córek i kilkunastu synów, małych chłopaków, którzy się najwięcej wszystkim we znaki dawali, a szczegó-

nie jeden, wielki ulubieniec ojca, Adzi, silny i dziki, jak drapieżne zwierzę. Wymyślał różne złośliwe psoty, z których jedno najlepiej pamiętam. My, jeńcy, sypialiśmy w wielkiej szopie, licho z gałęzi i trzciny sklejonej, bo w tatarskich ziemiach drzewa mało, gdzie więc nie budują domów z kamienia, to żyją w namiotach z pilśni, albo w szatach nędznych.

Otóż jednej nocy, kiedyśmy obaj z bratem ułożyli się na sianie w kącie szopy i smaczno usnęli, napracowawszy się przez dzień cały, a potem napłakawszy się, jak zwykle, przy wieczornej modlitwie, czuję, że mię coś dusi i oddech tłumi, gorąco straszliwe, szum jakiś... wreszcie zrywam się, a tu nad nami dach płonie, dym bucha kłębam i oczy wygrza, że widzieć nic prawie nie można. Krzyknąłem gwałtu, a tu zrywają się i inni; popłoch, krzyk i ledwieśmy żywi uszli, a niejeden poparzony, z opalonymi włosami. Cóż się pokazało? To sprytny Adzi z kilku braćmi ogień podłożyli na czterech rogach dachu, i chcieli nas żywcem upiec. Jakże się ojciec śmiał, podparłszy się grubemi pięściami pod boki, mówiąc, że Adziego będzie kiedyś dzielny seraskier, czyli wódz plemienia tatarskiego.

Kiedyś znów mądry Tatarzynek wrzucił psa swego do kotła z mlekiem owczem, które dla nas do jedzenia przygotowane było. Tak więc rzadki dzień się zdarzał, żeby czego nie spletał na krzywdę ludzką. Brata mego zawsze lubił targać za długie jasne włosy; ale kiedy dnia pewnego całą garść mu ich wyrwał, a biedny Stasiek aż pobał z bólu, ja, choć mniejszy od

Tatarzyna, jakem go schwycił za gardło, to padł na ziemię i wyrwać się nie mógł. Nie wiem, co by się dalej stało, lecz nadbiegł nasz nadzorca, ów stary, o którym mówiłem, i mnie odrzucił, a Tatarzynowi, za ramię ująwszy, tak coś nagadał po tatarsku, czego jeszcze wtedy dobrze nie rozumiałem, że uciekł i długi czas do nas się nie zbliżał, tylko zdaleka, nienawistnem zpośledba rzucał spojrzeniem...

Kiedyś, pamiętam, było to pod jesień i zbliżało się jakieś wielkie święto tatarskie, Edyga-bey z synami wybierał się do meczetu w sąsiednim grodzie; kobiety tylko zostawały w domu, bo im do meczetu wchodzić niewolno, ani się modlić, ponieważ, według wiary mahometan, duszy nie mają. Pewnego rana Kubalim, nasz nadzorca, kazał nam się ubrać w nowe opończe z białego sukna, w obuwie ze skóry cielęcej i na głowy włożyć barankowe czapeczki z okrągłym denkiem, jakie noszą Tatarzy. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć, ale ucieszyliśmy się, osobiwie Stasiek, bo dotąd obdarto i boso musieliśmy chodzić, a nogi mieliśmy pokaleczone i niezahartowane jeszcze wcale. Kiedy jednak Kubalim kazał nam iść do pana, spytałem go po tatarsku, bo tym językiem zawsze z nami rozmawiał, co by to znaczyć miało. Odrzekł, że wolą Edygi-beya było, abyśmy się z nim razem do meczetu wybrali i tam uczyli się mahometańskich modlitw i obrzędów. Spojrzałem na Staśka, który nic nie rzekł, ale zrozumieliśmy się i bez tego.

— Powiedźcie—odezwałem się do Kubalima—że do meczetu pójść nie możemy, bośmy chrześcijanie i nigdy nimi być nie przestaniemy.

Stary pokiwał głową i odszedł, ale za chwilę nadbiegł Tatarzyn jakiś od pana i porwawszy nas obu za uszy, powlókł do izby pańskiej. Edyga bey, tłusty bardzo i niemłody już człowiek, siedział na macie plecionej na ziemi, jak to u nich zwyczajem, i palił fajkę. Zmarszczył się srodze, spojrzawszy na nas i krzyknął:

— Wy, psy giaury, do meczetu i obmyć się z grzechów!

Nasz Tatarzyn rzucił był nas obu od razu plackiem do ziemi przed obliczem pana, bo u mahometan taki zwyczaj, że biją pokłony przed swym przełożonym, jak my tylko przed Panem Bogiem, ale teraz staliśmy już na nogach, pokłoniłem się więc Edydze i powiedziałem spokojnie:

— Każ nam, panie, pracować, a będziemy, ale do meczetu nie pójdziemy, bo się nam nie godzi wiary naszej wyrzekać.

Edyga poczerwieniał, jak burak, na żółtej twarzy swojej i skinął na sługi. Dwóch pacholców tatarskich porwało nas i wywlókłszy z izby, zaczęło nas ćwiczyć trzcinaми. Zacisnąłem zęby, żeby nie krzyżeć, ale kiedy Stasiek biedactwo jęknął żałośnie, to mi o mało serce nie pękło z bólu. Wolałbym być, żeby mnie na sztuki rozsiekali, niż żeby jego kaleczyć mieli; ale on potem ucichł i już go nie słyszałem.

Kiedy bić przestali, spojrzałem na brata który leżał blady, jak ten marmur z krymskich meczetów i jakby nieżywy. Rzuciłem się na niego krzycząc i szlochając, całowałem usta jego i rączki; po chwili oczy otworzył i przez łzy spojrzał na mnie. Byłbym tych katów szarpał zębami za to, że mi brata męczyli, ale Kubalim stał już nad nami blady i kazał obu nas zanieść do szopy, a sam do izby pańskiej wkroczył. Co tam było, nie wiem; musiał coś za nami przemówić, bo już nas nie bili dnia tego i przynieśli jedzenie w glinianej misie, ale wstać żaden z nas nie mógł. Tuliłem brata do siebie i płakałem nad nim, opatrując sine pręgi, jakimi był okryty i własnego bólu nawet nie czułem. On zaś mnie pocieszał; zawsze był bardzo spokojny i teraz mówił:

— Widzisz, braciszku, chcąc z nas zrobić męczenników za wiarę świętą, trzeba cierpieć, a Bóg nas nagrodzi w niebie i Matka Najświętsza, co mi się tej nocy śniła w niebieskim płaszczu ze srebrnymi gwiazdami, a promienie były od jej głowy.

I rozmawialiśmy długo, a postanowiliśmy nie dać się pohańcom, choćby nas na sztuki mieli rozerwać; ale jak pomyślałem, że mi Staśka katować będą, to mi się serce krwawiło.

Wdowa, słuchając tego opowiadania, zalewała się łzami i dziewczęta także; wreszcie odezwała się:

— To jakbym widziała moje własne dzieci. I moje biedactwa od niewiernych zginęły — do-

dała, łkając cicho — i mój był Stasiiek kiedyś, kiedyś...

Pan Gozdawa, także wzruszony wstał, i rzekł:

— Nie mówcie już dzisiaj więcej, proszę was. Moje baby się rozbeczały a wam, pani bratowo, tego nie trzeba; i tak jużście ledwie oczu nie wypłakali nad swojemi; teraz pomódlcie się i dobrej nocy.

VIII.

Opiekun odjeżdża. — Szatański pomysł małego Adzi. — Sen.

Nazajutrz wdowa tak się czuła osłabioną po wzruszeniu wczorajszem i nocy bezsennej, że z łóżka wstać nie mogła. Młodzieniec nie chciał przy niej dalszych swych przygód opowiadać, żeby się nie zmęczyła, ale że reszta gronka ciekawą była serdecznie tego, co się dalej działo, zasiedli pod wieczór wszyscy, prócz wdowy, przed dworkiem w sadzie, i młody braniec mówił co następuje:

— Rano, zaledwieśmy się pobudzili, stanął nad nami Tatarzyn, od pana przysłany, żebyśmy szli do meczetu, co usłyszawszy, pokazałem mu krwawe pręgi na plecach brata i swoich i powiedziałem, że nie możemy iść nigdzie. I tak jeszcze dzień przeszedł, nie pędzono nas do roboty, dano misę mleka i kilka z prosa wypiekanych placków, które bairami nazy-

wają, a nazajutrz raniutko przyszedł Kubalim i namawiał, żebyśmy do meczetu poszli. Tłómaczył, że Edyga ma nas posłać do Carogrodu, gdzie nas i tak zmuszą do przyjęcia wiary mahometańskiej, lepiej więc od razu zgodzić się, niż cierpieć napróżno prześladowania rozmaite. Odpowiedziałem, że obaj z bratem gotowi jesteśmy znieść wszelkie męczarnie, ale od wiary nie odstępimy; może się Pan Bóg zlituje i śmierć ześle, ale poturczyć się nie damy, wolimy tu cierpieć, niż potem na tamtym świecie, gdzieby się nas wyparł ojciec rodzony, który padł krwią obłany i zamordowany od pohańców, i matka-by nas przekleła na wieki. Nieraz nam ona opowiadała o dziadku, któremu Tatarzy oczy wypalili w niewoli, żeby się ich prorokowi pokłonił, a on nie uległ, i Bóg mu dał tę łaskę, że choć stary i ślepy, powrócił wkońcu do swoich i był od nich czczony, jakby święty męczennik jaki.

Słuchał stary, nic już nie mówiąc, wreszcie podniósł się i poszedł znów do pana. Przez cały dzień dali nam pokój, ale do jedzenia dostaliśmy tylko placek owsiany i wody trochę. Ja wstałem i poszedłem do roboty, ale braciśzek nie miał siły ruszyć się ze swego kącika. Na trzeci dzień rano, Kubalim przyszedł i powiedział nam, że się wybiera w daleką drogę, w stepy, zbierać daninę, którą jakieś pokolenie Nogajców ma składać dwa razy do roku Edydze-beyowi; zalecał, żebyśmy byli posłuszni i dodał, że przecież nie zaszkodzi pójść do meczetu, a potem możemy sobie pomodlić się po naszymu w ką-

ciku, gdzie nikt nie widzi. Nie chciałem nic mówić przy Stašku, lecz poszedłem za starym i błagałem, by się nami zaopiekował i wyjednał u pana, żeby mi brata męczyć nie kazał. Ja starszy i silniejszy, to więcej zniosę, ale on biedactwo już i tak ledwie żyje, a płacze nocami i tęskni za matusią i za ojczyzną naszą. Zadumał się stary, a po chwili odpowiedział, że nas już bić nie będą, za to on ręczy, bo musiał mu to Edyga przysiąc, ale trzeba choć trochę pana złagodzić uległością naszą.

I wyjechał w drogę nadzorca nasz z wielbładami i sporym poczem tatarskim, zaś około południa Edyga-bey kazał nas prowadzić do izby swojej, gdzie znów siedział, fajkę paląc, a obok niego Adzi, z kociami oczami błyskającymi pod grubych powiek.

— Jutro pójdziecie do meczetu — powiedział — dostaniecie kaftany czerwone i pasy ze złotą frędzlą, i łakoci rozmaitych, tylko bądźcie posłuszni.

A tu na dużej tacy postawił niewolnik na ziemi, jak to zwyczaj u muzułmanów, rozmaite tureckie konfitury, jak ajwa (rodzaj białego ciasta słodkiego z orzechami) i rahat-ła-kum i bakalie rozmaite, a pan wskazał palcem, żebyśmy sobie brali; drugi niewolnik przyniósł pysznie haftowane kaftany, pasy i zawoje tureckie, które położył na kobiercu koło pana. Stasiak blady ścisnął mnie za rękę, ale nic nie mówił i do łakoci ani się schylił. Ja pokłoniłem się do ziemi i rzekłem:

— Panie, daj nam chleb czarny i kawał grubego sukna do okrycia, każ nam wodę nosić i ogród

twój kopać, ale nie każ nam wyrzekać się Boga naszego.

— Ach, wy, psy niewierne! — krzyknął — tak wy cenicie moje dary?

Skinął na sługi, którzy nas porwali z izby, ale widziałem, że Adzi coś do ojca gadał i śmiał się, szeroko usta otworzywszy, że mu zęby, jak u wilczka młodego sterczały. Potem wybiegł i coś poszeptał ze służbą. Staliśmy, nie wiedząc co z sobą począć, gdy po chwili dwóch pacholków, wzięwszy powrozy, przywiązało nas do słupa, który stał wbity na podwórzu do przywiązywania koni tatarskich. Myślałem, że nam głowy utną i zaczęliśmy z bratem cicho odmawiać: „Zdrowaś Marya,” polecając dusze nasze Bogu; ale to co innego się przygotowywało!

Adzi pobiegł i wrócił wkrótce, trzymając swój mały łuk i strzały; stanął opodal i zaczął mierzyć. Świsnęła strzała w powietrzu, a dziki malec wydał okrzyk radości, bo jego strzała utkwiała mi w nodze nad kolanem. I znów mierzył; rzuciłem się pomimo więzów, żeby sobą brata zasłonić, ale druga strzała, przeleciawszy mi koło ucha, minęła nas tym razem. Adzi jednak nie zmęczył się tak prędko, brał coraz nowe strzały i ciskał je, dopóki nie zobaczył, żeśmy oba pokaleczeni i krew obficie spływa. Stasiek blady stał i modlił się tylko; ja z gniewu zaciskałem pięści i targałem więzy, że aż mi się w ciało wpiły.

— Pójdziecie do meczetu, psy niewierne? — krzyknął malec.

Nie nie odpowiadaliśmy, a tymczasem wyszła z budowli stara Tatarka jakaś, i zaczęła do siebie wołać Adżego, pokazując mu figi i inne owoce; pędził za nią, a nas tymczasem odwiązali pacholcy i zaprowadzili do szopy. Był to czas spoczynku brańców; wszyscy nas otoczyli i wyjmowali strzały i całowali, obmywając rany nasze. Stasiek dziwnie był spokojny i jakby świętość jaka biła mu od twarzyczki bladej.

— Nie boli, braciszku — mówił, słodko się uśmiechając — nie boli już. Pan Jezus na krzyżu więcej cierpiał niż my.

Wieczorem zaprowadzono nas do lochu, jaki był pod szopą, gdzie przechowywano winogrona i inne owoce. Tam, na garści słomy legliśmy oba i usnęliśmy tak twardo, żeśmy zapomnieli o bólu i ranach naszych, a we śnie zdawało mi się, że widzę dziedunia tego, któremu oczy powypiekali; tylko zamiast nich, miał dwie gwiazdy prześliczne a włos srebrzysty, rozwiany na głowie. Tulił on do siebie Staśka, któremu tak samo dziadek we śnie się pokazał, jak mi z rana o tem opowiadał.

IX.

Jasny promyk. — Mira. — Krzyżyk. — Nie upadamy na duchu.

Musiał już być dzień, chociaż w naszej ciemnicy widać tego nie było, kiedy odwalono ciężkie drzwi,

które z góry loch nasz zamykały; błysnął światła promień i po schodach zsunęła się postać jakaś; nie był to żaden z nadzorców, ani niewolników Edygi-beya, ale coś, co leciuchno stąpało, białą osłonię szatą. Stasiek, który mi właśnie opowiadał o śnie swoim, otworzył szeroko oczy, błyszczące od gorączki i szepnął:

— Widzisz, braciszku, Anioł stróż do nas zstępuje.

— Nie anioł to był jednak, tylko jedna z dziewczeczek Beya, chowana z wielu innemi w haremie. (Tatarzy bowiem bogatsi, tak jak i Turcy, mają swoje haremy, gdzie ich liczne żony i niewolnice mieszkają zamknięte). Często ona zbiegała do ogrodów, kiedyśmy tam byli zajęci pracą i wyścigając się z siostrami, zawsze umiała zbliżyć się do nas i, albo słówkiem się miłem ozwała, albo łakocie jakie pokryjomu Staśkowi rzuciła. Teraz, nie wiem już jakim sposobem, potrafiła wymknąć się z haremu i przychodziła do nas tajemnie. Czarne jej oczki zalały się łzami, gdy zobaczyła nas obu na słomie leżących, zakrwawionych i wybladłych po wczorajszej męce. Małe strzałki Adżego nie zadały nam wprawdzie ran niebezpiecznych, ale boleśnie pokaleczyły w wielu miejscach, a wpływ krwi osłabił szczególnie Staśka, który zaledwie główkę mógł podnieść. Mira, tak było na imię dziewczeczce, uklękła i małą rączką zaczęła wydobywać z węzłka owoce słodkie, placki z białej mąki, a nawet czarnekę sorbetu chłodzącego, którą przy niej wypić musie-

liśmy. Potem cichutko wysunęła się z ciemnicy, a ktoś, co na górze czekał, spuścił drzwi, dzielące nas od reszty świata.

I tak przeszło dni wiele; nie męczono nas już, ale nie wypuszczano z więzienia, za całe pożywienie dając dzban wody i placek owsiany, który nam co rano stróż Tatar do lochu przynosił. Ciężej byłoby nam znosić to więzienie, gdyby nie to, że słabość i tak nie dozwalała się ruszać z miejsca. Najprzykrzejszy był brak światła, ale oczy nasze powoli i do tej ciemności nawykły. Codzień też, tylko nie rankiem, jak po raz pierwszy, ale nad wieczorem, niby promyk słońca w białej swej szacie, wsuwała się Mira, niosąc słówko pociechy, żywność, i balsam jakiś, którym rany nasze drobnymi paluszkami nacierała. Czasem przesiadywała i dłużej, a wtedy musieliśmy jej opowiadać o naszym kraju, o rodzicach, o Bogu naszym, o Jezusie Chrystusie, co był kiedyś na krzyż przybity i srodze cierpiał, aby nas ludzi cierpliwości nauczyć.

To ostatnie szczególnie, kazała sobie wiele razy powtarzać i płakała rzewnymi łzami, słuchając, jak Jezus był biczowany i męczony, i jak wśród tego modlił się do Ojca swego w niebie za katów swoich. A kiedy jej Stasiek pokazał wizerunek Zbawiciela na krzyżyku, który nosił zawsze na szyi, to go całowała i wpatrywała się weń długo.

Ona znów opowiadała nam o swej matce, która była Czerkieską, z dalekich stron przywiezioną, i często płakała a tęskniła za ziemią rodzinną, nie mogąc

się przyzwyczaić do więzienia swego, choć już lat tyle w niem spędziła. Sama z haremu wyjść nie mogąc, chyba do małego, murem otoczonego ogródka, długie godziny nieraz opowiadała córeczce o kraju swoim, pięknej Gruzji, gdzie dziewczęta, jak sarneczki po górach się wspinają i żyją na słońcu wśród róż, pod nieba błękitem, dopóki zły człowiek nie wpadnie i nie porwie której, by ją sprzedać później w Carogrodzie. I ją tak kiedyś do stolicy Turcji zawieziono, gdzie na targu kupioną została przez jakiegoś tureckiego kawedži (oficera ze straży sułtańskiej), który darował ją później przyjacielowi swemu Edydze, do Krymu. Biedna Gruzinka, sama niewolnica i wygnanka, nie pocieszyła się, jak jej towarzyszy, zjadaniem smacznych łakoci i strojeniem się w wonne paciorki i materye złotolite; nie, ona tęskniła i płakała zawsze, a litość miała nad wszystkimi jeńcami. Za jej to namową mała Mira, mniej pilnie strzeżona, wymykała się z haremu, i nieraz nosiła nieszczęśliwym, jak otę teraz nam, żywności podarki, pocieszając ich słowem i widokiem swoim. Litowała się dziewczynka nad niedolą naszą, i z początku zrozumieć nie mogła, dlaczegośmy się wzbraniłi pójść do meczetu, Allahowi się pokłonić.

— Gdyby wasz Bóg był dobry mówiła — nie pozwoliłby was tak męczyć w tym lochu; spróbujcie, może Allah lepszy będzie!

I dopiero musieliśmy jej tłumaczyć, o ile potrafiliśmy w tatarskiej mowie, której nie znaliśmy dobrze, jak to Bóg prawdziwy jest miłosierny, jak

nieszczęśliwych kocha, jak za wszystkie cierpienia wynagradza potem w niebie, jak swoją wiarę i kraj rodzinny kochać każe, i nigdy się, nigdy, tej miłości nie wyrzekać. Stasiek szczególnie, kiedy mówić zaczął, to mu się twarzyczka tak rozpromieniała i oczy błyszczały świętym jakimś, anielskim ogniem, że ja sam z podziwem patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, skąd mu taka siła i wymowa przychodziła. Mira, wpatrzona w niego, słuchała zadumana, a czasem duże oczy jej czarne we łzach tonęły.

Raz, pamiętam, ukląkszy na słomie i złożwszy wychudzone rączki, zaczął cichym lecz dźwięcznym głosem pieśń do Bogarodzicy, i ja z nim głos mój połączyłem, a Mira padłszy na kolana obok nas, z oczyma w niebo wzniesionemi, zdawała się łączyć z modlitwą naszą. Gdy umilkł drżący głos Staśka i on znużony usunął się na posłanie, dziewczynka zawołała:

— I ja z wami mówić chcę do Boga waszego! i ja chcę pójść do nieba i widzieć Chrystusa, i Matkę Bożą. Uciekajmy daleko, daleko, gdzie nas ani Edyga-bey nie dogoni, ani Allah nie zobaczy; tylko mamę moją weźmy, bo i ona także chciała by widzieć Chrystusa. Sama mi to mówiła wczoraj wieczorem, kiedy gwiazdy świeciły na niebie! Uciekajmy!

Łatwo to było powiedzieć, ale jak tu myśleć o ucieczce? Ja już chodziłem po więzieniu naszym, ale Stasiek ledwie się podnieść mógł i gdybyśmy nawet z pomocą Miry wyjść mogli z lochu, to cóżbyśmy dalej

zrobili, otoczeni dzikimi Tatarami, w kraju obcym i nieznany? Trzeba więc było znosić i cierpieć, a dziwną nam jakąś siłę Bóg dawał. Nie upadaliśmy na duchu; leżąc na słomie jeden obok drugiego, przypominaliśmy sobie zagrodę rodzinną i głos matki kochanej, jak to z nami co wieczór odmawiała pacierze przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym lampka dniem i nocą płonęła. Wspominaliśmy ojca, który zerwał karabelę ze ściany, gdy się trwoga tatarska w naszej wiosce wszczęła, a potem padł krwią zalany i już go nie widzieliśmy więcej. Siostrzyczkę małą w kołysce, i nawet lipy w sadzie... wszystko nam przed oczyma stało, a potem we śnie widzieliśmy ich znowu i Matkę Bożą, która nas płaszczem swym niebieskim, gwiazdami zasutym osłaniała.

— Nasi wszyscy już pewno w niebie — mówił Stasiek — bo ich pohańce męczyli. Żeby to i nam pójść za nimi!

A mnie trwoga przejmowała, patrząc na wątłą i codziennie wątleszą postać braciszka, na oczy jego coraz większe, błękitne, we łzach pływające, a tak często ku niebu wzniesione. Ja wołałbym być jeszcze wyrwać się z tej niewoli, i z nim razem lecieć tam do domu, do ziemi rodzinnej, i wyszukać matusię naszą, bo ona przynajmniej żyła, myślałem sobie, i ciągle miałem jakąś nadzieję, że nam kiedyś lepiej będzie.

Tymczasem jednego wieczora przybiegła Miralazami zalana i powiedziała, że już więcej przychodzić

nie może, bo wrócił Kubalim z wyprawy w stepy, i odtąd on będzie miał nadzór nad niewolnikami, zamiast starego Tatarzyna, który ją lubił i tajemnie do lochu naszego wpuszczał. Zasmuciliśmy się, że i tej nam zabraknie pociechy; rozmawialiśmy długo, a Stasiek, rozповідаjąc Mirze o Bogu i Jezusie Chrystusie, dał jej wreszcie do pocałowania krzyżyk, który na piersiach nosił.

— Daj mi to tymczasem — prosiła dziewczynka — ja się codziennie modlić będę do twojego Boga i całować jego ręce gwoździami przebite, i mamie go pokażę, a potem odniosę ci twój skarb, nie lękaj się.

Stasiek się zawahał; jak tu się rozstać z pamiątką najdroższą — jedyną, co mu pozostała z rodziny i ojczyzny, bo Tatarzy, odbierając nam odzienie i wszystko, co mieliśmy przy sobie, to jedno zostawili, sądząc pewno, że to jakiś amulet. I oni noszą amulety, czyli przedmioty według nich cudowne, od jakichś czarowników lub wrózek tatarskich zakupione, które ich bronić mają od wszelkiego złego, temu zaś, coby je odebrał, szkodzą okrutnie. Dla tego to przesądu zapewne, nie śmieli odebrać naszych świętości, przez matkę na szyi każdemu z nas zawieszonych.

Ale dziewczynka tak bardzo tego pragnęła, a my pewni byliśmy prawie, że ją nawrócimy na wiarę chrześcijańską, więc Stasiek zdobył się na wielką ofiarę. Ucałował po kilkakroć krzyżyk i włożył go na szyję Mirze, opowiadając, jak się powinna modlić i kochać

tego Ukrzyżowanego, który na nas wszystkich z nieba patrzy i w sercach naszych czyta. Mówiliśmy długo, aż wreszcie stary Tatarzyn, który u wnijscia do lochu czekał, zmusił Mirę do odejścia i ciężkie drzwi zamknęły się znowu nad nami.

Barbro Tachna knärika
X.

Widzenie. — Opiekun niespodziewany. — Anioł ulatuje do nieba.

Odmówiwszy jak zwykle wieczorne pacierze, usnęliśmy, fale nad ranem, kiedy oczy otworzyłem, spostrzegłem, że braciszek blady jak chusta leży nieruchomy, i nieodpowiada na moje zwykłe powitanie. Zerwałem się:

— Co ci jest, Staśku mój? — pytam z trwogą.

— Nic — odszepnął cichym głosem — tylko mi bardzo słabo... We śnie... w nocy — mówił przerwany głosem — widziałem ojca i dziadunia, wołali mnie do siebie... tylko matusi tam nie było... ale Najświętsza Matka tak się do mnie uśmiechała... i dawała białą lilie... chciałem ucałować kwiat niebiański... i przebudziłem się.

I patrzył mój braciszek jedyny błękitnemi oczyma, jak gdyby widział jeszcze niebo nad sobą i tę lilie białą. Zdawało mi się, że uleci ode mnie, jak te anioły, co się czasem ludziom zjawiają i trwoga mnie zdjęła ogromna; zacząłem go całować, wołając:

mnie jeszcze lepiej będzie, niż wam, a teraz pomódlcie się ze mną, tylko krzyżyka mego nie ma... szkoda!

Zerwałem medalik z szyi i włożyłem mu w rączki a on ucałowawszy go, potem Kubalimowi do ust przyłożył Matkę Boską Częstochowską. Stary, jak dziecko posłuszny umierającemu, pocałował wizerunek święty, a ja zacząłem głośno mówić: „Pod Twoją obronę”, choć mi lży mowę tamowały. Stasiak mi rękę na głowie położył, i czułem, że ta rączka coraz cięższa i zimniejsza... a kiedy podniosłem oczy... mój braciszek nie żył... duszyczka jego uleciała do tego nieba, do którego tak tęskniła. Złoty promyk zachodzącego słońca przez podniesioną kotarę namiotu, padł na twarzyczkę jego, która w tym blasku anielsko świeciła, niby twarz męczennika. Co dalej było, nie wiem: padłem jak nieżywy u stóp mego brata ukochanego, i straciłem przytomność na długo.

Kubalim mi opowiadał, że przebył wiele dni i nocy, bliższy śmierci niż życia, w strasznej gorączce, to płacząc rzewnie, to grożąc prześladowcom naszym, to wołając ojca i matki. Kiedym się ocknął i przejrzał raz pierwszy w strumieniu czystej wody, co opodal płynął, nie poznałem sam siebie. Oczy mi gdzieś głęboko powpadały, a na głowie ledwie tu i owdzie został włosów kosmyczek. Co gorsza, straciłem pamięć do tego stopnia, że nazwiska swego w żaden sposób przypomnieć nie mogłem; zapomniałem nazwy wioski naszej, imion rodziców, Stasia tylko jednego wciąż wołając wśród gorączki, imię jego zatrzymałem. I tak teraz podwójnie sie-

rota, tulać się będę w ojczyźnie, nie mogąc trafić do swoich.

To mówiąc młodzieniec, rzewnemi zalał się łzami.

XI.

Medalik. — Cudowne odkrycie. — Opowiadanie wdowy.

Wszyscy ze wzruszeniem tego opowiadania słuchali. Wdowa, która pozdrowiawszy cokolwiek, przyłączyła się była do innych, płakała teraz nad sierotą wydziedziczonym wśród swoich, nie z dóbr i majątności, bo tych chciwym nie był, ale z tej miłości rodzinnej, do której lat tyle tęsknił.

— Czyż to być może — wyrzekła — żebyście tak zupełnie pamięć stracili o stronach rodzinnych? spróbujcie przywołać wspomnienia, może dojdziemy razem, z jakich okolic was porwano, a wtedy łatwiej będzie dopytać o kogoś z rodu waszego, jeśli jest jeszcze przy życiu. Przypomnijcie sobie, jak to wyglądał ów domek, ojcowizna wasza, jakie przy nim rosły drzewa, jaki był kościółek?

Młodzieniec zbierał myśli; oczy jego patrzyły w dal, czoło zmarszczone i usta zaciśnięte wskazywały, że wyteża wszelkie siły pamięci, zamglonej cieniem przebytych nieszczęść.

— Tak, tak — mówił przerywanym głosem, jak gdyby do siebie — widzę, zdaje się, przed sobą

mały, biały dworek i drzewa także białe... od kwiatu... i ule z pszczołami i rzeczkę, co płynie i szumi z cicha po zielonej łące... Ach! i słyszę jakieś dzwony... a wtem krzyk dziki jakiś się rozlega... i ogień widzę, i krew wokoło mnie, i siwą głowę ojca na ziemi we krwi, pies biały ją lize... potem nic nie wiem... tylko krew, ogień... step...

— Boże wielki! — zawołała wdowa — Boże Wszechmocny! dzwony, i pożar, i tego psa białego... Czy nie mieliście na szyi medalika, a w nim za obrazkiem Matki Częstochowskiej kilku włosów siwych, ukrytych pod złotą blaszką?...

Młodzieniec, drżącą ręką rozrywając ubranie, wyciągnął na cienkim, mocno z końskiego włosa uplecionym sznureczku, medalik zczerniały. Wdowa chwyciła go... padła na kolana i szepcząc: „Boże miłosierny... Boże Wszechmocny!...” drżącymi palcami przyciskała brzegi małego obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej, malowanego na blasze, która odskoczyła i wypadł z za niej kosmyk srebrzystych włosów.

— Janku! synu mój!... Janku!... — krzyknęła wyciągając ręce do młodzieńca, stojącego przed nią nieruchomie, i padła bez zmysłów na ziemię.

Rzucili się wszyscy cucić omdlałą, a młody braniec, biały jak marmur, na kolana się osunawszy, pochwycił ręce omdlałej i tulił je do serca, co mu się z piersi wyrывało. Cała dusza, zdaje się, w oczach mu się skupiła; patrzył w bladą twarz kobiety, i powtarzał z cicha:

— Janku... Janku... Boże wielki! Tak mnie kiedyś wołali... Matko! matko moja! — i przypadłszy do ziemi, całował stopy tej, która cudem prawie poznawszy dziecię od lat tylu stracone, teraz upadła pod zbytkiem szczęścia. Wkrótce jednak otworzyła oczy; spojrzenie jej padło na klęczącego obok młodziana, wyciągnęła doń ręce, a tuląc jego głowę do piersi, powtarzała słowa cichej modlitwy. Teraz z kolei przystąpiła córka, którą Janek objawszy silnem ramieniem, przyciągnął do siebie, powtarzając: „siostra?” jakby sam sobie nie wierzył. Wszyscy byli zdumieni i wzruszeni, nie śmiejąc przerywać słowami tej dziwnej a niespodziewanej sceny; wreszcie pan Gozdawa się odezwał:

— Wytlómaczcie się, pani bratowo, skąd się to wszystko wzięło, bo dalipan nic nie rozumiem! Przecież od lat piętnastu lejecie łyżę po zgonie małżonka i synów waszych, a tu nagle zmartwychwstaje z nich jeden! Jak i skąd? powiedzcie, na miłość Boga.

— Ja sama, panie bracie, nie pojmuję jeszcze, jak się to stało, a jednak wiem, że syn mój rodzony tu stoi przedemną. Nie darmo mi serce dziwnie jakoś uderzyło, kiedym go raz pierwszy u Jasnej Góry ujrzała, a potem się na jego synowskiem ramieniu wspierała! Ten oto medalik zawiesiłam na szyi pierworodnego syna naszego, błogosławiąc go, by się stał kiedyś podobnym do ś. p. dziadka swego, a rodzica mojego, którego włosy w medaliku ukryte były.

— A ja o tem nie wiedziałem nawet, przechodząc ów skarb przez lat tyle! na piersi mojej! Czyż nie on mnie chronił w tych niebezpieczeństwach i ciężkich uciskach, jakich doznawałem, a teraz, czyż nie tej świętej relikwi zawdzięczać cudowne odnalezienie matki?... — i tu młodzieniec całował gorąco medalik i ręce złożone wdowy na przemian.

— Więc to o tym dziadku wspominaliście, że był przez Tatarów męczony? — spytała nieśmiało Maryjka, patrząc w oczy bratu — a ja, mateńko, nie wiedziałam o tem, inaczej byłabym się domyśliła przecież, że to... że to brat... — dokończyła i zalawszy się łzami z wielkiego wzruszenia, gdy ten wyraz wymówiła, osunęła się do kolan matki. Ta gładząc jasnowłosą główkę dziewczęcia, mówiła:

— Nie chciałam już duszyczki twojej zasmucać, przypominaniem dziejów męczeństwa naszego! I tak po owym okropnym napadzie pohańców, drżałam długo o życie twoje, o skarb ostatni, jaki mi był na ziemi pozostał. Cudownym sposobem uniknęłyśmy śmierci i jasyru, bo na pierwszy okrzyk trwogi, niańka twoja ukryła się z tobą do piwnic głębokich, przy dworku naszym wykopanych. I ja się tam rzuciłam, posłyszawszy płacz mego dziecka, a osłabiona ciężką niemocą, z której dopiero byłam powstała, upadłam zemdlnona i nic nie wiedziałam, co się dalej stało. Kiedym się ocuciła, tyś płakała na rękach niańki zawodzącej głośno. Wyjrzałam z ukrycia naszego, ale cóż za okropny widok! Za-

miast białego dworku naszego, kupa dopalających się gruzów, na podwórku we krwi trup męża mego i wiernego naszego Macieja, a pies nasz Bilek lizał ich zwłoki. Synów moich ani śladu nie było. Z całej wioski zostało kilkoro może ludzi, którzy płacząc, rozgrzebywali zgłiszczą domowstw swoich, szukając zwłok pomordowanych; resztę czerń uprowadziła...

Powlokłam się z dzieckiem i wierną Hanią do Tulczyna, gdzie nas przedewszystkiem ksiądz proboszcz tamtejszy przygarnął. Właśnie pędziło wojsko nasze w stronę szlaku tatarskiego, na wieść o strasznych mordach i pożogach, jakie wyprawiała ta dzicz, wpadłszy niewiadomo skąd chyłkiem na ziemię nasze. Dowodził oddziałem naszych sam pan Ostafi Daszkiewicz*), a miał pod sobą dużo kozaków, którzy najlepiej z Tatarami rady sobie dawać umieli. Wypytyując ludzi po drodze, pędzili oni w ślad za tatarstwem, a dowiedziawszy się, że mnoga siła pohańców pono się zjawiała, wlekli ze sobą i działa. Pocieszał mnie dobry ksiądz pleban i inni, że nasi Tatarów dogonią i brańców im odbiją, jak to pono nieraz bywało. Oto, mówił dalej ksiądz pleban, przed kilku laty Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski z pięciuset tylko ludzi służebnych, dognał zagon tatarski już uciekający pod Ko-

*) Przyjaciół księcia Konstantego Ostrońskiego, jednego z najświetniejszych wodzów bitnej kozaczyzny, którą urządzać począł. Ostafi liczne staczał walki z Tatarami.

morowem (1506), ze 2000 pohańców na placu położył; odbił łupy i jeńców. I wiele innych przykładów podobnych mi opowiadali, a nadzieja zaczęła w biedne serce moje wstępować, że dziecińy moje jeszcze do mnie wrócą.

I dognali nasi Tatarów; to musiała być ta bitwa na polach Kijowskich*), którą ty, synu mój, słyszałeś z daleka. I wrócili pobiwszy Tatarów, ale brańców nie znaleźli, tylko mogiłę z ciał pomordowanych, i już przez dzikie ptastwo poszarpanych. Śród szmat krwawych, jakie zabrali z sobą dla poznaki, znalazłam cienką chusteczkę, mojemi rękami uprzedzoną i tkaną...

— Ach, to ta pewno będzie, którą naszemu szlachcicowi pokaleczoną rękę obwinałem był, i z nią go pohańcy na śmierć powlekli — przerwał Janek.

— Oblałam łzami gorzkimi tę spuściznę po moich dzieciątkach, i puściłam się pieszo w drogę do tego okropnego miejsca, żeby choć ciała ich odszukać. Ale mnie wstrzymali ludzie, bo i te resztki, co zostały, nasi pogrzebali już na stepie i niebym ujrzyć nie mogła. Odtąd porzuciłam Ukrainę, i z dzieckiem schroniłam się na Wołyn pod Krzemieniec, do

*) Krym od Polski oddzielały stepy, zwane Kijowskimi Polanami, bo Kijów stał niby na straży z wieżycami swojemi i zdala poglądał na te stepy. W zamku kijowskim czuwał wojewoda, wyglądając zawsze Tatarów. Po obu stronach Dniepru ciągną się bezludne stepy aż do Perekopu.

krewnych moich po matce. Ślubowałam Matce Najświętszej pielgrzymkę do Jasnej Góry, jeśli mi Maryjka zdrowo do lat szesnastu urośnie, a Ty, Boże Wielki... — dodała matka biedna, padając na kolana — dajesz mi syna, jakby wskrzeszonego z martwych...

I długo jeszcze, długo trwała rozmowa przerywana łzami i dziękczynieniem Bogu, aż późno w noc Gozdawowie nakłonili wszystkich do rozejścia się, chociaż nikt oka zmrużyć nie mógł z radości i wzruszenia wielkiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Kara Boża. — Kolęda. — Wyprawa na Oczaków.

Kiedy już matka nacieszyła się cokolwiek symem, a Janek odzyskaną niespodzianie rodziną, kiedy oplakali razem stratę Staśka, co już chyba z wysoka radość ich dzielił, kiedy wreszcie wszyscy złożyli modły dziękczynne u stóp tej Matki na Jasnej Górze, co się niemi cudownie opiekowała, a wdowa z dwojgiem dzieci przystąpiła ponownie do stołu Pańskiego, Gozdawowie nie chcieli ich puścić od siebie, dopóki Janek nie dopowie dalszego ciągu przygód swych w niewoli tatarskiej. Pewnego tedy wieczora rozpoczął w te słowa:

— Gdym po owej ciężkiej a długiej gorączce przyszedł do siebie, dowiedziałem się, że tegoż samego dnia, kiedy Stasiak nas opuścił, mały Adzi, goniąc w złości któregoś z braci, wpadł do rzeki i utonął; Edyga-bey zaś rwał sobie brodę z żalu po stracie

syna, którego zawsze bardziej od innych miłował. Kubalim, korzystając z tego, wytłómaczył mu, że to Allah go karze za umęczenie niewinnego dziecka i wymógł tyle, że mnie jemu, to jest Kubalimowi, w wyłączną oddano opiekę. Odtąd nie opuszczałem go wcale i wiele mu w tej mojej niewoli zawdzięczam.

I on się do mnie, jak do syna przywiązał; od śmierci Staśka dziwna w nim zaszła zmiana. Codzień modlił się ze mną razem do tego Boga, o którym przez lat tyle zdawał się zapominać; wypytawał mnie o strony rodzinne i z rozrzwinięciem słuchał, kiedym mu o was, matusiu, opowiadał, o ojcu, i całym domu naszym. Dziwna rzecz, pamiętałem twarze wasze, opowiadania dawne, nawet komnatę ojcowską, gdzie nad łóżem wisiała karabela i palma święcona, ale żadnego imienia przypomnieć sobie nie mogłem, nawet tego, którem na mnie wołano, a kiedy się siłilem przywieść je na pamięć, to mię straszliwie coś w głowie, w jednym miejscu boleć zaczynało.

— Bywa to, bywa, panie bracie — ozwał się pan Gozdawa — i mój jeden towarzysz, cośmy z nim razem pod Orszą się bili, jak dostał w głowę od jakiegoś draba, to padł niby martwy, a potem choć wyzdrowiał, to ani rusz, nie mógł powiedzieć, jak się nazywa, a do samej śmierci, przez lat dziesięć, nie wymawiał rozmaitych głosek, co je wpierw doskonale mówił, jak my wszyscy. Ale gadaj waść, co tam dalej porabiałeś w Krymie?

— Kubalim chciał mnie uwolnić i do ojczyzny odesłać, ale tego w żaden sposób uczynić nie można było. Edyga-bey nie kazał już mnie męczyć, ani do Carogrodu na sprzedaż posyłać, ale wypuścić też za nic nie chciał, i nawet Kubalima już po dawnemu 'nie wyprawiał w różne strony z towarami i innymi interesami. Bał się widać, żeby stary nie uciekł, bo mu wielce był przydatnym do nadzoru nad niewolnikami, a przytem, posiadał rozmaite wiadomości lekarskie, i jego samego pono kiedyś z ciężkiej choroby wydzwignął. Tak tedy Kubalim nadzorował niewolników, a ja będąc mu nieodstępny towarzyszem, niejedną ulgę braciom naszym wyświadczyć mogłem.

Mira, dowiedziawszy się o zgonie Staśka, strasznie desperowała, płacząc dniem i nocą, przyczem ciągle całowała krzyżyk jej przez niego dany. Myślały Tatarki, że to jakiś czarodziejski dar i chciały go odebrać, ale broniła ze wszystkich sił, i kiedy w czasie snu wykradziono jej ów krzyżyk, nie chciała nic wziąć w usta i groziła, że się zabije, dopóki baby nie zwróciły amuletu, jak go nazywały. A dbano tam bardzo o Mirę, gdyż była nadzwyczaj piękną, więc miano ją, gdy podrośnie, odesłać do Carogrodu, sułtanowi w podarunku, żeby mu tam śpiewała i przygrywała na guzli. Wszystko to nam opowiadała dziewczynka, gdyż wymykała się często z haremu, żeby ze mną i Kubalimem, którego teraz bardzo polubiła, rozmawiać o Staśku, o Polsce, o Panu Bogu i wielu, wielu rzeczach. Mówiła zawsze, że do Carogrodu

zawieźć się nie da, i koniecznie chrześcijanką zostanie, żeby tam w niebie zobaczyć Staśka, i żeby ją do Pana Jezusa zaprowadził. Tymczasem uczyła się ode mnie po polsku i pewną była, że tym językiem Matka Boża i aniołowie rozmawiają.

I tak przeszła zima, choć to tam w Krymie wcale zimy nie znają, bo około naszego Bożego Narodzenia tam róże kwitną. Trudno to było wymiarkować, bo ci niewierni lata i miesiące inaczej niż my liczą, ale między brańcami byli tacy, co nie stracili rachunku czasu, i kiedy nadszedł dzień Narodzenia Pańskiego, postanowili go obchodzić, jak się da w niewoli pogańskiej. I tak: kiedy pierwsza gwiazda na niebie zabłysła, zebraliśmy się w szopie, gdzie ich na noc zamykano, i śpiewaliśmy kolendę na chwałę Nowonarodzonemu Dzieciątku. Nie obeszło się tam bez płaczu i szlochania, bo wszyscy sobie ojczyznę przypomnieli, a byli tacy, co już lat wiele w jasyrze spędziwszy, nie spodziewali się przed śmiercią ziemi rodzinnej oglądać.

Byli też w osadzie i tacy, co przebywszy długie lata służby u Tatarów, wreszcie dostali po kawałku gruntu do uprawy, i odrabiając już tylko pańszczyznę panom swoim pogańskim, poženili się także z brankami i starali się dzieci swoje w wierze ojców wychowywać. Często tam jeden, wiekiem starszy, niby kapłan do ślubu błogosławił i dzieciom Chrztu Św. udzielał, a tak starali się biedni brańcy niepoddawać pogaństwu. A kiedy nowi

przybywali, cóż to był za ruch i wzruszenie w całej osadzie! Wszyscy się gromadzą, dopytują, co słychać tam w ojczyźnie, pocieszają nowo przybyłych, i tak to się dziwnie dzieje na tym pięknym Krymie tatarskim!

Raz pamiętam, nieza długo po Staśkowej śmierci, zrobił się wielki gwałt między Tatarstwem, a nawet Edyga posłał gromadę swoich z jednym synem na czele, gdzieś na północ. Wrócili wkrótce, nie nie wskórawszy i rozpowiadali, jak dwaj wodzowie z Ukrainy (Przeclaw Lanckoroński i Daszkiewicz) ze swoimi kozakami podkradli się pod *Oczaków* (to miasto, co leży przy ujściu Bohu do limanu Dnieprowego, dawniej polskie, dziś tatarskie) i trzy bitwy z Tatarami zwiódłszy, uprowadzili sporo jeńców pogańskich, koni kilkaset i bydła do 30,000 sztuk, co się tam po łąkach wypasa (w 1516 r.). Pienił się ze złości Edyga-bey i syna łajał, a srogą zemstą palając, sześciu brańcom głowy pościnać rozkazał i na wielkich tykach zostawić, żeby je ptaki rozszarpały. Straszny to był widok, aż nam żywym serce drgało z żalu patrzeć na takie okropności.

Zaraz następnego lata, znowu hufiec polski w tysiąc koni z Jazłowieckim, Sieniawskim i innymi na czele, puścił się na ten *Oczaków* i sporo już Tatarów natłukli, kiedy się okazało, że w mieście rządzi Oslam sułtan, sprzymierzony jeszcze dawniej z miłościwym królem naszym Zygmuntem, a niedawno tam przybyły. Dowiedziawszy się o tem, nasi

oddali zdobycz Tatarom, a Oslam zaprosił wodzów na bankiet do siebie. Ledwie jednak ci się oddalili, zdraadne Tatarstwo rzuciło się na Polaków i mordować ich zaczęło. Próżno Oslam wołał, groził swoim i zabijał ich nawet własną ręką; nie było sposobu wstrzymać rozbestwionej dziczy, i dużo tam naszych zginęło. Sam słyszałem, jak syn Edygi, Kantarej, chwalił się, że niejednego własną ręką ubił. Tak się druga wyprawa na Oczaków (1517 roku) nie powiodła.

Czasem znów Tatarstwo robiło wyprawę na ziemię naszą, a nam brańcom trzeba było patrzeć, jak się do tego przygotowywali, a potem wracali ze świeżym łupem i jeńcami.

II.

Dzieje napadów mongolskich. — Czyngis-han. — Batu-han. — Bitwy pod Kałką i Lignicą. — Złota Horda.

— Moja niewola przez to o wiele lżejszą była, zem zostawał zawsze przy Kubalimie, a ten mną się po ojcowsku zajmując, nie dopuszczał zbyt ciężkiej pracy; a że sam był człek mądry i nawet w księgach uczony, wielem się od niego dowiedział, szczególnie o Tatarach, ich rozmaitych dawnych wodzach i przygodach.

— To gadajże, panie bracie, co wiesz o tym pogańskim rodzie — mówił pan Gozdawa — bo mi

dziwno jakoś wierzyć, żeby ta dziec i miasta budowała i czemkolwiek się innem zajmowała, jak owym mordem i rabunkiem, co najwięcej nasze ziemie polskie trapi.

— Wiadomo, że Tatarzy z Azji przyszli, a właściwie nie są to Tatarzy, choć ich tak nazywamy, lecz Mongołowie. Błąkali się oni po stepach środkowej Azji w dawnych już bardzo czasach, aż się zjawił pewien han dzielniejszy od innych, który podbijał wszystkie plemiona pod swoje panowanie, i był pierwszym władcą Mongołów. Nazywają go tylko Wielkim Hanem, ale syn, któremu władzę swą przekazał, zwie się „Temuczyn.” Ten wszystkie plemiona zebrawszy, utworzył dziewięć obozów, aż nad brzegami Amuru. Okrutny, dziki, tych, co się przeciw niemu buntowali, rzucać kazał do kotłów z wrzącą wodą, a jednego z hanów, który mu się hardo stawiał, zabiwszy na miejscu, czaszkę jego w srebro okuć kazał i wszystkim pokazywał, jako dowód gniewu swego. Kiedy się otoczył różnokolorowymi namiotami, po stepie rozrzuconymi, przemawiał do dzikich hord swoich i obiecywał, że im da skarby i bogactwa, jeśli za nim pójda w kraj daleki. Wtem zjawił się pustelnik jakiś, niby prorok i ogłosił, że sam Bóg oddaje świat Temuczynowi, który nadal ma się nazywać Czyngis-hanem, czyli Wielkim hanem.

Odtąd wszystko się poddało wodzowi, który ogniem i mieczem pustoszył Azję, palił ludne i bogate miasta, do meczetów i świątyń konno wjeżdżał, przebył nawet sławny mur chiński, i takie po-

zogi wyprawiał, że pałac cesarzów w Pekinie gorzał miesiąc cały, a powietrze zaćmiewało się od dymów, rzeki zaś czerwieniły się krwią. Po miejscach, które przeszedł Czyngis-han, jak wichher dziki, zalegała pustka i zniszczenie. Dzicz mongolska rozlała się wszędzie jak rzeka ogromna, krwawa i ognista, zalała Azyę i spłynęła na Europę.

Przebywszy Kaukaz, pędząc przed sobą Alanów i Połowców plemiona, Mongołowie rzucili się na Ruś. Nim jeszcze doszli, już książęta Rurykowicze po wielkiej naradzie, odbytej w Kijowie, przebywszy Dniepr, rzucili się, by przeciąć pochód barbarzyńcom. Dziesięć dni szli w stepach, aż do rzeki *Kalki*, gdzie ogromną stoczono bitwę (1224 r.). Straszna to była klęska dla Rusi; książąt poległo aż siedmiu, samych Kijowian z 10,000 a Mongołowie gnali niedobitki, paląc i rabując, aż po sam Dniepr; stamtąd jednak cofnęli się, i wrócili w stepy do Czyngis-hana.

To była pierwsza napaść Mongołów, która jakby luna krwawa zapowiadała cały szereg rozbojów i spustoszeń, na ziemiach chrześcijańskich dokonywanych. W trzy lata potem umarł Czyngis-han, zostawiając władzę synowi „Oktajowi,” który znów wodza „Batego” na ruskie kraje wypuścił. Zrabowawszy z północy Razań, Suzdań, Moskwę, rzucił się Baty na Kijów, który zdobył i złupił. Nigdy się ów gród sławny nie dźwignął do dawnej wielkości, i przestał być stolicą Rusi. Co żyło to uciekało

do Polski i Węgier, ale pohanicy gonili uciekających.

Wtedy to i na nasze ziemie polskie spadła nawała mongolska (1240 r.) trzema zagonami, jak wąż obejmując kraj nieszczęśliwy. Wtedy to spalony Lublin i Sandomierz, zajęte Węgry; Henryk wrocławski, syn Św. Jadwigi, ginąc pod *Lignicą*, na Szląsku, stawiał jednak pohancom dzielny i bohaterski opór. Odtąd już się nigdy dzicz tak daleko nie zapuszczała a Baty wrócił ponad brzegi Wołgi.

Dumny zdobyczami swemi, Baty zwał się *Ihanem „Złotej Hordy”* i założył we wschodniej Europie państwo „Kapczackie.” Obejmowało ono część Rusi (Kijowską i Suzdańską gub.), Krym, Kaukaz oraz wszystkie stepy, od Donu aż do Dunaju, na zachód. Nikt mu się tam sprzeciwić nie śmiał, a książęta ruscy, jeden po drugim, zjawiali się w hordzie, aby bić czołem przed hanem. Ojciec święty słał do niego, a potem do wielkiego hana Oktaja poselstwo, namawiając, żeby się nawrócił do wiary chrześcijańskiej, ale pohaniec, dowiedziawszy się od przysłanego do siebie mnicha „*Ascellinusa*” o zasadach religii naszej, powiedział, że przy takiej wierze ludzieby znikczemnieli i stali się niezdarnymi do wojny.

— Głupi poganin — mruknął pan Gozdawa — niby to my, choć chrześcijanie, dobrze ich bić nie potrafimy!

— Znów Ojciec święty słał dwóch Franciszkanów do hana; obaj to pono byli Polacy (Jan de

Plano Carpino i Benedykt) i zostawili po łacinie opis swej podróży, ale i ci nie nie wskórali (1246 roku). W dziesięć lat później umarł Baty, a przed nim jeszcze w Azji wielki han Oktaj. Następce Batego w Złotej Hordzie, hana „Berkę”, kupcy Buczaccy nawrócili na wiarę Mahometa, a za jego przykładem mnóstwo Mongołów przyjęło tę religią, że zaś prorok nakazuje im szerzyć swą wiarę mieczem po całej ziemi, tem więc gwałtowniej rzucili się ci pohańcy na kraje chrześcijańskie.

Polska trzy jeszcze wielkie napady zniosła w XIII wieku i siła ludu utraciła. Wtedy to zamordowano błogosławionego Sadoka i 40 męczenników w Sandomierzu, później zaś królowa nasza Kinga musiała uciekać, aż w góry Pioniny, a Mongoły oparli się o Tatry. Napadali oni na pogańską podówczas jeszcze Litwę, ale rzadziej; tymczasem stamtąd właśnie gotowały się dla nich najsroższe klęski. Gedymin i Olgierd zaczęli bić Mongołów, kiedy książęta moskiewscy jeszcze im się poddawali, potem i ci ostatni trochę podnieśli głowę. Dymitr, Doński przewany, na polu *Kulikowskiem* (1380 r.), blisko Donu, pokonał hana Złotej Hordy, Mamaja. Ale i z drugiej strony spadła nawała na Złotą Hordę. Tłumy dzikich z Azji Mongołów, pod przewodem strasznego wodza Tamerlana, zwały się na Kapeczackie państwo i srogie w niem wyrządziły zniszczenie, ale potem wróciły nad Wołgę.

Tymczasem łączyła się Litwa z Polską a wielki książę Witold, straszne zadał ciosy Mongołom;

chciał nawet sięgnąć do Azji i obalić samego Tamerlana, który pysznił się zwycięstwami swojemi i pobitego sultana Bajazyda obwoził w żelaznej klatce. Ruszył Witold w stepy, ale tu został pobity nad rzeką *Worskłą* (1399 r.) przez Edygę, hetmana Tamerlanowego; poległo w tym boju dwunastu książąt litewskich i ruskich, oraz wiele panów polskich. Mimo to Witold często jeszcze napastował Tatarów, podtrzymując jednych hanów przeciw drugim, aż się Złota Horda rozpadła na kilka mniejszych państw. Głównie gospodarował Witold na Krymie i niejednego hana zmusił do hołdowania Litwie. Pokazywał mi Kubalim dużo pieniędzy, które się na Krymie dotąd przechowały z herbem Witolda i napisem łacińskim. Złota Horda ich używała.

Tymczasem powstały trzy państwa tatarskie, t. j. państwa: Astrachańskie, Kazańskie i Krymskie, i utworzyła się w stepie dziksza od innych horda Nohajców, pod wodzem „Nohajem” (teść Michała Paleologa; cesarza wschodniego). Między książętami na Rusi zaś, odznaczał się Iwan Wielki Książę Moskiewski; ten uderzył na Mongołów, zdobył Saraj, ścigając hana Achmata, a gdy tego ostatniego jakiś nieprzyjazny mu inny wódz tatarski zamordował, rozsypała się i przestała istnieć Złota Horda (1480 r.). Synowie Achmata już się wynajmowali za dobry jurgielt (zapłatę) naszym królom Jagiellończykom. Szachmat, jeden z hanów kapeczackich, wojując z Moskwą i hanem Krymskim Mengli Gire-

jem, szukał sojuszu z królem Aleksandrem, ale w końcu tak dokuczył ustawicznem wicherzeniem, że go musiano zamknąć w zamku Kowieńskim, gdzie też żywota w łańcuchach dokonał (1505 r.) na rok przed zwycięstwem Glińskiego nad Tatarami pod Klekiem.

— Tam ojciec twój bił się po raz ostatni na wojnie — rzekła Bohowitynowa — i tam od strzały tatarskiej był srodze w nogę raniony. Dostał też od nowego a dziś nam jeszcze panującego króla Zygmunta, który w tymże roku po bracie nastąpił, ów futor pod Tulczynem, gdzie nas to srogie nieszczęście spotkało.

Dziewczęta słuchały wprawdzie opowiadania o Mongołach i Złotej Hordzie, ale przykrzyło im się cokolwiek, bo ciekawe były dalszych losów Janka na Krymie. Maryjka też się nieśmiało odezwała, prosząc brata, by im coś o tem powiedział. Na co pan Gozdawa mruknął:

— Jużto znać, mości panie, że u białogłów włos długi, ale rozum zato krótki! Niech tylko coś poważnego a mądrego mówić zaczną, już im się przykrzy, a to przecież ciekawa rzecz mości panie i każdego obchodzić powinno, bo się tyczy sąsiadów a srogich nieprzyjaciół naszych.

— My też słuchamy, proszę tatki dobrodzieja — ozwała się cicho Halka — i ja nawet pamiętam, jak się ci wszyscy hanowie nazywali i co robili, ale zawsze dla nas to ciekawsze, co pan brat na Krymie porabiał i jak się stamtąd wydostał.

III.

Brańcy. — Trzy szlaki tatarskie. — Klęska pod Sokalem. — Jaka rada na Tatarów.

Janek tedy ciągnął dalej:

— Kubalim dobrym był dla mnie bardzo, a choć nie mówił o swojej przeszłości, znać było, że teraz częściej myślał o ojczyźnie i serce jego zmiękło. Edyga, strapiony srodze po śmierci syna, siedział po całych dniach w swojej izbie, fajkę kurząc, a Kubalimowi zostawił zarząd nad dworem i niewolnikami, którym też lepiej dźiać się poczęło. Dostawali obfitsze i lepsze jadło, a co wieczór, gdy ich Kubalim liczył i w szopie na noc zamykał, pozwalal nam iść z sobą; wtedy odmawialiśmy razem wieczorne pacierze i nawet śpiewaliśmy pieśń do Bogarodzicy, co im wielce ducha umacniało. I mnie się wtedy rzewn timer na sercu robiło; stawał przed oczami dworek rodzicielski, gdzie co wieczór matusia z czeladką pacierze tak odmawiała, a potem pieśń wszyscy razem śpiewali.

— To pamiętałeś, synu mój miły — ozwała się Bohowitynowa gładząc bujne włosy młodzieńca.

— Pamiętałem żywo, mateczko moja, jako i wszystkie nauki, co od was w dzieciństwie słyszałem i to mnie utrzymywało, że m się nie dał temu pogaństwu, i jeśli prawdę mam powiedzieć, tom niejednemu dopomógł do utrzymania się w wierze ojców i wierności dla kraju.

W parę lat już po zabraniu nas w jasyr, wybrała się wielka nawała Tatarów na kraj nasz; znów widzieliśmy ich przygotowania, i serdeczniej jeszcze modliliśmy się co wieczór za naszych rodaków, by ich Bóg od złego chronił. Ale tym razem inaczej widać sądzono było. Wybrało się Tatarstwo w samym środku lata naszego, około pory żniwa, a była tego moc ogromna. Han ze stolicy swej Bakeczysaraju, jak zwykle tylko do szlachty (mirzów) rozsłał gońców; ci zbierali swoich podległych, czyli wasalów, którzy po większej części powstali z uwolnionych, a ziemię uprawiających jeńców wojennych i ich potomków. Alboż to raz synowie i wnukowie tych, co niegdyś z naszej ojczyzny w jasyr zagnani byli, zapomniawszy i mowy, i wiary przodków, szli w szereгах tatarskich, i z pohańcami razem łupili i rabowali *).

Na teraźniejszą wyprawę Edyga-bey sam się nie wybrał, ale posłał znów jednego syna ze sporym poczem wojennym, tudzież z kilku powózkami sucharów i kilku workami pieniędzy, jak to szlachta tatarska zwykła dawać. Drugi syn, który był seraskierem (wodzem) u Nohajców, także miał pędzić na kraj

*) Wielu takich zaprzańców historia wspomina. U Turków pojmany chłopakiem małym Bobowski, nazwany Hali-beyem, wslawił się wielu dziełami uczonemi w mowie tureckiej; Białoskórski, wszechwładny rządcą u Galki tatarskiego Dewlit gireja, pustoszył Wołyń i Podole około 1615 roku i innych wielu.

polski. A trzeba wiedzieć, że Tatarstwo trzy ma już zaznaczone szlaki, czyli drogi, któremi napada rzeczpospolitą naszą; od Oczakowa *Kuczmański* przez Sawrań, Kudem i rzekę Szarawkę, która do Bohu wpada, ku Lwowu; drugi od południa, *Wołoski* szlak, przez podolskie pola i Dniestr na Wołoszczyznę; trzeci *Czarny szlak*, po lewej stronie Dniepru, gdzie się kryli czas jakiś Tatarzy po przeprawie; ten także ku Lwowu zmierzał, ale przez Kaniów, Kijów nawet, Zaslów, Łuck i Sokal.

Tym to czarnym szlakiem teraz się wybrali Tatarzy, a kiedy wrócili, znać było, że się napaśli krwią i złotem z ojczyzny naszej, bo znów nawieźli łupów i jeńców sporo. Do Edygi syn Giwlet przywiózł w jasyr znowu gromadkę ludu naszego, a była między nimi i szlachta. Tej ostatniej do najcięższych robót bey używać kazał, żeby się o okup starali prędko. Na noc zamykano ich do lochu tego, gdzieśmy ze Staśkiem tyle dni i nocy spędzili; strawę mieli lichą i Kubalim nic na to poradzić nie mógł, bo od tego był stróż inny, Tatarzyn dziki i okrutny. Na robocie jednak można się było widzieć i rozmawiać z tymi brańcami.

Jeden z nich, Roguski, szlachcie wysoki i sro-dze pokaleczony, na głowie zwłaszcza, nie tracił jednak ducha i mówił, że woli zginąć w jasyrze, a pohańcom ani jednego tynfa (pieniądz ówczesny) nie przysporzy... Ten nam opowiadał dzieje owej nie-szczęsnej wyprawy.

— Już — mówił — Tatarstwo, nachwytawszy łupów co niemiara i ludu, a bydła naspędzawszy gromady, nim się wojsko rzeczypospolitej zebrać mogło, by tak wielkiej liczbie pogaństwa przeszkodzić, umykało z powrotem, kiedy nasi puścili się za niem w pogoń. Było wojsko i szlachta ruska, a połączył się z niemi niezmordowany książę Konstanty Ostrogski z ludem swoim; wszystkiego razem zebrało się 25,000 a pogaństwa było 80,000. Nie dziwota to dla naszych, bo ileż to razy garstka Polaków, walcząc jak lwy, rozbiła całą nawałę tatarską.

Tatarzy byli tuż koło Sokala nad Bugiem, stary więc i doświadczony książę radził, żeby dać wielkiej hurmie Tatarów przeprowić się przez rzekę, a gdy ich część przejdzie na tę stronę, wtedy dopiero uderzyć. Tłuszcza nie szukała bitwy, bo wiadomo, że Tatar nie pragnie ani sławy, ani nawet krwi rozlewu; tylko chciwi poganie ci na łupy i z tymi umykają. Starsi potwierdzili radę księcia Ostrońskiego, ale młodzi nuż narzekać, sarkając na księcia, że im zazdrości sławy wojennej, a pośmiewając się, że u niego, jako zabobonnika, wtorek dzień feralny, więc się bitwy boi. Najgorętszy był pan Frydrusz Herburt i ten się najwięcej bitwy napierał. Darmo książę ręce składał a prosił, żeby się choć do jutra zatrzymać, a tymczasem nadciągnie Tarnowski z Podola, i Litwa, i Wołosza; młódź ani słuchać nie chciała. Nie pierwszy to raz, i pono nie ostatni, niesforność ta stała się przyczyną klęski srogiej.

Książę, rad nie rad, siadł na koń, a młodzież rzuciła się do przeprawy przez Bug. Tymczasem chytry wróg tajemnie nagotował doły i pułapki, w które nasi z końmi wpadali, a Tatarstwo z łuków strzelało z poza ogrodów i płotów, koło spalonego już przez nich miasteczka. Książę, widząc to, innym brodem się przeprowił i na pomoc swoim pośpieszył; bili się, jak lwy, ale napróżno: wśród ómy Tatarstwa nie znać było nawet tych setek i tysięcy, które ginęły, a naszych szczupłe szyki coraz się zmniejszały. Przytem konie podnosiły taką kurzawę na ziemi pooranej i słońcem wysuszonej, gdzie bitwa się staczała, że widać nic nie było. Powoli Tatarzy, zwarłszy się swoim zwyczajem w wielkie koło, otoczyli naszych ze wszech stron. Niektórzy ratowali się ucieczką (i to nawet senatorowie, jak kamieniecki, halicki), ale młódź nasza walczyła do śmierci. Sam słyszałem, jak Frydrusz Herburt, krewki, ale wielkiego serca młodzian, zawołał:

— Boże, tego nie daj, abym ja przy milej braci, gardła nie miał dać! — i rzucił się między obręcz tatarską, ja za nim i w moich oczach go rozsiekali na sztuki. I jam padł, jak nieżywy, cięty szabłą w samo czoło, ale mnie potem ocuczonego na poły, Tatarzy z pola bitwy zabrali i z sobą powlokli, bom miał odzież sutą i karabełę kamieniami sadzoną. Było to pod Sokalem, 20 stycznia 1519 r.

Serce nam się krajało, słuchając opowiadania szlachcica.

— Oj, pamiętam tę sokalską klęskę — ozwał się pan Gozdawa — ale przecie już potem nasi nie-raz pohańców pobili; ot, niedalej, jak lat temu trzy, ten samksiążę Ostrogski wjeżdżał do Krakowa z więźniami i pororcami tureckimi (1527 r.), król mu dziękował, a lud okrzyki wydawał na cześć jego. Ale co to ludu naszego w tych wojnach naginie, a większa jeszcze szkoda tych, którzy marnie zgniją w jasyrze, albo się tam poturczą.

— Moim niewieścim rozumem sądząc — ozwała się pani Bohowityn — przecieżby temu jakoś zaradzić można, a granic naszych od tego najeźdźnika bronić.

— Wiele o tem gadają i radzą: ot, i pan Ostafi Daszkiewicz, wielki Tatarów pogromca, najlepszy zda mi się podaje sposób. Otóż kiedy pan ten do Krakowa przybył, na pokaz przywożąc wielkie kule od strzelb tatarskich, przeciw którym się bronił na zamku Czerkaskim, król nasz miłościwy dziękował mu i dał dwa zamki za Dunajem, a inni panowie podarki mu składali, przyczem go pytano, jakby najlepiej zaradzić tym napadom tatarskim. Radził tedy pan Daszkiewicz, żeby na ostrowach (wyspach) które są na Dnieprze, wszędzie zameczki budować, a chować ustawicznie ze 2000 ludzi, którzyby na czajkach bronili Tatarom przeprawy, oraz z kilkaset jazdy, któraby się o żywność troskała dla tej załogi. I pewno, że toby się najlepiej udało, ale jak zaczęto rozważać, tak do tej pory nic nie zrobiono, a Tata-

rzy, jak łupili, tak łupią i nieledwie co rok rzeczypospolitej krwi upuszczają.

IV.

Ucieczka. — Niewidomy. — Pismo do kraju. — Zgon szlachcica.

— Wkrótce po sokalskiej klęsce — mówił Jan dalej — przybiegła do nas Mira we łzach, bo jej matka w srogich bólach ducha wyzionęła. Zaniemogła nagle pod wieczór, a chociaż do niej sprowadzono rozmaite znachorki i czarownice niby, które nad nią niezrozumiałe słowa mruczały i zioła jakieś paliły, do rana żyć przestała. Musiano ją otruć, bo mówiła Mira, że oddawna już dokuczały jej mocno inne żony Edygi za to, że bey był na nią łaskawy i nie-raz nawet jej prośby wysłuchiwał, kiedy się za jeńcami wstawiała. Biedna dziewczynka rozpaczała bardzo po stracie matki. Pewnego razu przybiegła mnie zapytać, czy ją może kiedy znaleźć w Niebie. ♀

— Kiedy matka tak bardzo się męczyła — mówiła Mira — całowałam jej rece i nogi, i przypominałam, że Pan Jezus cierpiał, więcej jeszcze i dałam jej krzyżyk pocałować, ale mnie znachorki, te więdźmy szkaradne, odepchnęły i chciały wydrzeć krzyż.

Pocieszałem dziewczynkę, że nad jej matką pewno się Bóg zlituje, bo dobra była i miłosierna dla

nieszczęśliwych; uczyłem ją, jak się modlić za duszę matki i wreszcie, cokolwiek uspokojona, wymknęła się biedaczka. Ale nazajutrz znów przybiegła i, wschodnim obyczajem na ziemię padłszy, ścisła nogi Kubalima, żeby ją ratował.

— Chcą mnie — mówiła łkając — do Stambułu (Carogród, Konstantynopol) odesłać, żebym była sułtanką, ale ja tam nie pojadę, wolę się zabić... utopić! Ja chcę być chrześcijanką, chcę uciec do Polski, a potem pójść do Nieba...

I płakała i prosiła, aż się mój stary Kubalim rozczulił i powiedział, że ją wyratuje, niech tylko będzie spokojna i czeka cierpliwie. Jakoż nazajutrz wezwał Edyga-bey Kubalima i kazał mu się sposobić w podróż, żeby do Kaffy odwieźć towary, jakie Wenecyanie kupują i Grecy, to jest futra, skóry, a nawet i łupy, w Polsce zabrane. Przytem miał odwieźć Mirę ze starą niewolnicą, murzynką, i oddać ją kupcowi ze Stambułu, który znów po żywy towar jeździ i już zawiadomiony został o przesyłce od Edygi. Znaczoną sumę, którą w piastrach (moneta turecka) i drogich kamieniach złoży handlarz, miał Kubalim zabrać i do beya tu odwieźć. We dwa dni wszystko było gotowe; naładowano kilka powózek o dwóch kołach, a Mira z murzynką siedziała już na wielbłądzie, odziana w bogate, złotem haftowane szaty, z białą zasłoną na różanej twarzyczce, wśród której świeciły się jak węgiel czarne, łzami zalane oczy. Przedtem, choć mocno strzeżona, potrafiła wieczorem wybiedz na chwilę do naszego namiotu i rozmó-

wić się z Kubalimem, a mnie żegnała, płacząc, i opowiadała, jak ją właśnie Stasiak odwiedził i obiecał, że się kiedyś wszyscy spotkamy.

— Śnił ci się? — spytałem.

— Ale gdzież tam! Widziałam go żywego, spłynął z Nieba na promieniu miesiąca i taki był jasny, jak anieli, co mi o nich opowiadał, dodając, żebym się ich nie bała, lecz jechała daleko, i chciał mi dać krzyż cały z gwiazd złocistych, ale gdy ręce wyciągnęłam i krzyknęłam z radości, wbiegła Sumita, murzynka i wszystko zniknęło. Płakałam gorzko i chciałam uderzyć Sumitę za to, że mi przeszkodziła, alem tego nie zrobiła, bo Stasiak mówił nieraz, że nikogo bić nie trzeba...

Nie mogłem mówić Mirze, że to był sen tylko; nawet czasu na to nie miałem, bo murzynka ją gwałtem zabrała, żeby ich nie spostrzeżono, i dopiero nazajutrz już na wielbłądzie siedzącą Mirę zobaczyłem.

Przeszło niedziel parę, a Kubalim nie wracał; wreszcie jednego wieczora, kiedy się słońce ku zachodowi skłaniało, a wietrzyk ciepły poruszał w ogrodzie róże wonne, zobaczyłem zdaleka tuman kurzu i biegłem szybko w tamtą stronę, bo mi już tęskno było za Kubalimem, a któżby to jechał, jeżeli nie on? I jechał przodem na małym tatarskim koniku; biała broda spływała mu na piersi, łuk miał przez plecy przewieszony i sajdak ze strzałami, i miecz krzywy, całe uzbrojenie tatarskie; ale serce nie pogańskie biło w tej piersi. Spojrzał na mnie tak

jakoś rzewnie, po ojcowsku, a kiedym przyskoczył, położył mi rękę na głowie, nie mówiąc ani słowa. Przemówiłem zcicha po polsku, powitałem go i pytałem o Mirę.

— Popłynęła — rzekł krótko.

— Co? jak? do Stambułu? — wyrzekłem drżący i przerażony.

— Nie, do Wenecyi.

I dowiedziałem się, że, przybywszy do Kaffy, zamiast ją oddać handlarzowi ze Stambułu, wyszukał okręt chrześcijański i powierzył dziewczę kapitanowi, uczciwemu człowiekowi, który je miał zawieźć na ziemię włoską i oddać do klasztoru panien Benedyktynek, skąd się dostanie, gdzie zechce, przyjąwszy światło Wiary świętej. Handlarz podobno wściekał się ze złości, że go ominął drogocenny towar, od Edygi-beya przyobiecany, i pewno srogie na Kubalima skargi prześle wkrótce.

— Niech się jednak co chce dzieje — dodał stary nasz opiekun — dobrze, że za moje zmarnowane życie, choć jedną duszę wybawię z tej pogańskiej niewoli.

Ale żaden z nas nie domyślał się, co nastąpić miało. Pokazuje się, że Edyga cheiwy, jak każdy Tatar, nie tylko na bogatą zapłatę za Mirę rachował, ale spodziewał się, że za nakazem sułtana zrobią go Kałgą, czyli najwyższym po hanie wodzem i rządcą na Krymie. Teraz, gdy się dowiedział, że Mira gdzieś zniknęła, wpadł w srogi gniew; rzucał się i pieniał, jak zwierz dziki, aż się powali

na ziemię, krzyczał i kłął się na Proroka, że Kubalima każe ze skóry obedrzeć żywcem. Do tego jednak nie przyszło, ale porwali go na rozkaz pański służalcy i zawlekli do ciemnicy. Tego samego dnia... strach powiedzieć... oczy mu wypalili ci zbóje, barbarzyńcy!...

— Tak, jak dziadkowi waszemu — szepnęła wdowa.

Nazajutrz ochłonął cokolwiek dziki bey, i żał mu się zrobiło sługi, który mu lat tyle strzegł domu i dobytku, i ze srogiej choroby podźwignął. Wiedział, że mu nikt Kubalima nie zastąpi, bo na swoich rabusiów spuścić się nie mógł w niczem. Ale zapóźno, już biednemu starcowi nikt oczu nie wrócił! Nie męczyli go już więcej i nawet pozwolili mi doglądać nieszczęśliwego, kiedy skrwawiony leżał w gorączce.

Przenieśliśmy go do namiotu, myślałem, że z temi dwiema krwawemi strugami, które mu z pod czoła płynęły i życie mu uleci, ale nie! człowiek dużo przetrwać może i mnie serce nie pękło, kiedy nas z ojczyzny porwali, ani gdy tu przedemną Stasiak umierał. Kubalim wytrzymał ból straszny, i rany mu się zagoiły, i powstał z łoża, w namiocie usłanego. Ale teraz, jak dziecko, opieki potrzebował; nie mogłem go opuścić ani na chwilę. Edyga-bey nie przysłał nowego nadzorcy, a że ja byłem przyzwyczajony wszędzie Kubalimowi towarzyszyć i wyręczać go, jak mogłem, dawniej, tak i teraz, prowadząc go, chodziłem do jeńców co rano i co wie-

czór, a że robota szła w porządku, bo wszyscy starca szanowali, więc i nadal tak zostało. Dziwnie powiedzieć, ale starzec ślepy i dziecko, bo ja wtedy byłem wyrostkiem przecież, utrzymywali nadzór nad tylu ludźmi. A byli tam nietylko nasi jeńcy, ale także Czerkiesi, Gruzini, a nawet dzikie Kałmyki.

I tak znów przeszło lat ze dwa. Przez ten czas zmarł ów dzielny szlachcic z pod Sokala, który się zaciął, aby pohańcom okupu nie dawać.

— Żony i dzieci nie mam — mówił — ojczyzna się beze mnie obejdzie, bo i tak jużbym miecza nie dźwignął, straciwszy siły i dwa palce pod Sokalem, a bracia niech lepiej grosz schowają na potrzeby Rzeczypospolitej, niżby go za moje nędzne cielsko tym psom pogańskim oddawać mieli; dusza i bez okupu im się wymknie, obaczycie!

I rzeczywiście słabnąć zaczął, a Tatarzy, bojąc się stracić towar, kazali mu pisać do Polski. Do tej czynności mnie użył, bo sam piórem władać nie mógł.

— A skądżeś się waść do pióra zaprawił — zapytał pan Gozdawa — czyżby i tego cię Tatarzy nauczyl?

— Ej, gdzie tam, wuju dobrodzieju, między jeńcami, którzy się do Edygi-beya dostali, był pewien szanowny ojciec Benedyktyn, wielce mądry i uczony, ten mnie dużo nauczył i nieraz, pamiętam, nocami siedzieliśmy nad księgą. Ksiąg kilka było u Kubalima, który je z pomiędzy łupów tatarskich powybierał, kiedy już pohańcy powyrywali srebrne

klamry i piękne malowidła, jakie zazwyczaj w księgach bywały. Tak się tedy, dzięki wielbnemu ojcu, nauczyłem cokolwiek łaciny i pisania, co mi się potem bardzo przydało i do mego uwolnienia dopomogło. Otóż kiedy mi przyszło pisać list od pana Rogalskiego do jego braci, którzy na Wołyniu posiadłości mieli, a Ostoją się pieczętowali, dyktował mi sam słowo po słowie wszystko, a było tam powiedziano, że, czując się już blizkim zgonu, nie żałuje, że życie w obronie ojczyzny poświęcił, że pod błogosławieństwem im zakazuje czynić jakiekolwiek kroki o wykupienie nawet zwłok jego, a na koniec zaleca, aby wioskę jego, (zda mi się Szumsk) na własność wzięwszy, używali każdy szeląg na potrzeby ojczyzny, a synów swych bogobojnie wychowując, przygotowali ich na tęgie obrońców kraju od wrogów. — To moje ostatnie zlecenie — dodawał — przyczem was żegnam i błogosławię.

Tu mu się łza zakręciła w oku, ale ją prędko otarł i, musnąwszy siwego wąsa, list własnoręcznie złożył i w braku sygneta herbowego, który mu Tatarzy odebrali, medalikiem, z szyi zdjętym, przypieczętował. I takie to pismo pohańcy sami z innymi dokumentami do Polski wysłali, nie umiając go przeczytać i spodziewając się, że im okup hojny za jeńca sprowadzi. Pan Bóg jednak sprawę tę zakończył i, za cały okup krew szlachcica przelaną przyjąwszy, zabrał do lepszego świata duszę jego zasną.

We dwie niedziele może po wyprawieniu owego pisma, zasłabł bardzo ciężko i odbywszy spowiedź świętą przed ojcem Innocentym, Benedykty-nem naszym, z żalem tylko, że Sakramentów Świętych przyjąć nie może, zasnął w Panu, kazawszy się obrócić twarzą w stronę północy, gdzie kraj ojczy-sty i rodzinę zostawił. Przed śmiercią jeszcze uści-snął rękę Kubalima, a jeńców, który się wkoło niego zebrali, błogosławił, napominając, żeby ducha nie tracili, o Bogu i ojczyźnie nigdy nie zapominali. Przykład tego zacnego szlachcica niejednego z nas umocnił i utwierdził na dalsze losu koleje.

V.

Luna krwawa. — Stoczona walka. — Nowa strata.

Wkrótce też potem zachorował i nasz Kubalim; osłabł tak, że już się z łoża dźwignąć nie mógł, a była to wiosna, już pono ósma od owego wzięcia w jasyr. Pilnowałem starca, jakby ojca rodzzonego, on mnie też jak syna miłował; chociaż ociemniały i słaby, odkrywał mi jeszcze różne wiadomości, do których w długim i ciężkim swem życiu doszedł; nauczył, jak leczyć różne nieмоce, rany opatrywać, z ziół rozmaitych leki przygotowywać; opowiadał także, co wiedział o dziejach i urządzeniach tatarskich.

Jednej nocy, pamiętam, było ciepło i rozkosznie na dworze, podniosłem kotary namiotu, a niebo gwiaździste świeciło, jak gdyby tysiącem brylantów osypane. Aż tu zdawa, od wschodu, jakby od Kaffy, czerwona luna płonie. Nie miesiąc to, nie zorza też, bo dopiero północ, a luna coraz bliżej i bliżej, i rozruch jakiś słychać i krzyki straszliwe... Stary wznosił się i nasłuchiwał, wpatrując się niby krwawemi powiekami w stronę, skąd wrzawa dochodziła; w całej osadzie rozruch się wszczął i trwoga.

— Kozacy! kozacy! — krzyczeli Tatarzy, w nieładzie rwąc się do broni i łoszaków swych dosiadając.

— Nieraz to tak bywało — mówił Kubalim — że dzielne syny Zaporozża w czajkach swoich (lek-kie łódki) pomykali się ku wybrzeżom Krymu, ba, nawet i Turcyi, i wpadłszy nocą niespodzianie, nabrali łupów, zapalili jakie miasto lub wieś pogańską, i nim się Tatarstwo opatrzyło, nim się zorza zaczerwieniła na niebie, zmykali, jak ptaki wodne, które ulatują gdzieś daleko.

Teraz musieli być w znacznej sile, bo się zapędzili kawał od wybrzeża, aż ku naszej osadzie, która między Kaffą a Krymem leżała, i szeroką luną znacząc swój pochód, straszny popłoch między Tatarstwem wznieśli.

Naradziliśmy się prędko z Kubalimem, i ja pobiegłem do szopy brańców, ażeby im otworzyć wrota, korzystając z ogólnego zamieszania. Jakoż po chwili, zupełnie pusto było w szalasie, a nasi jeń-

cy śpieszyli do łuny czerwonej, która im teraz świeciła nadzieją swobody, bo tam spodziewali się dostać do kozaków.

I mnie serce żywo biło w piersi, mogłem i ja szczęścia próbować, żeby się do swoich przedrzeć, ale jakże zostawić tego starca ślepego, niedołężnego, który nikogo, prócz mnie, już nie miał na świecie? On mnie sam wyprowadził, wypędzał nieledwie, ale sumienie nie pozwalało; ukląknęłam i gorąco westchnęłam do Matki Najświętszej, a potem cicho zbliżyłam się do namiotu Kubalima. Stary klęczał, płakał i modlił się, a krwawe łzy spływały po bladej i jak gdyby mchem porosłej twarzy jego. Patrzyłam, i taki mnie zdjął żal, żeś przypadł do staruszka i objąłem go za szyję.

Nad ranem Tatarzy wracać zaczęli, a wiedli ze sobą wielu brańców, pochwytyanych napowrót po drodze; niektórzy szczęśliwie zdołali się przemknąć do Kozaków, ale dużo poległo od strzał i kul, ze stron obu ciskanych; między tymi i ów ojciec Benedyktyn, który chciał do kraju się przedrzeć, żeby potem z okupem, w Polsce zebrany, wrócić dla oswobodzenia jeńców. Bóg wie, czy i mnie nie byłby ten los spotkał! Tymczasem jednak Tatarzy, znalazłszy nas obu z Kubalimem w namiocie, dziwili się mocno, i odtąd nawet Edyga-bey łaskawszem okiem na mnie patrzył.

— Dobrześ zrobił, synu mój, żeś starca nie porzucił — ozwała się poważnie Bohowitynowa — i to ci pewno Bóg policzył.

— Kubalim żył jeszcze rok cały po tej przygodzie, ale słabł coraz więcej. Mnie się długo, długo co noc zdawało, że słyszę wołania i krzyki, że łuna czerwona coraz bliżej; czasami śniło mi się, że płynę czajką po Dnieprze, a czasem, że u nóg waszych klęczę, matulu, a Stasiu przy nas i ojciec z krwawą karabelą. Jednego ranka już różowe słońca promyki wciskały się do namiotu, kiedy się zerwałem z łoża i patrzę, a Kubalim leży biały i już zimny, jak kamień; przypadłem cucić go, nie żył i tak cicho w nocy zmarł, żeś nawet jęku jego nie słyszał, a przywykłem był zrywać się, jak tylko się poruszył i podawałem mu wody, albo poprawiałem poślanie; widać, że przed zgonem już nie cierpiał, a dusza jego cicho wymknęła się do lepszego świata. I tak zostałem znowu sam na ziemi...

VI.

Nowy gość. — Co to Budziak? — Ojciec Hiacynt [z okupem.

Dzień po dniu płynął przy opowiadaniach Jan-ka, i już się ku jesieni miało, kiedy jednego popołudnia nadjechał niespodzianie z dwoma pacholkami siostrzeniec pana Gozdawy, który służył przy hetmanie Tarnowskim i chociaż wielce młody i gładki, niby dziewczeczka, nieraz już oręża w obronie ojczyzny dobywał.

Jurko, tak go bowiem zwano, rodem był także z Rusi i wnet się zaprzyjaźnił wielce z Jankiem, którego przygody niezmiernie go zaciekały. Miał tedy młody braniec powtarzać wiele szczegółów ze swej niewoli i udzielać rozmaitych wiadomości o kraju tatarskim, o zwyczajach, urządzeniach i sprawach tamtejszych... Jurko, przy mądrym i dzielnym hetmanie ustawicznie bawiąc, nauczył się zajmować wszystkim, co się tyczyło rzeczypospolitej.

— Powiedz mi — rzekł razu jednego do Jan-ka — co to za nowi jacyś Tatarzy, zjawili się teraz na *) Budziaku, pono gorsi jeszcze od innych? Straszne o nich rzeczy opowiadają...

— I prawdę mówią — odparł Janek — bo ci dają się nawet we znaki Tatarom krymskim; są to dzicy Nohajcy aż z nad Wołgi i Donu; nieraz oni napadali na Krym i uprowadzali w niewolę straszną żony i dzieci tamtejszych Tatarów, zaś carowie perekopscy żadnej rady sobie z nimi dać nie mogą. Wprawdzie jeszcze w roku 1510, car krymski zabrał im, jak mówią, ze 70,000 pogłowia rozmaitego

*) Tatarzy Nohajcy, zapędzeni przez krymskich w krainę między ujściem Dniestru i Bohu, i dalej na zachód ku Prutowi, dziś zwaną *Bessarabią*, dawniej *Budziakiem*. Tam też stała twierdza *Akerman*, po słowiańsku *Białogród* zwana. Później i tych Tatarów tam osiadłych zwano Białogrodzkimi; zawsze mieli oni dużo dzikości i nie ulegali żadnym prawom (pisze Bartoszewicz i inni.)

z kobietami i dziećmi, ale też się za to nieraz ode-
mścili.

Właśnie około tego czasu, kiedy zmarł mój stary Kubalim, gotowała się w Krymie straszna wyprawa na Nohajców. Pan mój, Edyga-bey, choć już w latach podeszły i wielce otyły, wybrał się też na wyprawę, rozgniewany srodze, bo mu Nohajcy zamordowali syna starszego, który był seraskierem (czyli wodzem) w jednej z ich hord i nie chcieli dać haraczu, czyli podatku, jaki zwykle carom krymskim składać mieli. Podobno, że hanowie Nohajscy udawali się do Polski, do miłościwego króla naszego, obiecując hold, żeby im tylko dopomógł przeciw Krymowi, ale jakoś im się nie powiodło i Mengli-Girej, poraziwszy ich srodze i wyróżnawszy moc wielką, wielu też uprowadził do niewoli i osadził między Dnieprem a Dniestrem, aż ku Akermanowi. Trudno tę dzicz utrzymać w spokoju i chętnie ją car krymski wypuszcza, jak stado wilków zgłodniałych, na nasze ziemie, ażeby się tam krwią i łupem nasyciła. Dzicz tę od razu poznać można i odróżnić od Tatarów krymskich, bo ci ostatni więcej po ludzku wyglądają. Bo też w tym Krymie dziwna mieszanina: Grecy, Włosi, Czerkiesi, Słowianie, Turcy, wreszcie Tatarzy, tak się z sobą poplątali od wieków, że już niewiadomo, do jakiego plemienia których z nich zaliczyć.

W czasie tej wyprawy krymskich Tatarów przeciw Nohajcom, zjawił się we dworze Edygi-beya

gość niespodziewany; był to ksiądz-zakonnik, aż z Wołynia przybyły, który się tu przedarł, niosąc wykup za jednego szlachcica, brańca, którego Edyga w niewoli trzymał. Zacny to człek być musiał, bo się właśnie jego poddani składali, ażeby go z niewoli wykupić, a w wiosce czekała go żona z maleńkiem dzieckiem. Zwał się Korczak, zdaje mi się, człek był hartowny, bom nigdy skargi z ust jego nie słyszał. Niewolę i kalectwo (bo mu rękę odrąbano), znosił cierpliwie, ale gdy zobaczył znajomego sobie księdza ze stron rodzinnych, padł jak nieżywy na ziemię, a potem łzami się zalał. Nie można jednak było wypuścić go, dopóki Edyga z wyprawy nie wróci i tak zeszło miesięcy parę, a tymczasem kapłan ów, człek wielce mądry i pocziwy, przebywał ciągle między brańcami. Jednych umacniał w wierze świętej, innych pocieszał, obiecując się o wykup postarać, a mnie polubiwszy, nauczał rozmaitych rzeczy.

Z jego to ust dowiedziałem się o ludach, które dawniej ziemie te zamieszkiwały. Pięknemi słowy malował mi dzieje dawnych Greków, opowiadał ich podania czyli myty, bohaterskie ich walki, wyprawy morskie, wśród których nieraz zabłądzili na tę Taurydę, którą my dziś Krymem zowiemy. Prawił o Rzymianach i ich pięknych czynach, a mnie, słuchając tego, rosło serce w piersi i pragnąłem choćby kosztem życia mojego, dorównać któremu z tych szlachetnych bohaterów, a dusza mi się rwała do ojczyzny mojej. Myślałem sobie, że i u nas żyją bohaterowie, którzy krew przelewają w obronie ojczystej

ziemi, a czułem już w sobie dosyć siły, żeby miecz udźwignąć. Ojciec Hiacynt, bo tak się nasz zakonnik nazywał, obiecywał pamiętać i o mnie za powrotem do kraju; o ucieczce zaś nie było co i myśleć, bo to się nigdy prawie nie udawało.

Tymczasem nadjechał Edyga z hufcem swoim, znużony srodze wyprawą i zły, bo nawet łupów mu nie przyniosła żadnych, prócz koni i owiec, które Nohajcom zabrał. Tem chciwiej zaczął się targować z kapłanem o okup za szlachcica i nie chciał przyjąć sumy kilku tysięcy czerwonych złotych, twierdząc, że to za mało. Zacny ksiądz, który przyrzekł był wiernym kmiotkom i nieszczęśliwej żonie Korczaka, że nie wróci bez pana, ofiarował się zostać na jego miejsce w niewoli, dopóki nie zbierze się reszta pieniędzy na wykup. Nie chciał tej ofiary przyjmować szlachcic, ale wreszcie dał się nakłonić i wyruszył w drogę, ale niełatwą było rzeczą doczekać się reszty wykupu, gdyż podróż na Krym, z tyśiącem jest połączona niebezpieczeństw, a Dzikie Pola i Perekop gęsto zasiane bywają gromadami Nohajców, którzy nawet spokojnego posła nie poszanują i nie znają się na żadnych glejtach czyli listach bezpieczeństwa, jakiby ci mogli mieć przy sobie. Dla mnie obecność uczonego zakonnika, wielkiem była dobrodziejstwem; słuchałem go a umysł mój się rozjaśniał i coraz mocniej, zda się, miłowałem Boga i ojczyznę.

VII.

O Tatarach litewskich. — O Witoldzie i gościnności naszej dla przybyszów.

— Powiedcież mi jeszcze, panie bracie — rzekł jednego razu Jurko — skąd się wzięli ci Tatarzy, których tyle na Litwie siedzi i pono niezgorzej się tam jeszcze sprawują?

— Już to od dawnych czasów brali w jasyr Tatarów książęta Ruscy i Litewscy, za czasów też Gedymina wiele było na Litwie Tatarów. Witold Kiejstutowicz z wyprawy swej na Don *), przywiódł też wielką liczbę Tatarów, w roku 1397, i osadził ich nad rzeką Waką, gdzie im ziemieponadawał, a tak się dobrze z nimi obchodził, że potem i dobrowolnie hanowie ze szczątkami rozbitych hord przychodzili szukać na Litwie schronienia. Podatków tam nie kazano im płacić, tylko musieli chodzić na wojnę. Dawniej, za czasów pogańskich, pomagali Litwinom przeciw Polsce, potem, jak wiadomo, chodzili na Krzyżaków i przecież w sławnej a wiekopomnej

*) Pisze o tem kronikarz Bielski: „Witold wyprawił się przeciw Tatarom, które poraził i przygnał jedną hordę na Litwę z żonami i dziećmi, które osadziwszy, rozdał im pewne wsi około Waki rzeki, uczynił wolnymi od podatków wszelkich, tylko co na wojnę powinni są jechać.“ Są też poszlaki, że już od czasów Gedymina osiadali na Litwie Tatarzy.

bitwie pod Grunwaldem nie mało ich w naszym wojsku było. Z czasem Tatarzy bardzo się przywiązali do Litwy i osiedlili się tam na dobre, jakby w ojczyźnie swojej. Wiadomo o tej księżnie z rodu Tamerlana, która poszła za mąż za Monwida Litwina; wychrzcisz się na imię Zofii *), rozległe zakupiła dobra na Litwie, i wiele narobiła hałasu za czasów Jagielly jeszcze. Jużto Witolda Tatarzy wielce czczą i miłują.

— Wiem o tem — przerwał Jurko — przecież nam pan hetman opowiadał, że niedawno do miłościwego króla naszego przyszło z Litwy podanie, od tamtejszych Tatarów (1519 r.), gdzie było powiedziano: „Nie mamy już sławnego Witolda; on nam nie pozwalał zapominać o proroku, i obracając wzrok nasz ku świętym miejscom, powtarzaliśmy imię jego, jak imiona kalifów naszych. Przysięgaliśmy na miecze nasze, że kochamy Litwę, gdy w czasie wojny uważali nas za jeńców, a przy wejściu naszym do tej ziemi mówili, że ta ziemia, ten piasek i ta woda będą dla nas wspólne. Witolda znają dzieci nasze, i przy jeziorach słonych (t. j. na Krymie) i w Kapeczaku wiedzą, żeśmy w ziemi tutejszej, nie cudzoziemcy.“

*) Zofia pisała się tak: Z familii Tamerlanów Izmaela Sofihali i Solimanów Paalsknisowa, Kniahinia Mongolii, Georgii, Czerkiesów Komańskich, hrabina Abissynii, Sewastopola i brzegów morza Czarnego. Wyjechała wreszcie do Tatar, zostawiając na Litwie syna, Jana Janowicza de Tamerlan z Pausza (Paalsknis)...

— No, proszę, dobrodzieju mój — ozwał się pan Wincenty, który dotąd w milezeniu słuchał — ktoby się spodziewał, że te psy pogańskie, tak się obłaskawić dadzą! Bogiem a prawdą, jeszcze nie wiedział o tem wszystkim co gadacie!

— Ale i teraz — mówił Janek — często gesto ciągną całe gromady Tatarów i osiadają na Litwie i na Rusi; pełno tam jest rozmaitych beyów, murzów, ulemów, jak tam siebie nazywają i szlachta nasza pono nieźle ich przyjmuje.

— Ale bo też — rzekł Jurek — niektórzy z nich przyjmują nasze nazwiska od wsi, w których mieszkają, ba, nawet herby biorą *); i w naszej chorągwi jest taki jeden, zwie się Tupalski i gdyby nie krzywe oczy i twarz dziwnie żółta, ogorzała, trudno by było poznać, że z Mongołów pochodzi.

— O już, co to, dobrodzieju mój — krzyknął pan Wincenty — to już licha warto, żeby mi taki podły Tatarzyn miał się klejnotem herbowym pieczętować. Dziwno mi, że nasi miłościwi królowie na to pozwalają. Jabym to powywieszał na gałęzi, a nie jeszcze cackał się z nimi **).

Nikt nie oponował sierszystemu wybuchowi pana Gozdawy, bo młodzież wtedy wielki miała

*) Dotąd jeszcze na Litwie dużo jest rodzin pochodzenia tatarskiego: Abrahamowicze, Azulewiczowie, Buczaccy, Oknińscy, Bielakowie, nawet Baranowscy, Bykowscy, Józefowicze, Januszewscy i t. d.

**) Królowie polscy, zwłaszcza Zygmunt Stary i Zygmunt August, okazwali wiele łaskawości Tatarom litewskim,

respekt przed starszymi i rzadko się odzywała z Janem słówkiem zaprzeczenia. Po chwili Janek mówił dalej:

— Ja myślę, że z tych Tatarów możnaby dobrą konnicę urządzić, coby się w wojsku naszej rzezypospolitej przydała *), bo oni pod dobrem okiem, to i bić się potrafią.

— Janku, synu mój — ozwała się pani Bohowitynowa — bardzo ciekawe to wszystko, coś nam o Tatarach powiedział, ale moje dziewczęta straszy nieby chciały wiedzieć, co się tam z tobą dalej dzieło na Krymie.

VIII.

Janek posłem. — Co to Kałga a co Nuredyn? — Obietnica. — Gościna w Karasubazarze.

Prawda, że zarówno na Kałgę, jak i na Nuredyna, wybierano tylko członków panującej rodziny Girejów, ale nasz Edyga, przez żonę z rodem panującym spokrewniony, spodziewał się, że dostanie

a ci wielce się przywiązywali do przybranej ojczyzny. Szlachta tylko, przez zazdrość i obawę o swój klejnot herbowy, starała się ścieśniać ich prawa.

*) Rzeczywiście urządzono hufce takie; już za Zygmunta Augusta dobrze się sprawiały hufce tatarskie pod Połockiem i pod Pskowem, gdzie dowodził nimi Radziwiłł Rudy (1581 r.)

tę godność, byle kto zręcznie potrafił około sprawy tej pochodzić i podarki jego dla hana i przybocznych urzędników tegoż, ofiarować w dobry sposób.

Owóż okazało się, że niewiadomo czemu, Edyga-bey mnie właśnie przeznaczył na posła do hana i dał mi do zrozumienia, że się mogę spodziewać wielkich nagród, jeżeli się poselstwo moje powiedzie. Kto wie, może nawet zechciałby mnie mianować swoim wezyrem, bo trzeba wiedzieć, że nie tylko Han i Kałga, ale nawet Nuredyn w Krymie, posiada swój dwór i swego przybocznego wezyra. Widząc jednak, że te obietnice nie czynią na mnie zbyt wielkiej impresyi, dodał, że jeżeli mi się będzie podobało, to po wyjednaniu mu pożądanej godności, mogę sobie iść, gdzie zechcę, choćby i do „psów niewiernych”—tak Tatarzy nas, chrześcijan, nazywają.

Kiedy to Tatar, jak zwykle, wymówił powoli i bełkocąc językiem, czułem, że mi krew do głowy uderza, skłoniłem się i odrzekłem, żem za taką cenę, gotów nawet w morze skoczyć albo w ogień. Oburzony tym moim uporem, Tatarzyn raczył mi jeszcze tłómaczyć, że jestem ostatnim głupcem, chcąc porzucić dwór jego, gdzie mnie bogactwa i dostojenstwa czekają; w końcu jednak obiecał, świadcząc się Koranem, że otrzymam wolność, jeżeli tylko dobrze się sprawię i przywiozę od hana pomyślną odpowiedź.

Nie było co robić, musiałem się sposobić do drogi, naradzając się pocichu z ojcem Hiacyntem, który dotąd w jasyrze pozostawał. Wreszcie otrzymawszy jego błogosławieństwo, przystrojony niby z turecka w suty kaftan karmazynowy, żółte buty, z jataganem (krzywym mieczem) u pasa i w baraniej wysokiej czapce, wyruszyłem w drogę. Za mną szły suto obładowane wielbłądy i kilkunastu zbrojnych Tatarów, z których jeden osobliwie, niby stróż, na krok mnie nie odstępował. Miałem też przy sobie chłopaczka, lat dziesięcu może, któregom od Edygi wyprosił, niby do posługi, bom go wielce polubił. Jasnowłosy był, jak nasz Stasiek i także gdzieś ze szlacheckiego dworu porwany, a Leszko mu było na imię.

Tak tedy zbrojno i dworno jechałem przez Krym, niby wielki pan jaki, i niezadługo stanęliśmy w *Karazubazarze*, na pół drogi z Kaffy do Baczysaraju. Tam mieszkał Kałga, który miał osobne księstwo i dwór cały, a nawet radę na wzór hańskiego dywanu, z której pomocą sądził różne sprawy (tylko wyroku śmierci nie mógł wydawać i musiał się z tem odnosić do hana). Zresztą Kałga miał najwyższą władzę nad wojskiem, brał znaczną pensję i część podatków dla siebie, a w razie śmierci Hana, tak zarządzał państwem, jak to u nas książę Prymas. Kałga też był wybierany z rodu Girejów, a wybór, przez hana dokonany, szedł po potwierdzenie do sultana w Carogrodzie, skąd też przysy-

lano dla nowego Kałgi honorowe futra i 2,000 cekinów w podarku.

Gościłszy trzy dni u Kałgi, przed którym musiałem na twarz padać, według podłego obyczaju wschodniego; zostawiłem mu sporo podarków rozmaitych, najadłem się baraniny z ryżem, popijając ko-
byłem mlekiem, czyli kumysem i dalej w drogę, do Baczysaraju, hańskiej stolicy na Krymie.

IX.

Baczysaraj. — Dwór hański. — Mengli Girej. — Kto się nudzić zaczyna?

— Ciekawym też — ozwał się Jurek — jaka to może być stolica takiego barbarzyńcy? To chyba szopa z gałęzi sklecona?

— Ale gdzie tam — odparł Janek. — Tatarzy na Krymie wcale niepodobni do tych, jakimi dawniej byli. Han mieszka w pałacu z kamienia, marmurem ozdobionym, meczety tam błyszczą od złota; rozmaite przyprawy i korzenie ze Wschodu sprowadzają sobie carzyki tatarsey i naśladują, jak mogą, sułtana ze Stambułu, który nad nimi ma zwierzchnictwo. Kiedy han pojedzie do Carogrodu, to mu nawet wolno siedzieć w przytomności sułtana i pić z nim kawę, a w mieście przyjmują go i witają, jak-

by prawdziwego monarchę. A co podarunków mu naznoszą, to strach!

Jużto na Wschodzie taki zwyczaj, że bez podarunku ani przystępuj do kogo. I tak, lud znosi upominki urzędnikom i władzom, sułtan rozdaje podwładnym i znów od nich bierze. Tatarzy, co się niby to cywilizują na sposób turecki, przyjęli od Turków te zwyczaje. Han tatarski ma znaczny dochód, bierze bowiem różne cła od towarów na półwysep przywożonych, podatki rozmaite, jak „charadż” (pogłówne) „gieszyd” (drogowe) i inne. A jakie sobie tytuły nadaje!... Zowie się cesarzem tatarskim, czerkieskim i dagestańskim; używa też pieczęci ze swoim imieniem i herbem urzędowym „tamga.” Przywileje od hana dawane zowią tam „jarlyki.”

— A jakże wygląda pani hanowa, czy hanica? — pytał żartobliwie Juraś.

— Jest ich tam bardzo dużo, bo han ma żon kilkadziesiąt czasami, niewolnic z Grecyi i Czerkiesyi. Dzieci hańskie wszystkie noszą tytuł sułtanów i sułtanek, mieszkają w pięknych dworach, córki dostają duży posag. Taką właśnie sułtanką była żona mego Edygi-beya, najstarsza, a miał ich ten poganin co najmniej z piętnaście.

Kiedy o zachodzie słońca wjeżdżałem z moim taborem do Baczysaraju, wspaniale się z daleka pokazywało to miasto, pod górą leżące, a rzeka Czurak-gu, jak gdyby się paliła od złocisto-czerwonych promieni. Zajechalśmy do gospody, którą był wska-

zał Edyga-bey, a ludzie wygodne znaleźli pomieszczenie, równie jak wielbłądy. Nazajutrz zaraz słaniem podarki wezyrowi i innym urzędnikom hańskiego dworu, a były to bursztynowe cybuchy, futra piękne, puzderka misternie rzezane ze srebra i perłowej konchy, albo puhary złociste. Poznałem tam niejedno z naszej ojczyzny złupione i pamiętam jeszcze piękną delię sobolową, z plamą krwi na boku, którą znać było na purpurowym adamaszku. Były i naczynia kościelne i cerkiewne, a mnie się zdało, że ręce sobie plamię, jak gdybym się przyczyniał do tej bezecnej grabieży, i pilno mi było wylecieć ptakiem z tej pogańskiej krainy, daleko, daleko, do swoich!

Tymczasem po trzech dniach pozwolono mi się stawić na dworze hańskim, i znów nabrałem podarków co najkosztowniejszych, które za mną dźwigał Leszek, przybrany w niebieski, srebrem lamowany kaftan. Podobał się ten strój chłopczyni i musiałem mu długo tłumaczyć, jaki to wstyd dla nas, synów polskiej ziemi, przebierać się, jak niewierni poganie.

Han siedział na kobiercu, a wokoło stał cały dwór jego, prócz muftego, czyli głowy duchowieństwa*), który siedział niedaleko hana; byli tam:

* Do osiągnięcia tej godności, t. j. muftego, sędziego i sekretarza dywanu, trzeba było znać prawa i zwyczaj narodowy; zresztą na wszystkie inne żadnej nie wymagano nauki, tylko pochodzenia ze szlachty, czyli „Murzów.“

koniuszy hański, sędzia najwyższy, podskarbi, łowczy, marszałek, sekretarz dywanu, czyli rady wielkiej i inni. Musiałem znów nosem dotknąć ziemi i złożyć moje podarki. Sam han do mnie przemówił, pytając o Edygę. Odrzekłem słów kilka, poczem mnie wprowadzono do izby marszałka, gdzie podano kawę i słodkie konfitury rozmaite, oraz wręczono mi futro piękne, dar od hana. Marszałek pytał się, skąd jestem, bo po rysach widział, że nie Tatar i powiedział, że mogę znaleźć służbę na dworze hańskim. Pierwszy raz byłem zmuszony zataić, że jestem chrześcijaninem, żeby nie zaszkodzić sprawie Edygi-beya, ale ten poniewolny fałsz ciążył mi srodze na sumieniu i obiecałem sobie zań odpokutować potem.

— Czy to prawda — pytał ciekawy Juraś — co mówią o Mengli Gireju, hanie tatarskim, że strasznie ma być mądry?

— Dzielnym to i potężnym władcą *) a historię jego opowiadał mi właśnie sekretarz dywanu, dla-

nad urzędy nadworne przekładali godność „seraskierów“, czyli wodzów nad hordami nogajskimi, a takich było trzech, co niby książęta rządili i znaczny brali podatek dla siebie.

*) Z tym Mengli Girejem nieraz się układał król Zygmunt Stary i nawet mu obiecał coroczne dawać podarki, byle rozbójnicze hordy Tatarów powstrzymywał od najazdów na Polskę; ale gdy chytry Tatarzyn podarki brał, a napadów na ziemię naszą pohamować nie chciał, czy nie umiał, ugody te się zrywały.

tego ja tu pokrótce powtórzyć mogę. Azi Girej, podobno wnuk Tochtamysza, urodził się w Trokach na Litwie, w niewoli Witoldowej i za wsparciem tego księcia, dostał się na tron krymski; zawsze też okazywał się wiernym sprzymierzeńcem Litwy, bił Mongołów, z za Wołgi się pojawiających. Ten to Azi Girej był prawdziwym założycielem państwa i potęgi Krymu. Umierając (około 1470 r.), zostawił sześciu synów, ale najdzielniejszy z nich, Mengli Girej, powypędzał braci i sam został władcą. Na biedę naszą, jeden z tych braci, najstarszy, szukał schronienia w naszej Rzeczypospolitej, odtąd też Mengli Girej związał się przymierzem nie z nami, lecz z księciem Moskwy. Dużo przeszedł rozmaitych kolei, to wypędzany z tronu, to znów powracając, aż nareszcie poszukał wsparcia w Carogrodzie i podał się pod zwierzchnictwo sułtana, czyli padyszacha tureckiego.

Teraz już sułtan ma prawo wybierać hana dla Krymu, byle z rodziny Girejów, i niby uważa się za najwyższego władcę nad Tatarami; ale prawdę powiedziawszy, to się go Mengli Girej wcale nie lęka i nasłuchiwał się niemało, jak sobie umie radzić w Carogrodzie. Potrafi on usunąć niedogodnego sobie wezyra sułtańskiego i wszystkiego dokaże, czego zechce. Niby to on nie ma prawa iść na wojnę bez pozwolenia Turcyi, ale czy tego słucha? Gdzie tam! Najwięcej to odczuwa ojczyzna nasza, chociaż wiadomo, że sułtan Soliman wielce miłościwego króla naszego poważy i pokój z nim zachować pragnie. Ale

co ja tam prawie, a prawie o Tatarach, o Girejach, aż wszyscy pozasypiają.

— Jużto zasnąć nie wypada — ozwała się figlarna Halka — ale wolelibyście, panie braciszku, o sobie co powiedzieć, niż o tych seraskierach i muftych, czy jak tam ich zowiecie!

— A jam ciekaw tego wszystkiego — mówił Juraś — może da Bóg niezadługo pójde bić Tatary, to będę wyszukiwał samych Murzów, żeby im głowy rozplatać, niech nie udają szlachciców bo są to bisurmanie, którzy ludzi naszych, jak bydło w niewolę pędzą!

X.

Nowe sidła na Janka zastawiają. — Amina. — Koniec poselstwa. — Powrót. — Żegluga.

— Nie chcąc już zbyt długo przeciągać opowiadania — mówił Janek — od razu powiedzieć mogę, że mi się sprawa na dworze hańskim udała nadspodziewanie i za mojem pośrednictwem Edyga dostał urząd Nuredyna, którego tak bardzo pożądał. Nim jednak wyruszyłem w drogę z powrotem, jeszcze jedna pokusa stanęła przede mną. Jednego razu, siedziałem właśnie u sekretarza dywanu Timura, który mi miał wydać *jarlyk*, czyli przywilej od hana dla Edygi-beya z *tuchrą* czyli monogramem, splecionym sztucznie z wyrazów na wierzchu. Siedzieliśmy

obaj na kobiercu, nogi podkureczywszy i kawę popijając a fajki kurząc.

— Aż mi dziwno pomyśleć — ozwała się pani Bohowitynowa — żeś ty, mój synu, z cybuchem i w zawoju, niby pohańca udawał. Bogu dzięki niech będą, że ci serce zacne i nieskalane zostawili, ale wolałabym cię widzieć w owym lochu więziennym, gdzie cię dawniej trzymali, niż tam, za pan brat z tymi bisurmanami.

— I mnie, mateńko, strasznie obco i przykro było między nimi, ale kiedym przypomniał sobie, że tak się przymusiwszy czas krótki, otrzymam wolność i do ojczyzny powrócę, to wszystko znieść lżej było, nawet ten ohydny przymus i fałsz niejako, którym się usta moje plamili. Do meczetu jednak nie poszedłem ani razu, a w jakieś wielkie święto tatarskie, leżałem niby chory całe dwa dni, ażeby się od tego wybawić.

Otóż tedy, kiedym siedział u sekretarza hańskiego, ten mi wciąż prawi o wielkiej potędze hana: jak to przed nim noszą pięć buńczuków, to jest o jeden mniej, niż przed padyszachem (czyli sułtanem), jak w meczetach w całej Turcyi modlą się za padyszacha, a potem zaraz za hana i t. d.; wreszcie po długich omówieniach zapytuje, czym widział sułtanki, czyli córki hana, w pięknym ogrodzie bakczyserajskim. A trzeba wiedzieć, że Tatarzy nie zamykają swoich kobiet w takich haremach, jak Turcy. Edyga-bey, jeśli miał u siebie niby harem, to dla tego, że długo w Carogrodzie przebywając,

w młodych latach swoich, chciał naśladować tamtejsze zwyczaje.

Córki hana w Bakczyseraju widziałem nie raz, w czasie krótkiego pobytu mego, a było ich wtedy ze dwadzieścia niezamężnych. Jedną, dziwnie gładką tego lica, z czarnymi oczami, trochę do naszej Miry podobną, najpiękniejszą się między niemi wydawała, obracała się kilkakrotnie i uśmiechała, okazując białe ząbki, gdyśmy obok niej przechodzili w alei, kasztanami zasadzonej. Zwała się Amina, jak mi powiedział Timur. I teraz znów pytał, czy pamiętam ową czarnooką Aminę i wreszcie dodał, że han wielce na mnie łaskaw i jest pewny, że się mu potrafię wywdzięczyć za to, że chce mi dać za żonę piękną sułtankę, wraz ze sporym worem złota, wielbłędami, końmi i bydłem na jej posag przeznaczonymi.

Wprawdzie zdarzało się nieraz, że takie sułtanki wychodziły za ubogich mirzów, ale skąd mnie, nieznanego im przybłędę, taki zaszczyt spotykał? Dowiedziałem się potem dopiero, że Edyga-bey, chcąc swego posła uczynić znakomitszą na dworze hana figurą, powypisywał rozmaite nieprawdziwe o mnie historye, ale na razie wiedzieć o tem nie mogłem. Musiałem tedy tłómaczyć Timurowi, że dopóty o losie swoim nie stanowić nie mogę, dopóki nie załatwię spraw Edygi-beya, który mnie i odpowiedzi wielkiego hana niecierpliwie oczekuje; przyczem nieomieszkałem podziękować za wysoki za-

szczyt, jakim mnie obdarzyć pragną; w duszy jednak myślałem, jakby drapnąć co najprędzej z tatarskiej stolicy. Jakoż we trzy dni po tej u sekretarza wizycie, siedziałem na wielbłądzie, który, kołysząc się niby okręt na morzu, niósł mnie napowrót do mojego pana.

Ucieszony pomysłem poselstwem, Edyga-bey chciał mnie obsypać podarkami, ale ja nie biorąc, przypominałem od razu uczynioną mi przezeń obietnicę, że otrzymam wolność. Nie cofnął Tatarzyn słowa, chociaż jeszcze próbował mnie zachęcić do pozostania na Krymie; w końcu jednak, widząc, że się przy swoim upieram, pozwolił wyruszyć w drogę, dając mi jeszcze małego Leszka i kaletę (sakiewkę), złota pełną.

Co się w duszy mojej działo, tego opowiedzieć nie potrafię. Noc całą przed wybieraniem się w podróż spędziłem, klęcząc na modliwie, a z rana, skoro świt, wyruszyłem do Kaffy! Tam się spodziewałem spotkać z jakim kupcem chrześcijańskim i na okręcie do Wenecyi popłynąć, a potem już lądem do ojczyzny się dostać. Jakoż we trzy dni potem, a była to bardzo piękna noc majowa, stałem na pokładzie galery weneckiej i patrzyłem w niebo, uhaftowane gwiazd tysiącami, które się zdawały mrugać do mnie radośnie i pozdrowienie z ojczyzny przynosić.

— Ale coś mi się widzi, dobrodzieju mój — ozwał się pan Gozdawa — że niekoniecznie blizką drogę do kraju sobie obrałeś, przez morze. Przecie

nie tamtędy do nas wędrują, a oni pewno dłuższej drogi nie biorą.

— Dlatego to właśnie, panie wuju, ja tą drogą udać się nie mogłem, gdyż wpadłbym pewno w ręce tych rabusiów nanowo, a przytem miałem do spełnienia ślub, przed ojcem Hiacyntem Panu Bogu uczyniony w razie, jeżeli mi się uda wyrwać z niewoli pogańskiej; oto miałem odbyć pielgrzymkę do domku Najświętszej Matki Bożej w Loreto i tam krzyżem leżąc, wysłuchać Mszy Świętej, pierwszej od czasów mego dzieciństwa. Otóż to Loreto leży nad morzem, we włoskiej krainie, i tam mnie kapitan galery naszej wysadzić obiecywał, zanim do Wenecyi dojedziemy. Inaczej się jednak Bogu podobało, jak to zaraz zobaczymy,

XI.

Potęga turecka na morzu. Korsarze. — Straszliwe przebudzenie. — „Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły.“

Nasza galera, zwana „Gołębicą,” mknęła po fali szybko, chociaż załadowana mnóstwem futer, drogich metali ze Wschodu i ukrytych między niemi drogich kamieni, jak się potem dowiedziałem. Niebawem popłynęliśmy pod Carogród i nie zatrzymując się wcale, wążiuchną cieśniną, Bosforem, wpłynęliśmy na morze Marmora. Cudnie się przedstawia

zdala ta stolica padyszacha, ale serce mi się ścisnęło, że przed stu laty niespełna, jeszcze ona należała do chrześcijan, że tam, gdzie teraz błyszczą półksiężycy, wznosiły się wysoko złote krzyże kościołów naszych. A świecą i migocą na słońcu kopuły tureckich meczetów bardzo wysoko ponad tą falą modrą, która, pieniać się, uderza o skały nadbrzeżne.

Dalej znów Hellespont sławny (cieśnina Dardanelaska), i już jesteśmy na morzu, które Archipelagiem zowią, bo zasiane wyspami, a te, jak szmaragdy, zielenią się, rozsypane między Europą i Azją. Mijają nas rozmaite okręty w tej żegludze, rozmaite na nich powiewają flagi, ale najwięcej jest tureckich.

Opowiadał mi nasz kapitan okrętu, że żadne państwo w Europie nie posiada takiej marynarki, jak turecka *). Ich admirałowie to ludzie uczeni, którzy na papierze wszystkie morza i lądy rysować umieją, a jakie mają armaty! To też ich potędze ulegają różne grody i państwa całe. Tu oblegają Marsylię w południowej Francyi, tam znów na wybrzeżach

*) Marynarka turecka najświetniejsza była w XVI w. (aż do pogromu pod Lepantem 1572 r.), dowódcy jej byli zarazem korsarzami i tworzyli państwo Berberów, w Afryce północnej. Turcy nawiedzali wybrzeża Sycylii, Hiszpanii, Francyi i Włoch, paląc miasta, a mieszkańców biorąc do niewoli. Admirałowie Solimana, wśród wojen i rozbojów, znajdowali czas na naukę, pisali dzieła, wydawali mapy historyczne i żeglarskie; mistrzami byli w dobywaniu miast artylerją swą wyborną. Cała Europa drżała przed nimi.

Indyi, potykają się ze sławnymi również żeglarzami portugalskimi. Niedawno grozili Rzymowi, w falach Tybru czerpali wodę. Tu znów zdobyli (1523 r.) gród niezwyciężony na wyspie Rodos, gdzie trzy wieki zgórą opierali im się waleczni rycerze Św. Jana Jerozolimskiego.

Wszystko mi to opowiadał kapitan wenecki, wskazując palcem na mapie, która przed nim leżała, kraje i miasta przez bisurmanów zajęte; były one poznaczone czerwoną farbą, a tych czerwonych punktów przybywa co rok więcej i więcej. „I nasza, wenecka flota — mówił kapitan — choć sławna po wszystkie czasy, drży teraz przed Turczyńcem dzi kim a łupieżnym! Sam sułtan Soliman Wielki *) puszcza się nieraz na morze. O tym sułtanie także się dziwów nasłuchiwałem różnych. I dobrze mi było, że w niewoli u Edygi od innych jeńców po włosku był nauczył cokolwiek, bom się mógł teraz rozmówić z weneccyanami i dowiadywać się rzeczy ciekawych.

A tymczasem noc zapadła i wolniej już posuwaliśmy się, żeby nie uderzyć o skały, ukryte pod wodami Archipelagu. Znużony, usnąłem twardo na pokładzie, z głową opartą o jakąś pakę z towarami, a we śnie zdawało mi się, że widzę, jak po fali sunie

*) Soliman (1521—1566) słynny z mądrości i odwagi: nadał prawa ogromnemu państwu swemu, rozwinął siłę lądową i morską, odzywał się jak pan do monarchów Europy. Tylko Zygmunta I szanował wielce.

okręt ogromny i coraz olbrzymieje, a na przodzie samym stoi rycerz turecki, także olbrzym w zawoju i podnosi krzywy miecz swój do góry, że aż w obłokach błyszczy, niby półksiężyc srebrzysty. A ten Turek olbrzym na olbrzymim okręcie pędzi wprost na naszą galerę i zgniecie ją pewnie, jak łupinę z orzecha... Serce mi biło gwałtownie, wyciągałem ręce, żeby się bronić, czy zasłonić... wtem straszny huk wstrząsnął mną całym i jak długi runąłem na pokład!

Budzę się, oczy przecieram: wokoło mnie zamęt i rozruch, ludzie biegają w różne strony, błyskają światła wśród czarnej nocy, i znowu huk straszny, niby grzmot: raz, drugi, trzeci! To z armat strzelają! Co się stało? — pytam. — Nikt nie odpowiada, a tuż koło mnie przelatuje, furcząc i świszcząc, kula i ginie gdzieś w ciemności. Kapitan wydaje rozkazy, z trudnością dobiegam do niego i dowiaduję się, żeśmy zgubieni, bo nas opadli korsarze tureccy ze wszech stron, i żadnego niema ratunku. Kilku majtków poległo, maszt główny strzaskany i już bisurmany, dziko wrzeszcząc, cisną się na pokład.

W jednej chwili leżeliśmy powiązani na pokładzie, a Turcy łupili okręt, zabierając paki w nim zawarte, i przenosząc je szybko na swoje statki; a było ich kilka, bo ze wszech stron błyskały światła złowrogie. Ja miałem czas pochwycić Leszka małego i z nim razem leżeliśmy związani, obok pęku lin zwiniętych. Poprzenosiwszy paki, korsarze zabrali

się do nas i także poprzierzucali na któryś ze swoich statków. Biedna „Gołębica,” która się broniła z początku, podziurawiona tureckimi kulami, szła szybko na dno. Dalej już nie wiedziałem, co się stało, bo mię wraz z innymi rzucono na dno okrętu, i tylko przez drewniane jego boki, słyszałem głuchy huk fali morskiej, zgrzyt łańcuchów i lin targanie.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil w mojej niewoli... Przed kilku godzinami spokojny, szczęśliwy, płynąłem, myśląc, że każda chwila mnie zbliża do ojczyzny ukochanej, a teraz? Skrępowany leżę w ciemnicy, jakby w brzuchu potwora, nic nie wiedząc, co się ze mną stanie. I nie wiem, co by ze mną było, gdyby nie to uczucie, że Bóg Wszechmocny czuwa nad nami, że i z tej ciemnicy, gdzie ciało skrępowane bez ruchu pozostaje, duch mój ku Niemu wzniesić się może. Modliłem się też gorąco do Boga, do tej Matki Najświętszej, której wizerunek czułem na piersi mej, do tej pocieszicielki strapionych, i zwolna zwolna, nadzieja jakaś zaczęła mi wstępować w serce, a łzy gorące spływały po twarzy. Leszek, biedne dziecko, tulił się do mnie, a ja go pocieszałem, mówiąc o tym Ojcu Przedwiecznym, który nas pewno nie opuści, i sam się czułem coraz spokojniejszy, silniejszy na duchu.

XII.

Żywcem pogrzebani. — Towarzysze niewoli. — Kozak i Grek.

Ranek zaświtał, ale do nas przez wąskie szczeliny tylko wdzierały się słońca wschodzącego promyki, które pozdrawiałem, jak zwykle, odmawiając hymn do Bogarodzicy. I w tej chwili właśnie ustało skrzypienie lin i szum około okrętu: staliśmy na kotwicy. Zaczęło się znoszenie pak, tupanie i ciężkie stąpanie na pokładzie, nad głowami naszymi; wreszcie i na nas kolej przysłała: zdjęto nam więzy i wypędzono na ląd, a było, prócz mnie i Leszka, kilkunastu ludzi z załogi „Gołębicy,” kapitan i kupiec. Co z nimi się stało, nie wiem; mnie z kilku innymi zaprowadzono do wielkiej jaskini, gdzie dostaliśmy koziego mleka i placków jakichś owsianych, twardych jak kamienie.

Byliśmy tedy w ręku korsarzy tureckich, którzy znać dobrze powiadomieni o nas przez jakiegoś zdrajcę z załogi „Gołębicy,” od razu poróżdzielali nas według zysku, jakiego się spodziewać mogli. Kupca, kapitana i jeszcze jakiegoś podróżnego, mieli uwolnić za dobry okup, mnie zaś z kilku silniejszymi ludźmi zapędzili do pracy w łomach marmuru, znajdujących się na wyspie, do której przybyliśmy. Leszka biednego próbowali mi wydrzeć, ale chłopczyzna nie chciał żadnego pokarmu do ust przyjmować, dopóki mnie znów nie zobaczył, a że był wąły i mizerny,

dali mu jakoś spokój, i został z nami. Na noc zamykali nas w jaskini, zawalając wejście wielkim kamieniem, który z zewnątrz tylko poruszać się dawał; mieliśmy prócz tego kajdany na nogach; z rana dozorca pędził nas do kopalni, gdzie cały dzień musieliśmy pracować.

Wyspa była prawie pusta, tu i owdzie wystawały drzewa oliwne z szarawym liściem i cyprysy, a w jaskiniach było mnóstwo kryjówek, gdzie korsarze niewolników i złupione skarby przechowywali. Mieli też między skałami wygodną przystań, gdzie się kryły ich statki. A codzień nieledwie wyruszali na połów i przywozili ludzi, towary, czasem kobiety i dzieci małe nawet. Wszystko to jednak odbywało się dalej, z drugiej strony wyspy, a nas, w kopalni zamkniętych, zdala tylko dochodziły krzyki, przekleństwa i kłótnie bisurmanów, albo jęki i skargi jeńców nieszczęsnych, których potem, jak towar, rozsyłano w rozmaite strony na sprzedaż lub wymianę.

Ciężki był los mój, a jednak nie traciłem i wtedy nadziei, chociaż czułem się pogrzebanym w tym kamiennym grobie. Najokropniej było wieczorem, kiedy nas zawalono ogromnym kamieniem i zostawaliśmy w ciemnicy straszliwej, do której się żadne światło nie przedzierało. Towarzysze moi, a było nas około dziesięciu różnych narodowości: Włochów, Francuzów i Greków, ale po większej części chrześcijan, choć trudno było to poznać, jedni klęli w okropny sposób, inni jęczeli i narzekali, ale

powoli udało mi się ich namówić do wspólnej modlitwy, i znów co wieczór, jak to niegdyś w szopie u Edygi-beya, śpiewaliśmy Pieśń wieczorną. Jednego dnia ja intonowałem „Bogarodzico!” z Leszkiem, a inni głosem tylko wtórowali; drugiego dnia znów Włosi, majtkowie, ulubione „Ave Maria Stella” (Witaj Gwiazdo morza) zaczynali, i tak stopniowo wszyscy się do tego nazwyczaili; a dziwnie brzmiał ten śpiew pod ziemią, w łonie kamiennej skały, gdzie nas żadne ucho nie słyszało, żadne oko widzieć nie mogło, Boskie tylko, która i wnętrzości ziemi przenika.

A tak się jakoś stało, że ja, choć między towarzyszami najmłodszy, miałem nad nimi władzę niby, bo mnie wszyscy szanowali i nawet słuchali. Nieraz mi się udało rozbroić dwóch ludzi, co się już z pięściami na siebie rzucali; godziłem zwaśnionych, a przy robocie nie próżnowałem ani chwili, tak, że nadzorca zaczął być dla mnie ludzkim i względnym nawet. Praca zahartowała moje siły, a na duchu, Bogu dzięki, nie upadłem; parę razy przemówiłem do nadzorcy naszego śmiało, ale bez zuchwalstwa, o lepsze dla nas pożywienie i lampkę na noc, obiecując za to, że wszyscy gorliwie pracować będziemy; i udało mi się, a towarzysze jeszcze więcej mnie za to polubili. Później doszło do tego, żeśmy już bez kajdan sypiali, co było wielką ulgą, bo żelaza raniły nam nogi i spać nie dawały na posłaniach, z mchu i liści przygotowanych.

— Widzisz, synu mój — rzekła pani Bohowytynowa, łzę ocierając — jak to Bóg krzepi każdego, kto w nim ufność ma i wszędzie uczciwie sobie poczyną; i twój los przez to stawał się łżejszym i dla innych jeszcze byłeś podporą a osłoda.

— Między niewolnikami — mówił Jan — znajdował się jeden stary Kozak z nad Dniepru, z którym pokochaliśmy się bardzo; on mnie inaczej nie chciał nazywać tylko „panyczeńku!” Rozповідаł nieraz o Sicy, o mołojcach, z którymi niejedną odbył wyprawę, aż go w końcu pochwycono rannego, kiedy w czajkach z braćmi Kozakami umykał, podpalwszy jakiś gród turecki na wybrzeżu czarnomorskiem. Stary Maksym śpiewał nam tęskne dumki, szczęśliwy, że ja go rozumiem, a wieczorem dziwne rozповідаł baśni, albo ciekawsze jeszcze dzieje młodości swojej.

Drugi jeniec, także z siwiejącym już włosiem, Grek z rodu, ale mówiący i po włosku, pociągał mnie również ku sobie. Smutny był bardzo, bo mu Turcy siedzibę jego spalili, żonę i dzieci wymordowali, a jego w niewolę powlekli; ale spokojny, nie szemrał, nie przeklinał, tylko czarnem okiem wpatrywał się w dal, jak gdyby tam za morzami, za chmurami szukał ojczyzny swojej. Harmodyus, tak się zwał ów Greczyn, polubił mnie, bom mu przypominał zabitego syna w tym właśnie wieku; od niego znów nasłuchiwałem się historyi o jego pięknej ojczyźnie, o gajach laurowych i białych, marmurowych pałacach, z których teraz tylko zwaliska zostały.

Greki umiał z marmuru wykuwać dziwnie piękne postaci, jakby żywe, i znajdował w tem pociechę, choć mu korsarze zabierali wszystkie roboty, żeby je potem sprzedawać gdzieś daleko. Maksym znów za pomocą żółwiej skorupy, urządził sobie jakąś lirę, czy teorban, na którym wygrywał wieczorami, przyspieszając swoje dumki kozacze. I tak w niewoli nawet życie znośniejsem się stawało.

VIII.

Wielkie odkrycie. — Dowcipny Beppo. — Pracujemy jak krety. — Podziemie. — Wiewiórka.

— Kilka już miesięcy przeszło tej mojej niewoli, gdy jednej nocy, a mieliśmy już wtedy lampkę zawieszoną u kamiennego sklepienia jaskini naszej, obudził mnie ze snu jeden z towarzyszy, Włoch, dawny majtek „Gołębicy,” nadzwyczajnie sprytny chłopak.

— Chodźno pan — mówił do mnie zeicha — mam coś ciekawego do pokazania! — prowadząc mnie w głąb jaskini, która się z jednej strony przedłużała w ciemny i wązki niby korytarz, odsunął na bok kilka kamieni i ukazał mi szczelinę w kamiennej ścianie. Niewielki to był otwór, o parę stóp nad ziemią, ale nachyliwszy się nad nim, czuć było jakiś powiew chłodnego powietrza. Zdziwiłem się mocno, bom tego nigdy przedtem nie był zauwa-

żył, Włoch zaś szybko i gadatliwie, a przytem po swojemu rękami wymachując i oczy przewracając, jak to oni czynić lubią, zaczął mi tłumaczyć, że on tę dziurę od dawna wyszperał i już ją nawet trochę rozszerzył, ale dopiero teraz zmiarkował, że to musi być otwór, prowadzący do naszej kopalni, bo w tę stronę był zwrócony.

— Trzeba — dodał — lepiej się o tem przekonać i dla tego staraj się pan jutro z całej siły bić kilofem (rodzaj toporu górniczego) w tę ścianę, obok której Harmodyus zwykle pracuje. Ja udam chorego i zostanę tutaj, a będę dobrze nasłuchiwał. Jeżeli tak jest, jak myślę, to, per Bacco! (ulubione zaklęcie Włochów) musimy się stąd wykopać, jak krety i uciec tym przeklętym szatanom, którzy nas żywcem zagrzebali.

Trudno mi było z początku uwierzyć w to i zrozumieć pomysł dowcipnego Beppę (co po włosku znaczy Józiek), ale nazajutrz chłopak wywijał się na posłaniu swoim, krzycząc w niebogłose tak, że dozorca musiał uwierzyć, iż mu straszne bóle szarpiały wnętrzności, i nie wypędził go na robotę, tylko zostawił w jaskini ze dzbankiem wody i kawałkiem placka. Wieczorem, kiedyśmy wrócili, leżał jeszcze Beppo, jęcząc z przewróconemi oczami, że mu tylko białka widać było, ale zaledwie towarzysze posnęli, on znów wśliznął się do mnie i podskakując, jak szalony, szeptał radośnie:

— Słyszałem! słyszałem wybornie bicie w ścianę dziś rano! Prawda, że się wygłodziłem, jak pies,

ale warto było! Będziemy wolni, tylko musisz mi pan pomóc. Wszystko będzie dobrze!

Zaczęliśmy już we dwóch oglądać ukryty w skale otwór i pokazało się, że nie trudno byłoby wykruszać zmięklą od wilgoci ścianę i wydrążyć coraz głębiej szczelinę, która musiała się przedłużać aż do naszej kopalni, jak twierdził Beppo. Kiedy go spytałem, skąd mu ta myśl przyszła, sięgnął do swych w gęste kędziory zwiniętych włosów i wydobyl z nich malutki jakiś przedmiot. Przy słabem świetle lampki, z trudnością poznałem, że to była mała busola, jak te, których używają marynarze, żeby się po morzu kierować, bo jest tam oprawiona igielka, której jeden koniec zawsze ku północy wskazuje. Beppo, choć młody, ale rozmaite już miewał przeprawy, i nauczył się rozmaitych figlów i podstępów, którymi sobie wszędzie poradzić umiał. Zepsuty był bardzo, ale jednak i w nim tkwiła jakaś pocziwa iskierka, bo kiedy mi mówił o swej matce, która gdzieś tam, w Wenecyi, na Lido za nim płakała, miał sam łzy w oczach. Mówił mi z najzimniejszą krwią, że jak tylko mu się udało coś ładnego, kosztownego ukraść dawniej, to robił piękny podarek najprzód matce, a potem Św. Madonnie, żeby mu dopomagała nadal.

— Ach, jakież to niegodziwy człowiek! — wykrzyknęła Halka, nie mogąc już wytrzymać — to gorzej, niż prawdziwy poganin.

— Zapewne, że gorzej, ale Beppo był bardzo zaniedbany, i nikt go nie oświecił, żeby poznał, co

coś podobnego, bo wtedy zawsze z pod ziemi huk słychać. W tamtych krajach to nie dziwnego, ba, nieraz tak bywa, że cała wyspa zapadnie się w morze zupełnie, a znów w innem miejscu wynurzy się nowa *).

I Turcy jakoś uwierzyli temu, a my byliśmy ostrożniejsi, odtąd i praca jeszcze powolniej postępować musiała. A jakie my to dziwne rzeczy znajdowaliśmy pod ziemią! Były muszle i ości rybie skamieniałe, a w pieczarze znaleźliśmy dużo kości ogromnych, jakby od wielkich zwierząt jakichś; były nawet i ludzkie, lecz musiały być bardzo dawne, bo stwardniały zupełnie na kamień. Beppo, grzebiąc między temi resztkami, wyciągnął duży, niezgrabny topór, ale nie z żelaza, tylko z brązu, i drugi mniejszy, z ostrego kamienia zrobiony. Uważaliśmy to za prawdziwy dar Boży, i przydały się nam oba topory wybornie do roboty naszej. Korytarz nie mógł być wysoki, więc trzeba było rąbać lub kopać, kłęcząc, otwór zaś przedłużaliśmy w stronę kopalni, skąd zalały świeży powiew wiatru; to nam pozwalało oddychać swobodnie. Dochodził też szum morza coraz lepiej; widać, żeśmy się dobrze kierowali, ale nie wiedzieliśmy z pewnością, w którym miejscu kopalni kończy się podziemny kanał.

*) W naszym już XIX wieku było podobne zjawisko na archipelagu z wyspą Santorynem.

Beppo i na to znalazł sposób. Miał on wiewiórkę oswojoną, którą zawsze z sobą nosił w rękawie, albo na głowie. Jednego dnia zbliżył się do wielkiego dołu w kopalni i, ostrząc topór o kamień na brzegu leżący, opuścił go niby niechcący. Nadzorca, stary Turek, ogromny, jak olbrzym, ale kulawy, bo mu nogę kiedyś kula urwała, przyskoczył i uderzył po plecach niezgrabiasza za szkodę wyrządzoną, ale ten, niezmiészany, zaczął prosić, żeby mu pozwolili spuścić się do dołu, to się topór odnajdzie. Liny były pod ręką, bo ich używano w kopalni do dźwigania marmurów; za chwilę nasz Beppo, zawieszony jak ptak w powietrzu, zniknął w ciemnym dole. Trudno go było dojrzeć w głębinie, ale niezadługo dał znać krzykiem, żeby go wyciągnąć napowrót, i zjawił się zdrów i cały, z toporem, uwiązany u pasa. Przez cały dzień pracował gorliwie, śpiewając i podskakując, jak gdyby go co bardzo dobrego spotkało.

Wieczorem, jak zwykle, zapędzono nas do jaskini, ale zaledwie kamień się zawalił, Beppo, nie czekając nocy, rzucił się zaraz do otworu i niebawem wyskoczył, unosząc nad głową wiewiórkę, którą całował i pieścił, a przytem rzucał się jak szalony z radości.

— Co się stało? — pytamy — i okazuje się, że dowcipny Włoch poto tylko spuścił się do dołu, aby się przekonać, czy kanał ów naturalny z naszej jaskini otwiera się rzeczywiście w owym dole, a natrafiwszy na otwór podobny, wpuścił doń zręcznie

swoją wiewiórkę, zasłaniając wejście tak, żeby już wrócić nie mogła. Biedne zwierzątko wśliznęło się głębiej i póty się czołgało, aż natrafiło na korytarz przez nas wykuty, gdzie ją właśnie Beppo znalazł. Teraz już nie było wątpliwości, że praca nasza na coś przydać się może, z podwójnym też zapalem wzięliśmy się do dzieła.

XIV.

Wielkie dzieło ukończone. — Nowi towarzysze. — Łódź zbawcza. — Noc upragniona. — Nowe trudności. — Poświęcenie. — Znów niewola.

— Nie mogę pojąć — ozwała się pani Bohowitynowa — jakim sposobem myśleliście uciekać, nawet gdyby się udało dostać do tej kopalni; przecież wyspa należała do tych strasznych korsarzy, a statku nie mieliście, żeby stamtąd wypłynąć.

— Właśnie, mateńko, nad tem najwięcej głowy sobie łamaliśmy, ale od czegoż Beppo, który na wszystko poradzić potrafił. Jednej nocy, a było to już przeszło dwa lata, jak pracowaliśmy w podziemiu naszym, ja i Beppo, z siekierami w ręku, rozbijaliśmy skałę wapienną, kiedy nagle bryła cała usunęła się przed nami, chłodne powietrze wionęło prosto w twarz, a przed oczami zabłysło światelko jakieś. O, Boże wielki! byliśmy już przy tym dole, na którym wykuta galerya marmurowych łomów

otwierała się wprost ku morzu. I tamtędy z błękitnego nieba zabłysła gwiazdka, jak gdyby nam drogę wskazać chciała. Ja, klęcząc, wzniosłem ręce do nieba, lzy mi twarz zalewały, a usta szeptały słowa dziękczynienia dla Wszechmocnego. I Beppo padł twarzą do ziemi, modląc się, płacząc i śmiejąc zarazem.

Łatwo się domyśleć, jak się wszyscy towarzysze radowali, jak jeden po drugim wślizgiwał się do otworu, żeby spojrzeć na niebo i odetchnąć pełną piersią powietrzem, co od morza wiało. Trzeba było tem większej mocy, żeby ich utrzymać w spokoju i cierpliwości, nim się da urządzić coś dla wyprowadzenia nas z tej korsarskiej kryjówki. Kilku z towarzyszy, niosąc kamień do przystani, przypatrzyło się już cokolwiek wyspie i jej wybrzeżom; teraz Beppo wymykał się każdej nocy, żeby lepiej zbadać okolice.

Nie będę już opisywał, ile to trudności przedstawiało się na każdym kroku, czy to w przytwierdzeniu liny do dołu w kopalni, czy w przeslizgiwaniu się niepostrzeżenie, aby nie być schwytanym przez korsarzy; dość, że w końcu Beppo upatrzył sporą łódź w przystani, między skałami ukrytą a mogącą nas wszystkich pomieścić, i postanowiliśmy próbować szczęścia, jak tylko nasi korsarze udadzą się na wyprawę. Wybierali oni do tego najczęściej noce ciemne, a znając wybornie przesmyki i kryjówki około swojej wyspy, przesuwali się bez szwanku między skałami i rafami podwodnemi, których

tam było mnóstwo. Dla tych też raf zapewne, żaden okręt obcy nie zawadził nigdy o wysepkę naszą, i rabusie czuli się tu bezpiecznymi.

Czekaliśmy więc niecierpliwie nowiu księżyca do skuteczenia naszej ucieczki, kiedy niespodzianie przybyło nam dwóch jeszcze towarzyszy. Jeden był to kupiec z Francyi. Porwany na wybrzeżu prowancjiem, rozpacział srodze, zostawił bowiem żonę i kilkoro drobnych dzieci; drugi, także Francuz, młody chłopak, jednak u matki wdowy. Trzeba i im było odkryć tajemnicę podziemia, a teraz już dwunastu prócz mnie, znajdowało się niewolników w jaskini naszej.

Nadszedł wreszcie dzień wielki, upragniony. Od rana już, pracując w kopalni i wyciągając kamienie na wybrzeże, uważaliśmy ruch niezwykle zdaleka na wyspie; musieli się rabusie gotować na większą wyprawę i wcześniej nawet, niż zwykle, zapędzili nas na nocleg. Czas był pochmurny, i pod wieczór nawet mgła zaczęła się unosić nad wybrzeżem. Skorośmy zostali sami, ja ukląknę, jak zwykle, do pieśni wieczornej, po której odśpiewaniu, padłszy na twarz, gorąco się modliłem o powodzenie naszego przedsięwzięcia. I głucha nastąpiła cisza, a każdy w skupieniu ducha, musiał po swojemu korzyć się przed Władcą Wszechrzeczy, którego w takich momentach dusza najmocniej uznaje. Potem wstaliśmy i zabraliśmy się do podziemia; a trzeba było wielkiej ostrożności i porządku: przez ciasny korytarzyk po jednym tylko wysuwać się mogliś-

my; i to pełzając na czworakach czasami, a każdy wypoczywał chwilę w owej pieczarze, której znaczną część zasypaliśmy byli ziemią. Wygrzebawszy się aż do końca korytarza, trzeba było znów, uczepiwszy się liny, za pomocą sznurowej drabiny, którąśmy już od kilku miesięcy mozolnie wyplatali, wdrapywać się na górę do kopalni. Wszystko to zajęło sporo czasu, zanim ja ostatni wydobyłem się z kryjówki naszej.

Tymczasem Beppo z trzema innymi poszedł już był chyłkiem ku miejscu, gdzie się znajdowała zwykła, uczepiona łódź, i spodziewaliśmy się, że niezadługo przybiją do brzegu od strony kopalni, aby nas z sobą zabrać i puścić się na morze. Spokojne ono dziś było, Bogu dzięki, bo inaczej jakże się puszczać na bezdenne głębiny w wątej łodzi, która, jak lupina z orzecha, o skały rozbić się mogła? I teraz rachowaliśmy na biegłość marynarską niektórych towarzyszy, aby się prześlizgiwać między rafami nadbrzeżnemi.

Czas mijał, a Beppa i łódki upragnionej jakoś widać nie było; serce mi jak młotem biło w piersi, ale uspokajałem towarzyszy i Leszka, który, drżąc ze wzruszenia, tulił się do mnie. Wreszcie cichy plusk wiosła obił się o uszy nasze: To on! już się zbliżają, już są przy brzegu, i Beppo wyskakuje na ląd. Szybko, urywanemi słowy opowiada, że, przybywszy na miejsce, łodzi nie znalazł, korsarze ją widać zabrali, musiał szukać dłużej; już upatrzyli drugą, gdy straż tam postawiona zawołała na nich, czego chcą?

I tym razem przytomność umysłu Beppa, pozwoliła im się wywinąć z tej matni tak, że sami strażnicy, nie znając ich, dopomogli łódź odczepić, ale niestety! łódź ta o wiele mniejsza od tamtej, nie wiadomo, czy dziesięciu ludzi zmieści!

Tu dopiero wzburzenie, nikt nie chce zostawać, wszczyna się spór, zaciskają się pięści, gniewne słowa lecą, a tu czas uchodzi, i lada chwila możemy być wysłedzeni... Naturalnie, chciano zostawić owych dwóch ostatnich więźniów, którzy nawet nie pracowali nad podziemiem, ale ci błagają, żeby ich nie porzucać; jeden żonę i dzieci przypomina, drugi miał być odesłany do pułków janczarskich, więc wszelkimi siłami chce się ratować. Cóż robić? Czyż wszyscy mamy ginąć przez upór, tyle przeniósłszy i przecierpiawszy? Przemówilem raz i drugi, ale na próżno; już się dwóch majtków porwało za barki, a kłótnia coraz gwałtowniejsza wybucha. Niema ratunku! wyciągnąłem rękę i mocnym głosem nakazałem milczenie, poczem, zwracając się do Beppa, który był jakby wodzem na łodzi, rzekłem:

— Bóg mi świadkiem, że czekałem tej chwili, jak zbawienia prawie, i wszyscyśmy jej również czekali; teraz zgubimy się dobrowolnie. Widzę, że innej rady teraz niema; mamy ginąć wszyscy, to niech lepiej ja ginę. Zostaję tutaj, wy płynicie; kto jeszcze ze mną?

Beppo zaklął straszliwie.

— To być nie może! Ja łódź zatopię, a bez ciebie nie jadę!

I nowe wahania, spory, groźby. Wreszcie, wezwawszy Boga na pomoc, oddałem im w opiekę Leszka, który także z początku porzucać mnie nie chciał, i odszedłem kilka kroków, a tu już i krzyk jakiś na wyspie słychać było.

— Na miłość Boga, nie tracić czasu — mówię drżącym głosem, ale stanowczo — ja zostaję, płyniecie natychmiast.

— I ja z wami, panyceńku! — I obok mnie stanął poczciwy Maksym, i on nie miał nikogo bliższego na świecie... Za chwilę łódź odbiła od brzegu, a wsamą porę, bo na wyspie wszczął się rozruch. Spostrzeżono widać, że coś się dzieje niezwykłego, i zaczęli z pochodniami uwijać się Turcy, ale nie wiedzieli, w którą stronę się udać. Tymczasem łódź mknęła szybko po fali.

Patrzyłem daleko w ciemności, jak gdyby oko moje mogło przebić grube zasłony wszystko kryjące, i znowu, znowu czułem się sam, opuszczony... Leszek, którego pokochałem, jak brata, stracony dla mnie, a z łodzią, która go uniosła, uciekła też nadzieja swobody, lepszej doli. Ale czułem też, że postąpiłem uczciwie. Gdyby nie moja ofiara, byłoby gorzej jeszcze, bo nikt nie chciałby tu pozostać i całą wyprawa, z takim mozołem przygotowana, zesłaby na nic. Maksym poczciwy wyrwał mnie z tej bolesnej zadumy i potrącił z lekka w ramię, kiedy jak martwy leżałem na twardym glazie nad brzegiem.

— Co teraz będzie? — pytał — i prawda, co teraz począć? Po krótkiej naradzie uradziliśmy, póki jeszcze trwa nocy ostatek, prześliznąć się do jaskini naszej i, odwaliwszy jej kamień, wejść do wnętrza, zakryć jak można było najlepiej otwór podziemny, a wreszcie rzucić się na posłanie, jak gdybyśmy o niczem nie wiedzieli.

— Jakto! — wykrzyknął Jurek — i tak sami wracaliście do paszczy tego potworu! Czyż nie lepiej było stać nad brzegiem i szukać jakiego sposobu ucieczki?

— Toby się na nic nie zdało teraz; po wybrzeżu krążyli ludzie ze światłem, szukając zaginionej łodzi, i baczność była obudzona, a pochwyciwszy nas na wolności, byliby nas ci ludzie zamordowali natychmiast, a przynajmniej okrutnie pokaleczyli. Postanowiliśmy udawać śpiących i jak gdyby upojonych, a nie wiedzących o niczem.

Dzieweczki płakały, słuchając tego opowiadania, tak im żal było brata, któremu już po raz drugi przychodziło dobrowolnie prawie wyrzekać się swobody. Bohowitynowa z dumą i rozrzewnieniem patrzyła na syna.

XV.

Rabusie oszukani. — Na wodzie. — Galernicy. — Burza. —
Rozbicie.

— Już nie wiem, dobrodzieju mój — ozwał się nazajutrz Gozdawa — jakim sposobem waść wyszedłeś kiedy z tej niewoli. Myślę, że już w końcu musiałeś się rozmiłować w tych bisrumanach i dla tego ich nie porzuciłeś. Jabym, panie, był porozbijał tych kupczyków i sam się, dobrodzieju mój, wpakował do łodzi; niechby robili, co chcieli, Niemczyki te w-neckie.

Wszyscy się uśmiechali na takie „dictum” pana Gozdawy, Bohowitynowa tylko przez łzy na jedynaka swego spojrzała i rękę wychudłą na głowie mu położyła. Janek mówił dalej:

— Nad ranem, ledwie świtać zaczynało, stróże nasi ze strasznym hałasem wpadli do jaskini, gdzie my obaj z Maksymem leżeliśmy w kącie, mocno sapiąc, jak gdyby twardym snem złożeni. Rozbiegli się rabusie po kątach, krzycząc i klnąc po swojemu, i wreszcie któryś z nich, potknąwszy się o leżącego na mchu Maksyma, porwał go za barki i zaczął trząść, wołając, żeby się przebudził; ten jednak, udając nieprzytomnego, bełkotał naumyślnie jakieś niezrozumiałe słowa. Turcy nie wiedzieli sami, co myśleć, bo i ja musiałem śpiącego udawać. Naprawdę nas trzęśli i szarpali, szukając innych, a nie się do wiedzieć nie mogąc. Uwierzyli zapewne, że tam

nas, upoiwszy, porzucili, pojąc tylko nie mogli, jakim sposobem gład odwalony został. Posadzili jeden drugiego o pomoc daną niewolnikom, wreszcie pobili się między sobą okrutnie, a tymczasem nadpłynęły i statki korsarskie z nowa zdobyczą.

Podziemie nasze ocalało, ale nie było nam sądzono korzystać z niego, na drugi dzień bowiem obaj z Maksymem, przykuci łańcuchem do galery, musieliśmy pełnić służbę wiosłarzy. Ciężka to była niewola, a jeszcze okropniej pomyśleć, że będziem musieli niejako dopomagać do tych wszystkich rozbojów i złodziejskich wypraw rabusiów. Bóg nam jednak oszczędził tego nieszczęścia, korsarze bowiem, zawińawszy gdzieś na wybrzeże, sprzedali nas do kupieckiego okrętu tureckiego.

Tu, przykuci zawsze łańcuchem, ja i stary kozak, druh mój, długie przeżyliśmy miesiące. Wiele przez ten czas zwiedziliśmy rozmaitych okolic, trudno mi opowiadać, bobym i za miesiąc nie skończył. Galera nasza zawijała do różnych portów, a my, niewolnicy, zdaleka tylko patrzyliśmy na nieznane wybrzeża; to nam migwały w dali palmy afrykańskie, to znów zbliżaliśmy się do skał Gibraltaru, to stawaliśmy znów w jakim porcie francuskim, a potem wszystkie te obrazy z górami, lasami, pałacami, znikwały nam z oczu, jak sen, i znów płynęliśmy po szerokim morzu.

Czasami w nocy, kiedy zabłysło gwiazd tysiądzdało się, że nad nami i pod nami niebo złoci-; a choć ciało łańcuchem było przykute, to serce

się wznosiło do Boga, i czułem, że jak dawniej w czarnych podziemiach, albo na tatarskim pustym stepie, tak teraz, śród morza ogromnego, nie byłem sam. I znów się budziła nadzieja, że kiedyś, kiedyś, ten Bóg, co mię wspierał w tyłu losu kolejach, ulituje się wreszcie i doprowadzi mnie do ziemi rodzinnej. A może znów nie bez celu, zostałem rzucony na tę galere turecką, i tu bowiem znalazłem towarzyszy rodaków; prócz Maksyma i mnie, dwóch młodych Ukraińców zastaliśmy między wiosłarzami galery *). Z tymi długie tocząc rozmowy o kraju rodzinnym, o wierze naszej i mowie ojczystej, umacnialiśmy się nawzajem na duchu i zachęcali do wytrwałości; a wieczorem znów brzmiała pieśń „Bogarodzico” i tak jak dawniej wielką nas napępiała otuchą. Kiedyś, pamiętam, wiosłując, podniosłem wzrok ku niebu, a tu widzę stado bocianów, co wysoko ponad morzem ku północy lecą, rozwinąwszy skrzydła, lecą tam daleko, do ojczyzny mojej! I oczy mi się napępiły łzami, i zerwałem się na nogi, ale brzęk łańcucha przypomniał, że w niewoli. Przemyśliwaliśmy też nieraz, jakby się z tej niewoli wydobyć, ale to już wydawało się niepodobnem, bo gdyby nawet jaka siła nadludzka twarde kajdany nasze skruszyła, trzebaby chyba ptakiem wylecieć, jak te białe

*) Nieraz się zdarzało, że młodych brańców z ziem naszych, którzy się nie nadali do milicyi Janczarów, (wyłącznie z niewolników takich utworzonej) przykuwano na długie lata do galer.

mewy, co krążyły czasami nad statkiem naszym. Ale właśnie, kiedyśmy się tego najmniej spodziewali, przyszło uwolnienie w dziwny i cudowny prawie sposób, a jak się to stało, opowiem.

Wracając z odległej wyprawy ku wybrzeżom Afryki, wpłynęliśmy właśnie na ciche wody Archipelagu i znów, jak owej nocy, po mojem odpłynięniu z Krymu, przesuwaliśmy się pomiędzy licznymi wyspami, tym razem jednak ku północy się kierując, gdyż galera nasza do Saloniki zawinąć miała. Już nieznadługo spodziewaliśmy się wpłynąć do zatoki Salonickiej, ograniczonej od wschodu wielkim trójkątem półwyspu Chalcedonii, gdy nagle wiatr, dotychczas łagodnie ku północy nas popychający, zmienił kierunek i, gwałtownie dmąc w żagle, począł nas zwracać ku wschodowi. Próżno się sternik wysilał, napróżno my, wiosłarze, natężaliśmy wszelkie siły, burza, coraz gwałtowniejsza, targała nasz statek i rzucała nas na wszystkie strony.

A miało się już właśnie ku wieczorowi; słońce, jakby krwią oblane, zapadało gdzieś daleko w morze, a fale, groźnie hucząc, piętrzyły się wokoło statku, niby potwory ogromne, które go chcą pożreć. A tu czarne chmury, kłębiąc się, zalegały widnokrąg, i burza, tem straszliwsza, że niespodziana, rozszalała się na morzu, w morzu i powietrzu. Gromy huczały z daleka, a błyskawice, jaskrawemi gzygawkami rozdzierały ciemność nas otaczającą. Niepodobna było walczyć z siłami przyrody, a znużone ramiona opadły nam bezwładnie.

Galera, miotana na wszystkie strony, niby wątła skorupka, to się wznosiła na grzbiecie fali jakiejś olbrzymiej, to znów opadała w odmęty, zalana wodą. Pogasły wszelkie światła na statku, i nie już nie było słyszać, prócz ryku burzy, huku fal i straszliwych gromów, wstrząsających, zda się niebo i ziemię. Straszne to były godziny, a jednak i wtedy serce moje wołało do tego Pana Wszechrzeczy, który poza rykiem burzy i traskiem gromów przemawia do duszy ludzkiej, tak, jak śród ciszy spływa do niej po srebrzystym promieniu miesiąca. Skuty łańcuchem, przywiązany do tej kruchej łupiny, co się już rozbijała o skały ostre podwodne, otoczony ciemnością przerażającą, czułem jeszcze, że mnie Bóg nie opuszcza i odzywałem się do towarzyszy, starając się im dodać otuchy.

Nie słyszeliśmy się prawie śród łoskotu burzy morskiej, Maksym tylko, który był tuż przy mnie przykuty, zegnał się co chwila, a kiedy błyskawica, rozdzierając chmury, rozświeciła mi twarz jego, widziałem, że się modlił z głową wzniesioną. Inni już wpół martwi z przerażenia i grozy, leżeli na pokładzie, chwytając się masztów i lin porzuconych. Jak długo to trwało, nie wiem; wreszcie — trask okropny, który się dał słyszeć nawet śród burzy szalejącej... zimno oblewającej nas wody i... straciłem przytomność...

XIII.

Janek zmartwychwstaje. — Góra Athos. — Pustelnik. — Między Niebem a ziemią.

Kiedy otworzyłem oczy, słońce jasno świeciło wkoło mnie, tak, że natychmiast zamknąć musiałem powieki, nie mogąc znieść wielkiego blasku. Na razie nie wiedziałem, co się ze mną stało, aż dopiero zwolna wróciła pamięć: ryk wichru, szum i łoskot wzburzonej fali, krzyk i jęki strwożonej załogi, potem ów trzask straszliwy, chwila walki okropnej z wodą, zalewającą mnie ze wszech stron i... ciemność! Cóż się później ze mną działo? Nie wiem.

Otwieram znów oczy; przez małe zakratowane okienko, świeży powiew przynosi balsamiczną woń kwiecia, a złocisty promień słońca igra nade mną, ślizgając się po białym posłaniu. Na stropie ciężkie sklepienie wznosi się okrągłym łukiem, a przy ścianach kilka prostych, drewnianych sprzętów. Teraz dopiero widzę w kącie postać ludzką; starzec siwobrody, schylony nad wielką księgą ze srebrzystymi klamrami i zatopiony w modlitwie, czy w zadumie głębokiej, zdawał się nie patrzeć na mnie wcale; kiedy jednak poruszyłem się na posłaniu, starając się głowę podnieść, oczy jego duże, niebieskie, a pełne rozumu i słodyczy, spoczęły na mojej twarzy, i powoli uśmiech pogodny rozjaśnił jego poważne, szanowne oblicze.

Powstał i zbliżył się do mego posłania, a stąpał pocichu, jak gdyby jakieś nadziemskie zjawisko; u pasa coś mu brzęczało, gdy się poruszał — to różaniec. Nie wiedziałem znów, czy śnię, czy na jawie oglądam to wszystko, i usiłowałem podnieść się na węgłowiui mojem, ale bezwładnie opadłem napowrót.

— Gdzieżeście się znów dostali, panie bracie? — pytał ciekawie Juraś — przecie nie na tamten świat, sądzę, a tego jednego tylko wam brakowało, boście już byli na ziemi i pod ziemią, na wodzie i pod wodą.

— Otóż i ja sam nie wiedziałem, gdzie się znajduję — odrzekł Janek — ale powoli rozgadałem się z szanownym starcem, co, jak duch opiekuńczy, stanął nade mną, i przekonałem się, że jeszcze na tym świecie i to w klasztorze zacnych Ojców na górze Athos, dokąd mnie na pół martwego burza wyrzuciła. Pokazuje się, że owe łańcuchy, któremi byłem przykuty, obróciły się na moje ocalenie, trzymały mnie bowiem przytwierdzonym do ogromnej belki, którą fale na brzeg wyrzuciły. Tam mnie i starego Maksyma znaleźli zacni Ojcowie, którzy mają swe klasztory na wybrzeżu, ostrym kątem w morze się wsuwającym. Oni nas przenieśli, rozkuwszy, do tego schronienia i, odżywiwszy rozmaitymi kordyałami i nacieraniem, pielęgowali z ojcowską prawdziwie pieczołowitością. A minęło kilka miesięcy, nim się z łoża podnieść mogłem po strasznem utłuczeniu i złamaniu prawej nogi; Maksym także

niemało ucierpiał, ale obaj czuliśmy, żeśmy dobili do portu i codziennie za to dzięki składaliśmy Wszechmocnemu.

Nie zapomnę nigdy dni tam spędzonych, prawdziwie między niebem a ziemią. Cudowna bo jest ta góra Athos, umajona zielenią i kwieciami, kąpiąca stopy w błękitnem morzu, a szczytem sięgająca obłoków. Wznosi się na jednym z trzech zębów półwyspu Chalcedońskiego, a na stokach jej wznoszą się klasztory. Później, gdy już byłem znacznie silniejszy, zwiedzałem tę cudowną okolicę, gdzie, oprócz szumu fali, szelestu drzew i śpiewu ptasząt, słychać tylko dzwony, wzywające na modlitwę, i pobożne pienia mnichów, poświęconych na służbę Bożą *).

Dziwny jakiś spokój spłynął mi do duszy, gdy przebywałem wśród tych ludzi świętobliwych i, patrząc na ich życie ciche, zatopione w modlitwie, rozczytywaniu się w księgach i wielbieniu Boga w przyrodzie cudownej, sam chwilami pragnąłem

*) Do dziś dnia na górze Athos wznosi się mnóstwo klasztorów, bardzo starożytnej budowy, zawierających księgozbiory, malowidła i inne stare zabytki. W rozpadlinach skał kryją się pustelnicy, pędząc żywot na ciągłej modlitwie. Położenie półwyspu tego, oblanego ze wszech stron morzem, a przedstawiającego kształt trójzębu, dziwnie ma być piękne i uroczne, roślinność wspaniała i rozkoszny klimat. Zakony na górze Athos są po większej części obrządku wschodniego.

być policzony między nich. Ojciec Bazyli, który właśnie czuwał nade mną, gdym odzyskał przytomność, przybył tu przed laty z Ukrainy; on też zrozumiał słowa, które mi się z ust wyrwały w gorączce, i odtąd wyjednał sobie pozwolenie wyłącznego pielęgnowania mnie. Z nim też najlepiej porozumiewać się mogłem, inni bowiem ojcowie przeważnie greckiego języka używali. Był w tym klasztorze (i w innych, jak się później przekonałem) zbiór ksiąg, a w nich wizerunki, prześlicznie farbami wykonane; widziałem nieraz Ojców, nad taką robotą pracujących i odpisujących stare rękopisma.

Gdy już byłem zdrowszy, Ojciec Bazyli wziął mnie z sobą do innego klasztoru, dokąd go przełożony za jakąś sprawą posyłał. Siedzieliśmy obaj na osiołkach i wspinaliśmy się coraz wyżej, wyżej w górę; czasem prowadziła ścieżka nad brzegiem przepaści tak głębokiej, że się mimowolnie oczy od niej odwracało, ale osiołek stąpał powoli, ostrożnie, wznosiliśmy się ciągle w górę. Przed zachodem słońca stanęliśmy pod cieniem wielkiego kasztana; osiołki zaczęły skubać trawę, a ja rzuciłem okiem dokoła.

Daleko, daleko pod stopami naszymi, srebrzyło się i złociło morze, którego szum oddalony nas dolatywał; nad nami lazurowe niebo, a między tem niebem i wodą zielone stoki góry, gdzie wśród gajów błyszczą złociste krzyże na wieżycach kościołów i kaplic. A jest ich takie mnóstwo, że gdzie okiem rzucić, tam szarzeją mury starej budowli sług Bo-

żych. Tu i owdzie znów w szczelinach skał żyją pobożni pustelnicy, którzy ślubowali nie oglądać oblicza ludzkiego i w nocy tylko schodzą po chleb lub placki, które im z klasztorów posyłają, składając w jakim wydrążeniu wśród głazów.

Kiedyśmy przejeżdżali nad taką rozpadliną, Ojciec Bazyli w milczeniu wskazał palcem na dół. Spojrzałem i dopiero, po długim wpatrywaniu się w ciemną pieczarę, dojrzałem na ziemi kłęzącą postać, niby ludzką, ale tak skurczoną, wychudzoną i wyżółkłą, że trudno było uwierzyć, iż to człowiek żyjący. Okryty jakimś zbutwiałym łachmanem, kłęczał pustelnik przed kawałem kamienia, wyciosanego w kształcie krzyża, i zdawał się nic innego nie widzieć, nie słyszeć. Dopiero kiedy ja, pochyliwszy się nad pieczarą, zasłoniłem sobą promień, który z góry padał na krzyż i złocił go swym blaskiem, starzec podniósł głowę i zamglone oczy utkwili w nas na chwilę, ale natychmiast zerwał się, jak ptak spłoszony, i odwracając wzrok ku ziemi, zniknął w głębiny pieczary.

— Przyznam się — ozwał się pan Gozdawa, który dotąd słuchał w milczeniu — że ja takiej służby Bożej nie pojmuję. Przecie nie na to, zda mi się, dał Pan Bóg człowiekowi rozum i wolę, dobrodzieju mój, żeby się, jak zwierz drapieżny, krył po norach podziemnych. Albo to ja nie mogę służyć Bogu z pługiem czy kosą, a choćby i z kordem w ręku? A waść, panie Janie, chciałeś już tam może przystać do tych pustelników?

— Uchowaj Boże — odpowiedział Janek — i choć przyznam się wujowi dobrodziejowi, że mi z początku kręciło się po głowie, żeby tam zostać na zawsze w klasztorze między Ojcami, to, na myśl o szabli, straciłem ochotę nawet do życia zakonnego. W miarę, jak mi wracała dawna siła, budziła się też coraz żywiej tęsknota za krajem ojczystym, i zdawało mi się, że na skrzydłach poleciałbym tam daleko, na północ. Dobrzy ojcowie nie przymuszali mnie też wcale, chociaż z początku uważali, że to pewno jakieś zrządzenie Boże zapędziło mnie na ono wybrzeże nieznane.

Maksym mój pocziwy, którego także ojcowie odżywili staraniem swoim, uprosił, że go też, choć starego już, do zakonu swego przyjęli, i ani myślał o opuszczeniu góry Athos. On, co w swym kozaczym żywocie, zapomniał był praktyk religijnych, teraz przywiódł na pamięć lata dziecinne i cerkiewkę, do której go małym dzieckiem jeszcze matka prowadziła, śpiewał z mnichami pieśni nabożne, a tymczasem rosła mu coraz dłużej biała broda, i wierny mój towarzysz, z kozaka na niewolnika tureckiego przemieniony, teraz się przeobraził w mnicha.

Ja zaś wyczekiwałem jakiego okrętu, któryby mnie zabrał do Włoch, a stamtąd do ojczyzny ukochanej; tymczasem siedziałem nad księgami w bibliotece klasztornej i starałem się nauczyć różnych rzeczy z tych starych pergaminów. Między ojcami, oprócz prostaczków, co nawet czytać nie umieli, byli ludzie uczeni wielce, a ci mi chętnie dopoma-

gali, opowiadając różne ciekawe rzeczy o dawnych czasach, o narodach rozmaitych, o Rzymie i Carogrodzie, o Turkach i Arabach.

I tak mi znowu upłynął rok, już pono czternaśty od wzięcia w niewolę. Z dziecka wyrosłem na mężczyznę silnego, a za łaską Bożą tak mi się zahartował duch i ciało, że śmiało gotów był w oczy spojrzeć każdej przygodzie.

— Ja bo też odrazu przemyślałem — ozwał się Jurko — że was, panie bracie, trzeba tylko dostawić do naszego pana hetmana. Jemu właśnie takich potrzeba, co to i w ogniu, i w wodzie hartowani, a teraz się pono zbiera na wojnę z Wołoszą, toby was z otwartymi ramionami przyjął.

Bohowitynowa trwożnie spojrzała na syna i mimowoli wyciągnęła rękę, kładąc ją na bujnych włosach młodziana, jakby go osłonić i zatrzymać chciała, tego niby wskrzeszonego jedynaka, który jej starość mógł osłodzić i silnem ramieniem wesprzeć chwiejne jej kroki u schyłku życia pełnego cierpień. Ale nad matką wzięła górę [obywatelka, co się nie waha i chwili, kiedy idzie o złożenie ofiary potrzebnej.

— Dobrze, mój synu — rzekła — pójdziesz, gdzie cię powoła serce i obowiązek, ale teraz jeszcze nie mówmy o tem, dokończ nam raczej opowieści o losach twoich.

XIV.

Odjazd z klasztoru. — Powrót. — Matka Spartanka. —
Błogosławieństwo.

— Z wiosną jakoś — mówił Janek — zatrzymała się przy górze Athos piękna galera, z której wysiadła gromadka pielgrzymów, pragnąca zwiedzić tutejsze miejsca święte, a wkrótce się ułożyło, że mnie z sobą zabiorą. Nie mając czem zapłacić za przejazd, zobowiązałem się na statku pełnić służbę majtka, do której byłem przez Turków zaprawiony. Przed samą Wielkanocą, odbywszy spowiedź i przyjąwszy Komunię Świętą po raz pierwszy w życiu, otrzymałem błogosławieństwo Ojców zakonnych i opuściłem progi gościnnego klasztoru, ze łzami żegnając ich i Maksyma, już w habit przyodzianego. Na odjezdnem ojciec Bazyli wsunął mi w rękę sporą kieskę, mówiąc, że to ojciec przełożony dla mnie wyznaczył na drogę, i tak opatrzony wypłynąłem znów na morze; tym razem bez przygód, odwiedziwszy po drodze Loretto, gdzie się zatrzymywali pielgrzymi, przybyłem do Wenecyi.

Nie będę już tu opowiadał o tym cudnym grodzie, co zda się z morza wyrastać. Powiem tylko, że w jednym klasztorze tamtejszym odnalazłem naszą Mirę między zakonnicami, które chorych i rannych pielęgnują i widziałem się z nią i dostałem na pamiątkę krzyżyk koralowy, który oto mam na szyi.

Jednego ranka znów, kiedym wyszedł na wybrzeże, zwane Lido, i przypatrywałem się, jak słońce

wschodzi, czuję nagle, iż mię ktoś chwyta wpół. Porrywam się zdumiony i już sięgam ręką do kordelesa, którym sobie był kupił, bo tam na ziemi włoskiej niemało rozmaitych rabusiów, co to ich „banditti” albo „bravi” Włochy zowią, kiedy ten, który na mnie tak niespodzianie napadł, woła, śmiejąc się:

— Signor Giovano — (co u nich znaczy panie Janie) i dalej mnie ścisnąć i całować. I dopiero poznaję, że to Beppo, towarzysz z wyspy korsarskiej.

Zaczął mi opowiadać, jak to oni na morzu biedowali, nim się dostali za Bożą pomocą na wybrzeże Grecyi, jak potem każdy do swojej ojczyzny starał się dostać, jak ów kupiec z Francyi zaręczał, że musi mnie z niewoli wykupić, jak on, Beppo, nazbierawszy gąbek i handlując niemi, dostał się wreszcie do Włoch wraz z moim Leszkiem, którego nikomu oddać nie chciał. Wreszcie dowiedziałem się, że Leszka zabrał jakiś pan polski, bardzo bogaty „un Principe polacco,” jak mówił Beppo, i jemu też sporą sumkę zostawił. Potem ucieszony chłopak zaprowadził mnie do swojej chatki rybackiej, gdzie znalazłem starą matkę jego, pomarszczoną i ze sporemi wąsami i bródką (jak to niewiasty we Włoszech często na starość miewają), a oprócz tego śliczną Giolette, z którą się był przez ten czas Beppo ożenił. Wszystko troje tak mnie serdecznie gościli i częstowali, żem zjeść musiał całą miskę ślimaczków morskich, w oliwie smażonych, zapić to kubkiem wyborowego wina, i odprowadzony przez Beppę, wróciłem do mojej gospody. Przy pożegnaniu szepnął

mi jeszcze poczciwy rybak, że on już teraz cudzego nie bierze, a dzięki Madonnie i signorowi polskiemu, dosyć ma dla siebie i rodziny. Uspokojony o los Leszka, przemyślałem już tylko, jak się dostać do kraju.

W Wenecyi jeszcze spotkałem rodaków naszych, którzy mnie serdecznie witali i wszelką pomoc ofiarowali. Jeden z dworzan miłościwego księdza arcybiskupa gnieźnieńskiego *), znajdujący się tam podówczas, chciał mnie zaraz wziąć na dwór pana swego, który, jak mówił, każdego uczciwego młodzieńca chętnie przygarnie i na człowieka wykieruje. Ale przedewszystkiem śpieszyłem pokłonić się tej Matce Najświętszej, której wizerunek na pierśi noszony ochraniał mię lat tyle we wszelkich przygodach i niebezpieczeństwach. I tu mnie widocznie przywiódł palec Boży, bym po latach tylu sieroctwa i tułaczki odnalazł was, mateńko najdroższa i miłościwa, oraz cudownem zrządzeniem Opatrzności odzyskał imię przodków moich. Teraz mi tylko brakuje, bym przez chrzest rycerski stwierdził to szlachectwo, spuściznę ojców.

— Mnie się zdaje — odezwał się pan Gozdawa — żeś już wać dostatecznie ochrzczony w tylo-

*) Andrzej Krzycki, kanclerz króla Zygmunta I, później arcybiskup gnieźnieński, człowiek wielce uczony i zacny, pisywał sam poezye okolicznościowe, a opiekował się chętnie młodzieńcami zdolnymi. Jemu wiele zawdzięcza Klemens Janicki, znakomity poeta ówczesny, syn włościański, zmarły wczesnie we Włoszech. Krzycki zmarł w 1537 roku.

letniej niewoli i możesz teraz spokojnie orać zagon ojczysty; ale sprzeciwiać się nie będę, tylko wprzód naradźcie się z panią matką i róbce, jak się wam wyda najlepiej.

— A ja, za pozwoleniem waszem — wtrącił pokornie Juraś — śmiałbym jeszcze radzić, żeby Jan-ko stawiał się u naszego hetmana (Jana Tarnowskiego). Tam dopiero poznać można, co to jest życie i sława, a dla takiego junaka wszędzie podwoje otwarte i żadnej protekcyi szukać nie potrzebuje.

Bohowitynowa po chwili milczenia ze złożonemi rękami, jak gdyby się w duchu modliła, podniosła na syna wzrok, błyszczący męstwem i dziwną jakąś pogodą, i rzekła:

— Powtarzam ci, dziecko moje, że ja matka, woli twej krępować nie chcę. Przedewszystkiem należy się służyć tej wspólnej matce naszej, dla której ojciec twój i dziadowie krew swą przelewali. W Bogu mam ufność, że cię nie opuści i strzedz będzie tak, jak strzegł przez te ciężkie lata niewoli pogańskiej, a mego bolesnego sieroctwa. Niech cię On błogosławi, jak w tej chwili błogosławi cię matka na wszelkie przygody i zamiary twoje.

Wzruszony młodzian ukląkł, schylając się do nóg tej matki zacnej, która, nie bacząc na własne cierpienie, gotowa była w każdej chwili złożyć ofiarę z tego, co miała najdroższego; ręce jej wzniosły się nad głowę jedynaka, a usta szeptały słowa cichej modlitwy. Przez okienko otwarte jasny promyk słońca oświecił matkę i syna, a wszyscy przytomni,

ze wzruszeniem głowy pochyliwszy, do błogosławieństwa mateczynego dodali uroczyste — Amen.

Maryjka ze łzami patrzała na odzyskanego niedawno, a tak już ukochanego braciszka, i nawet Halka-trzpiotka ukradkiem łezkę otarła, choć jej korallowe usteczka, jakby do uśmiechu się składały. Piękny był widok tej rodziny, zjednoczonej w jednym, silniejszym nad miłość rodzinną uczuciu.

XV.

Obertyn. — Znów na Jasnej Górze. — Zakończenie.

I odjechał Janko do obozu pana hetmana z Jurkiem razem. Bohowitynową zatrzymali państwo Wincentowie w dworku swoim pod Częstochową, żeby miała opiekę przyjacielską i łatwiej dostawała wiadomości o synu. W owe czasy jeszcze poczty nie było, ani też gazet żadnych nie wydawano, trudno więc było o wieści: prędkie i pewne, a te, które dochodziły, tak się, z ust do ust przechodząc, przeinaczały, że im wiary nie dawano.

Raz jednak z klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze, przysłano do dworku Gozdawów jakieś pisanie, które, jak się okazało, było od Janka do Matki. Donosił tam o swem zdrowiu i powodzeniu, o wielkiej dobroci pana hetmana i o gotującej się wyprawie na Wołoszczyznę.

Potem do cichego dworku doszły wieści o świętnem zwycięstwie pod Obertynem *) (22 sierpnia 1530 roku), o wjeździe tryumfalnym sędziwego hetmana do Krakowa. Ktoś ze szlachty okolicznej, co był w stolicy w czasie tej uroczystości, opowiadał, jak król Zygmunt za zbliżeniem się hetmana, powstał z tronu i, sam już starzec, starego wodza do serca przycisnął. Rozповідаł, jak przywieziono do stóp króla działa, zdobyte na Wołochach i jeńców, zabranych w bitwie pod Obertynem. I brzmiał rozgłośnie dzwon, „Zygmuntem” zwany, który niedawno przedtem król kazał ułać i zawiesić na Wawelu; lud zebrany wydawał okrzyki radosne, a wszyscy, zwycięstwem upojeni, zapominali o innych niebezpieczeństwach, wiszących nad rzeczpospolitą.

Tymczasem upłynęła i wiosna (1531 r.), a kiedy kłosa złociły się na łanie, znów się w dworku Gozdawów rojno i gwarno zrobiło, bo zawitał tam poczet rycerzy. Przybyli konno i zbrojno; na czele! jechał młodzian piękny, o licach ogorzałych i ciemnych włosach, o czarnem oku, z ręką prawą na tem-

*) Piotr, czyli Petryllo, wojewoda mołdawski, zajął podstępnie Pokucie, bez wypowiedzenia wojny, ale hetman Tarnowski wkrótce wypłoszył stamtąd Mołdawian i stanął w czterech tysiącach rycerstwa pod Obertynem, gdzie nań uderzył Petryllo w dwadzieścia dwa tysiące ludzi i pięćdziesiąt dział; lecz wojsko jego rozbite, zostawiło w rękę naszych działa swe, mnóstwo jeńców i wszelkie zasoby obozowe. Potem musiał Petryllo przycichnąć.

blaku; lewą jednak kierował zręcznie karym rumakiem swoim. Przy nim drugi, niższego cokolwiek wzrostu i z jaśniejszym włosiem, a niemniej pięknego i dzielnego lica młodzieniec.

To Janek i Juraś, obaj okryci chwałą w bitwie, gdzie przy boku sędziwego hetmana dzielnie się przyczynili do rozgromienia wrogów. Janek, ranny w rękę prawą, musiał już porzucić zawód wojskowy, a otrzymawszy od króla jegomości w darze ładną wioseczkę, Nowy-Staw pod Krzemieńcem, śpieszył uprawiać zagon ojczysty, otaczając zarazem ukochaną matkę opieką synowską, której tak już potrzebowała. Juraś także, zanim się na nową wojnę zaniesie, śpieszył użyć czasu na wołyńskich niwach, skąd był rodem. Co tak rycerskiego młodziana usposobiło do tęsknoty za wsią i spokojem, przekonamy się niebawem.

W wigilię Matki Boskiej Zielnej znów tłumy pielgrzymów zaległy Jasną Górę wkoło, ale wśród mnóstwa ludu zwraca uwagę powszechną drużyna weselna, która właśnie z kaplicy Najświętszej Panny wychodzi. Ludzie się rozstępują, ale wszystkie głowy, ciekawie naprzód pochylone, ścigają wzrokiem dwie pary państwa młodych, które wśród gro-
na krewnych wychodzą właśnie z kościoła.

— To braniec tatarski — szepcą, roztrącając się ludzie wokoło, a Janek w granatowym żupanie *), delii karmazynowej i kołpaczku o czaplem piórze na głowie, lewe ramię podaje hożej czarnobrewej Halce, w białej, łabędzim puszką bramowanej jubce i takimże obcisłym kabaciku, a zielonym wianeczku, z pod którego bujne krucze włosy do kolan prawie spływają.

W drugiej parze Juraś ze złotowłosą, w białej sukience Maryjką, także u ołtarza pobłogosławieni. Dalej Bohowitynową prowadzi pan Gozdawa, a za nimi inni weselni goście postępują, między którymi nie brak i smukłego, jasnowłosego Leszka, odszukanego z łatwością, i to w Krakowie, gdzie pierwszy poznał swego młodego opiekuna.

Jak się później raczono w modrzewiowym dworku, nim się obie pary młode w drogę na Wołyń puściły, opowiadać już nie będziemy, bośmy tam nie byli „miodu i wina nie pili”...

*) Kontusze upowszechniły się dopiero około czasów Sobieskiego; żupany zaś bardzo dawno już w Polsce noszono.



blaku
kiem
wzro
i dzie

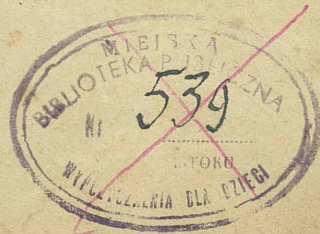
gdzie
przy
w rę
a otr
wios
upra
char
trzel
zani
skąd
sobi
się r

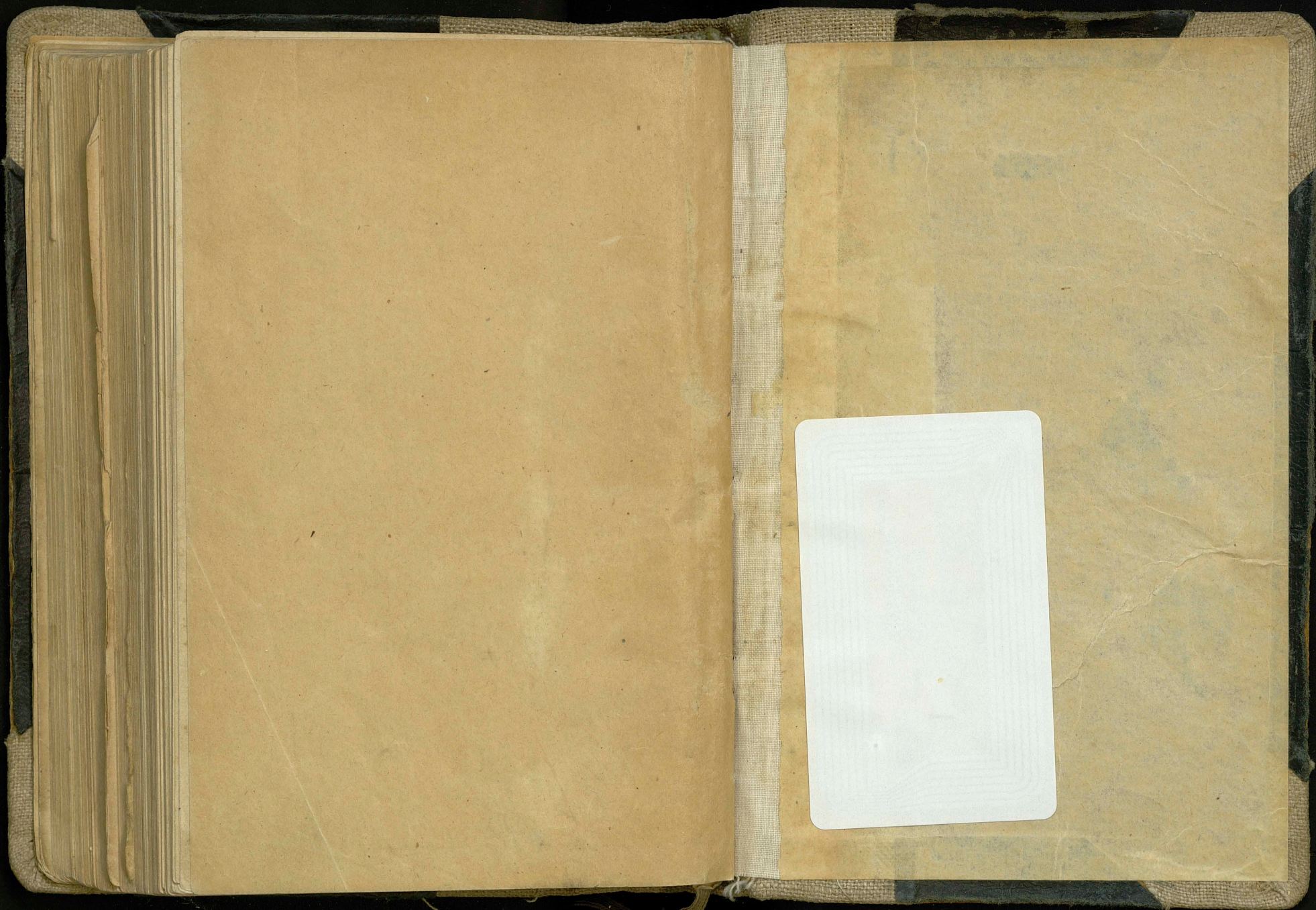
piel
mno
wes
ny
gło
kie
na

Wypożyczalnia młodzieżowa

SPIS RZECZY.

	str.
I. Ostatni Piast na Szląsku, opowiadanie historycz- ne według podań ludowych	5
II. Poseł polski w Carogrodzie, opowiadanie histo- ryczne z XVII wieku	47
III. Z krwawych dni, opowiadanie, z wieku XVIII. .	165
IV. Braniec tatarski, opowiadanie, na tle historycz- nem osnute, z XVI wieku	271





821.162.1
Świdenske
Opowiadanie

63364